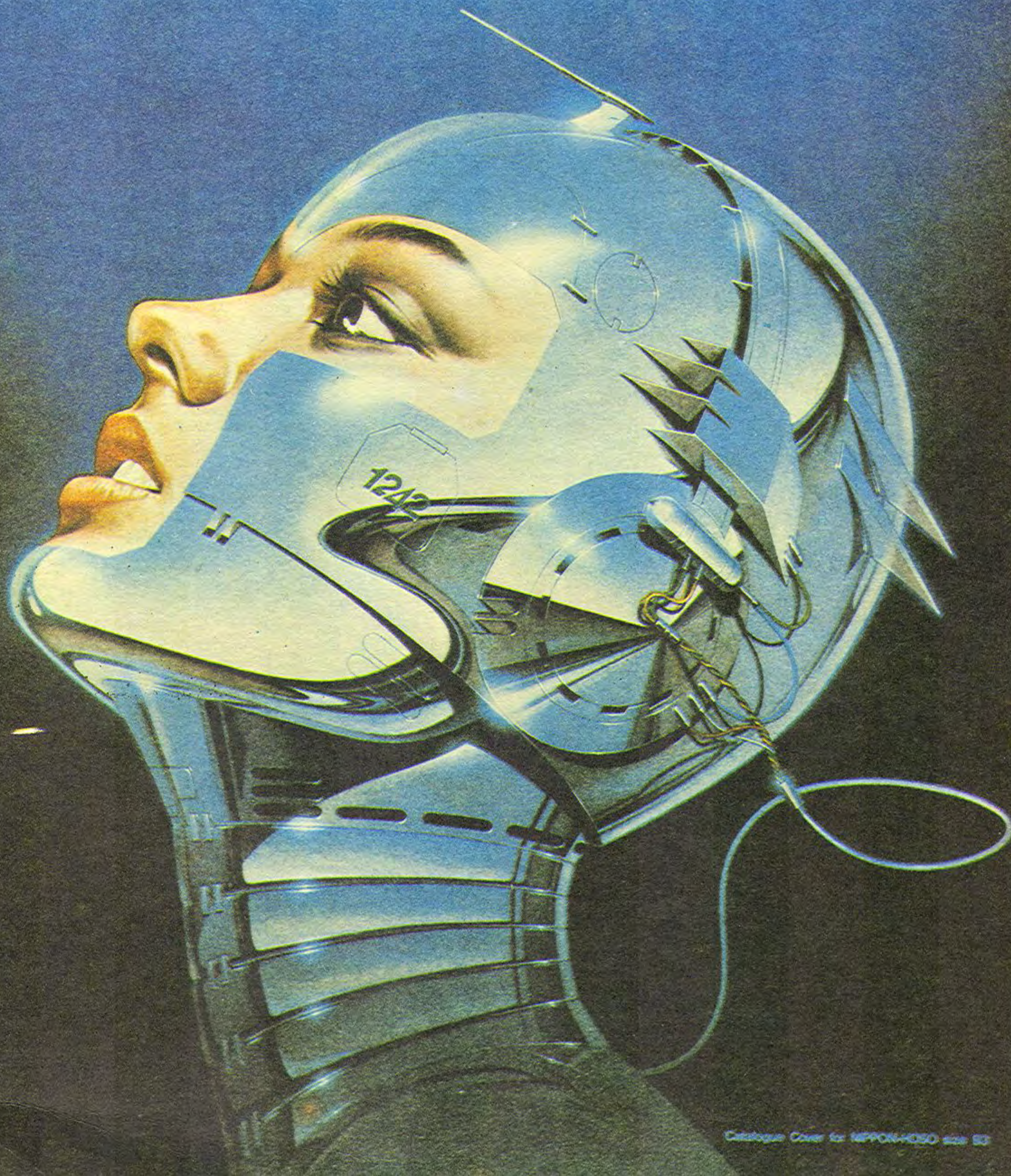
MIESIĘCZNIK
2(29) LUTY 1985 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



HAJIME SORAYAMA

Polska literatura fantastyczna w RFN

Franz Rottensteiner

W Republice Federalnej Niemiec polska fantastyka jest prezentowana bardzo dobrze, procentowo lepiej niż literatura wielu innych krajów, np. większa objętościowo produkcja ZSRR lub Francji. Polska literatura jest w ogóle często tłumaczona, zainteresowanie zaś fantastyką jest zauważalne od niedawna.

W dużej części zainteresowanie to jest spowodowane osobą Stanisława Lema, który odnosi bezprzykładne sukcesy nie tylko wśród czytelników (w obu zresztą państwach niemieckich), ale także krytyków wykraczających w swoich rozważaniach daleko poza granice SF. Lem jest chyba jedynym autorem SF uznanym w pełni pod względem literackim. Pozytywnie wyrażają się o nim tak znani pisarze niemieccy, jak Siegfried Lenz, Günter Herburger i Mario Szenessy, a z krytyków literackich Heinrich Vormweg. Niektóre z tych głosów można – obok esejów krytyków zagranicznych – odnaleźć w wydanej nakładem Suhrkampa książce Wernera Berthela „O Stanisławie Lemie" (1981). Łączny nakład książek Lema, które ukazały się w RFN, przekroczył już liczbę 1,5 miliona (dochodzi do tego 2,5 miliona książek wydanych w NRD). Poza J.R.R. Tolkienem i niemieckim autorem gatunku fantasy Michaelem Endem („Die unendliche Geschichte", „Momo") jest Lem najpopularniejszym twórcą współczesnej fantastyki w RFN. W odróżnieniu od Tolkiena i Endego jego wydania oprawne nie osiągnęły wysokich nakładów; sukcesy odnoszą natomiast wydania kieszonkowe, wśród których prym wiodą „Solaris", „Eden", „Niezwyciężony" i „Dzienniki gwiazdowe". Każdą z tych książek sprzedano do tej pory w formacie kieszonkowym ponad 100 000 razy. Świadczy to chyba o tym, że Lem przyciąga przede wszystkim środowisko czytelników młodych, mniej zamożnych, należy jednak podkreślić, że jego książki są rzeczywiście czytane, nie wstawia się ich na półkę wyłącznie dla snobizmu. Jego czytelnicy to przede wszystkim młodzież o wykształceniu techniczno-przyrodniczym.

Do tej pory przetłumaczono w RFN niemal wszystkie książki Lema, nawet tak trudną i specyficzną, jak „Filozofia przypadku". Niektóre z jego utworów, np. drobne eseje z „Lema biblioteki XXI wieku", jak „Jedna minuta", ukazały się w RFN jeszcze przed ich opublikowaniem w Polsce. Książki oprawne Lema drukuje przede wszystkim wydawnictwo Insel, w tym „Wybór dzieł", natomiast wydania kieszonkowe – Suhrkamp, gdzie science fiction polskiego autora stanowi trzon redagowanej przeze mnie „Biblioteki fantastycznej".

W RFN znani są jednak również inni pisarze polscy, np. Konrad Fiałkowski, którego książki w formie kieszonkowej wydawane są w Monchium przez Wilhelm Heyne Verlag w najpopularniejszej i najobszerniejszej serii SF (dotychczas ponad 1000 tytułów!). Tamtejszy redaktor, Wolfgang Jeschke, stara się ustawicznie o wprowadzenie do serii akcentów międzynarodowych, bez ograniczania się do autorów anglosaskich, niezwykle popularnych wśród czytelników niemieckich. Z jego utworów wydano w RFN zbiór opowiadań „Allein im Kosmos" („Sami w Kosmosie" – 1977), oraz powieć „Homo divisus" (1980) i „Adam, jeden z nas" (1982; utwór ten nie ukazał się jeszcze w Polsce). Można by ją określić jako alegorię religijną albo reinterpretacje mitu religijnego w duchu SF. Powieść stanowi istotny krok w stosunku do niewinnych raczej opowiadań techniczno-przyrodniczych, pisanych uprzednio przez Fiałkowskiego, mimo to nie zdobyła jednak większego uznania wśród czytelników SF (nawiasem mówiąc, odbiorcy ci nie zainteresowali się również Lemem; jego zwolennicy pochodzą raczej z kręgów, w jakich nie czytuje się SF, a nawet nie chce się z nią mieć nic wspólnego; niektórzy fani nie uznają Lema w ogóle, nie rozumiejąc, dlaczego cieszy się tak olbrzymią sławą). Tego faktu nie można jednak ustalić ze stuprocentową pewnością, gdyż krytyka SF raczej nie istnieje, o ile nie bierze się pod uwagę amatorskich czasopism fanatyków SF.

Uznanie zdobył też Adam Wiśniewski-Snerg, którego dwie pierwsze powieści: „Robot" (1980) i „Według łotra" (1982) również zostały opublikowane nakładem wydawnictwa Heyne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w tym samym wydawnictwie ma ukazać się wkrótce „Nagi cel". Opowiadania A. Wiśniewskiego-Snerga były zamieszczane w różnych antologiach. Ostatnio nakładem wydawnictwa Heyne ukazała się powieść Adama Hollanka „Jeszcze trochę pożyć" (1984). Nieco wcześniej Heyne opublikował opracowaną przez Zbigniewa Przyrowskiego antologię klasycznej i współczesnej polskiej SF „Nowa cywilizacja" (1982).

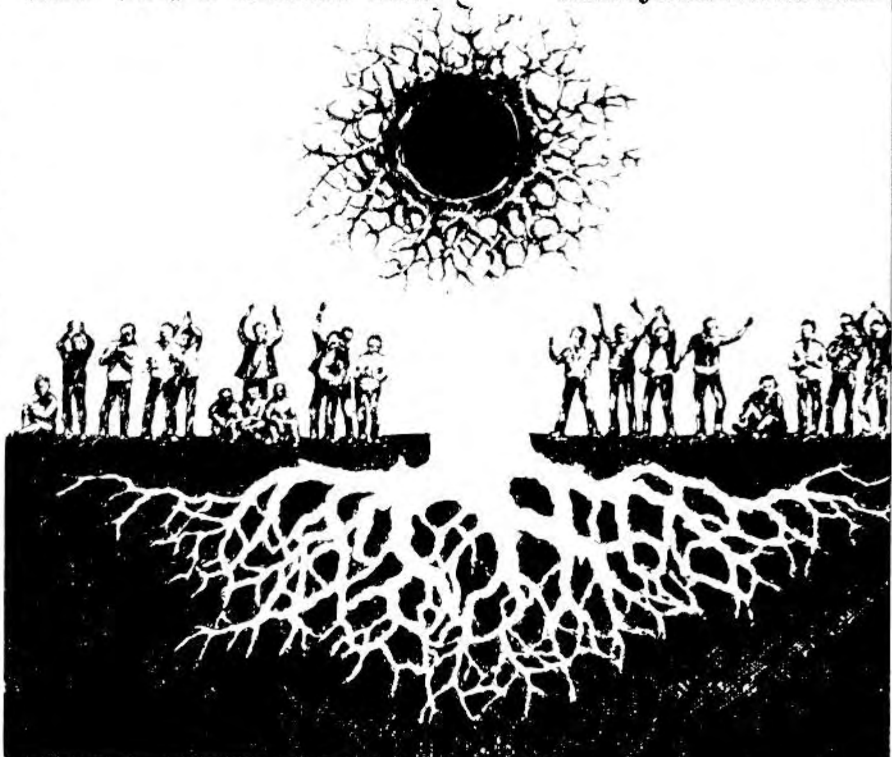
Jeszcze więcej pozycji polskiej SF ukazuje się nakładem Insel/Suhrkamp. Po dwóch wyborach opowiadań Stefana Grabińskiego „Das Abstellgleis" (1971) i „Dunst" (1974), w tłumaczeniu Klausa Staemmlera, które ukazały się w serii „Bibliothek des Hauses Usher", wydano nakładem Suhrkampa w formie kieszonkowej wybór opowiadań z obu książek pod tytułem „Das Abseligleis" (1978) z komentarzem Stanisława Lema.

Z bardzo dobrym przyjęciem spotkało się tłumaczenie trylogii Jerzego Żuławskiego „Na srebrnym globie", „Zwycięzca" i „Stara Ziemia", dokonane przez Eddę Werfel (1983). Edycja klasycznych pozycji SF jest kontynuowana „Torpedą czasu" Antoniego Słonimskiego, przełożoną przez Klausa Staemmlera (1984). W roku 1985 lub 1986 ukaże się druga powieść fantastyczna Słonimskiego „Dwa końce świata". Wstęp do obu książek napisał Stanisław Lem.

Nie można też pominąć opracowanej i przetłumaczonej przez Klausa Staemmlera antologii „Phantasma" (wyd. Suhrkamp, 1982), stanowiącej przegląd całej współczesnej fantastyki polskiej. Obok Iwaszkiewicza i Szczypiorskeigo zamieszczeni są tam tacy autorzy, jak Henryk Vogler, Ernest Dyczek, Janusz A. Zajdel, Zbigniew Dolecki, Konrad Fiałkowski, Witold Zegalski, Czesław Chruszczewski, Andrzej Czechowski, Adam Wiśniewski-Snerg i Roman Bratny. Tom polskich opowieści niesamowitych, opracowany przez Marka Wydmucha i przeze mnie, ukazał się w 1978 roku nakładem wydawnictwa Fischer Taschenbuchverlag (teksty Ossolińskiego, Barszczewskiego, Tripplina, St. Reymonta, Grabińskiego, Meissnera, Żukrowskiego, Rankiewicza i Szczypiorskiego).

Z pewnością są jeszcze autorzy polskiej fantastyki nie tłumaczeni w RFN w wystarczającym stopniu, np. Janusz A. Zajdel, ale ogólnie rzecz biorąc literatura polska reprezentowana jest zupełnie dobrze.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz



Jerzy Pogwizd



Ryszard Wojtyński



Proroctwa science fiction? Od początku swego istnienia książkowego, a później filmowego czy videowego, fantastyka próbowała kształtować światy przyszłości. Skąd brała i do dziś jeszcze bierze wzorce do swych futurologicznych wizji, w jakim stopniu potrafiła przewidzieć, co się stanie jutro, a w ogóle czy potrafiła, czy zdołała trafnie przepowiedzieć czasy jeszcze nieznane?

Projekcje istniejących już, zastanych, a także przygotowywanych innowacji nauki i techniki plus gra wyobraźni, sięgającej po natchnienie do odwiecznych marzeń i baśni ludzkości, to były dwa główne źródła literackiego poznawania jutra, pisarstwa czy filmu science fiction. Bardzo lubię Verne'a, choć jak to ktoś słusznie zauważył, jego pomysłowość była nienowa, nie najlepszej marki i bardzo naiwna. Lubię go zaś za to, co pod pretekstem science fiction w swych wartkich opowieściach przekazał o współczesnym mu człowieku, o jego konfliktach, śmiesznościach, politykowaniu i politykierstwie, o jego odwadze i tchórzostwie. Dzięki temu jego gawędziarskie pisarstwo ostało się, więcej – weszło chyba już na zawsze do skarbnicy kultury. A proroctwa, a wynalazki? Stały się dla dzisiejszych czytelników anachronicznym sztafażem, któremu przyglądamy się z sentymentem, należnym antykom, w dodatku antykom dowcipnym, zabawnym.

Oczywiście, budowanie wizji przyszłościowej było trudniejsze dla filmowców niż pisarzy. Wprawdzie opisy współczesnej prozy światowej SF są superrealistyczne i przy pewnym talencie wizjonerskim można je sobie prawie w pełni wyobrazić, można zrozumieć po prostu w sposób doskonały te rzeczy rzekomego jutra, które przekazuje do rozumienia przez czytelników autor fantastyki, ale większość twórców gatunku potrafi konstruować tylko fragmentaryczne obrazy świata jutrzejszego. Filmowcy natomiast szybko pojęli słabość przekazywania naukowo opracowanych spekulacji futurologicznych. Widać to doskonale na przykładzie chociażby jednego, ale przecież naprawdę znakomitego serialu – spielbergowskich „Gwiezdnych wojen". W pierwszych dwóch częściach, zresztą i w trzeciej także – choć już w mniejszym stopniu, – eksponuje się technikę, która jest rodem ze sprytnych gier komputerowych, a więc technikę błyskawicznych rajdów różnych urządzeń o dość schematycznych jednakże kształtach. Eksploatuje się jednocześnie broń i urządzenia przypominające wojnę czasów hitlerowskich, a także walki z obrazów typowych dla opowieści płaszcza i szpady. Toż najmłodszy z Jedi, rycerzy nieustraszonych (rycerzy – tak jest!) bije się z przeciwnikami, także i z własnym ojcem, na białą broń, tyle że ona trochę fosforyzuje i nazywa się laserową.

Realizatorzy serialu dostrzegają tę swoją słabość, naiwność czy też, równocześnie, swoją perfidię i ratują się... złamaniem praw nauki, praw przyrody. W gruncie rzeczy coraz więcej utworów jest w kolizji z podstawowymi prawami tego wszechświata, świata i ludzi. W wydrukowanej w numerze listopadowym „Omni" (wielkie światowe czasopismo SF), w wersji niemieckiej, dyskusji zatytułowanej „Prorocy ekranu" znany pisarz o sławie światowej Isaak Asimov tak powiada o pojazdach, które buszowały w „Powrocie Jedi" po gęstwinach leśnych: *„Według prawa zachowania masy takie błyskawiczne ich manewry byłyby wprost niemożliwe".*

Inaczej do tej sprawy podchodził Stanisław Lem w kolejnych etapach swej twórczości. Pamiętam jak zachwyciła mnie błyskotliwa i zdawałoby się niezwykle trafna metafora. W „Obłoku Magellana" bodajże, robiący coraz to większą karierę młody, młodziutki podówczas Mojżesz literatury science fiction, który potem za wszelką cenę będzie się starał uciec i wyprowadzić ten gatunek z ziemi niewoli, z fantastycznego getta, wkłada w usta jednego ze swych bohaterów, zachwyconego muzyką Beethovena słowa *„on już o nas wiedział".* Ależ mi się to wtedy podobało, kiedy mi przeczytał to zdanie, a czytał mi wtedy rozdział za rozdziałem i o wiele spraw mocno się spieraliśmy. Ale o tę nie. Ona była nowością, nowatorstwem, swego rodzaju rewelacją. Wartości wnętrza duszy ludzkiej, wartości ideowe, kulturowe przedłożył pisarz ponad wszelkie projekcje sztafażu naukowej fantastyki. Antyutopijność i antynaukowość tkwiły zarazem już w tej prozie Lema, dla której on sam żywi dziś, co wynika z jego rozmów z Beresiem, drukowanych w „Odrze", rodzaj – użyję tu tego słowa – pogardy. Ale tenże Lem uważał zawsze i uważa, choć ucieka od naukowej fantastyki, że fantastyka pozbawiona naukowego kośćca nie ma wartości. Tak przynajmniej można odczytać jego teraźniejsze poglądy.

Pisarz, który bodaj pierwszy namacalnie wskazał na straszliwe mielizny i słabości nauki, jako narzędzia użytego do sprawy głównej, do badania wnętrza ludzkiego, pisarz, który nakierowywał przyszłą fantastykę na oglądanie teraźniejszości przez pryzmat jutrzejszych, możliwych lub czasem i niemożliwych, a jakże probierczych, wyspekulowanych przemian – nie potrafił się wyrwać na zawsze i uciec z przyszłości w teraźniejszość.

Niech mi wybaczy moje pełne współczucie i zrozumienie dla jego szamotań i prób pogodzenia współczesności z przyszłością, dla której to sztuki wyszukuje najwymyślniejsze, najpokrętniejsze oprawy i preteksty, tak, niech mi wybaczy, że ja ciągle upatruję klucza do jego pisarstwa, klucza do pisarstwa, które zaszczepił w tym kraju – w jego przecież właściwie całkiem niefantastycznym „Wysokim Zamku", w tej pamiętnikarskiej rzeczy. Nie znał prawie swego miasta, nie dostrzegał na przykład bogactwa architektury Lwowa, ale na pewno zawsze na ślepo trafiłby do sklepiku z bakaliowymi przysmakami ze wschodu, który znajdował się w pobliżu Teatru Wielkiego. Sam o tym pisze. Mój Boże, dokąd to ja zaleciałem w swej pasji napisania jakiegoś wspomnienia, eseju czy większej całości, które miałyby uratować zarówno prawdy o samym Lemie, jak i o fantastyce, mogące ulec zafałszowaniu lub zatarciu. Może uda mi się to dalej kiedyś pociągnąć. Myślę, że w każdym razie ci, którzy czytają „Fantastykę" i zamieszczone w niej utwory, nie powinni stronić od śledzenia jakże złożonych losów pisarzy, dzięki którym mogą dzisiaj prawie bez tchu czytać i oglądać, co oni – ci pisarze i ich następcy – w swoich powieściach, nowelach i filmach im przekazują. W tym także sensie fantastyka, ze swoją specyficzną historią, staje się nauczycielką przyszłości.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK Literacki **Fantastyka**

00-660 WARSZAWA, ul LWÓWSKA 13
Telefony: 28-91-70 (red. nacz i z-ca red. nacz.)
29-40-81 w 13 (sekr. red., działy techn. i graf.)
29-40-81 w 12 (pozostałe działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski, Maciej Makowski (kier. działu tech.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (z-sekr. red.), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-56-26.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P.Z. Graf. RSW Łódź
Oddano do składu 12.10.1984 r. Zam. 1774.
NR INDEKSU 35839. Zam 315/85 i T 70 Nakład 140 000 egz.
PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XXIV

Ciągle powstają kluby i bardzo to przyjemne, że zwracają się do nas z informacjami o swoich członkach, osiągnięciach, programach, a także i kłopotach. Nic więc dziwnego, że „Lądowanie” dzisiejsze trzeba poświęcić listom od naszych beniaminków.

Z Płocka

Nie tak dawno powołaliśmy w Płocku Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Zostałem jego sekretarzem. Obecnie przygotowuję grunt do powołania Sekcji Twórców i Miłośników Fantastyki. Jeśli wszystko pójdzie po myśli, to w pierwszym kwartale 1985 r. zainaugurujemy jej działalność. Sądzę, że na początek damy serial SF, video ma się rozumieć. Miejscowy dom kultury ma takie możliwości. Pomiędzy tymi mocnymi uderzeniami zamierzamy zorganizować serię spotkań z twórcami SF. Zapisy oraz wszelkie informacje na ten temat można uzyskać w Spółdzielczym Domu Kultury, ul. Krzywoustego 3, w Płocku, w każdą środę w godz. 17–19. Trzymajcie kciuki za powodzenie.

Jerzy Strusiński

(jeden z laureatów naszego konkursu)

Z Kielc

Do niedawna Kielce były białą plamą na mapie zorganizowanych ruchów fanów w Polsce, bo dopiero mniej więcej dwa lata temu powstał na ich terenie klub miłośników fantastyki „Nadir”, w którym jestem członkiem Tymczasowej Rady Koordynacyjnej (właściwe władze klubu zostaną wybrane w styczniu 1985 r.). Zrzesza ten klub około 40 aktywnych sympatyków SF, pod przewodnictwem p. Andrzeja Nyki (prezesa), który interesuje się literaturą science fiction od kilkunastu lat i posiada księgozbiór liczący około 400 pozycji z tego zakresu. Początkowo „Nadir” miał swą siedzibę w Klubie Nauczyciela w Kielcach, ale zabroniono nam tam rozklejania afiszy i reklamowania się, motywując to brakiem zgody Zarządu, który w tym czasie... nie istniał. W tej sytuacji członkowie „Nadira” postanowili się przenieść do Osiedlowego Ośrodka Kultury na Podkarczówce. Zarząd OOK „Amonit” początkowo odnosił się do nas z pewną rezerwą, jednakowoż mimo to obiecywał i obiecywał, i obiecywał, aby po 3–4 miesiącach naszej jeszcze słabej, ale już jednak rozwijającej się działalności, odmówić wreszcie całkiem dostępu do lokalu klubowego tłumacząc to porządkami i sprzątaniem przed uroczystością pierwszej rocznicy istnienia, o czym jednak wcześniej nas nie powiadomiono. W takiej sytuacji o prowadzeniu dalszej pracy „Nadira” nie mogło być mowy. Podjęto więc kolejną decyzję przenosin do dość odległego Piekoszowa, połączonego autobusem z miastem wojewódzkim regularną linią MPK nr 18. Ponieważ kierownikiem tamtejszego ośrodka kultury był nasz prezes, p. Andrzej Nyka, mógł on udostępniać nam lokal na spotkania. Niestety, wszystko rozbiło się o odległość. W zimie przychodziło coraz mniej osób. Na szczęście naszemu prezesowi udało się wreszcie zainteresować „Nadirem” Wojewódzki Dom Kultury, dzięki czemu od października 1984 r. rezydujemy w jego pomieszczeniach. Od tego czasu rozpoczęliśmy kampanię reklamową, organizujemy obecnie aukcje, giełdy książek, projekcje filmowe, prelekcje, spotkania autorskie, m.in. z kieleckim pisarzem SF p. Zbigniewem Pietrzykowskim. Nawiązaliśmy kontakt z innymi klubami miłośników SF w kraju. Gazeta regionalna przeprowadziła nawet wywiad z kilkoma członkami klubu. Oprócz lokalu, WDK zapewnił nam także finansowanie naszej działalności i wydawanie dwa razy do roku fanzinu KMF „Nadir”. Być może uda nam się uczynić z niego kwartalnik. Nasz adres: Klub Miłośników Fantastyki „Nadir” przy WDK w Kielcach, ul. Ks. Ściegiennego 6, 25-033 Kielce.

Jarosław Patrzałek

Z Tych

Uprzejmie informuję o powstaniu w dniu 1 listopada 1984 r. Klubu Astronomiczno-Astronautyczno-Fantastycznego – „KAAF”. Tym samym deklarujemy swoją chęć współpracy z waszym miesięcznikiem, jednocześnie zwracając się z prośbą o przesłanie informacji organizacyjnych. Klub będzie wydawał biuletyn – pismo klubowe „Wszechświat”. Teraz trochę o sobie. Nazywam się Tomasz Koźmiński, mam 14 lat, chodzę do VIII klasy SP nr 21. Może się więc wydawać, że nie podołam jeszcze zadaniom organizacyjnym, ale tak nie jest. Klub nie posiada własnego lokalu – korzysta z pomieszczeń szkolnych. Wkrótce jednak postaram się zaadaptować dużą piwnicę. Oto w skrócie mój program: wymiana fanzinów, spotkania, występy autorskie.

Tomasz Koźmiński

ul. Morcinka 5/9 43-100 Tychy

Co z tym fantem

„Co my zrobimy z tym fantem?” – zapytała w szczerym zatroskaniu koleżanka wstępnie kompletując korespondencję do naszych „Lądowań”.

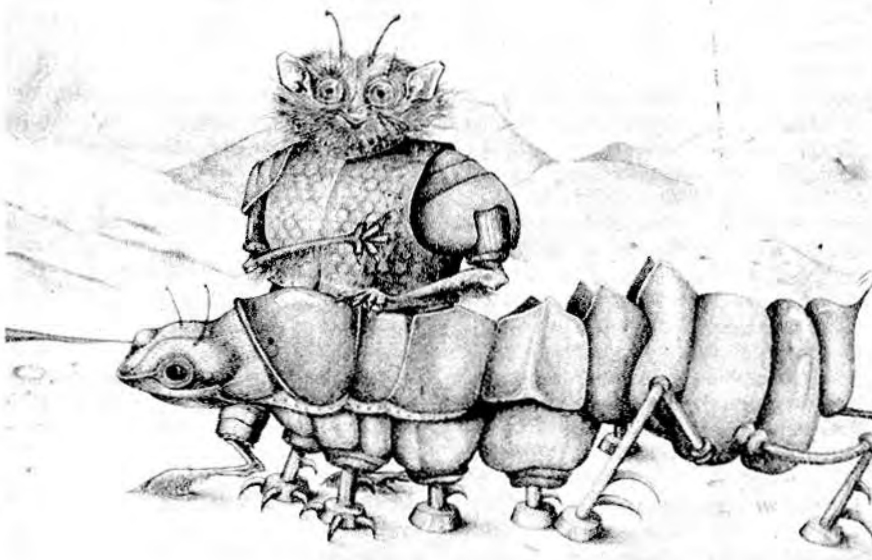
Oczywiście postaramy się przyjść z pomocą potrzebującym. To znaczy odwiedzać kluby, które nie będą mogły sobie absolutnie same dać rady. Ale przykład kielecki, przed chwilą podany, może służyć jako instrukcja i na pewno wzbudza szacunek i nadzieję, iż twórcy klubów SF, jeśli się tylko trochę rozejrzą baczniej wokół i energiczniej zakrzątną, mogą wyjść z impasu samotności i inicjacji – zorganizować sobie ciekawe i pożyteczne imprezy. Oczywiście można by pójść łatwiejszym, a w każdym razie już utartym szlakiem. To znaczy przystąpić do którejś z istniejących już, i ogarniających różnorodne obszary kraju organizacji fanowskiej. Podawaliśmy niedawno adresy. Najszerszy zakres ma Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, ze swą główną siedzibą w stolicy. I tam przede wszystkim winni szukać pomocy wszyscy ci fanowie, którym trudno o własne, dobrze przemyślane programy i schematy organizacyjne.

A swoją drogą przykład kielecki świadczy także i o kłopotach i trudnościach ruchu SF, myślę, że dotyczy to zresztą i innych dziedzin zainteresowań. Przede wszystkim młodzieży.

Istnieją wszędzie prawie kluby i klubiki miejskie, wiejskie, osiedlowe, różnych organizacji społecznych, prowadzące często działalność ubogą lub wręcz nędzną. Bywa nierzadko, że klubami dysponują tylko ci, którzy mają chody w zarządach spółdzielni mieszkaniowych, czy innych podobnych instytucji. Mało w takich klubach życia, bardzo mało, ale zarządy dbają, aby broń Boże nie udostępnić ich komuś, kto mógłby zakłócić spokój – czytaj – marazm ich egzystencji. Ludzie lubiący ruch, wykazujący chęć zrobienia czegoś, co mogłoby stać się ośrodkiem życia społecznego, tracą energię przede wszystkim na walkę z wiatrakami. A potem uważają, że nie warto, nie trzeba, nie ma po co.

A już gdy chodzi o SF, obawy tych, którzy mogliby pomóc bywają szczególnie silne. Obawy przed działaniami fanów, ale także i zawodowców. Dobrze to znamy z własnej redakcyjnej praktyki. Gdy to piszę, ciągle jeszcze borykamy się z typowymi dla stolicy trudnościami lokalowymi. Nie pomogły ogłoszenia w gazetach; pismo każdy kupuje, każdy je chce mieć, ale pomóc w znalezieniu miejsca, w którym można by je było w odpowiednich warunkach przygotować – na to już właściwie całkiem brakuje chętnych. Zresztą co tam będę pisał o nas. Nie tracimy, staramy się nie wytracać temperamentu, nie zamierzamy osłabić intensywności działania, pracy. Piszę to jedynie dlatego, żeby przeciwstawić się falom egoizmu, żeby ci, którzy lubią fantastykę, zawsze znajdowali chętnych do pomocy. Jakże charakterystyczna i pouczająca jest w tym względzie niby naiwna, niby dziecinna spielbergowska historia „E.T.”. Zielone ludziki nikomu nie zaszkodzą.

Redaktor



fenomen TOLKIENA

Krzysztof Sokołowski

W piękny, letni dzień 1930 roku profesor w Leeds mozolnie poprawiał prace egzaminacyjne. *„Jeden z kandydatów litościwie zostawił niezapisaną stronę (co jest największym szczęściem, jakie może zdarzyć się egzaminatorowi). Napisałem na niej: »W pewnej norce mieszkał sobie pewien hobbit«. Zawsze nazwy powodowały pojawienie się historii w nym umyśle. W końcu pomyślałem sobie, że dobrze byłoby odkryć, czym właściwie są hobbici. Taki właśnie był początek".*

Na początku była powieść dla dzieci. Gotowy maszynopis został przedstawiony firmie wydawniczej Allen and Unwin. Stanley Unwin, dyrektor wydawnictwa, wiedział, że najlepszymi sędziami tej literatury są właśnie dzieci. Spod pióra jego 10-letniego syna Raynera wyszła pierwsza pochlebna recenzja książki: *„Bilbo Baggins był hobbitem, który mieszkał w hobbickiej norce i nigdy nie wyruszał na przygody, w końcu czarodziej Gandalf i jego krasnoludki namówiły go do pójścia. Przeżywał bardzo ciekawe przygody walcząc z goblinami i wargami i w końcu dotarł do samotnej góry. Smok Smaug, który jej bronił jest zabity i po strasznej bitwie z goblinami Bilbo wraca do domu – bogaty! Książka z dodatkiem map nie wymaga ilustracji i jest dobra, i powinna podobać się dzieciom od lat 5 do 9 (!)".* Rayner zarobił szylinga, a „Hobbit" ukazał się w 1937 r. Książka cieszyła się tak wielkim powodzeniem, że zaczęto domagać się od Tolkiena kontynuacji. Na „Władcę Pierścieni" przyszło jednak czekać aż do przełomu lat 1954 i 1955. W dodatku nie była to całkiem ściśle „kontynuacja". Bilbo przestał być bohaterem książki. Na jego miejsce wysunął się tajemniczy Pierścień. Nie była to także książka dla dzieci. Wykorzystał w niej Tolkien fragmenty „Księgi Zaginionych Opowieści", którą zaczął pisać ok. 1917 r., a która później stała się „Silmarillionem". Tego dzieła, bez przesady „dzieła życia", nie ujrzał Tolkien w druku, ukazało się dopiero w 1977 r.; podobnie jak „Unfinished Tales" (1980) staraniem syna pisarza, Christophera, w jego redakcji i z jego przedmową. Wcześniej, już od 1973 r., publikowano kalendarze z rysunkami Tolkiena, zebranymi później w osobną książkę „Pictures by J.R.R. Tolkien", wydaną w 1979 r. Nie znając i nie biorąc pod uwagę tych wszystkich pozycji nie sposób pisać o Tolkienie, są one bowiem bardzo konsekwentnie ze sobą połączone i określają nawzajem swoje znaczenia.

Nie wnikając na razie w subtelności gatunkowej klasyfikacji można stwierdzić, że dość nieoczekiwanie stał się Tolkien ojcem duchowym całej gałęzi anglojęzycznej odmiany fantasy, skrzyżowanej z baśnią i utopią, mimo iż jego następcy zbuntowali się wkrótce przeciw hegemonii oksfordzkiego profesora. W żadnym innym sensie nie był on pierwszym. Mając ambicję tworzenia mitu (o czym za chwilę), a nie literatury,



The Mountain-path

dość niefrasobliwie odnosił się do subtelności teoretycznych. Tego właśnie jego naśladowcy nie mogli (lub po prostu nie umieli) zrobić. Pofolgowali sobie natomiast korzystając z tego, co u Tolkiena najbardziej widoczne. Dla George'a Lucasa był to konflikt Dobra ze Złem, jednowymiarowy i jednoznaczny, przecedzony w dodatku przez komiks. Cykl „Wojen gwiezdnych" doczekał się już 3 filmów i aż 7 książek. O ile filmy są znakomite, o tyle książki niemal en masse kiepskie. Inne problemy podejmują Frank Herbert (cykl „Dune", który jest już tetralogią, a ciągle się rozrasta) i Robert Silverberg („Majipoor Chronicles" i „Lord Valentine's Castle"). Herbert przoduje w klasyfikacji najlepiej opłacanych autorów SF, Silverberg depcze mu po piętach, ich honoraria kilkunastokrotnie przekraczają zyski Tolkiena. Obaj tworzą barwne, fikcyjne światy, obaj są niewątpliwie znakomitymi rzemieślnikami i... No właśnie. Brak ich książkom magii, obecnej u Tolkiena.

Krytyka początkowo nie była szczególnie przyjazna Śródziemiu. Miano mu za złe fikcyjność (co jest zarzutem absurdalnym, lecz zrozumiałym, jeśli weźmiemy pod uwagę znakomitą reputację Tolkiena-naukowca). Narzekano na niezmienność charakterów, na brak postaci tragicznych (nie znano wtedy jeszcze „Silmarilliona"), a nawet na to, że brak tam elementów seksu i że bohaterowie „Władcy Pierścieni" nigdy nie osiągnęli dojrzałości płciowej (!). W 1966 r. gazety donosiły ze zgrozą: *„W Yale trylogia sprzedaje się szybciej niż »Władca Much« Williama Goldinga w szczycie sukcesu. W Harwardzie przegoniła J.D. Salingera »Buszującego w zbożu«".* Krytyka dotyczyła przeważnie „Władcy Pierścieni", na „Hobbita" nie zwracano większej uwagi. Dopiero „Silmarillion" został całkowicie zaakceptowany. Poważny „The Guardian" zamieścił nawet recenzję z następującym zdaniem: *„Jak, pracując nieco dłużej niż pół wieku, jeden człowiek stał się twórczym odpowiednikiem ludzkości".* Zdanie to jest niewątpliwie nonsensowne, a jednak w jakiś sposób słuszne.

Krytyka polska, czego można było oczekiwać, nie wykazała większego zainteresowania Tolkienem mimo horrendalnych cen czarnorynkowych jego książek, które są najlepszym sprawdzianem czytelniczego sukcesu. Bardzo pochlebnie pisał o nim Piotr Kuncewicz („Samotni wobec historii", Warszawa 1967), stawiając angielskiego pisarza na równi z Kafką czy Camusem, a więc nader wysoko. Niestety, w momencie pojawienia się „Silmarilliona" i „Niedokończonych Opowieści" większość ocen Kuncewicza uległa zdezaktualizowaniu (np. stwierdzenie, że u Tolkiena nie ma religii). Andrzej Zgorzelski w niskonakładowych „Zagadnieniach Rodzajów Literackich" analizował układ czasów we „Władcy Pierścieni" rozumianym jako nowoczesną baśń. w „Przeglądzie Kulturalnym" i w „Więzi" pisał o nim Przemysław Mroczkowski. Również w „Więzi" (nr 10, 1982) piękne sprawozdanie z bardzo specyficznej lektury książki zamieścił Wiktor Woroszylski. Nie wzbudził większych zastrzeżeń przekład „Hobbita" i „Władcy Pierścieni" mimo licznych niekonsekwencji i kilku nadużyć. Nawet kilkakrotne zapowiedzi „Silmarilliona", który jakoś nie może dotrzeć do księgarń nie wywołały żywego zainteresowania. W rezultacie czytelnicy nie znają pisarza, wiedzą o nim bardzo niewiele. Sytuacja paradoksalna, bowiem na Zachodzie Tolkien jest już bohaterem poważnych prac naukowych, ukazują się w wielkich nakładach książki wspaniale ułatwiające poruszanie się wśród jego dzieł, np. „The Complete Guide to the Middle-Earth" Roberta Fostera czy „Yourneys of Frodo" – atlas map do „Władcy Pieścieni", autorstwa Barbary Strachey.

Czytelnicy – ci nigdy Tolkiena nie zawiedli. Rozchwytują książki pisarza, a kiedy nie mogą ich dostać w księgarniach, kupują je po cenie 10-krotnie wyższej. Formują stowarzyszenia tolkienowskie, których członkowie nie tylko przebierają się w stroje hobbitów, zakładają peruczki na stopy i jedzą grzyby, ale też potrafią przeciwdziałać pirackim wydaniom książek, usuwając je z księgarń nawet siłą (jak było z amerykańską edycją Ace Books). Niektóre reakcje czytelników są wszakże zdumiewające i one właśnie świadczą o istnieniu „fenomenu Tolkiena". Już w 1956 r., w liście do syna pisarz stwierdzał melancholijnie: *„Muzycy chcą nut i notacji muzycznych, archeologowie ceramiki i metalurgii, botanicy dokładniejszych opisów mallorn, elanor, niphredil, alfirin, mallos i symbelmynë, historycy szczegółów dotyczących społecznej i politycznej stuktury Gondoru, a szeroka publiczność więcej informacji o Woźnikach,*

J.R.R. Tolkien

Haradzie, pochodzeniu Krasnoludków, Ludziach Umarłych, Beorningach i zaginionych dwóch (z pięciu) czarodziejach". W 1968 r. w studenckich campusach pojawiają się transparenty „Frodo żyje", „Gandalf prezydentem", „Wróćmy do Śródziemia". Przykłady to wielce charakterystyczne. Wykreowany przez Tolkiena świat zawłaszcza nas, potrafimy się w nim odnaleźć, mimo przedziwnych, rządzących nim zasad rozumiemy go od razu, od pierwszego spotkania. I wracamy do niego, przy każdej nowej lekturze odkrywamy go na nowo.

II Poświęcono Tolkienowi wiele różnych prac, ale nikt nie próbował rozszyfrować mechanizmów wspólnoty, jaka powstaje pomiędzy autorem i jego czytelnikiem. Spróbuję udowodnić, że w tej relacji zamyka się fenomen Tolkiena, twórcy nie tylko pięciu książek o Śródziemiu, lecz niepowtarzalnej, mitologicznej wizji Świata.

W tym zdaniu nie ma przesady. Pośrednio potwierdził je sam pisarz, mówiąc, że chce stworzyć „nie istniejącą mitologię Anglii" na wzór mitologii greckiej czy też skandynawskiej (język elfów Quenya jest wzorowany na języku fińskim). Do podobnych wystąpień wolno odnosić się nieufnie. Najbliższe prawdy byłoby chyba stwierdzenie: „chcę stworzyć coś nowego, co nie byłoby kłamstwem, czyli fikcję". W ten sposób powstał mit. Mit – projekcja ludzkich marzeń, którego korzenie tkwią głęboko w wyobraźni łączącej człowieka z Kosmosem – harmonią żywiołów.

Z analiz Gastona Bachelarda wiemy, że każde marzenie podejmuje motywy pierwotne. Twórczość pisarska Tolkiena ujawnia marzenia, które dzięki swej podstawowej konstrukcji opartej na obrazach związanych z czterema żywiołami jest tożsame z marzeniem wszystkich ludzi. Stąd nasza łatwość w odbiorze świata jego książek.

Wszechświat Tolkiena powstaje inaczej, niż dzieje się to w większości mitów. Nie rodzi się z chaosu, jest od razu Kosmosem, Ładem. Zostaje stworzony z muzyki i jest widzialnym obrazem jej harmonii. Dopiero narodziny zła zagrażają jego porządkowi. Stąd żywiołem najważniejszym staje się powietrze, które w pierwotnym Chaosie miało w sobie zapowiedź przyszłego Ładu.

Zapewne żarliwy katolicyzm Tolkiena spowodował, że kreacja Wszechświata jest u niego uderzająco podobna do biblijnej. Świat jest dziełem wszechmocnego Boga, noszącego imię Eru (lub Ilúvatar). Rodzi się z tworzonej przez niego (wraz z Ainur – pomniejszymi duchami) muzyki, która zyskuje formę widzialną w wizji, a następnie staje się dzięki wypowiedzianemu słowu Eä (forma imperatywna od „być"). Część duchów Ainur, zachwycona pięknem wizji dobrowolnie udaje się w ten świat. Przeobrażają się one w postacie duchów opiekuńczych (Valar), których zadaniem jest strzec ziemi i kształtować ją dla Dzieci Ilúvatar – elfów i ludzi, bezpośrednio Valarom nie podlegających. Najpotężniejszy spośród Valarów – Melkor, próbując tworzyć samodzielnie, niezależnie od myśli Eru, stwarza zło, które jest siłą niszczenia, zagrażającym światu Chaosem. Wypowiada wojnę Valarom, a zwłaszcza ich przywódcy – Manwë zwanemu Súlimo, „Władca Oddechu Ziemi".

Manwë to rzeczywisty władca powietrza. Jego tron był umieszczony na lądzie Aman, w krainie Valinor na szczycie największej góry tej krainy – Taniquetil. Stamtąd mógł on obserwować cały świat. Mimo że Manwë był „bratem" Melkora, nie potrafił zrozumieć istoty zła. Przesądził tym samym losy Ziemi, kiedy po pierwszej bitwie Melkor-Morgoth został uwięziony. Manwë uwolnił go, wierząc w jego skruchę. Melkor kilkakrotnie jeszcze niszczył ziemię, zniekształcając dzieło Valarów, które nigdy już nie stało się zgodne z wizją daną przez Eru, i zaszczepiając zło w sercach elfów i ludzi.

Powietrze to żywioł, w którym element d o b r a zdecydowanie przeważa nad elementem z ł a. Zaludniają je skrzydlate istoty. Duchy, przybierające formę orłów i sokołów przynoszą Manwë wieści na szczyt Taniquetil. Powietrze jest światem orłów, istot, które nigdy nie dały się przeciągnąć na stronę zła.

Wodzem orłów w Pierwszej Erze był Thorondor, który za swe heroiczne czyny otrzymał przywilej nieśmiertelności i z końcem Ery, śladem elfów odszedł do Valinoru. Thorondor wraz ze swymi współplemieńcami strzegł królestwa elfów, Gondolinu. W bezpośrednim spotkaniu naznaczył twarz Melkora bliznami, sprawiającymi nieustanny ból i szpecącymi groźne oblicze Władcy Ciemności. Ocalić Berena i Luthien uciekających z twierdzy Czarnego Władcy, z Angbadu. W czasie Wielkiej Bitwy kończącej Pierwszą Erę Świata prowadził do walki przeciw skrzydlatym smokom oddziały orłów, których rola w walce (jak to zdarzało się i później) była decydująca. W czasie tej bitwy Melkor został pokonany, ujęty w podziemiach Angbadu i zesłany w Bezczasową Otchłań. Jego rolę przejął wierny sługa, Sauron, będący jednak tylko cieniem potęgi swego Pana.

Także podczas walki z Sauronem orły odegrały decydującą rolę. Ich wodzem był wówczas Gwaihir, Władca Wichrów. On właśnie uratował Gandalfa, Bilba i krasnoludy Thorina z łap orków i przesądził wynik Bitwy Pięciu Armii. W czasie Wojny o Pierścień trzykrotnie wspomagał Gandalfa: uwalniając go z Isengardu, unosząc ze szczytu Zirak-Zigil po walce z Balrogiem i wreszcie ratując Froda i Sama przed śmiercią na zboczach Orodruiny, już po zniszczeniu Pierścienia Władzy.

Kwestia Pierścieni zasługuje na szczególną uwagę. Cztery z nich działają samodzielnie, przy czym istnienie dzieł Trzech Pierścieni Elfów (jedynych posiadających moc tworzenia i leczenia, a nie władzy i niszczenia) jest zależne od istnienia Pierścienia Jedynego. Najpotężniejszy z Pierścieni – Vilya – Pierścień Powietrza – jest własnością Elronda, który otrzymał go od Gil-galada. Dzięki działaniu Vilyi mógł Elrond nie tylko utrzymać w porządku królestwo Rivendell, ale także (do pewnego stopnia) przenikać myśl Saurona i – jako najmędrszy – służyć Gandalfowi radami, które doprowadziły wprawdzie do klęski sługi Morgotha, lecz spowodowały także zniknięcie dzieł Elfów.

Powietrze jest też zaludnione przez stwory złe, ale są one intruzami, wdzierającymi się w cudze państwo. Stworami tymi są przede wszystkim Nazgûle na swych skrzydlatych wierzchowcach. Wyraźnie widać, jak dalece są one obce powietrzu. Ich ruch zawsze ukierunkowany jest w dół, upiory Pierścienia zawsze spadają. Określenie „Nazgûle wzniosły się" jest w istocie równoważne powiedzeniu „zniknęły", „przestały działać". Ich ostatni lot jest także upadkiem – w ognie Orodruiny, w głąb ziemi, z której wyszły. Nazgûle niosą ze sobą chaos i zniszczenie i w tym najbardziej przeciwstawne są orłom, przywracającym ład, czego dowodem powtarzający się w Trzeciej Erze okrzyk „orły, orły nadlatują", po którym przychodzi czas budowania.

III W o d a jest żywiołem rodzącym, oczyszczającym. Valarem rządzącym wodą jest Ulmo, drugi w hierarchii po Manwë. Przyjaciel ludzi i elfów, silny w boju i mądry w radzie, rzadko udaje się na ląd. Pozostaje najwierniejszy Ilúvatarowi: muzyka tworząca (utracona przez obecność zła) harmonię świata przetrwała jedynie w jego królestwie, w szmerze strumieni, w głosie fal uderzających o brzeg morza. Mimo swej gwałtowności Ulmo potrafi przebaczać. Jeden z jego pomocników spośród tzw. Maiar (podległych Valarom) – Ossë, zdradził go niegdyś i został sługą Melkora. Ukorzył się jednak i powrócił na służbę Ulmo, uzyskał przebaczenie i rządy nad wszystkimi wodami płynącymi wśród lądów. Ulmo i Ossë porozumiewali się z elfami dźwiękiem wód, a ponieważ ludzie stracili zdolność pojmowania tego języka, Ulmo czasami pojawiał się im bezpośrednio, ingerując w ziemskie zdarzenia i zapobiegając rozprzestrzenianiu się zła. Nenya – drugi pod względem potęgi z trzech Pierścieni Elfów – był Pierścieniem Wody. Nosiła go Galadriela, a poznajemy go w jednej z najpiękniejszych scen „Władcy Pierścieni", gdy Królowa Elfów odrzuca dar Froda i nie przyjmuje dobrowolnie ofiarowanego jej Pierścienia Władzy.

Moment, w którym Galadriela pozwala Samowi i Frodowi odczytać przyszłość ze swego Zwierciadła, zwraca uwagę na współzależność żywiołów wody i powietrza, które wspólnie oznaczają nieśmiertelność. Bardzo wyraźnie jest to widoczne w historii Eärendila-Żeglarza, jednej z najwcześniej napisanych opowieści „Silmarilliona".

Eärendil był półelfem, jego udziałem był jednak los śmiertelnych ludzi. Przyjaciel Cirdana – Budowniczego Okrętów (w polskim tłumaczeniu z niewiadomych przyczyn przechrzczonego na Kirdana) wcześniej okazał się znakomitym żeglarzem. Podróżując na statku Vingilot szukał zaginionych rodziców i drogi do Valinoru, skrytej przed śmiertelnymi. Jego żoną była Elwinga, wnuczka Berena i Luthien, posiadaczka Silmarila. Podczas walk między elfami zdołał dzięki pomocy klejnotu dopłynąć do Valinoru i tam błagał o pomoc Valarów w zakończeniu okrutnej wojny o Silmarile. Pomoc tę otrzymał, wojna skończyła się uwięzieniem Melkora, a sam Eärendil, jedyny śmiertelnik, który znalazł drogę do kraju bogów, został przez nich wysłany na ocean niebios. Żegluje tam, niosąc ze sobą Silmaril, którego blask dodaje siły pozostałym w Śródziemiu podejmującym się walki ze złem. Jego dzieciom – Elrondowi i Elrosowi kazano wybierać między losami ludzi i elfów. Elrond wybrał naród elfów i osiadł w Rivendell, Elros naród ludzi i stał się pierwszym królem Númenoru.

Woda jest także żywiołem przemiany. A przemiana, odnowienie staje się prefiguracją ś m i e r c i. Jedna z wielu drobnych niekonsekwencji Tolkiena, a może po prostu intuicyjne poddanie się prawom wyobraźni: elfom przysługuje przywilej wiecznej młodości czy też, powiedzmy dokładniej – bezczasowości. Tylko jeden z nich wydaje się podległy wpływom czasu. Jest stary, ma siwe włosy i długą, również siwą brodę. To Cirdan, przewoźnik do Valinoru, zapewniający elfom nieustanną łączność z krainą bogów. Jakże łatwo rozpoznać w nim Charona.

IV O g i e ń jest jedynym żywiołem, w którym dobro i zło może łączyć się w harmonijną całość. Nie ma swojego władcy pośród Valarów, chociaż pewne cechy rządzącego ogniem nosi Aule – trzeci co do potęgi po Manwë i Ulmo. W dziele Tolkiena bardzo wyraźnie można zaobserwować współistnienie żywiołów ognia i ziemi, choćby przez powtarzający się motyw ognistej góry. Aüle jest jednocześ-

nie Kowalem (taki nosi przydomek) i twórcą krasnoludków, których wyciosał ze skały (do tego motywu, także wyraźnie autochtonicznego, jeszcze wrócimy). Trzeci, obok Vilyi i Nenyi Pierścień Elfów – Narya był Pierścieniem Ognia. Własność Cirdana (którego rola w dziejach Śródziemia była znacznie ważniejsza niż wynika to z ukończonych przez Tolkiena książek) został przez niego ofiarowany Gandalfowi jako pomoc w walce z Sauronem. Siła Naryi przyczyniła się do zwycięstwa Gandalfa – Płomienia Anoru (słowo to nigdzie nie zostało przez pisarza wyjaśnione, przypuszczać jednak wolno, że oznacza po prostu Słońce) nad Balrogiem, Płomieniem Udûnu, Czarnym Ogniem palącym, lecz nie oświetlającym. W jedności dobra i zła właściwej żywiołowi ognia została umieszczona przez Tolkiena opozycja *Światła* i *Ciemności*. Jedność dobra i zła wynika z podwójnej roli ognia, który jednocześnie oświetla, ogrzewa i – pali. Ciemność właściwa Złu (nadane przez elfy Melkorowi imię Morgoth oznacza właśnie Władcę Ciemności), zachowuje wyłącznie zdolność niszczycielską oderwaną od życiodajnych funkcji płomienia.

V

Ziemia jest jednocześnie matką-żywicielką i siłą śmierci. Pierwiastek zła nie może być w tym żywiole tak silnie zespolony z dobrem, jak w przypadku ognia. Sama Ziemia bowiem jest życiodajna, należy do niej jednak sfera Hadesu, sfera śmierci, w której rodzą się niszczycielskie płomienie. W podziemnym płomieniu powstaje i ginie Pierścień Władzy. Z podziemi wychodzą niszczycielskie potwory, wypełniają swe złowrogie dzieło i w podziemiu znikają.

Podobnie jak ogień, ziemia nie ma swego boga, swego Valara. W pewnym stopniu rolę tę pełni Aüle jako mistrz rzemiosł. Swoje boginie mają tylko światło (żeńskim odpowiednikiem Valar są Valier, światłem opiekuje się towarzyszka Manwë – Varda) i wszystko co rośnie i rozkwita (opiekunką roślin i zwierząt jest towarzyszka Aüle – Yawanna). Ziemia jest *twórcza*. Motyw autochtonii w dziejach Śródziemia w mitologii Tolkiena jest bardzo widoczny. Przede wszystkim z ziemi, ze skały stworzył Aule krasnoludy, niejako przeciw woli Ilúvatar, który jako Bóg Jedyny miał przywilej kreacji. Ilúvatar pobłogosławił mimo wszystko to dzieło, bowiem poczęło się bez złej myśli. Długowieczne, silne krasnoludy były uczniami Aüle i (obok elfów z plemienia Noldorów) najwybitniejszymi rzemieślnikami Śródziemia.

Pozorną zagadką jest pochodzenie hobbitów i temu plemieniu, którego stworzenie związało w całość wszystkie książki Tolkiena, wypada poświęcić więcej uwagi. Kilkakrotnie wspomniane ich pokrewieństwo z ludźmi jest mylące, nie tyle może z powodu różnic anatomicznych, co charakterologicznych. Hobbici obcy byli ludziom znacznie bardziej niż elfy, w najlepszym przypadku (jak to się działo w Bree) oba plemiona po prostu nie wchodziły sobie w drogę. Hobbici są plemieniem tajemniczym, pozbawionym historii, a przecież tak istotnym, potrzebnym w kluczowym dla dziejów świata momencie Trzeciej Ery – Wojnie o Pierścień. Ich pozbawione brawury męstwo jest niezwykłe. Zdumiewająca jest ich odporność na działania Pierścieni – Gollum był jego właścicielem przez około 550 lat, a przecież dobro (jakkolwiek utajone) jest w nim stale obecne! A przypomnijmy sobie, że nawet tak silny i szlachetny człowiek, jak Boromir uległ pokusie zdobycia Pierścienia przemocą niemal od razu, że potężna królowa elfów, Galadriela musiała stoczyć ciężką walkę, by nie przyjąć Pierścienia od Froda. Równie dziwne jest i to, że Frodo zdobył się na ofiarowanie go, a wcześniej jeszcze – tym razem nawet ku zdumieniu Gandalfa – niemal dobrowolnie z posiadania klejnotu zrezygnował Bilbo. Trop najwyraźniejszy: hobbici mieszkają w norkach, w dziurach w ziemi. Pokrewieństwo między wykutym w głębi ziemi Pierścieniem i ludem hobbitów jest najgłębsze z możliwych, hobbici bowiem narodzili się z ziemi. Każde wyjście hobbita z jego podziemnego domu jest narodzinami i jednocześnie przejściem z Ładu w Chaos. Ład może być odzyskany tylko przez powrót do domu. „Zabawa" niespodziewana i „zabawa" z dawna oczekiwana są tym samym – początkiem porządkowania świata, które może mieć tylko jedno zakończenie: *„Wieczerza była gotowa, tak jak się spodziewał. Różyczka wciągnęła go do domu, usadowiła w fotelu i posadziła mu na kolanach małą Elanor. Sam odetchnął głęboko.*

– Ano, wróciłem! – powiedział".

I tak kończą się przygody.

Ziemia jest źródłem siły. Z niej czerpie potęgę Merry, czołgając się „jak robak" przed zadaniem decydującego ciosu Wodzowi Nazgulów. Podziemia są siedzibą zła, siedzibą naruszoną przez zbyt głęboko drążące ziemię krasnoludy. Żyją tam potwory starsze niż Sauron. Tam znajdowały się twierdze Melkora: Angbad i Utumno. Tam żyją jego najpotężniejsze sługi, Balrogowie. W głąb ziemi najchętniej kryją się orkowie, wyhodowani przez Morgotha z elfów wziętych do niewoli w Pierwszej Erze.

Problem „Dzieci Ilúvatara": elfów (Pierworodnych) i ludzi (Następców) – wymaga w tym momencie rozważenia. Oba plemiona, jakkolwiek słabsze od Valarów, są od nich całkowicie niezależne. Więcej – Valarowie jako opiekunowie ziemi sprawiają momentami wrażenie sług ludów, których los zna tylko ich stwórca, wszechmocny Ilúvatar.

Dzieje elfów zostały zdeterminowane w Pierwszej Erze powstaniem Silmarili, trzech kryształów, przechowujących w swym wnętrzu światło Dwóch Drzew oświetlających świat przed powstaniem Słońca i Księżyca. Silmarile były dziełem najpotężniejszego i najdumniejszego spośród elfów, Feanora. Gdy Melkor zniszczył drzewa Valinoru, Fëanor odmówił prośbie Valarów o ofiarowanie Silmarili, których potęga mogła je ożywić. Wkrótce same Silmarile zostały ukradzione przez Morgotha i prowadzone przez Fëanora elfy opuściły Valinor, przeszły do Śródziemia ścigając swego przeciwnika i próbując wydać mu beznadziejną wojnę. Wybuchły bratobójcze walki niszczące elfów, ludzi i Śródziemie, przerwane dopiero interwencją Valarów, których błagał o pomoc Eärendil. Jeden spośród Silmarili odebrali Melkorowi Beren i Luthien, dwa pozostałe zdobyli synowie Fëanora, lecz nie byli ich godni. Silmarile popaliły ich dłonie tak, jak przedtem spaliły dłoń Melkora i zostały rzucone – jeden w otchłań ziemi, drugi w morze. Trzeci, niesiony przez Eärendila, znalazł się na niebie.

Silmarile były klejnotami i jednocześnie niosącymi światło kryształami. Zaś w substancji kryształu najpełniej jednoczą się żywioły wody, ognia, nawet powietrza. Elfy, najpiękniejsze z plemion, obdarzone przywilejem nieśmiertelności, żyły w najpełniejszej harmonii ze światem. Wyraża się to także w ich podziale plemiennym: najdostojniejsi, Vanyar, żyli w Valimarze w pobliżu Manwë, Teleri byli żeglarzami, zaś Noldor, ulubieńcy Aüle – znakomitymi rzemieślnikami.

Nieśmiertelność zakłada jednak niezmienność. Elfy kochały świat, ale obecność zła powodowała, że świat się zmieniał. Zwycięstwo dobra nie było ostateczne, zło pozostawiło ślad. Musiały odejść.

Śmiertelność – dar Eru dla Ludzi – oznacza zdolność zmiany, przystosowania, a następnie panowania nad światem. Ludzie jako jedyni otrzymali przywilej kształtowania swego losu poza nieuniknionym dla innych istot przeznaczeniem. Przez fakt swej śmiertelności byli jednak znacznie bardziej podlegli działaniu zła. Wypowiedziana Valarom przez mieszkańców Numenoru wojna była właśnie wojną o nieśmiertelność. Przewrotny happy end Tolkiena: przy końcu świata nawet zło przyczyni się do chwały Ilúvatara. Świat musi być dobry.

VI

Zaproponowany przeze mnie sposób interpretacji z pewnością nie jest jedyny. Pozwala jednak na udzielenie odpowiedzi na postawione pytanie – przez stwierdzenie, że Tolkien myśli w sposób identyczny jak my, odwołując się do podstawy marzeń, jaką są obrazy ewokowane przez żywioły. Propozycja ta niekoniecznie musi być słuszna – śledziłem obecność mitu pozostawiając na boku sposób jego realizacji, czyli kwestie stricte literackie. Na tolkienologów czeka jeszcze wiele interesujących zagadnień, choćby zaznaczona przez Piotra Kuncewicza sprawa językowej organizacji świata przedstawionego. Istnieje całe mnóstwo nie rozwiązanych problemów z zakresu socjologii odbioru, na które nie starczyło już miejsca. A także bardzo ciekawy sposób przetwarzania biografii – czy Tolkien chciał tego czy nie – zależności te są widoczne. Inwencja jego zdumiewa bowiem nie w sferze szczegółów, lecz syntezy. Sięgał zawsze po to, co najbliższe i tworzył z tego harmonijną całość. Swym dziełem zbudował sobie pomnik w sensie niemal dosłownym: w skromnej katolickiej części cmentarza oksfordzkiego na jednym z nagrobków widnieje napis: Edith Mary Tolkien, Luthien, 1889–1971, John Ronald Reuel Tolkien, Beren, 1892–1973. Zaś amerykańscy wielbiciele żegnali pisarza lekturą jego opowiadania „Leaf by Niggle" (Liść, dzieło Niggle'a):

„Przed nim stało Drzewo, jego Drzewo. Ukończone. Jeśli możecie nazwać tak Drzewo, które żyje, którego liście rozwijają się, a gałęzie rosną i kołyszą się na wietrze, który Niggle tak często czuł, którego tak często się domyślał, który tak często i bezskutecznie próbował malować. Spojrzał na Drzewo, wolno podniósł ręce i rozłożył je szeroko.

– Oto dar – powiedział".

Krzysztof Sokołowski

John Ronald Reuel TOLKIEN

urodził się 3 stycznia 1892 r. w Bloemfontein (obecnie Republika Południowej Afryki), zmarł 2 września 1973 r. w Bournemouth w Anglii, dokąd przeniósł się wraz z matką i młodszym bratem już w 1895 r., krótko przed śmiercią ojca. Od 1910 r. studiował na uniwersytecie oksfordzkim. Studia ukończył z odznaczeniem w 1915 r. W marcu 1916 r. ożenił się z Edith Mary Bratt. Brał udział w I wojnie światowej jako oficer łącznikowy 13 Batalionu Strzelców z Lancashire, m.in. w bitwie nad Sommą. Znakomity językoznawca, profesor uniwersytetów w Leeds i Oxford, edytor arcydzieł literatury staroangielskiej i świetny wykładowca, J.R.R. Tolkien jest znany przede wszystkim jako pisarz. Szczególną sławę przyniosły mu książki o Śródziemiu. Prace nad dziejami tej krainy rozpoczął w 1917 r. zaczynając pisać „The Book of Lost Tales", która po wielokrotnych przeróbkach stała się podstawą jego arcydzieła „The Silmarillion" (przekład polski ma ukazać się lada dzień). Na cykl poświęcony Śródziemiu składają się: **„The Hobbit, or There and Back Again"** (1937, w jęz. pol. „Hobbit, czyli tam i z powrotem" 1960), **„The Lord of the Rings"** (1954–55, w jęz. pol. „Władca Pierścieni" 1961, wyd. II – 1981), **„The Silmarillion** (1977), **„Unfinished Tales"** (1980). Dwie ostatnie pozycje przygotował do druku syn pisarza, Christopher. Wymyślonej przez siebie krainie poświęcił pisarz nie tylko talent epicki, lecz także poetycki (**„The Adventures of Tom Bombadil"**, 1961) i plastyczny (**„The Pictures by J.R.R.Tolkien"**, 1979, także przygotowane do druku przez Christophera Tolkiena). Jest też Tolkien autorem esejów, opowiadań, baśni i znakomitych książek dla dzieci. W Polsce w 1980 r. ukazały się jego baśnie **„Rudy Dżil i jego pies. Kowal z Podlesia Większego"**.

(K.Sok.)

John Ronald Reuel Tolkien

Liść, dzieło Niggle'a

(Leaf by Niggle)

Żył sobie kiedyś człowieczek nazywany Niggle, którego czekała długa podróż. Nie chciał wyjeżdżać, tak naprawdę pomysł ten wcale mu się nie podobał, podróż jednak była konieczna. Wiedział, że kiedyś trzeba ją będzie rozpocząć, ale nie śpieszył się z przygotowaniami.

Niggle był malarzem. Niezbyt co prawda znanym, co wynikało także i z tego, że zawsze miał wiele rzeczy do zrobienia. Nie przepadał za nimi, ale robił je całkiem dobrze, kiedy nie mógł się od nich uwolnić, co (jego zdaniem) zdarzało się aż nazbyt często. W jego ojczyźnie obowiązywały raczej surowe prawa. Były także i inne przeszkody. Na przykład Niggle bywał czasami po prostu leniwy i nie robił w ogóle nic. Był także – na swój sposób – dobry. Znacie ten rodzaj dobroci, który sprawia przykrość o wiele częściej niż popycha do jakiegokolwiek czynu. A kiedy wreszcie Niggle zaczynał coś robić, bynajmniej nie powstrzymywało go to od narzekania, przeklinania (głównie do siebie) i tracenia cierpliwości. Ale pomimo to pomagał często swemu sąsiadowi, panu Parishowi, który był kulawy. Czasami pomagał także ludziom mieszkającym dalej, jeśli przyszli i poprosili go o to. Od czasu do czasu przypominał sobie także o podróży i zaczynał pakować różne rzeczy w bardzo nieskuteczny sposób. Wtedy nie malował zbyt wiele.

Miał gotową pewną liczbę płocien. W większości były one zbyt wielkie i zbyt ambitne jak na jego możliwości. Niggle należał do tych malarzy, którzy malują liście lepiej od drzew. Spędzał zwykle wiele czasu nad pojedynczym liściem, próbując uchwycić jego kształt, połysk, blask kropli wody na jego krawędzi. Lecz chciał namalować całe drzewo i wszystkie jego liście – tak podobne, a przecież tak różne.

Jeden obraz szczególnie go niepokoił. Rozpoczął się od liścia kołysanego wiatrem, liść przemienił się w drzewo, drzewo rosło, rozpościerając niezliczone gałęzie i wypuszczając fantastyczne korzenie. Pojawiały się dziwne ptaki, wiły wśród gałęzi gniazda – i nimi też trzeba było się zająć. Później, wokół drzewa i poza nim, widoczny przez szczeliny wśród liści i gałęzi, rozpostarł się kraj, widać było cień maszerującego lasu i błysk przykrytych śniegiem górskich szczytów. Niggle stracił zainteresowanie innymi obrazami lub przystawiał je i przybijał do krawędzi wielkiego płótna. Szybko stało się ono tak ogromne, że musiał używać drabiny, po której biegał w górę i w dół, tu zrywając skrawek płótna, tam kładąc smugę farby. Gdy ktoś przychodził do niego z prośbą, wydawał się całkiem uprzejmy, choć czasem bawił się leżącymi na stole ołówkami. Nieuważnie słuchał tego, co do niego mówiono. Cały czas myślał o wielkim płótnie, stojącym w wysokiej szopie, którą specjalnie w tym celu zbudował w ogrodzie (w tej części, gdzie niegdyś uprawiał ziemniaki).

Lecz nie mógł jakoś pozbyć się życzliwości. „Chciałbym mieć nieco silniejszą wolę" – mawiał czasem sam do siebie, mając na myśli to, że chciałby, aby kłopoty innych ludzi nie sprawiały mu przykrości. Jednak przez długi czas nikt mu tak naprawdę nie przeszkadzał. „W każdym razie powinienem skończyć ten obraz, mój prawdziwy obraz, nim będę musiał wyruszyć w tę przeklętą podróż" – mawiał. Zaczynał bowiem dostrzegać, że podróży nie można odkładać w nieskończoność. Obraz powinien już przestać rosnąć, a praca nad nim powinna zacząć zbliżać się do końca.

Pewnego dnia Niggle stał przed obrazem i przyglądał mu się niezwykle uważnie i bezstronnie. Nie potrafił uświadomić sobie co ma o nim myśleć i żałował, że nie ma przyjaciela, który mógłby mu to powiedzieć. W tej chwili jego dzieło wydawało mu się całkowicie niezadowalające, a jednocześnie bardzo piękne; jakby było jedynym naprawdę pięknym obrazem na świecie. Tak bardzo pragnął zobaczyć naraz samego siebie, wchodzącego do pracowni, poczuć klepnięcie po ramieniu, usłyszeć słowa (wypowiedziane z oczywistą szczerością): „Absolutnie wspaniałe! Wyraźnie widzę, o co ci chodzi. Tylko tak dalej – i nie martw się niczym. Dostaniesz stypendium i będziesz miał wszystko, czego potrzebujesz".

Ale stypendium nie było. Natomiast jedną rzecz widział Niggle jasno: dokończenie obrazu będzie wymagało skupienia i pracy, ciężkiej, nieprzerwanej pracy – nawet przy jego obecnych rozmiarach. Zakasał rękawy i zaczął się skupiać. Przez wiele dni próbował nie martwić się niczym. Lecz przeszkód zrodziło się niespodziewanie wiele. Zaczęły się awarie w domu, musiał zasiąść w jury w miasteczku, przyjaciel z daleka zachorował, pana Parisha powaliło lumbago, ciągle przychodzili goście. Była wiosna, chcieli wypić herbatę na wsi – Niggle mieszkał w ładnym, niewielkim domu wiele mil od miasta. Przeklinał ich w głębi serca, lecz nie mógł zaprzeczyć, że zaprosił ich sam dawno temu, w zimie kiedy odwiedzanie sklepów i nawiązywanie znajomości przy herbacie jeszcze nie było „przeszkodą". Próbował stać się twardszy – bez skutku. Na wiele życzeń nie miał odwagi odpowiedzieć „nie", czy traktował je jako obowiązki czy nie traktował, wiele rzeczy musiał zrobić, cokolwiek o nich myślał. Niektórzy goście napomykali, że ogród jest raczej zaniedbany, co może spowodować wizytę inspektora. Oczywiście tylko niewielu wiedziało o obrazie, lecz gdyby nawet wiedzieli wszyscy, nie stanowiłoby to wielkiej różnicy. Wątpię czy sądziliby, że ma to jakiekolwiek znaczenie. Ośmielę się twierdzić, że nie był to naprawdę dobry obraz, choć może miał dobre fragmenty. Drzewo, w każdym razie, było dziwaczne. Całkiem unikalne na swój sposób. Tak jak sam Niggle, choć był on także zwykłym, głupim ludzikiem.

W końcu czas Niggle'a zaczął być naprawdę cenny. Znajomi z miasteczka przypomnieli sobie, że mały człowieczek ma odbyć kłopotliwą podróż i niektórzy zaczęli się zastanawiać, kiedy ją wreszcie rozpocznie. Zastanawiali się też, kto otrzyma dom i czy ogród będzie lepiej utrzymany.

Przyszła jesień, wietrzna i deszczowa. Mały malarz pracował w szopie. Stał na drabinie, usiłując uchwycić blask zachodzącego słońca na ośnieżonych szczytach gór, które błyszczały na lewo od koniuszków liści rosnących na jednej z gałęzi drzewa. Wiedział, że będzie musiał wyruszyć wkrótce, może w początkach przyszłego roku. Powinien już kończyć obraz, a przecież były fragmenty, gdzie do tej pory miał czas jedynie naszkicować część tego, o co mu chodziło.

Usłyszał pukanie do drzwi. – Proszę – powiedział ostro i zszedł z drabiny. Stał na podłodze machając pędzlem. Przyszedł jego sąsiad, Parish, jego jedyny prawdziwy sąsiad; wszyscy inni mieszkali daleko. Mimo to Niggle niezbyt lubił tego człowieka. Częściowo dlatego, że ciągle był on w kłopotach i potrzebował pomocy, jak i dlatego, że nie obchodziło go malarstwo, za to był bardzo krytyczny, gdy chodziło o ogrodnictwo. Kiedy Parish patrzył na ogródek Niggle'a (co zdarzało się często), zauważał głównie chwasty, a kiedy patrzył na jego obrazy (co zdarzało się rzadko), widział tylko zielone i szare pasma i czarne linie, które wydawały mu się bezsensowne. Nie powstrzymywał się od napomknięć o chwastach (sąsiedzki obowiązek), lecz unikał wydawania opinii o obrazach. Uważał to za bardzo uprzejme i nie zdawał sobie sprawy, że nawet jeżeli był uprzejmy, to na pewno niewystarczająco. Pomoc przy chwastach (i być może pochwała obrazów) z pewnością byłyby lepsze.

– No więc, Parish, o co chodzi? – zapytał Niggle.

– Nie powinienem ci przeszkadzać, wiem – odpowiedział Parish (nie patrząc na obraz). – Jestem pewien, że jesteś bardzo zajęty.

Niggle zamierzał powiedzieć coś takiego sam, ale nie wykorzystał szansy. Powiedział tylko: „Tak".

– Ale nie mam do kogo się zwrócić – powiedział Parish.

– Rzeczywiście – zgodził się Niggle i westchnął. Było to jedno z tych westchnień, które są całkiem niesłyszalnym, prywatnym komentarzem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Żona od kilku dni choruje i zaczynam się niepokoić. I wiatr zerwał połowę dachówek z dachu, woda leje się do sypialni. Chyba powinienem wezwać lekarza. I murarzy, ale na nich czeka się długo. Myślałem, że masz trochę zbędnego drewna i płótna. Po prostu, żeby załatać dach i pomóc mi na dzień lub dwa.

Teraz spojrzał na obraz.

– Ojej – powiedział Niggle. – Masz pecha. Mam nadzieję, że żona ma tylko katar. Zaraz przyjdę i pomogę ci znieść ją na dół.

– Bardzo dziękuję – powiedział chłodno Parish. – Ale to nie katar. To gorączka. Nie kłopotałbym cię katarem. A żona i tak leży w łóżku na dole. Nie mogę biegać w górę i w dół z tacami. Nie z moją nogą. Widzę, że rzeczywiście pracujesz. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Miałem nadzieję, że mógłbyś poświęcić trochę czasu i pojechać po doktora, znając moją sytuację. I po murarzy też, jeśli rzeczywiście nie masz zbędnych płócien.

– Oczywiście – powiedział Niggle, choć przychodziły mu na myśl zupełnie inne słowa. Serce miał w tej chwili po prostu miękkie, bez żadnych uczuć. – Mógłbym pojechać. Pojadę, jeśli rzeczywiście się martwisz.

– Martwię się, bardzo się martwię. Szkoda, że jestem kulawy – powiedział Parish.

I Niggle pojechał. Zrozumcie, było mu niezręcznie. Parish był jego jedynym sąsiadem, inni ludzie mieszkali daleko. Niggle miał rower, Parish nie miał i nie mógł jeździć. Parish był kulawy, naprawdę kulawy i sztywna noga często bardzo go bolała, o tym powinno się pamiętać tak samo, jak o jego kwaśnej minie i jękliwym głosie. Oczywiście – Niggle malował obraz i miał mało czasu, by go ukończyć. Wydaje się jednak, że z tym powinien liczyć się nie Niggle, lecz Parish. Parish jednak nie liczył się z obrazami, a Niggle nie mógł tego zmienić. – Do diabła z tym – powiedział, kiedy wyprowadzał rower.

Było zimno, wiał wiatr, światło dnia zanikało. „Koniec roboty na dziś" – pomyślał Niggle i całą drogę albo klął do siebie, albo wyobrażał sobie pociągnięcia pędzla na górach i otaczających je, pełnych liści gałęziach, które po raz pierwszy wyobraził sobie na wiosnę. Palce drgały na kierownicy. Teraz, kiedy wyszedł z szopy, wiedział dokładnie, jak pokazać lśniące gałęzie, otaczające daleką wizję gór. Lecz głęboko w sercu pojawiło się uczucie jakby strachu, że nie będzie miał już okazji nigdy tego spróbować.

Niggle znalazł doktora i zostawił wiadomość dla murarzy. Biuro było zamknięte, a murarz poszedł do domu grzać się przy kominku. Niggle przemókł na wylot i sam się zaziębił. Doktor nie wyruszył tak szybko, jak zrobił to Niggle. Przyjechał następnego dnia, co było całkiem zgodne z jego zwyczajami i miał już teraz dwoje pacjentów w sąsiednich domach. Niggle leżał w łóżku, z wysoką gorączką, a w jego głowie i na suficie pojawiały się wspaniałe wzory liści i powikłanych gałęzi. Nie sprawiła mu przyjemności wiadomość, że pani Parish miała jedynie katar i już wstaje z łóżka. Odwrócił się twarzą do ściany i pogrążył w liściach.

Jakiś czas pozostał w łóżku. Wiał silny wiatr. Zerwał jeszcze parę dachówek z domu Parisha i kilka z domu Niggle'a; jego dach też zaczął przeciekać. Murarze nie przychodzili. Niggle przez kilka dni niezbyt się o to troszczył. Potem wyczołgał się z domu w poszukiwaniu jedzenia (nie miał żony). Parish nie przychodził, padał deszcz i bolała go noga, a jego żona zajęta była wycieraniem podłogi i zastanawianiem się, czy „ten Niggle" nie zapomniał przypadkiem zawiadomić murarzy. Gdyby chciała coś pożyczyć, wysłałaby Parisha, kulawego czy nie, ale nie chciała i Niggle pozostawiony był sam sobie.

Mniej więcej pod koniec tygodnia, zataczając się, Niggle znów poszedł do szopy. Usiadł i patrzył na obraz, ale tego dnia nie pojawiły mu się ani wzory liści, ani widok gór. Mógł malować dalekie tło piaszczystej pustyni, ale po prostu nie miał na to siły.

Następnego dnia czuł się już o wiele lepiej. Wspiął się na drabinę i zaczął malować. Obraz właśnie wciągnął go znowu, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Cholera! – powiedział Niggle, lecz równie dobrze mógł powiedzieć uprzejmie: „Proszę wejść", bo drzwi i tak się otworzyły. Tym razem był to wysoki mężczyzna, zupełnie obcy.

– To prywatna pracownia – powiedział Niggle. – Jestem zajęty. Wynoś się.

– Jestem Inspektorem Budowlanym – odpowiedział mężczyzna, trzymając legitymację w wyciągniętej ręce tak, by Niggle mógł ją przeczytać z drabiny.

– O! – powiedział Niggle.

– Dom waszego sąsiada jest w kiepskim stanie – powiedział Inspektor.

– Wiem – odparł Niggle. – Zostawiłem informację dla murarzy już dawno temu, ale nie przyszli. Potem byłem chory.

– Rozumiem, ale teraz już jesteście zdrowi.

– Ale nie jestem murarzem. Parish powinien złożyć skargę w Radzie Miejskiej i otrzymać pomoc konieczną w nagłych wypadkach.

– Wszyscy zajęci są gorszymi zniszczeniami niż tutaj. W dolinie była powódź i wiele rodzin pozostało bez dachu nad głową. Powinniście pomóc sąsiadowi w wykonaniu prowizorycznych napraw i nie dopuścić, by likwidacja zniszczeń była bardziej kosztowna. Takie jest prawo. Macie tu mnóstwo materiału: drewno, płótno, wodoodporne farby.

– Gdzie? – zapytał Niggle oburzony.

– Tu! – odparł Inspektor wskazując na obraz.

– Mój obraz! – krzyknął Niggle.

– Tak właśnie przypuszczałem – powiedział Inspektor. – Domy są ważniejsze. Tak mówi prawo.

– Ale nie mogę... – Niggle nie zdążył powiedzieć nic więcej, bowiem w tym momencie wszedł drugi mężczyzna. Był bardzo podobny do Inspektora, wyglądał niemal jak jego bliźniak, wysoki, ubrany na czarno.

– Proszę za mną – powiedział. – Jestem Szoferem.

Niggle potykając się zlazł z drabiny. Gorączka zdawała się wracać, było mu zimno, głowa chwiała się.

– Szofer? Szofer? – wyjąkał. – Jaki Szofer?

– Wasz i waszego pojazdu – odparł mężczyzna. – Pojazd został zamówiony dawno temu. W końcu przybył. Czeka. Zaczynacie dziś swoją podróż.

– A więc tak! – powiedział Inspektor. – Musicie jechać, ale źle zaczynać podróż, zostawiając nie dokończoną pracę. W końcu będziemy jednak w stanie zrobić teraz jakiś użytek z tego płótna.

– Mój Boże – powiedział biedny Niggle i zaczął płakać. – Nawet go nie skończyłem.

– Nie skończyłem! – powiedział Szofer. – No więc z nim skończono, przynajmniej o tyle, o ile was to dotyczy. Wychodźcie!

Niggle wyszedł, całkiem spokojnie. Szofer nie zostawił mu czasu na pakowanie twierdząc, że powinien zrobić to wcześniej i że mogą spóźnić się na pociąg, więc Niggle zdążył tylko złapać w holu małą torbę. Znalazł w niej pudełko z farbami i szkicownik z rysunkami. Nie było w niej ani jedzenia, ani ubrania. Zdążyli jednak na pociąg. Niggle był zmęczony i bardzo śpiący; kiedy wepchnięto go do przedziału ledwie orientował się, co się wokół niego dzieje. Nie troszczył się o nic, zapomniał, gdzie ma jechać i po co. Pociąg ruszył niemal natychmiast w głąb ciemnego tunelu.

Niggle ocknął się na wielkiej, mrocznej stacji. Wzdłuż peronu szedł Zawiadowca. Nie krzyczał nazwy stacji, lecz imię. Wołał: – Niggle!

Niggle wysiadł w pośpiechu i zorientował się, że w przedziale została jego mała torba. Odwrócił się, ale pociąg zdążył odjechać.

– A, tu jesteście – powiedział Zawiadowca. – Tędy. Co? Nie macie bagażu? Powinniście pójść do Przytułku.

Niggle poczuł się bardzo źle i zemdlał na peronie. Wezwano karetkę i odwieziono go do szpitala przy Przytułku.

Opieka wcale mu się nie podobała. Podawano mu gorzkie lekarstwa. Urzędnicy i obsługa byli wrodzy, milczący i surowi. Nie widywał nikogo oprócz bardzo nieprzyjemnego doktora, który czasami go odwiedzał. Przypominało to bardziej więzienie niż szpital. Kazano mu ciężko pracować, w stałych godzinach: przy kopaniu, w stolarni przy malowaniu surowych desek na jeden, spokojny kolor. Nie wypuszczano go na zewnątrz, a wszystkie okna wychodziły na podwórko. Trzymano go w ciemnościach przez długie godziny, „aby mógł myśleć" – tak mówiono. Tracił poczucie czasu. Nie czuł się ani trochę lepiej, ani trochę – jeśli sądzić po tym, że nic nie sprawiło mu przyjemności. Nawet sen.

Na początku, przez pierwsze stulecie (przekazuję tylko jego wrażenia) bezsensownie martwił się przeszłością. Leżąc w ciemnościach powtarzał nieustannie: „Szkoda, że nie odwiedziłem Parisha tego dnia, kiedy zaczął wiać wiatr. Przecież chciałem. Łatwo byłoby naprawić pierwsze obluzowane dachówki. Wtedy pani Parish może by się nie przeziębiła. Wtedy może i ja bym nie zachorował. I może mógłbym pracować tydzień dłużej". Lecz z czasem zapomniał, na co potrzebny był mu ten tydzień. Jeśli o czymkolwiek jeszcze myślał, to jedynie o szpitalnych pracach. Planował je, zastanawiając się, jak szybko uda mu się poprawić skrzypiące deski podłogi, zawiasy w drzwiach, nogę od stołu. Prawdopodobnie był całkiem użyteczny, choć tego nikt mu nigdy nie powiedział. Być może wcale nie z tego powodu przetrzymywano tak długo biednego człowieczka. Może czekali aż mu się „polepszy", „polepszy" według jakichś ich własnych, medycznych kryteriów.

W każdym razie biedny Niggle nie czerpał z życia przyjemności – przynajmniej takiej, jaką znał. Nie bywał wesoły. Nie można jednak zaprzeczyć, że zaczynał czuć... może spokojną satysfakcję, mdłą jak chleb, a nie słodką jak dżem. Podejmował pracę na dźwięk dzwonka i odkładał ją równo z dzwonkiem, uporządkowaną, czekającą na podjęcie we właściwym czasie. Robił teraz całkiem sporo i porządnie wykańczał najdrobniejsze prace. Nie miał „wolnego" czasu (wyjąwszy samotność sypialni), a jednak był jego panem. Wiedział dokładnie, co ma robić. Nie czuł pośpiechu. Był spokojniejszy, a w czasie odpoczynku naprawdę odpoczywał.

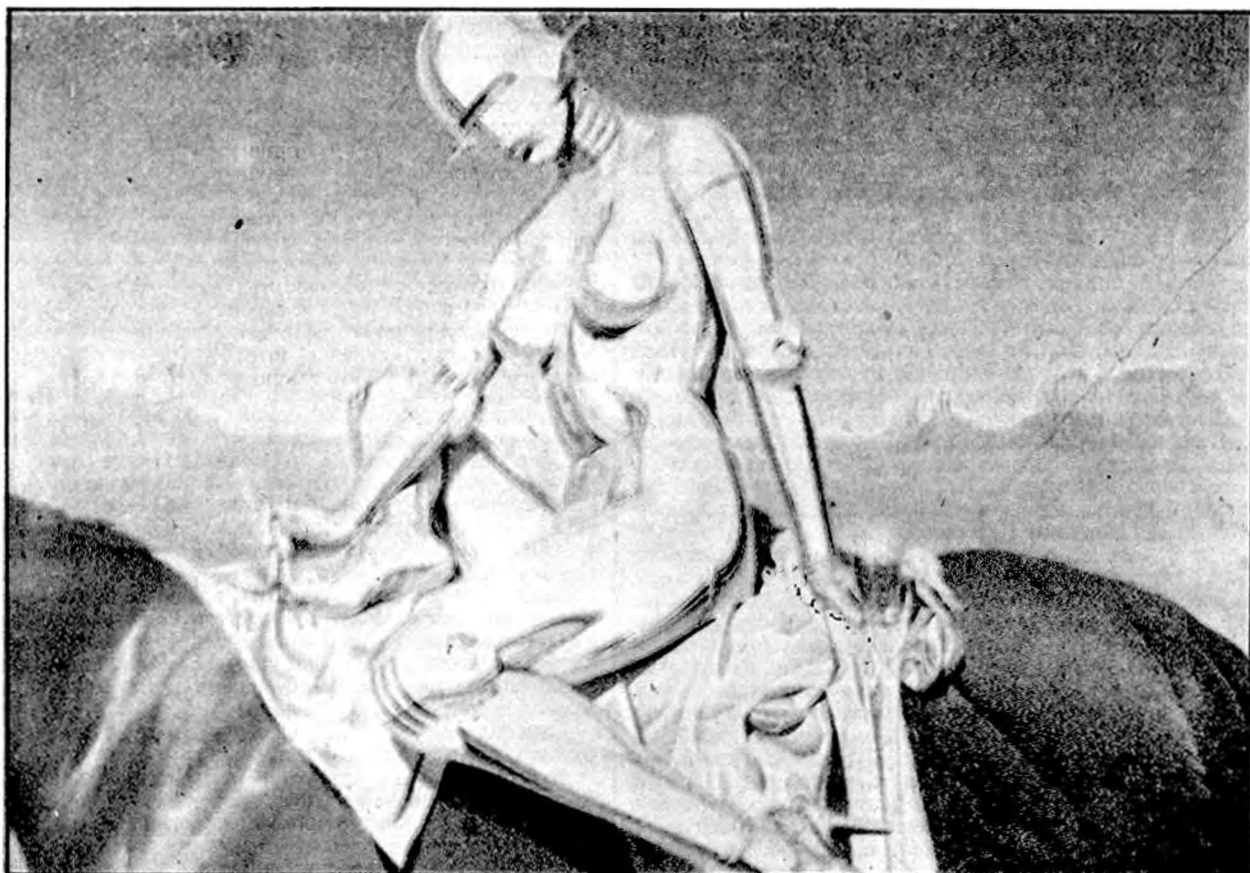
Wtedy nagle zmienili godziny pracy, zaledwie pozwolili mu w ogóle zasnąć, wyrzucili ze stolarni. Kazali po prostu kopać, dzień po dniu. Przyjął to całkiem spokojnie. Długo trwało nim – zupełnie nieświadomie – zaczęły mu się przypominać dawne przekleństwa. Kopał, aż grzbiet zdawał się pękać, ręce stały się jedną otwartą raną i czuł, że nie zdoła już podnieść następnej łopaty. Nikt mu nie podziękował. Lecz przyszedł Lekarz i obejrzał go.

– Koniec pracy – powiedział. – Całkowity odpoczynek. W ciemności.

Niggle leżał w ciemności, całkowicie odpoczywając. Nic nie myślał i niczego nie czuł. Mógł leżeć tak przez godziny i lata – bez żadnej różnicy. I nagle usłyszał Głosy, inne niż te, które słyszał dotychczas. Mogła to być Rada Medyczna, może Sąd odbywający się blisko, niemal w zasięgu ręki, w sąsiednim pokoju przy otwartych drzwiach, choć nie widać było żadnego światła.

– A teraz przypadek Niggle'a – powiedział Głos. Głos groźny, groźniejszy niż Lekarza.

– Jakiś problem? – zapytał Drugi Głos, który można byłoby





HAJIME SORAYAMA

Galeria „Fantastyki" jest naszą nową pozycją, w której mamy zamiar przedstawiać prace grafików i ilustratorów – polskich i zagranicznych. Będą to najczęściej prace jednego autora lub prace łączące się tematycznie.

Jako pierwszego prezentujemy grafika japońskiego HAJIME SORAYAMA (ur. 1947). Jak sam twierdzi, pierwszym jego kontaktem z grafiką były rysunki w tuszu samolotów i okrętów, które zaczął tworzyć w szkole średniej. W wieku 20 lat opuścił Tokio i zaczął studiować w Chuo Art School. Po dwóch latach, jako jeden z najlepszych studentów, ukończył szkołę i zaczął pracę w agencji reklamowej.

Jego specjalnością były rysunki reklamowe wykonywane za pomocą pasteli, flamastrów i kolorowych tuszy.

Od 1971 roku Sorayama pracuje jako niezależny ilustrator. Jego pierwsze „Roboty" powstają w 1978 roku. Maluje je aerografem i pędzlami stosując farby akrylowe. (A.B.)

nazwać uprzejmym, choć nie miękkim, był to głos władczy, brzmiał jednocześnie pocieszająco i smutno. – Jakieś kłopoty z Niggle'em? Przecież miał serce.

– Tak, lecz nie pracowało ono właściwie. I można byłoby podejrzewać, że w ogóle nie miał głowy. Zaledwie myślał. Zauważcie, ile stracił czasu, nawet się nie bawiąc. Nigdy nie przygotował się do podróży. Był całkiem zamożny, a przyjechał jak biedak i trzeba było go ulokować w skrzydle przeznaczonym dla nędzarzy. Obawiam się, że to beznadziejny przypadek. Myślę, że powinien tu jeszcze zostać.

– Prawdopodobnie to by mu nie zaszkodziło – powiedział Drugi Głos.

– Lecz oczywiście to tylko nic nie znaczący człowieczek. Nie chciał być nikim wielkim, nie był nigdy specjalnie silny. Spójrzmy do Akt. Tak. Jest trochę rzeczy przemawiających na jego korzyść.

– Być może – powiedział Pierwszy Głos. – Ale niewiele ich zostanie po dokładnym sprawdzeniu.

– Więc, oto one – powiedział Drugi Głos. – Był z usposobienia malarzem. Niezbyt dobrym oczywiście, lecz jednak – jego „Liść" ma jakiś szczególny wdzięk. Bardzo troszczył się o liście, po prostu dla nich samych. Lecz nigdy nie sądził, że czyni go to kimś ważnym. Nie ma w Aktach wzmianki, by próbował usprawiedliwić tym, nawet wobec siebie samego, zaniedbania w rzeczach nakazanych przez prawo.

– Więc nie powinien zaniedbywać ich tak często.

– Mimo wszystko odpowiedział na wiele Wezwań.

– Niewielki procent, tylko na te łatwiejsze i nazywał je Przeszkodami. W Aktach ciągle pojawia się to słowo, wraz z mnóstwem skarg i idiotycznych przekleństw.

– To prawda, lecz jemu rzeczywiście wydawały się przeszkodami, biedaczyna. I jeszcze to: nigdy nie spodziewał się Nagrody, jak wielu podobnych do niego to nazywa. Jest przypadek Parisha, tego, który przybył później. Był sąsiadem Niggle'a, nigdy nie kiwnął dla niego palcem, rzadko okazywał jakąś wdzięczność. W Aktach nie ma jednak nawet wzmianki, by Niggle spodziewał się wdzięczności, wydaje się, że w ogóle o tym nie myślał.

– Tak, to jest coś – powiedział Pierwszy Głos. – Ale niewiele. Sądzę, że zgodzisz się, że Niggle często po prostu zapominał. Zapominał, że zrobił coś dla Parisha, jak tylko już to zrobił.

– A jednak mamy tu ostatni raport – powiedział Drugi Głos. – O tej jeździe rowerem w deszczu. Położyłbym na to nacisk. Wydaje się jasne, że było to prawdziwe poświęcenie. Niggle podejrzewał, że odrzuca ostatnią szansę skończenia obrazu, podejrzewał także, że Parish niepotrzebnie się martwi.

– Sądzę, że podkreślasz to zbyt mocno – powiedział Pierwszy Głos. – Ale ostatnie słowo należy do ciebie. Oczywiście, to twoje zadanie – jak najkorzystniej interpretować fakty. Czasami na to zasługują. Co proponujesz?

– Myślę, że ten przypadek pozwala na nieco łagodniejsze traktowanie.

Niggle pomyślał, że nigdy nie słyszał czegoś tak wielkodusznego jak ten Głos. Dzięki niemu „Łagodniejsze Traktowanie" brzmiało jak wspaniały dar, jak zaproszenie na Królewską Ucztę. I nagle Niggle się zawstydził. Myśl, że jego sprawę potraktowano jako nadającą się do „Łagodniejszego Traktowania" przygniotła go, sprawiła, że poczuł się zażenowany. Jakby otrzymał publiczną pochwałę wiedząc – jak wszyscy – że jest ona niezasłużona. Niggle ukrył rumieńce pod szorstkim kocem.

Zapadła cisza. Nagle Pierwszy Głos odezwał się do Niggle'a, całkiem blisko. – Słyszałeś? – zapytał.

– Tak – odparł Niggle.

– Masz coś do powiedzenia?

– Czy możecie opowiedzieć mi o Parishu – poprosił Niggle. – Chciałbym zobaczyć go znowu. Mam nadzieję, że nie jest bardziej chory? Czy możecie wyleczyć jego nogę? Bardzo cierpi z jej powodu. I proszę, nie martwcie się o niego i o mnie. Był bardzo dobrym sąsiadem, sprzedawał znakomite ziemniaki, bardzo tanio, co oszczędzało mi mnóstwo czasu.

– Rzeczywiście? – powiedział Pierwszy Głos. – Miło mi to usłyszeć.

Znowu zapadła cisza. W tej ciszy Niggle usłyszał oddalające się Głosy. „Dobrze, zgadzam się" – powiedział Pierwszy Głos z daleka. „Pozwólmy mu przejść do następnego stadium. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jutro".

Niggle obudził się i odkrył, że zasłony zostały zdjęte i jego pokoik jest pełen światła. Wstał i przy łóżku znalazł wygodne ubranie zamiast szpitalnego uniformu. Po śniadaniu lekarz obejrzał jego poranione ręce, posmarował jakąś maścią i od razu wyleczył. Dał Niggle'owi wiele dobrych rad i butelkę wzmacniającego lekarstwa (gdyby go potrzebował). Późnym rankiem dostał ciastko i szklankę wina.

– Możecie pójść na stację – powiedział Lekarz. – Zawiadowca się o was zatroszczy. Żegnajcie.

Niggle wyśliznął się przez frontowe wejście i zamrugał oślepionymi oczami. Słońce błyszczało tak jasno. Spodziewał się też spaceru przez duże miasto, pasujące do rozmiarów stacji, ale miasta nie było. Stał na szczycie pustego, zielonego wzgórza, omiatanego rześkim wiatrem. W pobliżu nie było nikogo. W dole, u stóp wzgórza, błyszczały dachy stacji.

Pomaszerował w dół raźno, ale bez pośpiechu. Zawiadowca zauważył go natychmiast.

– Tędy proszę – powiedział i zaprowadził Niggle'a na peron, na którym stał bardzo przyjemny, niewielki, lokalny pociąg: jeden wagon, mała lokomotywa – błyszczące, czyste, nowo pomalowane. Wyglądały, jakby była to ich pierwsza podróż. Nawet peron przed lokomotywą sprawiał wrażenie nowego, szyny błyszczały, ławki były pomalowane na zielono, podkłady pachniały wspaniale świeżą smołą, rozgrzaną palącymi promieniami słońca. Wagon był pusty.

– Dokąd jedzie ten pociąg, Panie Zawiadowco? – zapytał Niggle.

– Myślę, że sami jeszcze nie są pewni – odpowiedział Zawiadowca. – Ale na pewno dojedzie. – I zamknął drzwi.

Pociąg ruszył natychmiast. Niggle opadł na ławkę. Lokomotywka pykała, ciągnąc wagon poprzez głęboki wykop o stromych, zielonych ścianach przykrytych błękitnym niebem. Po niedługim (jak się wydawało) czasie rozległ się gwizd, włączyły się hamulce i pociąg stanął. Nie było stacji, nie było żadnego napisu, jedynie schody prowadzące na zielony nasyp. A na szczycie schodów furtka w porządnie przyciętym żywopłocie. Stał przy niej jego rower, a może tylko podobny, w każdym razie żółciła się przypięta do ramy tabliczka, na której wielkimi literami napisano: NIGGLE.

Niggle otworzył furtkę, wskoczył na rower i potoczył się zboczem nasypu w ciepłych promieniach wiosennego słońca. Szybko spostrzegł, że dróżka, którą jechał na początku znikła i rower jedzie po wspaniałej trawie. Była zielona i gęsta, a przecież każde źdźbło widać było wyraźnie. Wydawało mu się, że pamięta taką trawę, że widział ją kiedyś i gdzieś, a może tylko śnił o niej. Kształty terenu też były jakoś znajome. Tak, stawał się teraz poziomy – jak powinien – a teraz znowu zaczynał się wznosić. Pomiedzy słońce a Niggle'a wkradł się zielony cień. Niggle spojrzał w górę i spadł z roweru.

Przed nim stało Drzewo, jego Drzewo, skończone. Jeśli możecie nazwać tak Drzewo, które żyje, którego liście się rozwijają, a gałęzie rosną i kołyszą się na wietrze, który Niggle tak często czuł, którego tak często się domyślał, który tak często i bezskutecznie próbował malować. Spojrzał na Drzewo, wolno podniósł ręce i rozłożył je szeroko.

– Oto dar – powiedział. Mówił o swej sztuce i o jej dziele, ale użył tego słowa najzupełniej dosłownie.

Chodził patrząc na Drzewo. Rosły na nim liście, nad którymi pracował tak ciężko, a wyglądały raczej tak, jak je sobie wymarzył, niż jak je wykonał. Były też i inne: te, o których jedynie myślał i te, o których mógłby pomyśleć, gdyby tylko miał nieco więcej czasu. Nie było na nich żadnych napisów, były to po prostu śliczne liście, lecz jednocześnie można było określić je tak dokładnie, jak dni w kalendarzu. Te najpiękniejsze i najbardziej charakterystyczne, najlepsze przykłady stylu Niggle'a były na pewno stworzone przy współpracy Parisha, nie było innego sposobu, by się tu znalazły.

Na gałęziach Drzewa ptaki budowały swe gniazda. Zadziwiające ptaki – jak one śpiewały! Dobierały się parami, wysiadywały młode, rosły im skrzydła i odlatywały do Lasu – właśnie wtedy, gdy na nie patrzył. Dopiero teraz spostrzegł Las, który był tu także, rozpościerając się po obu stronach Drzewa i maszerując w dal. Szczyty Gór błyszczały na horyzoncie.

Potem Niggle obrócił się w stronę Lasu. Nie dlatego, że Drzewo go zmęczyło, zadomowiło się teraz w jego pamięci, był świadom jego i jego wzrostu nawet wtedy, gdy na nie nie patrzył. Kiedy odszedł, odkrył zdumiewającą rzecz: Las – oczywiście – był dalekim Lasem, ale można było zbliżyć się, a nawet wejść weń i nie tracił on nic ze swego szczególnego piękna. Nigdy przedtem nie był w stanie pójść w głąb, nie zmieniając go w zwykłe „otoczenie". Dodawało to sporo atrakcji spacerom po tej ziemi, bowiem, gdy szedłeś, rozpościerały się nowe perspektywy, mogłeś je dwoić, troić, mnożyć zachwyty. Mogłeś odchodzić coraz dalej i dalej, i mieć cały kraj w ogrodzie lub na obrazie (jeśli wolicie tak właśnie to nazwać). Mogłeś iść coraz dalej i dalej, lecz prawdopodobnie nie w nieskończoność. W tle były Góry. Wydawało się, że nie należą one do obrazu, może tylko łączą go z czymś zupełnie innym, czymś całkowicie różnym, błyszczącym spoza drzew; z innym obrazem.

Niggle spacerował, lecz nie była to zwykła włóczęga. Rozglądał się wokół uważnie. Drzewo było skończone, choć z nim nie skończono – „po prostu inna droga ku temu, co zdarza się zwykle" – pomyślał – lecz w Lesie wiele było nie dokończonych miejsc, które ciągle wymagały pracy i namysłu. Nic już nie wymagało zmian, nic z tego, co istniało nie było złe, lecz przecież trzeba było kontynuować pracę aż do końca. W każdym przypadku Niggle był doskonale świadom tego końca.

Usiadł pod dalekim drzewem, odmianą Wielkiego Drzewa, która była, a w każdym razie po kilku korektach mogła być, całkowicie niepowtarzalna i zaczął się zastanawiać, gdzie zacząć pracę, gdzie ją skończyć i ile czasu na nią potrzeba. Nie potrafił całkowicie opracować planu.

– Oczywiście – powiedział – potrzebuję Parisha. Ziemia, drzewa, rośliny mają wiele tajemnic, które on zna, a ja nie. To miejsce nie może stać się moim prywatnym parkiem. Potrzebuję pomocy i rady. Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć.

Podniósł się i podszedł do miejsca, od którego zdecydował się zacząć pracę. Zdjął marynarkę. Nagle w małej, osłoniętej dolince, ukrytej przed ludzkim wzrokiem zobaczył rozglądającego się wokół i raczej oszołomionego człowieka. Opierał się on na łopacie

i widać było, że nie bardzo wie, co zrobić. Niggle rozpoznał go. – Parish – zawołał.

Parish zarzucił łopatę na plecy i podszedł do Niggle'a. Ciągle trochę utykał. Nie odezwali się do siebie, po prostu skinęli głowami, tak jak to mieli w zwyczaju mijając się w alejce, lecz teraz szli razem, ramię w ramię. Bez słów doskonale się zgodzili, gdzie ma stanąć dom i gdzie urządzić ogród, który wydawał się potrzebny.

Gdy już pracowali razem, okazało się, że teraz Niggle lepszy był w organizowaniu pracy i wykonywaniu planów. Zdumiewające – to Niggle bardziej przejmował się budownictwem i ogrodnictwem, podczas gdy Parish z zachwytem przyglądał się drzewom, a szczególnie Drzewu.

Pewnego dnia Niggle był zajęty sadzeniem żywopłotu, a Parish leżał obok na trawie, obserwując uważnie piękny i kształtny żółty kwiat, rosnący w zielonej trawie. Już dawno Niggle zasadził ich wiele wśród korzeni Drzewa. Nagle Parish spojrzał w górę, jego twarz błyszczała w słońcu, uśmiechał się.

– To wspaniałe – powiedział. – Naprawdę nie powinienem tutaj być. Dziękuję za te kilka słów w mojej obronie.

– Nonsens – odpowiedział Niggle. – Nie pamiętam co powiedziałem, ale z pewnością było to za mało.

– Wcale nie. Wyciągnęło mnie znacznie wcześniej. To Drugi Głos, wiesz, on mnie tu przysłał; powiedział, że prosiłeś, żeby mnie zobaczyć. Zawdzięczam to tobie.

– Nie. Zawdzięczasz to Drugiemu Głosowi. Obaj mu to zawdzięczamy.

I dalej mieszkali i pracowali razem, nie wiem jak długo. Nie ma sensu zaprzeczać, że czasem się kłócili, szczególnie, gdy obaj byli zmęczeni. Na początku zdarzało im się męczyć. Odkryli, że obaj mają lekarstwo. Każda butelka miała na nalepce ten sam napis: „Kilka kropel wpuścić do wody ze Źródła. Używać przed odpoczynkiem".

Znaleźli Źródło w sercu Lasu. Tylko raz, dawno temu, Niggle wyobraził je sobie, ale nigdy go nie namalował. Teraz spostrzegł, że zasila ono błyszczące jezioro i jest źródłem pożywienia dla wszystkiego, co rosło na tej ziemi. Kilka kropel uczyniło wodę nieco gorzką, odświeżającą jednak i dodającą sił, a w głowie robiło się jaśniej. Po wypiciu odpoczywali samotnie, a potem znów pracowali razem i już się nie kłócili. Niggle myślał o cudownych, nowych roślinach i kwiatach, a Parish zawsze wiedział dokładnie, jak je zasadzić i gdzie będą najlepiej rosły. Przestali potrzebować lekarstwa na długo przedtem, nim się skończyło. Parish już nie utykał.

Im bardziej ich praca zbliżała się do końca, tym więcej czasu poświęcali na spacery, oglądając drzewa i kwiaty, światło i kształty i położenie swej krainy. Czasami śpiewali razem, lecz Niggle odkrył, że coraz częściej i częściej spogląda w stronę gór.

Nadszedł czas, gdy dom w dolinie, ogród, trawnik, las, jezioro były niemal skończone – w sobie tylko właściwy sposób. Wielkie Drzewo rozkwitło w pełni.

– Powinniśmy skończyć dziś wieczorem – powiedział Parish pewnego dnia. – Później będziemy mogli pójść na naprawdę długi spacer.

Wyruszyli następnego dnia i szli aż do samego Krańca. Oczywiście, nie było go widać, nie było granicy, płotu, ściany. Lecz wiedzieli, że doszli do krawędzi swego świata. Zobaczyli mężczyznę wyglądającego na pasterza. Szedł ku nim w dół, po pokrytych trawą zboczach gór.

– Chcecie przewodnika? – zapytał. – Chcecie iść?

Na chwilę cień rozdzielił Niggle'a i Parisha, bo Niggle wiedział, że chce i (w pewnym sensie) powinien pójść. A Parish nie chciał i nie był jeszcze do tego gotowy.

– Muszę poczekać na żonę – powiedział Parish do Niggle'a – Będzie samotna. Spodziewam się, że zechcą wysłać ją do mnie kiedyś, kiedy będzie już gotowa i kiedy ja przygotuję się dla niej. Skończyliśmy dom – taki, jaki potrafiliśmy zrobić – i chciałbym go jej pokazać. Będzie mogła go poprawić, uczynić bardziej przytulnym. Spodziewam się, że także polubi nasz kraj. Obrócił się do pasterza. – Jesteś przewodnikiem? Czy mógłbyś powiedzieć mi, jak nazywa się to miejsce?

– Nie wiesz? – zdziwił się mężczyzna. – To Kraina Niggle'a. To obraz Niggle'a. Przynajmniej w większości, część to także Ogród Parisha.

– Obraz Niggle'a! – krzyknął zaskoczony Parish. – Ty wymyśliłeś to wszystko, Niggle? Nie myślałem, że jesteś taki mądry. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Próbował – powiedział pasterz. – To ty nie chciałeś patrzeć. Wtedy miał tylko płótno i farby, a ty chciałeś załatać nimi dach. To właśnie to, co wraz z żoną nazwaliście Głupstwem Niggle'a albo mazaniną.

– Ale wtedy wyglądało to zupełnie inaczej, nieprawdziwie – powiedział Parish.

– Wtedy był tylko cień, ale mógłbyś zobaczyć nawet cień, gdybyś tylko pomyślał „warto spróbować".

– To ja nie dałem ci szansy – powiedział Niggle. – Nie próbowałem nigdy nic wyjaśnić. Nazywałem cię Starym Robalem. Czy ma to teraz jakieś znaczenie? Mieszkaliśmy i pracowaliśmy razem. Los mógłby kierować nami inaczej, ale nie mógł lepiej. Mimo to obawiam się, że powinienem pójść. Przypuszczam, że spotkamy się znowu, musi być jeszcze wiele rzeczy, które potrafimy zrobić razem. Do zobaczenia.

Potrząsnął dłonią Parisha – była to dobra, mocna, uczciwa dłoń. Odwrócił się na chwilę i spojrzał za siebie. Kwiaty Wielkiego Drzewa lśniły jak płomienie, a ptaki fruwały ponad nim śpiewając. Uśmiechnął się, ukłonił Parishowi i odszedł z pasterzem.

Odszedł nauczyć się wszystkiego o owcach i halach, odszedł, by patrzeć na niebo szersze i bardziej błękitne i iść wyżej, coraz wyżej, w Góry. Nie wiem, co zdarzyło się z nim później. Nawet mały Niggle w swoim starym domku mógł szkicować Góry, wchodziły w świat jego obrazu, lecz co leży poza nimi wiedzą tylko ci, którzy je przekroczyli.

Myślę, że był to tylko głupi, mały człowiek – powiedział Radca Tompkins. – Naprawdę bezwartościowy, żadnego pożytku dla społeczeństwa.

– Nie wiem – odpowiedział Atkins, który nie był nikim ważnym, po prostu nauczycielem. – Nie jestem pewien, to zależy, co rozumiesz przez „pożytek".

– Bez pożytku praktycznego czy ekonomicznego – powiedział Tompkins. – Odważę się powiedzieć, że można byłoby zrobić z niego użyteczne kółko w mechanizmie społecznym, gdybyście wy, nauczyciele, znali swoją robotę. Ale nie znacie i stąd biorą się tego rodzaju bezużyteczni osobnicy. Gdybym ja rządził tym krajem, potrafiłbym znaleźć pracę, do której on i jemu podobni się nadają: zmywanie naczyń w kuchni komunalnej czy coś podobnego i sprawdzałbym, czy robią to dobrze. Jeśli nie, zrobiłbym z nimi porządek. Z nim już dawno powinienem zrobić porządek.

– Zrobić porządek? To znaczy, że kazałbyś mu zacząć podróż przed jego czasem?

– Tak, jeśli upierasz się przy tym starym, nic nie znaczącym określeniu. Przepchnąć przez tunel na Wysypisko Śmieci – to miałem na myśli!

– Więc sądzisz, że malarstwo nie jest nic warte – używania, zachowania, rozwijania.

– Oczywiście, malarstwo bywa użyteczne. Ale nie jego malarstwo. Jest ogromne pole do działania dla śmiałych, młodych ludzi, nie bojących się nowych idei i nowych metod. Żadnego dla takich staromodnych bzdur. Marzenia na jawie! Nie potrafiłby zaprojektować plakatu reklamowego, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Marnowanie czasu na liście i kwiaty. Raz zapytałem go: „po co?" Odpowiedział, że sądzi, iż to ładne. Uwierzycie w to? Ładne! Co, trawienne i płciowe organa roślin? Powiedziałem mu to i nie umiał odpowiedzieć. Głupiec, robił z siebie wariata.

– Robił – zgodził się Atkins. – Tak, biedny ludzik. Nigdy niczego nie skończył. Oczywiście, kiedy odszedł, z jego płócien zrobiono „lepszy użytek". Ale nie jestem tego taki pewien, Tompkins. Pamiętasz to wielkie, którego użyli do naprawy zrujnowanego domu w sąsiedztwie, po burzach i powodzi? Znalazłem jego fragment, wyrwany, leżący w polu. Był zniszczony, ale czytelny: szczyt gór i gałąź pełna liści. Ciągle mam w głowie ten widok.

– Masz gdzie? – zdziwił się Tompkins.

– O czym wy w ogóle mówicie? – zapytał Perkins, próbując zaprowadzić spokój, Atkins bowiem mocno się zaczerwienił.

– Nie warto o nim mówić – powiedział Tompkins. – Nie wiem, po co w ogóle zaczęliśmy tę rozmowę. Nie mieszka w mieście.

– Nie – zdenerwował się Atkins. – Ale mimo to miałeś na oku jego dom. Dlatego przychodziłeś, gadałeś i kpiłeś z niego, gdy pił herbatę. No więc masz teraz jego dom i jeszcze jeden w mieście, więc nie zazdrość mu imienia. Mówimy o Niggle'u, jeśli chcesz wiedzieć, Perkins.

– Biedny, mały Niggle. W ogóle nie wiedziałem, że malował. W ten sposób prawdopodobnie po raz ostatni wymieniono imię Niggle'a w rozmowie. Jednak Atkins przechował ocaloną część obrazu. W końcu zgniła, ale jeden liść pozostał nietknięty. Atkins oprawił go, później ofiarował nawet Muzeum Miejskiemu. Długo jeszcze „Liść, dzieło Niggle'a" wisiał w kącie, zauważany przez niewielu. W końcu muzeum spłonęło i liść, wraz z Niggle'em, poszedł w zapomnienie w swej dawnej ojczyźnie.

To naprawdę okazało się użyteczne – powiedział Drugi Głos. – Na wakacje, dla odprężenie. Odzyskuje się pełnię sił. I nie tylko. Dla wielu jest to najlepsze wprowadzenie w Góry. Działa cuda w niektórych przypadkach. Coraz częściej ich tam wysyłam. Niewielu musi wrócić.

– No właśnie – rzekł Pierwszy Głos. – Powinniśmy jakoś nazwać ten kraj. Co proponujesz?

– Zawiadowca zrobił to jakiś czas temu. „Pociąg do Niggle's Parish* gotów do.odjazdu", tak mówi od dawna. Niggle's Parish. Zawiadomiłem ich obu.

– I co powiedzieli?

– Śmieli się. Góry dźwięczały ich śmiechem.

Przełożył Krzysztof Sokołowski

---

*) Niggle's Parish – Parafia Niggle'a. Imiona bohaterow opowiadania, jak wiele imion w książkach Tolkiena, są znaczące: „to niggle" oznacza „grzebać się w drobiazgach", natomiast „parish" to „parafia".

W obliczu wroga

Joseph H. Delaney

(In the Face of my Enemy)

Prolog

Połamane stworzenie wisiało w polach siłowych, otoczone aparatami złożonymi na wpół z materii, na wpół z energii, których konstrukcja i funkcje były zrozumiałe ledwie dla kilku umysłów we wszechświecie.

– Jest odrażające – powiedział głos. – Czy żyje?

– Jego siła życiowa jest bliska wygaśnięcia, ale obecnie na trwałym poziomie – odrzekł drugi. – Jest prymitywne, lecz sądzę, że naprawdę potrafi myśleć.

– Zaciekawia cię?

– Zaiste. Kiedyś my zapewne byliśmy tacy, jak ono obecnie. Poznam je, a przez to wczorajszych nas samych.

Zbadał ciało zwierzęcia, poznał je i ogarnął go smutek.

– Tragiczne – powiedział. – Zszedłem do jego komórek. Jakiż ohydny brak sprawności. Walczą, pożerają się nawzajem. Są drapieżnikami i żerują wewnątrz organizmu. Mogą na chwilę osiągnąć równowagę, ale nigdy harmonii.

– Wydaje się kompletnie zniszczone. Co uczynisz?

– Naprawię, poddam je obserwacji w życiu i w działaniu.

Istota dotknęła połamanego kształtu. Używszy uporządkowanych sił odbudowała stworzenie zgodnie z jego wzorcem.

– Fascynujące. Ono żyje. Na pewien czas odzyskało równowagę. Walczy, by ją zachować, ale wobec wewnętrznych konfliktów walka nie potrwa długo. Zużywa energię, by zahamować zniszczenie, ale umie przy tym zachować jej część na myślenie.

– To jest przypuszczenie.

– Nie. To fakt. Jest świadome swego istnienia. Pojmuje upływ czasu. Pyta o sens istnienia. To jest świadomość. Nazywa siebie imieniem Kah-sih-omah.

– Może z czasem rzeczywiście świadomość stanie się faktem. Obecnie nie wydaje mi się to prawdopodobne. Chwyta tylko urywki z potoku informacji zmysłowych, jak więc może się nauczyć?

– Może uczy się tylko trochę. Będziemy to w stanie określić, bo zaciekawia mnie coraz bardziej. Może nigdy tędy już nie przejdziemy, ale jeśli przypadkiem...

– Co zrobisz?

– Zmienię je, wprowadzę dyscyplinę, zapewnię porządek.

– Zamiar wart zachodu. Będę obserwować twoje wysiłki. Być może będę komentować.

– Zrobisz mi tym przyjemność.

Kontury znowu pociemniały. Materia przeszła w wyższy stan. Nastąpiły subtelne zmiany.

– Interesujące. Musisz być zadowolony.

– Owszem. Zauważ: w miarę, jak goją się jego rany, regeneruje się również forma, do której powraca. Świadomość przenika z centrum aż na poziom komórkowy.

– Jest nadal odrażające.

– Już nie musi być. Jego wola, choć ospała, sprawuje jednak kontrolę. Być może stworzenie cię słyszy. Pełne stosownej skruchy może zacznie eksperymentować i przybierze kształt bardziej ci przyjemny.

– Brak mu rozumu.

– Nie, nie rozumu. Doświadczenia. Żyło przecież tylko przez mgnienie, dane mu przez naturę. Ja mu dałem całe wieki.

Czas mijał. Zabawa się skończyła. Potrzeba, która ich sprowadziła na tę młodą planetę, została zaspokojona. Ich pojazd, sondując wnętrze góry, znalazł, wydobył i oczyścił poszukiwane pierwiastki rozpuszczalne. Teraz wydobył się z okopconej, pełnej żużla sztolni, w której spoczywał tak długo, marnotrawiąc zgromadzoną w podróży międzygwiezdnej energię.

Stworzenie, którym się bawili, przekształcone i teraz już bezpieczne, patrzyło zdumione. Nie pojmowało działań bogów, a także, jak dotychczas, i siebie samego.

Nie jestem z natury tchórzem, choć w każdym z nas z pewnością tkwi jego odrobina. Ta odrobina ujawniła się, gdy tylko rozpoznałam twarz człowieka, wysiadającego z wahadłowca. Był to mój szef, Ivan Carmody, we własnej osobie.

Są ludzie. I są też LUDZIE. Różnica leży w jakości, a nie w stanowisku i umysł chwyta ją natychmiast, bezbłędnie i w niewytłumaczalny sposób.

Zbliżał się człowiek, którego się bałam, ale moim obowiązkiem było objaśnić mu istnienie drugiego. I byłam ciekawa, czy to potrafię.

Miesiące spędzone przeze mnie na Campbellu były wypełnione dziwnymi doświadczeniami. Niektóre z nich, jak uważałam, lepiej było pominąć w moim raporcie. Ale to był Carmody. ON bowiem, jak się obawiałam, ON zażąda zdania sprawy ze wszystkiego. A co najgorsze, wiedziałam, że wszystko mu opowiem.

Miałam zbyt niskie stanowisko, by go kiedykolwiek spotkać osobiście – rzecz prosta do tej chwili – ale jako Sekretarz Spraw Pozaziemskich Carmody był najpotężniejszą osobistością w Narodach Zjednoczonych, i najbardziej malowniczą.

Gdy podszedł, zrozumiałam, czemu tak było. Był narzucającą się osobowością. Wysoki i żylasty, z prostymi, białymi włosami, zaczesanymi do tyłu i wielkim, zagiętym nosem, podobny był do starego orła. Grube szkła okularów jeszcze powiększały jego przenikliwe, zielone, szeroko otwarte oczy.

Jeśli sama jego obecność miała na mnie przemożny wpływ, to był on niczym w porównaniu z potężnym wrażeniem, jakie wywarł, gdy przemówił. Miałam nadzieję, że potrafię się oprzeć tej sile.

– Kimberley Ryan – zagrzmiał – czy to pani zarządza tym bałaganem?

Rozejrzałam się wokoło. Ulica była błotnista, budynki wypalone, urządzenia zdemolowane. Paru ludzi, którzy przyglądali się lądowaniu wahadłowca, rozpierzchło się na jego widok.

– Tak, sir. Objęłam tu dowództwo na zasadzie Paragrafu 309 Przepisów Stanu Wyjątkowego – powiedziałam z nadzieją, że cytuję właściwie. Czułam jak ogląda mnie całą, wraz z prymitywną skórzaną odzieżą, zrobioną dla mnie przez Caseya. – To wszystko, co mi zostało, panie Sekretarzu. Reszta się spaliła.

– Chcę natychmiast usłyszeć pani raport, miss Ryan, o ile to jednak możliwe nie tu, na ulicy.

– Tak, sir. Możemy przejść do budynku kierownictwa Solar Minerals, do biura pana Meyersa. To znaczy do tego, co z niego zostało. Zaprowadzę pana.

Odwróciłam się i ruszyłam wzdłuż ulicy, starając się wybierać suchsze miejsca. Carmody szedł za mną.

– Gdzie jest Meyers?

– Nie żyje – odpowiedziałam. – Zastrzelił się, zanim osiedle... hmmm... zostało zdobyte, myśląc, że obcy spalą budynek. Mogę natomiast posłać po pana Bigelowa. O ile mi wiadomo, on obecnie kieruje sprawami Solar.

– Nie. Chcę najpierw usłyszeć pani raport. Być może postawimy kierownictwo Solar, z panem Bigelowem włącznie, w stan oskarżenia.

Doszliśmy do budynku. Zacząłem wspinać się na schody, zastanawiając się czy będą zdolne w obecnym stanie utrzymać ciężar dwóch osób. Ale Carmody wszedł na nie bez wahania.

Weszliśmy do gabinetu Meyersa i Carmody bez zaproszenia usiadł za biurkiem Meyersa, na fotelu Meyersa, nie zważając na to, że oparcie było jeszcze zbryzgane zaschniętą krwią i mózgiem. Pochylił się nad biurkiem w moją stronę, opierając podbródek na rękach, zgarbiony, patrząc mi prosto w oczy.

– Proszę wziąć krzesło, miss Ryan. Nie lubię patrzeć na ludzi do góry.

Przysunęłam do biurka jedno z prymitywnie skleconych krzeseł i ostrożnie usiadłam, pamiętając o drzazgach; a gdy usadowiłam się już na tyle wygodnie, na ile mogło mi się udać w obecności tak przerażającej władzy, spytałam go, od czego mam zacząć.

– Od początku, miss Ryan, od chwili, gdy wylądowała pani na Campbellu. I proszę, niczego nie omijać, czy to jasne?

– Całkowicie. Jednak wszystko się zaczęło zanim tu przybyłam. Dopiero później się o tym przekonałam, pan Bigelow mi powiedział.

Carmody poklepał się palcami jednej dłoni po podbródku.

– Wszystko – powiedział.

– No cóż, jest oczywiste, że on, to znaczy kapitan Corsetti –

dowódca „Wilmingtona", miał rozkaz dać Meyersowi trochę czasu, zanim ja wyląduję. Jak tylko weszliśmy na orbitę, wywołał Meyersa przez radio i powiedział mu, że przybywam. To wskazuje, że kierownictwo Solar na Ziemi wiedziało o piramidzie i chciało ją ukryć przed...

– Proszę to pominąć. Ja się nimi zajmę. Chcę wiedzieć o tym Indianinie. Jak on się nazywa?

– Kah-sih-omah. Ale nazywamy go Casey. Gdzie pan o nim słyszał?

– Nieważne. Proszę mówić dalej.

– Tak, sir. No, ale część tego, co wiem, pochodzi z drugich ust, od Bigelowa i dopiero znacznie później się o tym dowiedziałam. W każdym razie od początku nie było zgody między mną a Meyersem. Wiedział, po co przybyłam, albo przynajmniej tak sądził, i wiedział również, że wkrótce może znaleźć się na lodzie, że jeśli dowiem się o piramidzie, będzie skończony.

– Proszę wstrzymać się od komentarzy, miss Ryan. Tylko istotne fakty.

– Staram się tylko przedstawić jego nastawienie, Mr. Carmody.

Carmody nie sprzeciwiał się więcej. Nic nie odpowiedział, uznałam więc, że mogę kontynuować, powtarzając dosłownie wszystko, co pamiętałam.

Zaczęło się dość niewinnie; po prostu podziękowałam Meyersowi za wyjście po mnie na przystań. Odpowiedział mi grubiaństwem.

– Nie po to tu przyszedłem, moja pani. Przyszedłem, żeby sprawdzić ładunek. Jeśli idzie o mnie, to następnym statkiem może sobie pani odlecieć z powrotem. A w ogóle, czego pani tu chce?

– Pan dobrze wie, po co przyjechałam, panie Meyers. Jestem tu, by przeprowadzić inspekcję ekologiczną. Zgodnie z przepisami prawa. Nie wolno otworzyć żadnej planety dla eksploatacji lub kolonizacji, zanim Komisja Ekologiczna Narodów Zjednoczonych na to nie zezwoli i nie określi niezbędnych ograniczeń. To moje zadanie, o'kay? Nie szukam z panem sprzeczki.

– Ani ja. Ale mam teraz dość pracy bez pilnowania pani czy tracenia czasu na pani oprowadzanie.

– Nie potrzebuję, by mnie ktokolwiek pilnował. Ani oprowadzał. Potrafię sama dać sobie radę. Nie zauważy pan nawet, że tu jestem.

Odwróciłam się, by odejść, a wtedy on schwycił mnie za ramię. Tak, że mnie to zabolało i o to, jak sądzę, mu chodziło. Nie mogłam się wyrwać.

– Ręce przy sobie – ostrzegłam. – Jestem funkcjonariuszem Narodów Zjednoczonych. Może pan pójść za to do więzienia.

Puścił mnie, ale na ramieniu zostały mi wielkie czerwone ślady.

– Może pani postępować, jak się pani podoba, ale proszę zapamiętać, że na tej planecie jest 450 zdrowych robotników budowlanych i ani jednej kobiety. Niektórzy z nich nie widzieli kobiety od dwóch lat. Może ja nie zauważę pani obecności, ale zauważy każdy z nich, zanim wyjdzie pani z tej przystani.

Byłoby w porządku, gdyby na tym poprzestał. Ale nie zrobił tego.

– Oczywiście być może o to właśnie pani chodzi. Taka dziewczyna jak pani może przez te cztery miesiące pobytu zrobić tu majątek.

Zamachnęłam się, by dać mu w twarz i w tym samym momencie już wiedziałam, że to błąd. Zatrzymał mnie z łatwością olbrzymim łapskiem.

– Nic z tych rzeczy, moja pani. Na Campbellu prawo to ja. Jestem sędzią, ławą przysięgłych i całą resztą. Napad na mnie może kosztować przynajmniej trzy miesiące aresztu. Bigelow! – zawołał.

Zjawił się wielki chłop z zaspanymi oczami. Meyers nazywał go „Scotty". Nie wiedziałam wówczas, że nie jest bynajmniej tak niewinnym stworzeniem, jak wygląda. Bigelow był tutejszym architektem-projektantem, kierownikiem budowy siatki lądowania. Ale miał też uboczne zajęcie: był półetatowym mordercą.

Meyers kazał mu natychmiast zaprowadzić mnie do biura kierownictwa budowy, więc poszłam za nim. Meyers nie załatwił tego zbyt chytrze, chociaż starał się ukryć swe prawdziwe zamiary. Udało mi się usłyszeć, że polecił Bigelowowi znaleźć mi jako ochronę osobistą kogoś możliwie wielkiego, brzydkiego i głupiego.

Wtedy jeszcze Bigelow wydawał mi się dość sympatyczny, chociaż i on dał mi do zrozumienia, że tu przeszkadzam. Mieli ustalone terminy robót i jakiekolwiek, najmniejsze nawet, opóźnienie kosztowałoby konsorcjum ogromne sumy, które obciążyłyby inwestorów, angażujących swoje pieniądze w nadziei na eksploatację bogactw mineralnych planety, gdy sieć lądowania zostanie ukończona. On zaś osobiście obawiał się o premie, których kierownictwo budowy nie otrzymałoby w wypadku niedotrzymania terminu ukończenia robót. I opowiedział mi też o rodzinie, którą wielkim kosztem utrzymywał na Ziemi.

Zostałam więc tam zamknięta w pokoju na zapleczu i było mi go żal. Było mi żal nawet Meyersa, choć go nie lubiłam. Na pewno byłam dla nich problemem i być może na ich miejscu, mając kogoś, kogo trzeba było chronić przed 450 potencjalnymi gwałcicielami, zachowywałabym się podobnie.

Zdawało mi się, że do powrotu Bigelowa upłynęły godziny. Moją rozrywką było wyglądanie przez jedyne okno pokoju. Wychodziło ono na błotnistą ulicę, odznaczającą się zupełnym brakiem ruchu. Wreszcie Bigelow pojawił się, a wraz z nim niezgrabny, powłóczący nogami mężczyzna, ubrany w ogrodniczy kombinezon i sztywny kapelusz. Nie nosił koszuli i na miedzianoskóre ramiona spadały mu spod kapelusza długie, czarne warkocze. Był równie ciężki, jak muskularny. Bigelow wykonał otrzymany rozkaz tylko w jednym punkcie: ten człowiek był wielki. Miałam wówczas nadzieję, że nie okaże się zbyt tępy, choć rozglądał się wokół gapowato, jak turysta. Nie był brzydki, był po prostu przeciętny.

Bigelow przedstawił go jako K. S. Omah.

– Cześć, mister Omah – powiedziałam.

– Nazywają mnie Casey – odpowiedział nieśmiało. – Miło mi panią poznać. Czy jest pani gotowa?

Podziękowałam Bigelowowi i zeszłam za Caseyem po schodach na ulicę, po drodze przyglądając mu się. Poruszał się jak cień, bez wysiłku czy pośpiechu i zaczęłam podziwiać wdzięk, z jakim poruszało się jego masywne ciało. Znałam Indian już dawniej, a on bez wątpienia był jednym z nich, na co wskazywał też orli nos i wystające kości policzkowe. Był dostatecznie wysoki i jasnoskóry, by uchodzić za Północnego Siuksa, jednak oni rzadko bywali tak potężnie zbudowani.

Nie rozmawialiśmy, zanim nie dotarliśmy do swoich apartamentów: foyer, kuchnia i dwie sypialnie, wszystko z nieheblowanego miejscowego drewna z paroma meblami z tego samego materiału.

– Nie jest to Hotel Ritz – powiedziałam – ale wystarczy.

I zaraz pomyślałam, że zabrzmiało to bardzo głupio. Rozejrzałam się. Mój bagaż był w większej sypialni. Zajrzałam do drugiej. Leżał tam zniszczony worek wojskowego typu. Zanim zdołałam zapytać, Casey odpowiedział:

– Mój. Mam pani pilnować bez chwili przerwy.

Rzekł to takim tonem, jakby rozumiał to dosłownie. Już miałam zaprotestować, ale powstrzymałam się i pomyślałam: „To jest rozsądne". Co mi mogło grozić w jego obecności? Wyglądał dość sympatycznie. Powiedziałam więc zamiast tego:

– Dobrze, postaram się nie sprawiać panu kłopotów.

Na co bardzo niewinnym tonem odpowiedział:

– Zupełnie mi pani nie przeszkadza, miss Ryan. A co pani będzie tutaj robić?

– Jestem osobą wsadzającą nos w nieswoje sprawy. Casey. Czy nie powiedzieli panu tego?

Potrząsnął głową z powagą i mruknął z rezerwą: – Nie.

Uświadomiłam sobie, że staram się być złośliwa, odgrywając się na tym prostym człowieku za wrogie przyjęcie na przystani.

– Przepraszam – powiedziałam. – Chciałam powiedzieć, że mam tu zrobić inspekcję ekologiczną planety, ustalić, czy obecność człowieka nie wyrządzi jej szkody, czy nie zniszczy miejscowych form życia lub czy nie wystąpią niebezpieczeństwa dla przyszłych kolonistów i tak dalej. Rozumie pan? – Będę musiała wyjeżdżać w teren, może po parę dni i przypuszczam, że pan też będzie ze mną.

– Tak, miss Ryan. Pojadę.

– Czy bywał pan już w terenie?

– Tylko koło bazy, nigdy dalej.

Początkowo ta odpowiedź mnie zaniepokoiła i rozzłościłam się, że Meyers nie dał mi doświadczonego przewodnika. Ale przemyślawszy sprawę uznałam, że tak jest lepiej. Dzięki temu będę sama wybierać kierunek, a ten prosty człowiek mówił tak szczerze, że byłam pewna, że zechce i potrafi mnie obronić, nawet przed Meyersem.

– Świetnie, wyruszamy rano. Potrzebny nam będzie ślizgacz. Myślę, że będzie pan to umiał załatwić i że potrafi pan kierować.

– Owszem, miss Ryan, potrafię.

W świetle tego, czego dowiedziałam się później, moje następne pytanie było niepotrzebne, lecz wówczas tego nie wiedziałam, a Casey nie poczuł się dotknięty.

– Będziemy biwakować kilka dni, Casey. Musi pan postarać się o sprzęt i żywność. Przypuszczam, że ma pan pojęcie o biwakowaniu i gotowaniu.

– Jakoś dam sobie radę, miss Ryan. Dostanę wszystko, co trzeba i będę gotów na rano.

Pomógł mi rozpakować się, po czym zostawił mnie za zamkniętymi na klucz drzwiami i zaczął przygotowywać nasz wyjazd. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, jakie poruszenie wywołało moje przybycie ani jak drastyczne posunięcia wykonali Meyers i Bigelow, by mieć pewność, że nie opuszczę Campbella z wiadomościami o piramidzie. Chociaż znajdowała się bardzo daleko, w gęstej puszczy, a szanse, bym ją odnalazła, wyrażały się ułamkiem o astronomicznej ilości zer po przecinku, nie chcieli podejmować nawet tak znikomego ryzyka. Bali się, że jeżeli istnienie piramidy zostanie ujawnione, ich działalność zostanie zawieszona do chwili ustalenia czym ona jest. Może sądzili, że uznamy ją za znak, że jakaś inna rasa wcześniej zgłosiła roszczenia do Campbella i polecimy ewakuować planetę?

Już przedtem próbowali ją zniszczyć, ale bez rezultatu.

Współczesne materiały wybuchowe jej się nie imały. Człowiek nie był w stanie ani jej zbudować, ani zniszczyć. Później dowiedziałam się, że Meyers zastanawiał się nad możliwością zagrzebania piramidy w ziemi, ale moje niespodziane przybycie nie

zostawiło mu na to dość czasu. Wobec tego postanowili mnie zlikwidować, a wraz ze mną Caseya – wielkiego, tępego, przeznaczonego na straty Indianina.

Ale wówczas tego nie wiedzieliśmy.

Z początku dzień był przyjemny, chociaż było nam obojgu, ubranym w szorty, zimno. Ale ta strefa Campbella leżała w tropikach i wkrótce zrobiło się gorąco, mimo chłodzącego nas powiewu od śmigieł ślizgacza. O zachodzie słońca dolecieliśmy do pagórków, wśród których było nieco chłodniej. Casey rozbił dla mnie namiot między drzewami, na kolację złożyły się przywiezione z osiedla zapasy. Casey, czy to z powodu nieśmiałości, czy dlatego, że tak wolał, odmówił korzystania z namiotu i zawinął się w koc pod gołym niebem.

Pokazał w ten sposób, że las nie jest mu obcy. Obozowisko założył fachowo, namiot stał prosto, z naciągniętymi mocno linkami, ustawiony na małym wzniesieniu dla spływu wody. Ogień płonął jasno i bez dymu, podsycany suchym, martwym drewnem. Jakiekolwiek wątpliwości czy zastrzeżenia, które mogłam żywić wobec tego człowieka, znikły tego wieczoru. Spałam w namiocie tak spokojnie, jak za najlepszych czasów na Ziemi.

Lekki powiew poranny przyniósł mi do namiotu zapach świeżo zaparzonej kawy. Gdy wstałam, Casey pochylony nad ogniem gotował śniadanie. Otaczała nas gęsta mgła, spowijająca czubki drzew i zasłaniająca wschodzące słońce.

Casey podał mi parujący kubek. Spróbowałam, on zaś przez ten czas przełożył zawartość rondelka na dwa nierdzewne talerze. Jedzenie miało cudowny zapach, zaczęłam więc wciągać głęboko w płuca poranne powietrze Campbella. I powiedziałam:

– Casey, wiem po co tu przyleciałam. Powąchaj to powietrze. Takiego, jak to nie ma już na Ziemi – nigdzie. Człowiek popsuł je dawno temu. Ale dopatrzę, by nikt nie zepsuł go tutaj.

Podał mi talerz, który przyjęłam z wdzięcznością, ale nic nie odpowiedział. Zamiast tego, nim wrócił do swych zajęć, spojrzał mi w oczy. Czy miał w nich łzy? Może od dymu ogniska? Ale wówczas, rzecz prosta, nie wiedziałam jeszcze, że Casey już to wszystko znał.

Zjedliśmy, zwinęliśmy obóz, wytarliśmy rosę z fotoogniw ślizgacza i wystartowaliśmy w dalszą drogę. Drzew było teraz więcej i były wyższe. Rosły grupami, choć nie tak gęsto, by stanowiły już las. Były obwieszone jakimiś orzechami, którymi pasły się zwierzątka wielkości kotów. Pierwsze większe ich stadko ujrzeliśmy tego ranka. Były to czworonogi, ale miały bardzo zręczne przednie łapki. Biegały we wszystkie strony, zbierając i gryząc orzechy i nie zwracały na nas uwagi.

Niewiele wiedziałam o florze i faunie Campbella. To zaś, co wiedziałam, pochodziło ze sprawozdań pierwszych zespołów zwiadowczych, odwiedzających planetę, a, jak wszystkie tego rodzaju raporty, zawierały one tylko to, co najbardziej rzucało się w oczy.

Ku własnemu zadowoleniu wykluczyły one istnienie życia rozumnego, co można było spokojnie założyć, ponieważ Campbell zdawał się być geologicznie młodszy od Ziemi i wobec tego miał niższe niż ona formy życia. Oczywiście występowało też zlewanie się ewolucyjne, ale, przynajmniej na tym kontynencie, nie doprowadziło ono do powstania wielkich przeżuwaczy czy drapieżników.

Występujące na Campbellu białka były zorganizowane nieco inaczej niż ziemskie i wykorzystywały w swej strukturze inne aminokwasy. Większość z nich była po prostu nieużyteczna dla człowieka jako pokarm, ponieważ nie poddawały się one przemianie w ludzkich organizmach, niektóre zaś były wręcz trujące.

Tej nocy obozowaliśmy u podnóża gór. Znów Casey rozbił namiot. Nie miałam ochoty zagłębiać się w notatki tak jak poprzedniej nocy i potem wcześnie udać się na spoczynek. Zaczynałam się przyzwyczajać do życia pod gołym niebem, ogarnął mnie nastrój przygody. Zdecydowałam, że pozapisuję wszystkie głupstwa nazajutrz, a dziś zamiast tego będę się cieszyć wszystkim, co powodowało, że podróż stała się dla mnie niezapomnianym wydarzeniem.

Dlatego wzięłam na siebie gotowanie, podczas gdy Casey poszedł do strumienia po wodę. Siedziałam przy ogniu, napawając się aromatem jedzenia i cichym, spokojnym urokiem rozgwieżdżonej planetarnej nocy.

Casey wrócił zaniepokojony. Najpierw nie chciał mi powiedzieć dlaczego. Ale ponieważ nie dawałam mu chwili spokoju, w końcu to wyjaśnił.

– To może nie mieć znaczenia – powiedział – ale znalazłem resztki ogniska.

Zaprowadził mnie tam i zbadaliśmy je w świetle latarki. Znajdowało się nad strumieniem: zwęglone kawałki drzewa, tak małe, że ledwie mogłam je dostrzec, rozrzucone dokoła i na wpół zagrzebane w piasku. Jemu jednak one coś mówiły. Ja bym ich nawet nie zauważyła, a tym bardziej nie uznałabym ich za dowód bytności człowieka, nie rozumiałam więc jego niepokoju.

– No więc dobrze – powiedziałam w końcu – byli tu jacyś ludzie i rozpalili ogień. Czemu cię to denerwuje?

– Bo teraz muszę poszukać kości.

Schylił się i podniósł z piasku jakiś płytko zagrzebany przedmiot. Oczyścił go. Była to czaszka podobnego do ryby stworzenia, wyglądała na zwęgloną.

– Stworzenia z tej planety są odmienne do ziemskich. Niektóre z nich można spokojnie jeść, choć są mało odżywcze i mają okropny smak. Większość jest jednak niebezpieczna. Te zaś są trujące, a widać, że zostały upieczone, a ich mięso zjedzone.

– Przez kogo? Jeśli ty o tym wiesz, to inni na pewno także.

– Tak. Wszyscy to wiedzą – teraz. Musiała to więc zrobić jedna z pierwszych grup badawczych, już nie żyjąca w czasie, gdy tutaj przyleciałem. Nie słyszałem, by od tej pory zaginął ktoś z bazy, a te resztki są stare. Przeszukam to miejsce jeszcze raz rano.

Zrobił to, ale nie znalazł nic, poza rybimi ośćmi. Tego dnia odkryłam, że Casey potrafi być ponury, przygnębiony i zaniepokojony. Zachowywał się tak, jakby uznał znalezienie tych ości za zły znak. I tak okazało się naprawdę, gdyż dotknęło nas pierwsze nieszczęście.

Nagle nasz nawigator obliczeniowy okazał się martwym nawigatorem obliczeniowym. Odmówił pokazywania naszej pozycji na monitorze konsoli, wyświetlając wijące się przez całą szerokość ekranu linie. Nie udało się nam wydobyć z niego nic, poza słabym, anemicznie świecącym punkcikiem, który toczył się tam i z powrotem wzdłuż dolnej ramki.

– Umiesz to naprawić, Casey?

Jego spojrzenie było wymowniejsze od słów.

– Przekracza to moje umiejętności, nawet gdybym miał części zamienne i narzędzia. Będziemy musieli popracować – dostroić się do satelity nawigacyjnego i obliczyć naszą pozycję przy jego następnym przelocie. Proponuję, żebyśmy się nie ruszali z miejsca, zanim tego nie zrobimy.

Włączył radio i nacisnął czerwony guzik kanału nawigacyjnego. Czekaliśmy. Czas płynął, ale przechodzący po niebie satelita się nie odezwał. Casey zdjął osłonę odbiornika bez odpowiednich narzędzi – nie była to łatwa robota. Spojrzał do środka i westchnął.

– Stopiony. Tuner unieruchomiony. Był jakiś skok napięcia, łuk elektryczny między płytami. Zespawały się. Jeśli poruszę je siłą, tuner się rozleci. Jeśli zaś nie, nie możemy się dostroić do częstotliwości satelity.

– Co jeszcze mamy? – zapytałam. Czułam się wyjątkowo bezbronna, ponieważ moje wykształcenie nie obejmowało tego rodzaju spraw technicznych i brak mi było nawet takiego zasobu wiedzy, który pozwoliłby mi w pełni zdać sobie sprawę z trudności naszej sytuacji.

– Nic. Nawet kompasu. Współczesna nauka dawno temu zastąpiła takie rzeczy byle jakimi maszynkami. Obawiam się, że musimy się uciec do jeszcze prymitywniejszych metod.

Casey zmienił kurs, skierował się na wschód, uważnie śledząc cień ślizgacza na ziemi pod nami. Leciał kursem, który, jak miał nadzieję, powinien nas doprowadzić w pobliże bazy, odchylając go lekko w prawo i starając się brać poprawkę na zmieniające się w ciągu dnia położenie słońca na niebie. Była to żmudna robota.

Nie odzywałam się, po części wiedząc, że jest bardzo zajęty, a po części z powodu ogarniającego mnie niezadowolenia z tak niepomyślnego przebiegu wypadków. Siedziałam więc, czując powiew wiatru we włosach i słuchając monotonnego brzęku śmigieł.

Usłyszałam trzask, najpierw ledwie słyszalny, ale z biegiem czasu coraz głośniejszy.

Casey też go usłyszał i nastawił uszu. Miał zaniepokojony wyraz twarzy, jakby spodziewał się ze strony maszyny nowych kłopotów. Wreszcie dźwięk zamilkł i Casey się uspokoił.

Lecieliśmy ze stałą szybkością około czterdziestu pięciu węzłów przez blisko dwie godziny bez żadnych oznak, wskazujących na źródło tajemniczego hałasu. W ślizgaczu, który ma konstrukcję i układ sterowania bardzo proste, niewiele może się zepsuć i oboje nie podejrzewaliśmy, że przyczyną stukania może być coś poważniejszego niż patyk, który uwiązł w siatce ochronnej śmigieł.

Wtedy ukazała się skarpa. Groziło, że będzie się ona ciągnęła przez całe mile, prostopadle do kierunku naszego lotu. Próba jej ominięcia, biorąc pod uwagę zawodność ludzkich zmysłów, mogła nas kosztować utratę orientacji w terenie. Wobec tego Casey zdecydował się zwiększyć wysokość i wspiąć się na nią, by, wobec zbliżającej się nocy, rozbić obóz na płaskowyżu.

Lecz gdy zwiększył obroty dla uzyskania potrzebnej siły wznoszenia, stuk nagle powrócił. Stał się głośnym łoskotem, wkrótce dołączył się do niego pisk. Oba dźwięki przekształciły się wkrótce w łomoczącą wibrację. Chwyciłam za siedzenie, bojąc się wypaść na zewnątrz. Casey walczył, by to opanować, ale nie mógł wyrównać lotu. W desperacji wyłączył silnik, a ślizgacz spadł jak kamień – jego płaty nie wystarczały do utrzymania nas w powietrzu bez pomocy śmigieł.

Leżące na linii naszego ostrego i szybkiego ślizgu drzewa runęły ku nam gwałtownie. Widziałam, jak Casey mocuje się z drążkiem sterowym, próbując nas skierować w stronę małej polanki koło strumienia, ale wiedziałam, że to się nie uda. Jeszcze patrzyłam z przerażeniem na jego walkę, gdy ziemia podskoczyła do góry, a my uderzyliśmy w nią pod ostrym kątem ze wstrząsem, który odczułam wszystkimi kośćmi. Sunęliśmy ślizgiem po ziemi, wyrzucając w powietrze krzaki i kamienie i podnosząc chmurę pyłu i żwiru. Poczułam, że jakaś siła wyrzuca mnie w przód i wiedziałam, że uderzę w przednią szybę. Zrobiłam rozpaczliwy wysiłek, by schylić głowę.

Ujrzałam wszystkie gwiazdy i na chwilę poczułam smak krwi. A po tym przyszła ciemność.

HAJIME SORAYAMA



Nie wiem, jak długo trwała moja osobista noc. Obudziłam się pośród nocy realnej, patrząc w górę ku usianemu gwiazdami niebu Campbella i czując, że mi mokro i zimno. Bolała mnie twarz, ręce i nogi. W ustach miałam nadal smak krwi, a parę moich przednich zębów chwiało się. Ale próbując poruszyć rękami i nogami doszłam do wniosku, że kości mam całe.

Zrobiłam wysiłek, by unieść głowę, poczułam falę bólu i znów opadłam na szorstki piasek. Zdecydowałam, że powtórzę próbę, ale znacznie wolniej. Tymczasem rozejrzałam się w ciemności, zwracając głowę z boku na bok. Nie dostrzegłam wiele, poza słabym jarzeniem z prawej strony, w kierunku szczytu dalekiego pagórka. Gdy tak patrzyłam, zauważyłam, że pełznie ono w górę stoku i zrozumiałam, że jest to ogień. Cierpki zapach dymu potwierdził ten wniosek. I nagle przyszło mi na myśl, że nie wiem, gdzie jest Casey.

Nie zwracając już uwagi na ból podniosłam się na nogi i na próbę zrobiłam parę kroków. Potknęłam się. Wysilałam wzrok, by dojrzeć coś w ciemnościach bezksiężycowej nocy. U nóg miałam bezkształtną masę. Nasz namiot? Nie, torba z zapasami, w każdym razie z ich częścią. Pachniała dziwnie, zrozumiałam, że jest nadpalona.

Zaczęłam ją obmacywać, chcąc znaleźć zapięcie i wydostać latarkę. Wtedy usłyszałam jęk Caseya. Leżał pod torbą, obejmując ją rękami. To one, a nie torba, były spalone.

Zaczęłam mocować się z torbą, starając się ją przesunąć w kierunku jego stóp. W końcu torba ześliznęła się na ziemię. Otworzyłam ją i gorączkowo przeszukiwałam zawartość, aż wreszcie poczułam pod ręką znajomy kształt.

Nacisnęłam guzik, zajaśniał ostry płomień światła. Ujrzałam opalone pnie drzew i pokrytą czarnym popiołem ziemię. Trawa, choć zachowała swój kształt, była zupełnie spopielona i rozpadała się w pył pod tchnieniem wiatru.

Skierowałam światło na Caseya i dech mi zaparło z przerażenia. Ramiona trzymał ciągle w górze, jakby nadal obejmował torbę. Zamiast palców miał zwęglone kikuty. Ramiona były pokryte straszliwymi pęcherzami i chociaż torba zasłoniła przed ogniem twarz i piersi, warkocze były spalone i resztka włosów zwisała luźno z czaszki. Z głębokiej rany na czole obficie ciekła krew, spływając po szyi na ziemię i rozlewając się w czarną kałużę obok głowy.

Jęk był znakiem, że Casey żyje, jednak jego widok świadczył w jak okropnym jest stanie. W naszej torbie była tylko maleńka apteczka. Przeszukałam ją i nie znalazłam nic, co by się choć trochę nadawało w tym wypadku. Była tylko tuba galaretki antyseptycznej, którą posmarowałam najgorzej opalone miejsca na ramionach i dłoniach. Ale brakowało dużych opatrunków, nie było żadnych maści i tylko trzy ampułki morfiny dla ulżenia bólom. Nie na długo by wystarczyły. Postanowiłam zaczekać z ich użyciem do chwili, gdy będzie ich najbardziej potrzebował. Przykryłam go kocem i usiadłam obok, by się zastanowić nad własną sytuacją. Nic bardzo złego mi się nie stało. Parę małych guzów, skaleczeń i otarć naskórka, ogień zaś nawet mnie nie osmalił. Sądząc z tego, jak wyglądał przód mej bluzki, poleciało mi dużo krwi z nosa, ale choć mnie bolał, nie wyglądał na złamany.

Wstrząs minął, a ja, siedząc samotnie, starałam się zrozumieć, co się stało. Wiedziałam, że ślizgacz musiał się rozbić o skałę czy wielkie drzewo, że fotoogniwa musiały potrzaskać, co spowodowało ich krótkie spięcie, wskutek czego stopił się kadłub, co znów podsyciło ogień. W pobliżu nie było widać szczątków ślizgacza, a więc Casey odciągnął mnie z miejsca wypadku, zanurzył w strumieniu i wyciągnął na piasek. Musiał być wtedy w pełni sił. Z tego, że nie byłam poparzona, a nawet osmalona, wynikało, że nie byłam ani chwili w ogniu. To znaczy, że Casey poszedł następnie do ślizgacza, by wydobyć torbę, a ogień musiał już wtedy gwałtownie się palić. Odniósł więc obrażenia, ratując torbę, ale czemu – zastanawiałam się – poszedł aż na takie ryzyko?

I wtedy przypomniałam sobie, że tutejsze pożywienie nie nadaje się dla człowieka. My potrzebowaliśmy ziemskiego. Powrót do osiedla bez ślizgacza potrwa całe tygodnie, wystarczająco długo, by umrzeć z głodu po drodze. Casey wiedział, że aby wrócić, potrzebna nam torba, że jesteśmy samotni i zgubieni, bez nadziei na ratunek. Dlatego wrócił do ślizgacza.

Na chwilę poczułam do niego złość za to, że w ten sposób oboje nas naraził na śmierć. Jego męski umysł podpowiedział mu, że musi mnie ocalić przynosząc jedzenie, ale nie powiedział, że bez jego pomocy i tak nie mam przed sobą najmniejszej szansy. Gdy to zrozumiałam, w jakiś dziwny sposób wcale mnie to nie zaniepokoiło, a w każdym razie nie tak, jak myśl o tym, że będę go musiała pocieszać w ostatnich, co już było oczywiste, chwilach jego życia.

Casey nie poruszył się i dalej leżał pod kocem z rękami w górze. Nie wiedziałam, czy jeszcze żyje i długo wahałam się, zanim zmusiłam się do uchylenia koca.

Wstrząs byłby mniejszy, gdybym go ujrzała martwego z zamkniętymi oczami. Były otwarte. I rzecz niewiarygodna – poruszał nimi. Był przytomny i zadziwiająco opanowany, jakby na mnie czekał.

Dość długo trwało, nim wreszcie byłam w stanie przemówić.

– Casey, mam morfinę. Dam ci zastrzyk.

– Nie – odpowiedział pełnym głosem. Zupełnie to nie pasowało do strasznego bólu, który, jak wiedziałam, musiał odczuwać. – Zachowaj ją. Panuję nad tym. – Po czym zamknął oczy.

Pamiętam, że powtarzałam sobie: „On bredzi". Wybuchnęłam. Ja w każdym razie nad tym nie panowałam.

– Casey! – zawołałam. – Twoje ręce! Nic z nich nie zostało. Co my poczniemy?

Spokojnie otworzył oczy, by mnie uspokoić. Znowu powiedział coś niezrozumiałego: – Poczekamy.

– Casey, jesteśmy zgubieni, o setki mil od bazy. Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Ja nie potrafię nas tam doprowadzić. Nawet sama siebie nie potrafię, a cóż dopiero ciebie.

– Poczekamy! – prawie huknął na mnie. – Rozstaw namiot nade mną, a potem daj mi spać. I zmyj krew z twarzy. Wyglądasz okropnie.

Zamknął oczy, a ja znowu wpadłam w panikę. Czy to było majaczenie, czy też Casey był jakimś niewrażliwym na ból supermanem? Tak źle wyglądał, a mówił tak mocnym i zdecydowanym głosem. Przez długie minuty klęczałam schylona nad nim, patrząc jak jego pierś podnosi się i opada w głębokim, regularnym oddechu. Wreszcie przykryłam go znowu i poszłam zrobić, czego zażądał.

Zmyłam z siebie krew za pomocą maczanej w chłodnej wodzie strumienia apaszki, by następnie wrócić i umyć jego.

Zastanawiałam się teraz nad szansą na to, by wyzdrowiał, tak jak parę godzin temu zastawiałam się nad jego śmiercią. Jeśli wyżyje, będzie przez całe tygodnie bezradny. Spojrzałam na torbę z zapasami, która bynajmniej nie wyglądała na pełną i rozważałam na ile, przy największej oszczędności, wystarczą. Wycieczkę planowaliśmy na sześć dni. Teraz, gdy nie było ślizgacza potrwa ona raczej około sześciu tygodni – jeśli w ogóle przetrwamy.

Nadszedł poranek. Wstałam wraz ze słońcem, czując się trochę mniej rozbita niż wczoraj i już pogodzona z tym, co być musi. Casey spał nadal, wyglądając z zapadniętymi oczami i pociemniałymi powiekami na jeszcze bardziej wychudzonego. Ale jego rana! Rana zniknęła. Nie po prostu zmniejszyła się, lecz zniknęła, bez strupa, bez blizny, nawet bez zasinienia. Zrobiło mi się zimno.

Drżącymi rękami chwyciłam koc i ściągnęłam, odkrywając jego kościstą obecnie szyję i klatkę piersiową. Ona również wyglądała na zapadniętą, tam zaś, gdzie poprzednio zdobiły ją silne muskuły, ostro sterczały żebra.

Spojrzałam na jego ręce, które leżały złożone na tułowiu oczekując, że ujrzę je w strzępach, może zgangrenowane. Spalona skóra złuszczyła się i odpadała płatami. Pęcherze wyschły. Zamiast czarnej spalenizny patrzyłam na gładką, różową skórę bez śladu blizn.

Rozsądek mówił mi, że to niemożliwe, że to wszystko jest igraszką mej fantazji. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami, nie wierząc w to, co widzę. Potem spojrzałam na jego dłonie, wczoraj spalone, popękane, ociekające płynem tkankowym. W ostatniej chwili stłumiłam wyrywający mi się z gardła wrzask. Puls głośno łomotał mi w skroniach.

Dłonie były nietknięte, gładkie i różowe, brakowało im tylko paznokci, ale i one zaczynały już kiełkować na czubkach palców. Wypuściłam koc z ręki i uklękłam obok tego dziwnego nowego Caseya myśląc o tym, co ujrzałam. Byłam przekonana, że to nie może być prawda. Nagle przyszło mi na myśl pytanie: jeśli to jest halucynacja, to czy prócz wzroku obejmuje też dotyk? Jakaś obłąkańcza ciekawość zmusiła mnie do wyciągnięcia ręki. Dotknęłam – ale nie spalonych na węgiel resztek, lecz ciepłego, jędrnego ciała, w którym bił puls, słaby, ale regularny. Tym razem nie opanowałam ostrego, przenikliwego krzyku. Wyrwał mi się z gardła, napełniając echem dolinę.

Casey poruszył się. Otworzył oczy i uśmiechnął się słabo, zupełnie zacierając demoniczny obraz, który już zaczęłam tworzyć w wyobraźni. Stał się znowu człowiekiem. Mój lęk się rozwiał. Przyklękłam przy nim, trzymając go za rękę i czekając aż zbierze dość sił, by przemówić. Czy to, co widziałam, było cudem czy nie, byłam temu wdzięczna.

Poruszył wargami. Najpierw bezgłośnie, ale gdy pochyliłam się nad nim i wysiliłam słuch, odezwał się zrozumiale.

– Panuję nad tym – powiedział. – Odbudowałem się, zastąpiłem zniszczoną tkankę nową. Ale zużyłem przy tym wszystkie rezerwy mojego ciała. Trzeba je odnowić. Pomóż mi.

Oczywiście miał na myśli swoje wychudzenie. W jakiś sposób umiał przemieszczać zdrowe tkanki na miejsce zranionych, być może z wielkim niebezpieczeństwem dla całości organizmu i teraz musiał go ochronić. Ale co ja miałam dla niego zrobić?

– Jak, Casey? Powiedz mi, jak?

– Potrzebuję białka i to dużo. Muszę jeść mięso.

Chciałam wstać. – Przyniosę ci, Casey.

Mocnym uściskiem przytrzymał mnie za rękę.

– Nie – powiedział – nie z zapasów. Te są dla ciebie. Potrzebujesz ich.

– Więc skąd je wziąć?

– Ze strumienia. Tam pływa żywność.

Joseph H. DELANEY

jest bardzo płodnym pisarzem amerykańskim, publikującym prawie w każdym numerze miesięcznika „Analog". Zamieszczone tu opowiadanie kandydowało do nagrody Hugo w roku 1983. (L.J.)

– Ryby? Przecież powiedziałeś, że są trujące.

Ciągle klęczałam, trzymając go za rękę.

– Dla ciebie tak, ale nie dla mnie. Ja mogę je strawić, a truciznę zneutralizować. Ty nie. Posłuchaj mnie, widziałaś, że jestem inny. A teraz rób, o co proszę.

Jego głos, choć słaby, był rozkazujący. Zeszłam do strumienia, by nałapać rybowatych stworzeń, uwięzionych w zakolu. Z zapasowej garderoby i sprężystego korzenia zmajstrowałam siatkę, którą wyrzucałam bezradne zwierzęta na brzeg, aż wyłapałam wszystkie. Wtedy rękami wykopałam w piasku i miękkim mule kanał do głównego nurtu, by ze strumienia napłynęło ich więcej.

Smierdziały straszliwie, piękąc się na rożnie. Nie wiedziałam, jak je oczyścić. Na Caseyu nie zrobiło to żadnego wrażenia, pożarł do ostatniego kąska wszystko, co mu podałam. Przez cały dzień jadł wszystko, co udawało mi się złapać, przeplatając te obrzydliwe posiłki krótkimi drzemkami.

Do zachodu słońca odzyskał już siły na tyle, że mógł siadać.

– Jutro – powiedział – będę polował.

Wstałam późno, słońce stało już wysoko na niebie. Caseya nie było. Znalazłam go przed namiotem, zupełnie odmienionego. Nadal szczupły i wychudzony, ale już zdrów i bez śladów uszkodzeń ciała, stał przede mną w irchowych mokasynach i z irchową przepaską na smukłych biodrach. Włosy, teraz zbyt krótkie, by je spleść w warkocze, związał wstążką materiału. Wszystko to, wraz z niezwykłym naszyjnikiem, zwisającym na piersi, bez wątpienia wyciągnął z głębin swej starej torby wojskowej.

– Zęby wężowe – powiedział wskazując naszyjnik – na szczęście. Jeden z moich talizmanów. Przydałoby się nam trochę szczęścia, przynajmniej dla odmiany.

– Też tak sądzę – odrzekłam.

Z zaostrzonego kołka namiotowego i kija Casey majstrował coś w rodzaju oszczepu.

– Szczęście, czy jego brak – powiedział – nie miało nic wspólnego z naszymi wypadkami. To był sabotaż.

Długo wlepiałam w niego oczy, zanim udało mi się przemówić.

– Ale jak i kto?

– Nie mam pewności w stosunku do instrumentów pokładowych. Niewiele z nich zostało. Ale w łożyskach śmigieł znalazłem pełno szmerglu. To dlatego zawiódł napęd.

– Ale kto? Kto mógłby chcieć nas zabić?

– Nie nas, ciebie. Ktokolwiek to był, ja jestem dla niego niczym. A ty zagrażasz komuś w bazie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ten ktoś obawia się, że możesz znaleźć tutaj coś, co uniemożliwi im eksploatację tej planety.

– Ale co? Z całą pewnością nie znalazłam dotychczas niczego, co by taki zakaz usprawiedliwiało, chyba że... – Przyszło mi coś do głowy. – Casey, jak długo jesteś na Campbellu?

– Około trzech lat, przybyłem z pierwszą załogą bazy.

– A robiłeś wycieczki po planecie?

– Oczywiście, choć nigdy tak daleko od morza.

– Widziałeś może... albo przynajmniej słyszałeś o jakichś wyższych gatunkach na tym terenie?

– Nie, nigdy. Czemu pytasz?

– Ponieważ – odpowiedziałam, ciągle niepewna, czy to była prawda, czy tylko złudzenie – zdaje mi się, że zeszłej nocy widziałam ogień, daleko na skarpie.

– Może widziałaś poszukującą nas wyprawę ratunkową?

– Ale oni przecież nie wiedzą, co się z nami stało. Jeszcze nie przekroczyliśmy terminu powrotu. A jeśli to byli ludzie, to czemu do nas nie przyszli? A może to nie byli ludzie. To wielka planeta. I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę niski stopień rozwoju form życia na Campbellu, nie można jednak wykluczyć pojawienia się tutaj rozumu. Umiejętność rozpalania, czy bodaj korzystania z ognia, wymaga już dość wysokiego poziomu inteligencji. Znacznie wyższego, niż u wszystkiego, na co dotychczas się natknęliśmy. Zaś – dodałam – istnienie miejscowych form życia rozumnego stanowi aż nadto dostateczną przyczynę, by mnie zabić. Wtedy planeta byłaby własnością tuziemców, a Solar Minerals wywalono by stąd na zbity łeb.

– Powiedz mi, gdzie widziałaś ogień, Kim.

Wskazałam to miejsce na skarpie, jak mi się zdawało dość dokładnie. C z y C a s e y z w r ó c i ł s i ę d o m n i e p o i m i e n i u?

– To tam – powiedziałam. – Tam, gdzie ta ciemniejsza plama.

– Wobec tego pójdziemy w tamtym kierunku. Teraz jedz, a ja przygotuję pakunki. Obawiam się, że musimy zostawić namiot i mniej potrzebne rzeczy, by bagaż był lżejszy.

Przez cały dzień wędrowaliśmy przez zarośla, ciągnące się od podnóża gór aż do skarpy. Chcieliśmy osiągnąć jej podstawę, lecz leżała dalej niż się początkowo wydawało. Droga była trudna, marsz utrudniały nam zwarte gąszcze i kamieniste wąwozy. Gdy na koniec zatrzymaliśmy się na biwak przy strumyczku, Casey nie pozwolił rozpalać ognia. Zjedliśmy zimny posiłek, a potem Casey wziął się do pracy, splatając z olinowania namiotu i rozstawiając nad wodą sidła na zwierzynę.

Gdy słońce zaszło, leżeliśmy w ciemnościach, przytuleni pod kocami. Choć byłam wyczerpana, nie mogłam zasnąć, gdyż trapiły mnie wątpliwości, czy nawet przy cudownej sprawności Caseya jako leśnego człowieka, dotrzemy kiedykolwiek do brzegu morza. A poza tym doszłam do wniosku, że już potrafię zdobyć się na odwagę i postawić pytanie, które nurtowało mnie od chwili katastrofy, pytanie, którego bałam się postawić, nie wiedząc, czy potrafię znieść odpowiedź – jeśli ją otrzymam.

Dlatego więc, działając pod wpływem impulsu, bez namysłu wyrzuciłam je z siebie tak szybko, bym nie mogła się już pohamować:

– Czym ty jesteś, Casey?

N o w i ę c s t a ł o s i ę. Nie odpowiedział od razu. Milczał dłuższą chwilę, potem westchnął.

– Jestem Kah-sih-omah, w języku moich ojców – Ten-Który-Czeka.

Podniosłam się, oparłam na lewym łokciu i spojrzałam mu w twarz.

– Nie – powiedziałam. – Nie kim, lecz c z y m jesteś, Casey. Wiesz, o co pytam. I jesteś mi winien prawdę.

Znów milczał przez chwilę, jakby się namyślał, czy w ogóle coś powiedzieć. Znowu westchnął.

– Masz rację, Kim. Rzeczywiście jestem ci ją winien. Ale obawiam się, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. Sam już nie pamiętam, ile razy je sobie stawiałem.

Rozzłościłam się na niego, czerpiąc odwagę ze zniecierpliwienia.

– Nie mów zagadkami, Casey. Nie jesteś ani nigdy nie byłeś tępym Indianinem, którego udajesz, choć grasz tę rolę celująco. Przyznaj, że jesteś więcej niż człowiekiem. A teraz powiedz prawdę – czym jesteś?

Nie przyjął do wiadomości, że się gniewam. Niemniej jego odpowiedź była pełna smutku, głos mu się dziwnie załamywał.

– Mówię prawdę, Kim. Nie wiem, czym jestem, a nawet nie wiem dokładnie, w jaki sposób się takim stałem. Powiem ci tyle: nie jestem już człowiekiem, którym kiedyś, dawno temu, byłem. Żyję już bardzo długo. Może nigdy nie będę mógł umrzeć, jakkolwiek bym tego pragnął.

Uderzyła mnie straszna myśl.

– Ryby, Casey! Czy jadłeś je po to, by się otruć i znaleźć śmierć?

W wyobraźni ujrzałam samą siebie koło jego rozkładającego się trupa.

– Nie, Kim. Jadłem, by nabrać sił, wiedząc, że nie przyniesie mi to szkody. Desperacko chciałem żyć, bo wiem, że jestem ci potrzebny.

Zawstydziło mnie to tak, że zamilkłam. Ale Casey, raz zacząwszy, kontynuował, jakby bardzo zależało mu na wyjaśnieniu, na podzieleniu się z kimś tą sprawą.

– Już to dawniej opowiadałem – powiedział. – Niektórzy mi uwierzyli, inni nie. Dzieliłem się tą żałosną opowieścią z przyjaciółmi i osiągnąłem tylko tyle, że widziałem, jak się starzeją i więdną i opuszczają mnie. Zostawiali mnie samotnego, oddzielonego od wszystkich najokrutniejszą zaporą – czasem. Jestem uwięziony w wiecznej teraźniejszości.

Jego głos przybrał odcień skargi. Był w nim wielki smutek, rozczarowanie, które starał się z wielkim wysiłkiem opanować.

– Wielokroć zaczynałem życie na nowo i byłem wielu ludźmi w czasie, który już przeżyłem. Na początku byłem z pewnością zwykłym człowiekiem, ze wszystkimi ludzkimi niedomaganiami. Zestarzałem się jako człowiek, ale potem nagle znów byłem młody i takim już pozostałem, chociaż mogę wyglądać na tyle lat, albo na takiego człowieka, jak mi wygodnie.

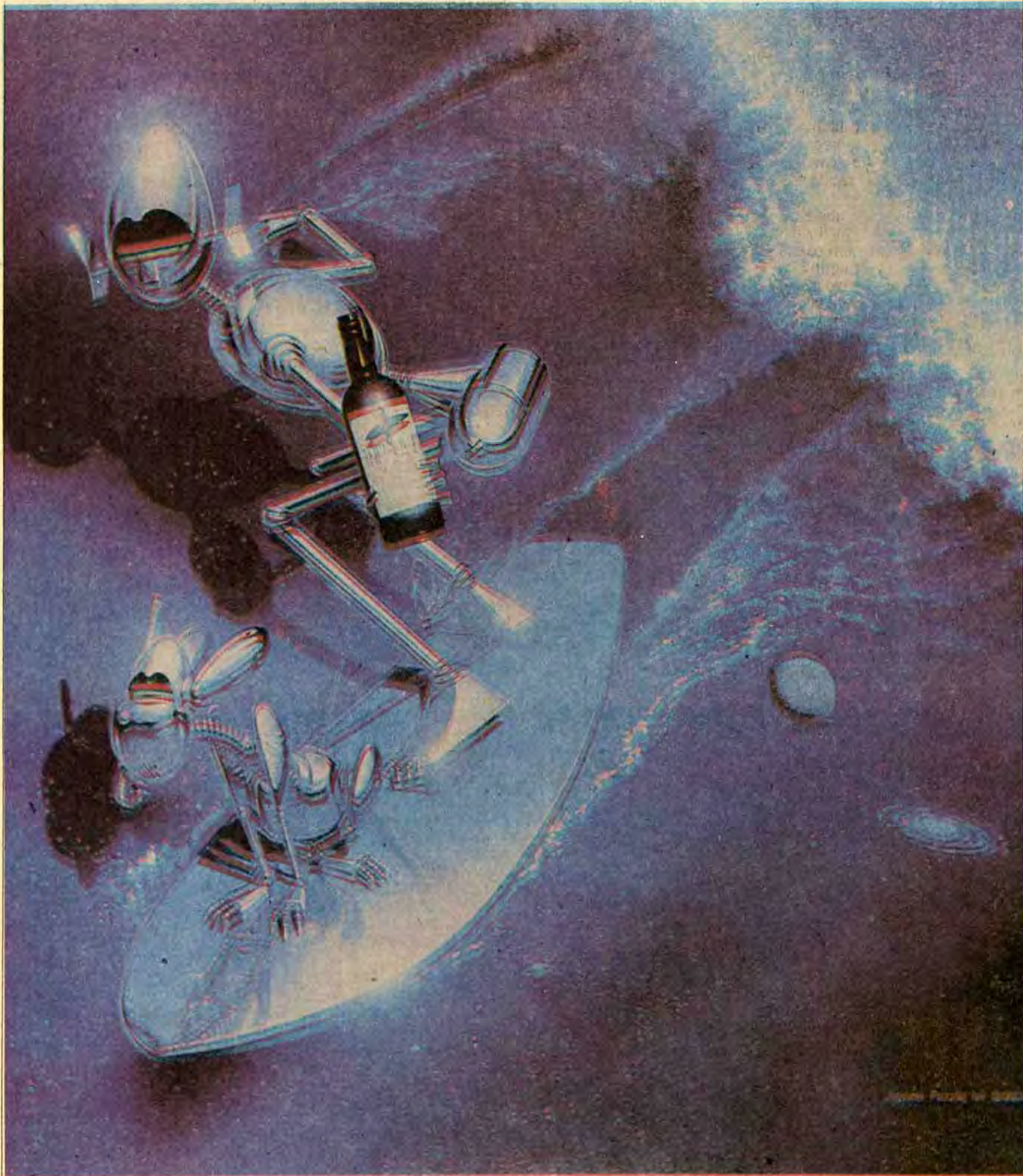
Byłem szamanem mego plemienia, jego znachorem. To pamiętam, tak samo jak pamiętam wszystko, co zdarzyło się przed wizją i wszystko, co nastąpiło po wizji, która mnie przemieniła. Poszedłem na szczyt góry, by pościć w nadziei, że duchy do mnie przemówią. Czekałem przez wiele dni i nocy, ale milczały. Wypiłem więc kubek wody z rozpuszczonym w niej duchem świętego grzyba. Sprowadza on halucynacje, co czyni sprawę mego przemienienia jeszcze bardziej złożoną, gdyż nie wiem, co z tego zdarzyło się naprawdę, a co było złudzeniem. Pamiętam przerażający płomień i straszliwy, palący ból, a po nim zadowolenie, płynące z tak wielkiego wewnętrznego spokoju, jakiego nigdy nie zaznałem. Wierzyłem wówczas, że znalazłem się w obliczu Boga.

Gdy wizja się zaczęła, byłem człowiekiem, może sześćdziesięcioletnim, a może jeszcze starszym. Moje plemię nie znało dokładnej rachuby czasu, lecz u ludzi mego pokolenia podeszły wiek był bardzo szanowany. Gdy się obudziłem, wyglądałem prawie tak, jak teraz i plemię mnie nie poznało, choć im powiedziałem, że jestem Kah-sih-omah. Moja żona i dzieci wyrzekły się mnie. Byłem dla nich obcym, który magicznym sposobem posiadł bezcenne tajemnice rodzinne i pokonał Kah-sih-omaha. Miałem przy sobie jego woreczek z lekami, byłem więc potężniejszy niż on. I z przesądnym strachem wypędzono mnie, grożąc śmiercią.

Nie wiedziałem wówczas, że jestem nieśmiertelny, więc jeszcze bałem się śmierci.

Błądziłem po kraju jako wyrzutek, może przez tysiąclecia, na pewno przez wieki. Przekonałem się, że mogę w dość szerokim zakresie przybierać różne sylwetki i rysy twarzy, choć gruntowne zmiany były uciążliwe i wymagały olbrzymiego wysiłku, by je utrzymywać. Mniejsze zmiany stały się moim nawykiem i dokonywałem ich prawie bez trudu, dlatego mogłem się dostosować do wyglądu każdego plemienia, nauczyć się jego języka i obyczajów i żyć jak oni. Do czasu aż zauważyli, że się nie starzeję. Rzadko jednak zostawałem tak długo w jednym miejscu, więc z bie

HAJIME SORAYAMA



giem lat, nie miałem już własnego imienia. A czas, który zmienia ludzi, zmienia też kultury. Nawet moje plemię straciło swą tożsamość.

Gdy byłem młody, mamuty wędrowały po obu Amerykach. Z czasem odeszły i one, a ja dobrze już znałem oba kontynenty i wszystkich, co na nich żyli. Z każdym rozmawiałem w jego języku i wierzyłem wówczas, że znam już cały świat.

Wtedy dowiedziałem się o wielkich, dzikich cudzoziemcach, którzy pojawili się na dalekiej północy. Ogromni, potężnie zbudowani Wikingowie z bladą skórą i włosami na twarzy, którzy używali żelaznej broni i narzędzi, przywiezionych z krajów za wschodnim morzem. Poszedłem na północ, przybrałem ich wygląd i żyłem wśród nich. Ale kraj okazał się dla nich zbyt surowy, a odległość zbyt wielka. Gdy odpływali, popłynąłem z nimi.

Dopiero w Europie zacząłem naprawdę rozumieć, jak ciężkie jest moje brzemię, gdyż Europejczycy mieli rzeczywiste pojęcie o upływie czasu. Tutaj też po raz pierwszy zetknąłem się z mesjanistycznymi, odkupicielskimi religiami Bliskiego Wschodu. Była to epoka wrzenia. Islam i chrześcijaństwo zwalczały się na polach bitew, powołując się przy tym na posiadanie prawdziwej nauki o losie człowieka.

Musiałem poznać sens mego istnienia. Przez pewien czas sądziłem, że znajdę odpowiedź na Wschodzie i poszedłem tam, poszukując celu, któremu służy moje istnienie. Ale nikt nie chciał ani nie mógł mi tego powiedzieć. Zacząłem dostrzegać, że te odpowiedzi, jakie potrafili dać, były bardzo płytkie. Istnieli prorocy, tacy, jakim ja kiedyś byłem, których działania przyjęły formy kultów i ugrzęzły w bagnie bezrozumnych dogmatów. Znałem dobrze sposoby magów. Rozumiałem zarówno motywy ich działania jak i sposoby, w jakie chytrzy, leniwi ludzie fałszują szlachetne idee, używając ich dla zdobycia bogactw i potęgi.

Nie pragnąłem ani jednego, ani drugiego, porzuciłem ich więc i podążyłem w dalszą podróż do Indii. Tam, choć góry przesądnych głupstw były jeszcze wyższe, pozostałem przez sto czy dwieście lat, badając je dokładnie i znajdując wiele dobrego. Nie znalazłem wprawdzie odpowiedzi, ale jednak natknąłem się na

coś pomocniczego: naprawdę realistyczne pojęcie ogromu czasu, obejmujące zarówno jego początek, jak koniec.

I wtedy pojąłem, że nie jestem prawdziwie nieśmiertelny, że któregoś dnia znajdę koniec, jeśli nie z końcem Ziemi, to ze śmiercią Wszechświata. Pojąłem też, że choć życie mimo wszystko jest czymś skończonym, mnie będzie się ono wydawało nieskończone. A przecież gdzieś w tej nieskończoności – gdzieś, gdzie nie sięga wzrok ani rozum – objawi mi się cel mego istnienia.

Tak więc czekam na znak i czekać będę przez wieki, przygotowując się najlepiej jak umiem do tego, co musi nadejść. Teraz już wiem, że moje przeznaczenie się zbliża, ale w oczekiwaniu na nie jestem samotny.

Casey zamilkł. Przytuliłam się do niego, by go pocieszyć. Choć byłam nieskończenie małym ułamkiem tego, czym był on, przyjął to pocieszenie i na chwilę samotność, którą odczuwaliśmy oboje, odpłynęła i na chwilę została zapomniana.

W świetle dnia mogliśmy zaryzykować rozpalenie ogniska. Casey wrócił z obchodu sideł z jednym z orzechojadów i ostrzem oszczepu splamionym krwią.

Wbił oszczep w ziemię, by był pod ręką i za pomocą noża z kompletu wycieczkowego zaczął obdzierać zwierzę ze skóry. Choć ubiegłej nocy mówił tak wiele, teraz był dziwnie milczący. Skończył oprawiać zwierzynę, wbił ją na rożen nad ogniem, a jelita umył w strumieniu. Pomyślałam, że może żałuje, iż otworzył przede mną serce.

Wrócił, niosąc w rękach szklistą masę, którą wepchnął do plastykowego słoika i obficie posolił. Potem wziął ode mnie rożen i obracał go z wolna, aż mięso nabrało jednolicie brązowej barwy i zaczęło trzeszczeć, kapiąc tłuszczem.

Patrzyłam, jak oderwał kawałeczek i przeżuł go starannie, potem połknął.

– Możesz to bezpiecznie jeść – powiedział. – Nie zaszkodzi ci, a musimy teraz korzystać ze wszystkiego, co uda się zdobyć, jeśli mamy kiedykolwiek dotrzeć do bazy.

Dziwne słowa. Ton jego głosu zapowiadał coś złego, ale nie wypytywałam go. Wiedziałam już, że jeśli Casey chce coś ujawnić, robi to we właściwym czasie i według własnego uznania. Zjadłam, co mi dał i było to smaczne.

Następnie, gdy zwijałam obozowisko, Casey oskrobał i nasolił skórę zwierzęcia. Zwinął ją i związał rzemieniem.

– Chodź – powiedział, biorąc swój pakunek i oszczep. Poszedł w stronę rozbitego ślizgacza.

– Casey – powiedziałam zdumiona – to nie ten kierunek.

– Wiem, ale chodź ze mną. Muszę ci coś pokazać.

Poszłam za nim, czując jego zaniepokojenie, aż do strumienia, gdzie był kawał ubitego piasku. Zatrzymał się i pokazał na ziemię.

– Popatrz – powiedział, wskazując na ślady na piasku. – Coś nas tropi.

Ogarnął mnie lęk.

– Co... kto?

– Nie wiem. To nie człowiek, ale i nie zwierzę. Zastawiłem cztery sidła. Zwierzyna złapała się we wszystkie, ale trzy okradziono. Tylko najbliższe naszego ogniska pozostało nietknięte.

– Może jakieś zwierzę...

– Nie. Zwierzęta przegryzają albo zrywają sznury. Nie rozplątują węzłów. Zabijają zębami albo pazurami, nie pałkami. Złodziej miał kamienną siekierę. Położył ją na ziemi, gdy podbierał naszą zdobycz. Stąpnął na nią, zostawiając jej odbicie na piasku. To są rzemienie, wiążące ostrze z trzonkiem. Zauważ odciski jego stóp, nie były bose, lecz obute. Gdy stworzenie przyklękło na jedno kolano, nie zostawiło na piasku odbicia palców u nóg.

– Więc na Campbellu są istoty rozumne. A Solar Minerals wie o tym. Miałeś rację mówiąc, że chcą mnie zabić.

– Tak się wydaje. Ale teraz grozi nam nowe niebezpieczeństwo, jeszcze więcej wrogów. Dlatego muszę sporządzić broń i może będę musiał zabijać, choć się tym brzydzę. Ale chodź już, trzeba wyruszać w drogę. Tu już się niczego więcej nie dowiemy.

Przez cały dzień maszerowaliśmy wytrwale.

– Jutro – powiedział Casey – będziemy już uzbrojeni i przygotujemy się do wspinaczki.

Tej nocy, gdy zapadły ciemności, zasnęłam w jego ramionach, z przekonaniem, że jestem bezpieczna mając obrońcę o wiele lepiej uzbrojonego niż jakikolwiek wróg, który się ku nam podkradał.

A później, w ciemności wnętrza jaskini, spotkaliśmy się z wrogiem. Coś mnie nagle odrzuciło na bok, wyrwaną ze snu wrzaskiem, którego nie mogło wydać ludzkie gardło. Odpełzłam z zasięgu młócących wokół nóg i schwyciłam latarkę z mego pakunku, oświetlając nią wnętrze jaskini.

Casey walczył z niezdarnym olbrzymem, sięgającym niemal stropu jaskini. W jednej ręce miał kamienną siekierę, drugą trzymał Caseya za gardło.

Casey odpychał siekierę jedną dłonią, drugą tłukł napastnika. Jego wróg był potężny i zdecydowany i pchał Caseya plecami na ścianę, choć ten z napiętymi jak węzły muskułami stawiał opór. Spychany wstecz rył stopami głębokie ślady w piasku dna groty.

Odskoczyłam na bok, oni zaś walczyli obok mnie. Omiotłam grotę światłem latarki w obawie, że inni wrogowie mogą próbować się wedrzeć. Starałam się wymyśleć, jak pomóc Caseyowi. Nie był przecież słabeuszem, ale nie odzyskał jeszcze pełni sił.

W kącie stał łuk i kołczan, ale nie umiałam ich używać. Lecz obok tkwił ostrzem w piasku oszczep. Podbiegłam i wyciągnęłam go właśnie w chwili, gdy dziwny dźwięk dobiegł do moich uszu. Poświeciłam w stronę ściany. Przeciwnik Caseya podciął mu nogi i dźwięk był uderzeniem jego głowy o skałę.

Światło na chwilę oszołomiło stworzenie. Odwróciło się, by spojrzeć na mnie. Na chwilę sparaliżowało mnie przerażenie na widok jego twarzy, ale gdy znów zwróciło się do Caseya, wiedziałam już, co robić. Podniosłam oszczep i wbiłam jego ostrze głęboko w środek pleców napastnika.

Znowu rozległ się mrożący krew w żyłach wrzask, ale trwał tylko chwilę. Z rany pociekł na ziemię potok różowopomarańczowego płynu. Stworzenie zapadało się odcinkami, jak gumowa zabawka z wypuszczonym powietrzem. Siekiera upadła z łoskotem na ziemię.

Casey podniósł się z trudem. Chwycił moją latarkę i skierował ją na umierającego obcego, dziwacznie rozpłaszczonego na dnie groty i z każdą chwilą bardziej płaskiego. Moje nerwy nie wytrzymały. Padłam na kolana i wybuchnęłam płaczem. Casey podszedł i zaczął mnie uspokajać. Przez dłuższy czas starałam się coś wykrztusić, ale słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Gdy wreszcie mi się udało, były to wyrzucane bez tchu urywki.

– Casey — aaa — co to jest?

– To istota, która okradła nasze sidła, jak sądzę. Tropił nas, prawdopodobnie tym – wskazał na jego długi ryj. – Takie nosy mają wszystkie ziemskie stworzenia o ostrym węchu. Wolałbym, żebyś go nie zabiła.

Nagle poczułam się dotknięta.

– Przecież byłeś bliski przegranej, Casey. Musiałam coś zrobić.

– Jego budowa jest mi obca. Potrzebowałem czasu, by wykryć jego słabe strony, dlatego cofałem się do ściany. Pomimo wzrostu jest znacznie słabszy od człowieka. Zauważ, że jest pozbawiony kości.

– Nie ma kości?! – krzyknęłam z niedowierzaniem

– Nie ma sztywnego szkieletu, na którym zaczepione są mięśnie, dlatego ma wielką elastyczność. I dlatego umarł tak szybko po przebiciu głęboką raną. Płyn w jego ciele jest pod wysokim ciśnieniem, cała postać się zapada. Prawdopodobnie udusił się. Dowiem się tego rano, gdy będzie dość światła na sekcję. To będzie fascynujące.

Byłam przerażona.

– Sekcję! Nawet teraz nie mogę znieść jego widoku. Skąd u ciebie ta chorobliwa ciekawość?

Położył mi rękę na ramieniu i pomógł wstać.

– Byłem wielu różnymi ludźmi w mojej długiej przeszłości, Kim, w tym przy wielu okazjach lekarzem. Na przykład byłem pod Waterloo, pod Gettysburgiem i na Iwo Jima. Byłem tam dlatego, że choć nie mogę nikomu przekazać mojej niewrażliwości na rany, mogę ulżyć bólowi. Uczyłem się na tych doświadczeniach tak, jak będę uczył się na tym. Może nawet dowiem się, jak uniknąć zabijania tych stworzeń, jeśli znów nas zaatakują.

– Nie chcę ich więcej spotykać – powiedziałam z drżeniem.

Odpowiedź Caseya była jasna i zdecydowana.

– Ja też nie chcę. Ale jeśli je spotkamy, nie chcę więcej odbierać życia. Moje własne jest bezpieczne, ale inni mają życie tak krótkie, że w porównaniu z moim uważam je za świętość.

Tej nocy już nie zasnęłam, ale przesiedziałam skulona pod kocem do świtu. Gdy nadszedł dzień, unikałam Caseya. Wiedziałam, że jest to nielogiczne. To, co powiedział, było słuszne, a jego okropne zadanie konieczne. Ale gdy je wykonywał, czekałam na zewnątrz jaskini.

Gdy wreszcie wyszedł, był ponury, ale wyglądał też na zdziwionego, choć nie wyjaśnił przyczyny. Spakowałam nasze rzeczy, on zaś pochował stworzenie w lesie pod stertą kamieni, postawiwszy na grobie kamienną siekierę.

Wyruszyliśmy milcząco w drogę, idąc wzdłuż podnóża skarpy i szukając przejścia na górę. Szybko dotarliśmy do obiecującego wąwozu, po którego dnie sączył się potoczek. Po śliskich kamieniach wspięliśmy się prawie na szczyt, gdzie był mały wodospad. Tu odpoczęliśmy i napiliśmy się wody. Wymoczyłam bolące stopy w chłodnej wodzie zagłębienia pod wodospadem, Casey zaś trzymał łuk w pogotowiu i nie spuszczał oka z krawędzi skarpy.

Wreszcie nie mogłam wytrzymać milczenia i spytałam go wprost:

– Co cię niepokoi, Casey? Co wykryłeś?

– Wykryłem wiele rzeczy, Kim. Wszystkie dziwne, niemal niezrozumiałe. Kończyny stworzenia miały odciski tam, gdzie u człowieka byłyby przeguby rąk i kostki u nóg. Widywałem takie odciski dawniej, na ciałach niewolników. Pochodzą od ręcznych i nożnych kajdan. Te był świeże.

Zastanowiłam się nad tym, co powiedział. Wydawał się zupełnie pewien swojego zdania.

– Niewolnictwo – powiedziałam – nie jest czymś nowym w kulturze człowieka. Na Ziemi istniało jeszcze w zeszłym wieku. Jestem oburzona, że znaleźliśmy jego dowody na Campbellu, gdzie jakoby nie istnieją wyższe formy życia, ale jeszcze bardziej niepokoi mnie możliwość, że Solar Minerals...

– Nie. – Casey nigdy mi dotychczas nie przerywał. Zrobił to

teraz. – Solar Minerals nie ma niewolników. Może wiedzieć o istnieniu tych stworzeń, ale niczego więcej. To wiem z całą pewnością. Obcy, którego zabiłaś, nie reprezentował miejscowej formy życia. Nie wyewoluował tutaj. Nie ma w nim żadnych anatomicznych odpowiedników budowy innych istot na Campbellu. Jest z nimi zupełnie nie spokrewniony. Jest tutaj, tak jak i my, obcym.

Przerwał na chwilę, bym mogła to wszystko przetrwać, po czym kontynuował:

– To nie wszystko. Przynajmniej ten osobnik był tu od bardzo niedawna. Zbadałem jego uzębienie. W przeszłości chorował na próchnicę i została ona wyleczona z fachowością, jaką posiada niewielu ziemskich dentystów. Miał mostek z nierdzewnej stali, co dowodzi bardzo wysokiego stopnia rozwoju technologicznego, a przecież osobnik ten był uzbrojony w kamienną siekierę tak prymitywną, że Homo erectus wstydziłby się jej używać. Dlaczego?

Nie wiedziałam dlaczego, ale wynikające z tego wnioski wywołały we mnie dreszcze. Nagle zrobiło mi się bardzo zimno i wyciągnęłam nogi z wody. Ale przyczyną zimna nie był strumień, lecz moje myśli. Poczułam się nieswojo w tym wąwozie.

– Casey, czy możemy iść dalej?

Zgodził się chętnie, więc wyruszyliśmy.

Tego wieczoru zatrzymaliśmy się na długo przed zachodem słońca, by móc rozpalić ogień i upiec zwierzynę przed nastaniem ciemności.

Casey wybrał na nocleg kępę kolczastych zarośli i zatkał wszystkie przejścia do niej gałęziami.

– Jeśli w nocy będziemy mieli gości – powiedział – przeciśnięcie się przez to zabierze im dużo czasu. Mam tylko nadzieję, że drewno jest zbyt świeże, by nas mogli wykurzyć ogniem. Tropy, które widziałem w okolicy, były stare, ale lepiej zachować ostrożność.

Tropy, pomyślałam. Więc w okolicy było więcej obcych. Wiedział o tym, ale mi nie powiedział. Znowu spędziłam niespokojną noc, budząc się o świcie, zapowiadającym nowe niebezpieczeństwa.

Wyruszyliśmy w kierunku wschodzącego słońca. Długie cienie kurczyły się, rosa znikała, a słońce oświetlało wierzchołki drzew i teren pod nimi, ujawniając nową zagadkę.

Oczywiście, Casey dostrzegł ją wcześniej. Pierwszym zaś jego odruchem było ominąć ją szerokim łukiem, bym jej nie zauważyła. Zauważyłam.

– Co to jest, Casey?

Przyłapany na podstępie przyznał się do niego otwarcie.

– Budowla, jak sądzę. Nie widzę jej w całości, po części zasłaniają ją drzewa. Jestem prawie pewien, że nie wznieśli jej ludzie. Jako jedyna możliwość pozostają obcy, których śladów jest tu masa. – Po czym, jakby chcąc uprzedzić mój strach, dodał: – Ale to są stare ślady. W ostatnich dniach nikt tędy nie przechodził.

Leżała na linii naszego marszu, a że nie było już powodów, by do niej nie podejść, zrobiliśmy to ostrożnie, zatrzymując się o jakieś 500 jardów. Z tej odległości była dobrze widoczna. Połyskiwała białawo, wysoka mniej więcej na trzykrotny wzrost człowieka i tyleż szeroka u podstawy. Stanowiła piramidę z koncentrycznie ułożonych warstwami kręgów, grubych chyba na stopę. Wierzchni był tak mały, że człowiek ledwo by się na nim pomieścił. Z odległości nie mogliśmy ustalić, czy tarcze zostały razem odlane, czy ułożone jedna na drugiej. Jeśli ułożone, szpary między nimi były niedostrzegalne.

Zbliżyliśmy się, obchodząc budowlę wokoło. Casey przyjrzał się ziemi u podnóża, nie znalazł żadnych niepokojących śladów i dał ręką znak, bym podeszła.

– To tylko stos z kamiennych stopni. I wziął się tu znikąd. W jakim celu?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest jeszcze więcej obcych, może nawet nie jednego gatunku. Są ślady trzech różnych kształtów i wielkości stóp. Jedne takie, jak u naszego nieżyjącego obcego, jedne podobne do kopyt i jedne ludzkie. Wszystkie stare i słabe.

– Ludzkie! To znaczy, że Solar wie.

– Wiedzą o budowli. – Schylił się i obszedł piramidę, przypatrując się podstawie, po czym podniósł coś z ziemi. – Kawałki papieru, opalone i zetlałe. Bardzo stare.

Znów się zatrzymał. Tym razem przedmiot, który podniósł, był większy. Podniósł go do nosa i powąchał.

– Co znalazłeś, Casey?

– Byli tu ludzie. Jeden z nich palił cygara. To liść tytoniu. Kawałki papieru pochodzą z opakowań półfuntowych kostek nitroskrobi, materiału wybuchowego, którego używamy do wysadzania. Próbowali zbadać wytrzymałość tej budowli, może odłamać z niej próbkę. Wybuch zostawił na niej plamę i nic więcej. Trawa i gleba zostały zniszczone, choć kamień nie. – Pokazał miejsce palcem. – Nowo zarośnięte miejsce, chociaż ma już parę tygodni, może parę miesięcy. Wiedzieli więc o tym przed twoim przylotem. Myślę, że warto tu jeszcze zrobić dalsze badania.

Odwrócił się i ruszył przed siebie z oczami wlepionymi w ziemię, ostrożnie stawiając stopy. Poszłam za nim czekając, aż wytłumaczy mi, co widzę. Nic mi to nie mówiło, choć wiedziałam, że Casey idzie za jakimiś śladami. Prowadziły z jednej kępy drzew do drugiej. Przyspieszył kroku.

Wszedłszy do lasku schylił się znowu, zaczął zbierać kości, suche i zbielałe, które wydawały mi się podobne do kości zwierzęcia, któreśmy jedli. Trochę dalej znajdowało się palenisko obudowane kamieniami. Jeszcze więcej kości rozsypane było wokół.

– Resztki uczt, Kim. Niektóre stare, niektóre względnie nowe. Czasem w większym towarzystwie. Ostatnia składała się z dziesięciu do dwunastu osobników.

– Ludzi czy obcych? – zapytałam.

– Obcych. Wśród tych liści nie mogę dostrzec wyraźnych śladów, ale znaki pobytu człowieka byłyby oczywiste. Ludzie mają narzędzia technologiczne. Ci tutaj nie mieli nawet krzemiennych noży, tylko prymitywnie wykonane kamienne siekiery. Przyjrzyj się tym odłamkom w popiele: suche drzewo było łamane, tylko świeże rąbane, bo kamienne ostrza na to wystarczą. Kości były miażdżone w stawach, a po tym wyciągane z mięs, dość brudzący i mało zręczny sposób w porównaniu z okrawaniem. I jeszcze coś tu zobaczyłem. Nie wchodziłem na piramidę, więc dotychczas tego nie dostrzegłem, ale spójrz na to.

Zaprowadził mnie do dużego, płaskiego, podłużnego kamienia wciśniętego w ziemię i zasłoniętego trawą. Za nim, w prostej linii prowadzącej do piramidy, leżały dalsze.

– Wytyczona ścieżka, widziana ze szczytu budowli, ale niemal nie do zauważenia z ziemi. Zwróć uwagę, że kamienie są surowe, nie obrobione, choć starannie dobrane. To nie budowniczowie piramidy je ułożyli, to ci drudzy. Ale ani jedno, ani drugie nie jest bardzo stare.

– Skąd wiesz?

– Krzaki to mówią. Jeśli zakreślisz krąg prawie pięćdziesięciostopowy, na zewnątrz rośnie dużo i dużych, ale wewnątrz tylko małe. Wyrastają z gleby bardzo głęboko przekopanej, więc ubogiej w składniki odżywcze. Ale idźmy dalej.

Poszłam za nim, on zaś szukał tajemniczych rzeczy, o których nawet nie miałam pojęcia, że mogą być źródłem informacji. Ślady zaprowadziły go do jeszcze jednego kamienia. Też był płaski i bardzo duży, mocno zagłębiony w grunt i częściowo przykryty liśćmi. Na jego powierzchni byle jak wydłubano w miękkim wapniaku wiele różnych symboli, każdy był natarty jakąś glinką dla kontrastu z tłem kamienia.

– Pismo – rzekł Casey. – Powiedziałbym też, że w kilku różnych językach. I bynajmniej nie prymitywnych.

– Czy możesz je odczytać? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Oczywiście nie. Ale nawet w takiej sytuacji ono wiele mówi. Znam większość ludzkich sposobów zapisu. Pismo zaczyna się od piktogramów. Później przychodzą stylizowane symbole, na koniec prawdziwe alfabety. Alfabety są już czymś skomplikowanym. Ich użycie wymaga najwyższego stopnia myślenia abstrakcyjnego. Ponieważ są tak ważne, mają oszczędne, powtarzalne znaki. Nie było w dziejach ludzkości pisma, wyprzedzającego obróbkę metali.

– Jaki z tego wniosek? – zapytałam, wątpiąc, czy potrafi go wyciągnąć.

– Istoty, które wyrzeźbiły ten napis używają prymitywnych narzędzi. Nie umieją nawet przyzwoicie zaostrzyć krzemienia.

– Może nie przybyli tu celowo, Casey, lecz są rozbitkami. Może ta budowla służy sygnalizacji?

Nie zgodził się ze mną.

– Nie przypuszczam, by tak było, choć nie mam lepszego wytłumaczenia. Ale napis wyraźnie zawiera wiadomość, intencje jego autorów też są jasne: jest przeznaczony dla kogoś, kto stoi na szczycie piramidy. Autor chce, by czytelnik najpierw na nią wszedł. Intryguje mnie, czemu.

– Może ta budowla jest pomnikiem?

– Jeśli tak, to źle umieszczonym, ukrytym w lesie.

Przez resztę poranka badaliśmy otoczenie budowli. Casey znalazł wiele śladów dawnego ożywionego ruchu w lesie, ale nic, co by mówiło o jego przyczynach. Ze śladów wynikało, że istoty przychodziły i odchodziły do jakiegoś miejsca na wschód stąd. W kierunku tym wiodły dość wyraźnie wydeptane ścieżki.

My również poszliśmy na wschód, ale chcąc uniknąć niepożądanych spotkań, trzymaliśmy się pobliskiego grzbietu, który biegł równolegle do kierunku naszego marszu. Trudny teren i konieczność posuwania się chyłkiem, opóźniały nasz marsz. Przeszliśmy ledwie ćwierć mili, gdy Casey nagle się zatrzymał. Nie wiedziałam, z jakiego powodu.

– Co się stało, Casey? – zapytałam.

– Osobliwe uczucie. Czuję się dziwnie.

Obejrzał swoje ramię. Rzadko rozsiane na nim włoski drgały. Potem zaś ujrzałam, jak włosy na jego głowie poniżej opaski poruszają się i stają dęba. Poczułam, że i moje stają wieńcem wokół głowy.

– Jakieś pole elektrostatyczne – powiedział Casey. – Zejdźmy z tego grzbietu.

Spojrzałam na niebo. Było bezchmurne, więc nie był to skutek burzy elektrycznej. Niemniej jednak zeszłam za Caseyem niżej. Rozległ się dźwięk – najpierw syk, potem trzask. Dochodził zza naszych pleców, z kierunku budowli. Widzieliśmy tylko jej szczyt. Pałał blaskiem.

Wkrótce był jaśniejszy niż słońce. Powietrze wokół niego drgało, a dźwięk falował zarówno pod względem wysokości, jak i natężenia. Na szczycie coś się pojawiło, było ciemniejsze od otoczenia, najpiew niewyraźne, ale szybko przybierające określony kształt. Był to wielki krzyż, po czym zobaczyliśmy, jak obraz się zmienia i staje postacią z rozkrzyżowanymi ramionami. Syk u-

rwał się nagle, a postać opuściła ręce. Potem zbiegła ze stopni i znikła z pola widzenia.

Znów usłyszeliśmy syk, a szczyt piramidy zapłonął. W ten sam sposób jak poprzednio pojawiła się nowa istota, po czym zbiegła ze schodów. Powtórzyło się to sześć razy, i światło zgasło.

Przerwałam długie milczenie.

– No cóż – powiedziałam – teraz już wiemy, jak oni się tu dostają. Jest to jakiś przekaźnik materii. Następne pytanie brzmi: po co? I jak to pogodzić z kamiennymi siekierami?

– To niemożliwe, Kim – odrzekł poważnie. – Niemożliwe bez całkowitej rewizji naszych poprzednich domysłów. Mam początki pewnej hipotezy, ale zanim ją podam, chcę zobaczyć, co się teraz stanie. Wejdźmy na grzbiet, stamtąd widać ścieżkę. Bądź zupełnie cicho.

Weszłam za nim na szczyt, skąd w obie strony mieliśmy wgląd na prawie pięćset jardów. Sprawdził, z której strony wieje wiatr i nałożył strzałę na cięciwę.

– Wiatr wieje do nas – powiedział – więc mogą nas nie zauważyć.

Po jakichś dziesięciu minutach ukazały się postacie, zdążające na zachód. Było ich cztery, wszystkie z siekierami. Dwie z przodu należały do wysokiego, bezkostnego gatunku, dwie za nimi, z trudnością zachowujące pionową postawę, były niskie, krępe i silnie umięśnione, z kopytami na stopach. Przeszły nie zauważywszy nas.

Prawie w dwadzieścia minut później przeszło sześć istot w przeciwnym kierunku, ale nowo przybyli nie mieli żadnej broni.

Casey poczekał, by nas wyprzedziły, po czym dał znak, bym poszła za nim wzdłuż grzbietu.

– Teraz już wiem, gdzie jesteśmy – powiedział.

– Znowu zagadka, Casey? Więc, gdzie jesteśmy?

– To jest Diabelska Wyspa, kolonia karna podobna do tej, jaką Francuzi mieli kiedyś w Południowej Ameryce. Sądzę, że to są właśnie te stworzenia. Ci, co ich wysyłają, nie wiedzą, że przybyli tu ludzie. Zapewne nigdy tu nie bywają. Nie ma takiej potrzeby.

Powiedziałam mu, że nie rozumiem. Casey wyjaśnił mi swoją teorię.

– To się zgadza ze znanymi nam faktami. Pomyśl: te istoty nie posiadają nic, co by nie pochodziło stąd, nawet ubrań, jeśli ich używają. To jest nie do pogodzenia ani z wyprawą kolonizacyjną, ani handlową, a tym bardziej z oddziałem inwazyjnym – biorąc pod uwagę posiadane przez nich środki przesyłania przedmiotów materialnych znacznej wielkości. Zauważ także sposób, w jaki przybywają. Osobnicy są przywiązywani do krzyży. Uwolnieni uciekają i znikają. To wszystko może być koniecznym warunkiem transmisji, ale za prawdopodobniejsze uważam co innego: są przywiązywani, by nie mogli stawiać oporu. Uwalnia się ich dopiero, gdy już znajdują się na planecie bez możliwości powrotu. I nie są to, jak poprzednio myślałem, niewolnicy, gdyż niewolnicy są pożyteczni tylko wtedy, gdy można ich użyć do pracy. Ale najsilniejszą poszlakę, że to są skazańcy, znalazłem na nieżyjącym. Miał zadowalającą opiekę dentystyczną, ale przy użyciu tanich środków – stal nierdzewna zamiast złota, porcelany czy stopu srebra. To wygląda na publiczną służbę zdrowia, a może taką opiekę lekarską, jaką mógł mu zapewnić drugi więzień, dysponujący znacznym czasem, doskonałą znajomością fachu i wielką cierpliwością, ale który nie miał dostępu do naprawdę pierwszorzędnych surowców. To tak, jak ze zręcznością wczesnoamerykańskich jubilerów, która ujawniała się w użyciu cyny, którą się czasem posługiwali, gdy złoto było zbyt rzadkie i zbyt drogie. Poza tym przy budowli znalazłem stare ślady bójki. Pierwsi przybywający zapewne walczyli między sobą, później zaś stopniowo zrozumieli głupotę takiego postępowania i zaczęli współpracować. A jeszcze później stworzyli jakąś luźną formę władzy, ułożyli ścieżkę-drogowskaz i postawili kamień z napisem. Sądzę, że uczty odbywały się dawniej, gdyż przybysze pozostawali blisko budowli. Później, gdy ich było więcej, okazało się, że wybili całą zwierzynę w okolicy i musieli się przenieść. Prawdopodobnie wtedy ułożyli kamień z napisem.

– Chyba masz rację, Casey – powiedziałam. – Prawdę powiedziawszy – jak we wszystkim. Jestem zdumiona, jak wiele potrafisz wyczytać z paru prostych śladów, których ja nawet nie zauważam. Powiedz mi: jak sądzisz, jakie to wszystko ma dla nas znaczenie?

Casey spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Oczywiście był dumny ze swej zdolności obserwowania i wyciągania wniosków.

– Niektórzy patrzą – powiedział – inni widzą. Gdybym miał snuć domysły – a o to mnie prosiłaś – powtórzyłbym, że twórcy tego urządzenia nie wiedzą o obecności człowieka na Campbellu. Może dawno temu przysłali tu statek, by zbudować stację odbiorczą, a może i parę, gdzieś indziej na planecie, choć nie uważam tego za bardzo prawdopodobne. Być może przysyłają tu tylko paru skazańców naraz, w takim razie ta budowla jest bardzo stara. Tymczasem jednak przybyli tu ludzie, a skazańcy ich nie napastowali, choć jak sądzę wiedzą o naszej obecności. Być może przed przypadkowym napadem chroni nas względnie duża liczebność oraz świadomość obcych, że mamy lepszą od nich broń oraz materiały wybuchowe. Choć Solar wie o budowli, uważa ją prawdopodobnie za zabytek. Wśród ludzi plotek o obecności obcych w każdym razie nie słyszałem.

Te wnioski zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Wynikało z nich, że teraz obie strony będą na nas polować. Casey mnie uspokoił.

– Myślę, że obcy, którego zabiłaś, był zwiadowcą, który nie wrócił z zadania. Może zauważył pożar lasu i domyślił się, że to katastrofa ślizgacza. Ogień musiał być z dala widoczny, szczególnie ze szczytu skarpy, a wrak ma wielką wartość jako źródło metalu do wyrobu narzędzi i broni. Może nadszedł w dniu, w którym opuściliśmy tamto miejsce, ale wówczas nie śmiał nas zaatakować. Zamiast tego szedł za nami aż do groty, przyjmując, że łatwiej sobie z nami poradzi, gdy będziemy spali. Wobec tego był sam jeden, chociaż inni mogli iść w ślad za nim. Ale to mało prawdopodobne, bo zostawiliśmy wiele rzeczy dla niego cennych, a żadnej nie zabrał. Gdyby należał do grupy zwiadowczej, wybrałby i wziął ze sobą co najwartościowsze. Ponieważ tego nie zrobił, musiał liczyć, że weźmie je w drodze powrotnej. Wobec tego musiał być sam.

– To i tak jest fatalnie – odrzekłam – nawet jeśli tylko połowa ludności planety jest przeciw nam. Mam prawdziwy talent popadania w tarapaty, prawda? Co mam teraz robić?

– Wydaje się, że sytuacja wymaga dużego talentu dyplomatycznego, Kim. Właśnie o to chciałem cię zapytać.

– No cóż, to zmienia wszystko, co dotyczy Campbella. Będę musiała przy pierwszej okazji złożyć raport o sytuacji, choćby się to nie podobało Solar Minerals i niech ONZ dalej się martwi, co robić.

– To oczywiście jest właściwy kierunek. Natomiast proponowana metoda wydaje mi się wątpliwa. Nie ma sytuacji wymagającej decyzji, że krajowcy mają prawo pierwszeństwa do planety, lecz rozstrzygnięcie, który z odkrywców ma bardziej do niej uzasadnione prawa. Solar, jeśli wszystko wyjdzie na jaw, przyjmie taką linię. Sam bym tak zrobił, bo w ciągu mego życia bywałem wielokrotnie prawnikiem. Natomiast dłużej niż prawnikiem byłem człowiekiem i to, mam nadzieję, rozsądnym. Więc nie wydaje mi się rozsądne, byś cokolwiek o tym wspominała lokalnemu zarządowi Solar. Pamiętaj, że jesteśmy o 114 lat świetlnych od Ziemi. Jedynym naszym sposobem kontaktu jest „Wilmington", który jest w ich czarterze. Musisz czekać jeszcze cztery miesiące do powrotu statku, a po tym pięćdziesiąt dwa dni w podróży.

– Nie sądzę, bym mogła tak długo utrzymać tajemnicę, Casey.

– Musisz. Meyers, jeśli nawet nie wydał takiego rozkazu, to przynajmniej zgodził się na zamach na twoje życie. Gdy odkryją, że się nie powiódł, spróbują drugi raz. Chyba że tymczasem dowiedziesz im, że jesteś zupełnie nieszkodliwa.

– A czemu nie mielibyśmy się ukryć w lesie do powrotu statku?

– Umrzesz z głodu. Ja mogę wyżyć na miejscowej żywności, ty nie. Potrzebujesz ziemskiego pożywienia, a to, co mamy ze sobą, nie wystarczy.

– Muszę więc ułożyć sobie historyjkę pomijającą istnienie tych stworzeń?

– To jedyne wyjście. Może nie przekonasz Meyersa, że nie jesteś dla niego niebezpieczna, ale mniej jest prawdopodobne, że będzie starał się zrobić ci krzywdę na oczach wszystkich w osiedlu. I w żaden sposób nie będzie mógł się upewnić, że wiesz o obcych.

Wahałam się. Casey mówił dalej.

– Na pewno widziałaś już dość, by ocenić sytuację i napisać raport. Po to nie musisz już wyjeżdżać z bazy.

Tu ma rację, pomyślałam. Ale zapytałam:

– A co z tobą, Casey? Ty też jesteś w to zamieszany, a nie możesz tak sobie wyjechać, jak ja.

– Nie martw się – odpowiedział. – Jestem po prostu głupim Indianinem, co ma więcej szczęścia niż rozumu. Wiedzą, że jestem zbyt tępy, by im zagrażać. Poza tym widziałaś, co potrafi moje ciało. W przeszłości zabijano mnie mnóstwo razy. Jak długo z mego ciała żyje jedna komórka, żyję Ten-Który-Czeka i choć dla regeneracji może być potrzebne i sto lat, moje ciało się odbuduje.

To, pomyślałam sobie, jest jeszcze jeden problem, z którym mam sobie poradzić.

Do morza dotarliśmy po dwudziestu siedmiu dniach. Nabrałam muskułów, choć straciłam na wadze i chociaż w mojej diecie brakło niektórych składników, czułam się w pełni sił. Gdyby nie rude włosy i jasne oczy, mogłabym być kobietą z plemienia Caseya – spalona słońcem na brąz i ubrana w strój, który on zrobił dla mnie ze skór upolowanych zwierząt. Śmierdziały trochę, ale służyły lepiej niż odzież, w jakiej wyruszyłam.

Odpoczywaliśmy przez cały dzień, bawiąc się w wodzie i piasku na plaży. Czułam, że ogarnia mnie smutek. Porzucić tryb życia, którego zakosztowałam, znów stać się cywilizowaną istotą nie będzie łatwo. Prawda, że życie w puszczy też nie było łatwe, ale było pełne. Zadowalało moją potrzebę wypróbowania, do czego jestem zdolna. I byłam zadowolona z tego, co się okazało. Miałam w sobie żyłkę pionierów. W minionych czasach byłabym jednym z nich, szukając szczęścia i majątku na amerykańskim Dzikim Zachodzie albo wśród surowego piękna planet, takich jak Herschel.

Z tego po części powodu wstąpiłam do Służby Ekologicznej – by przekonać się, na co mnie stać, nie ryzykując wszystkim. Obecnie ta praca wydawała mi się mdła. ONZ była nieruchawą, biurokratyczną maszyną. Ziemia zaś, choć już uboga w surowce i straszliwie przeludniona, była ciągle domem człowieka. I była

też przekonana, że przestrzeń kosmiczna należy do niej i podlega jej władzy, szczególnie, że człowiek nie odkrył jeszcze istot zdolnych rzucić mu wyzwanie. Mudron się nie liczył. Był to wyjątkowy wypadek, który zdaniem ekspertów nie wynika z lokalnej ewolucji gwiezdnej. Miał zapóźnionych w rozwoju mieszkańców, którzy nigdy nie stanowili i nie będą stanowić zagrożenia dla ziemskiej supremacji.

Ale istoty, które zbudowały przekaźnik materii – będą. Bałam się ich. Technologią niesłychanie nas przewyższały. Nasze odkrycie może wywołać u nich wrogość, może decyzję, by nas zniszczyć, kto wie?

Casey powiedział, że mogą zrobić coś jeszcze gorszego: zlekceważyć nasze istnienie tak, jak to swego czasu zrobiono z jego narodem; zamknąć nas w rezerwatach, pozwalając nam zagłodzić się i utonąć w marazmie. A Casey wiedział, jak to wygląda.

I do tego zaczęłam się go trochę obawiać. Nie jego samego jako człowieka, lecz tego, co reprezentował. Gdy byliśmy w drodze, wydawało mi się naturalne, że z nim jestem, ale co będzie na końcu podróży?

Dla Caseya wszyscy inni ludzie byli jak dzieci. On, który już przeżył niemal wieczność, będzie nadal żywy i pełen życia, gdy ja będę prochem. Traktował mnie jak kogoś równego, wiedząc, że tak nie jest. Powierzył mi swą tajemnicę, opowiadając bez skrępowania o swej przeszłości, nic nie skrywając. Może na tym polegała jego największa mądrość. Wierzyłam w to, co mówił, ale komu ja to mogłam opowiedzieć? Kto by uwierzył w tak fantastyczną historię? Mógł wszystkiemu zaprzeczyć, nie wypowiadając nawet jednego słowa. Wystarczy samo milczenie, a reszta świata będzie przekonana, że jestem niespełna rozumu.

Miałam nadzieję, że nigdy by tego nie zrobił, że znajdę jakiś sposób, by tu wśród gwiazd dzielić jego przeznaczenie, choćby przez krótką chwilę. Męczyły mnie rojenia. Byliśmy w nich ze sobą. Wiedziałam, że robił przed tym to samo z innymi partnerkami, od dawna nie istniejącymi, ale za każdym razem pozostawał samotnym człowiekiem, bez celu w życiu i bez pociechy posiadania pokrewnej duszy, która dzieliłaby jego mękę. Ze wszystkich istot we wszechświecie tylko on był inny, nie mając ani rodzeństwa, ani potomstwa.

– Mój stwórca dał mi cudowne zdolności – powiedział kiedyś – i posiadłem wiele darów. Ale odebrał mi to, co było we mnie prawdziwie ludzkie.

To jest bez znaczenia – zdecydowałam ostatniej nocy na brzegu morza. Reszta mego snu była warta tej ceny.

Jeszcze jedną noc spędziliśmy pod gwiazdami, na piaszczystej nizinie. Próbowałam wrócić do rzeczywistości, porządkując w myśli informacje o tym, co widziałam. Oczywiście nie miałam notatek ani fotografii, ale byłam zadowolona z tego, czego się dowiedziałam – że, nie biorąc pod uwagę obecności obcych, mogłam zakwalifikować tę planetę dla kolonizacji ziemskiej. I to zamierzałam zrobić.

I nadal zamierzam! – Przyłapałam się w tym momencie, że ze wspomnień powróciłam do rzeczywistości i że krzyczę na szefa.

Carmody obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Przez całą opowieść o mej wędrówce uprzejmie słuchał. Nie przerywał. Zrobił to teraz, choć jego ton złagodniał.

– Decyzja należy do mnie, po to tu przybyłem. Niemniej, miss Ryan, wezmę pani zalecenia pod uwagę. Obecnie, w świetle odkrycia obcych, sprawa stała się raczej polityczna, niż techniczna. Czy zdziwi panią wiadomość, że prawdopodobnie postąpimy zgodnie z pani wnioskiem?

Byłam zdziwiona i nie ukrywałam tego. Carmody się uśmiechnął.

– To właśnie może być okazja, jakiej potrzebował gatunek ludzki: dostać coś za darmo, otrzymać nauki od chętnych pedagogów. Rząd zapewne przyzna pani order, a także Caseyowi, jeśli go odnajdą.

– Nie sądzę, by na Caseyu zrobiło to wrażenie – odpowiedziałam. – Natomiast gdyby zamiast tego dali mu naszyjnik z pierwszorzędnych wężowych zębów...

– Chcę usłyszeć resztę tej historii, miss Ryan, włącznie ze wszystkim, co może pani powiedzieć o Caseyu. Może łatwiej go wówczas odnajdziemy.

– Okay. Gdzie to ja skończyłam? Nie ma co opisywać, jaki raban podniósł się w obozie, gdyśmy się zjawili. Wyszliśmy z puszczy wyglądając jak Tarzan i Jane, a typom, które obijały się za palowaniem na placu budowy, portki trzęsły się ze strachu. Do osiedla wróciliśmy ich ciężarówką, siedząc z tyłu, bośmy oboje śmierdzieli...

Powitał nas osobiście Meyers.

– Myśleliśmy, żeście zginęli – powiedział, prawdopodobnie zastanawiając się, w jakim punkcie jego plan zawiódł. – Gdy nie pojawiliście się na czas, wysłałem ekipy ratunkowe. Znalazły spalony ślizgacz i oczywiście byliśmy przekonani, że zginęliście w nim.

Rozmowę z naszej strony prowadziłam ja, Casey znów stał się głupim Indianinem.

– No cóż, jak pan widzi, nic nam się nie stało. Potrzebuję tylko wykąpać się i zjeść coś z prawdziwej żywności. Jedliśmy tylko to, co Casey upolował z łuku.

Meyers przyjrzał się Caseyowi z respektem.

– Ach, więc to do tego służy. – Obejrzał jedną ze strzał. – Mają morderczy wygląd. – Zwrócił się do Caseya: – Myślę, że powinieneś wrócić do swej zwykłej pracy.

Nie, nie powinieneś. Nie miałam zamiaru dopuścić, by usunięto mnie spod opieki i zasięgu wzroku Caseya.

– Mmmm... jeśli to panu nie przeszkadza, mister Meyers, chciałabym go jeszcze na chwilę zatrzymać. Potrzebuję jego pomocy przy sprawozdaniu.

– Jego? A cóż on potrafi?

– Chcę od niego ściągać. Utraciłam wszystkie próbki i zdjęcia, podczas wędrówki nie mogłam robić notatek, muszę więc napisać sprawozdanie z pamięci – mojej i jego. A jak pan widzi, to leśny człowiek. Musiał zauważyć tysiąc rzeczy, które mnie umknęły.

Meyers nie miał dobrego pretekstu, by odmówić, choć wątpię, czy nabrał się na moje wyjaśnienia. Casey został więc ze mną i razem wróciliśmy na moją dawną kwaterę.

– Nie powinnaś była tego robić, Kim.

– Dlaczego? Potrzebuję skorzystać z twoich obserwacji. I potrzebuję twojej opieki. Czy widziałeś, jak patrzył na twój łuk?

– Zauważyłem. Ale taki człowiek, jak Meyers, nie będzie się bał dzikusa a trudno grać rolę głupiego Indianina, gdy zrobiłaś ze mnie uczestnika badań naukowych. Lepiej by to było zrobić w terenie, gdzie miałbym oko na wszystko.

– Nie przejmuj się, Casey. Tym problemem zajmie się natura ludzka. Możesz mieć zaufanie do lubieżności umysłu Meyersa. Dojdzie do wniosku, że uczepiłam się mojego ogiera. Założę się, że całe osiedle już się trzęsie od plotek na ten temat.

Casey nic nie odpowiedział. Sądzę, że ciągle jeszcze nie rozumiał kobiet. Zamieszkał ze mną i wziął się do pracy nad raportem.

Ciągle jeszcze potrzebowaliśmy dodatkowych informacji, głównie o morskich formach życia na Campbellu. To dało nam pretekst do krótkich wypadów w teren i okazję do zatopienia się we wspomnieniach. Spędziliśmy wiele dni na szerokich plażach Campbella i na rejsach motorówką. Pokochałam łagodny klimat tej planety i jej przyjazne słońce.

– Myślę – powiedziałam Caseyowi – że mogłabym tu zostać na zawsze. Naprawdę lubię tę planetę.

– Czy zapomniałaś tę noc w grocie? – odpowiedział. – Oraz to, co widzieliśmy na płaskowyżu?

– Nie, Casey, ale mogę sobie pomarzyć, prawda? I tak to się skończy, gdy mój raport trafi, gdzie trzeba. Rząd orzeknie, że ludzie nie mogą zostać na Campbellu.

Przez współczucie pozwolił mi marzyć dalej, lecz nadszedł dzień, gdy i to się skończyło. Wrócił z pobytu w bazie, gdzie zasypano go aluzjami na temat jego squaw, ale dowiedział się przy tym pożytecznych rzeczy.

– Zaczęło się, Kim. Teraz trzeba bardzo uważać.

Casey miał skłonność do mówienia zagadkami. Ze wszystkiego co robił, to mnie najbardziej irytowało. Chyba to zauważył.

– Co się zaczęło? – spytałam.

– Ludzie zaczęli znikać. Rozpływają się w buszu wokół placu budowy doku.

Przeraziłam się.

– Jeśli obcych jest już wielu, to może oznaczać początek ataku.

– Nie zauważono ani jednego – rzekł ponuro Casey. – Kierownictwo zaś znalazło oficjalne wyjaśnienie, więc robotnicy się nie orientują. Powiedziano im, że wobec zbliżającego się ukończenia sieci, znikający ludzie po prostu poszli sobie, by wyprzedzić kolonistów, którzy później nadlecą. Ale Meyers zna prawdziwą przyczynę.

– Skąd wiesz?

– Warsztaty zaczęły produkować broń. Na tokarkach robi się lufy, kowal kuje ostrza pik i krótkie miecze. Wokół budowy patrolują uzbrojone ślizgacze.

– Wojna z obcymi?

Wyobraziłam sobie, że zostanę tu zatrzymana, może nawet wsadzona do więzienia lub zabita, aby uniemożliwić przekazanie wiadomości na Ziemię.

– Może tak, może nie – Casey zastanawiał się nad każdym wypowiedzianym zdaniem. – Meyers może przypuszczać, że uda mu się po cichu wybić obcych albo odpędzić ich głębiej w puszczę, gdzie ich nikt nie odkryje. Może sprowadzi tu najemników, by na nich polowali. Na pewno postawi wokół przekaźnika snajperów, by ostrzeliwać nowo przybyłych.

– Co zrobimy, Casey?

– W tej chwili nic. Wszystko zależy od tego, czy będziesz się stąd mogła bez podejrzeń wydostać, gdy wróci „Wilmington". Teraz jestem już przekonany, że trzeba powiadomić rząd, nawet jeśli przez to stracimy Campbella. To lepsze niż wojna gwiezdna, którą człowiek na pewno by przegrał.

Czekaliśmy z nadzieją na pomyślne rozwiązanie.

Dowiedziałam się później, że Meyers i Bigelow rzeczywiście próbowali zniszczyć obcych, umieścili uzbrojoną grupę przy ich przekaźniku. Na pewien czas udało im się uniemożliwić utworzenie większej koncentracji obcych, ale nie na długo. Ludzie nadal znikali, a co nader śmieszne, niektórzy sami uciekali, wierząc wyjaśnieniu Meyersa o przyczynach znikania innych i zdecydowali zrobić w niedalekiej przyszłości dobry interes.

Ciąg dalszy na stronie 43

larna przyjęcia delegacji nadal nie uzgodniona. Chirończycy obsługujący środki łączności twierdzą, że nie ma u nich władz, które by ich reprezentowały i wobec tego nie ma nikogo, kto odpowiadałby żądnym kwalifikacjom. Siły obronne „Mayflower II" postawione w stan alarmu bojowego.

★

10 stycznia 2081 roku.
Główny komputer sterujący systemów napędowych skontrolował ostatnie stadia hamowania działania głównego napędu i wyłączył reaktory. Gdy zaczęła stygnąć ogromna misa odrzutowa, w której przez sześć miesięcy co sekundę dwie tony materii ulegały przemianie anihilacyjnej w energię, statek, za pomocą rakietowych silników korekcyjnych, łagodnie wprowadzono na orbitę parkingową na wysokości 25 000 mil i przystosowano w całości jego układ do warunków stanu nieważkości. Stał się nową gwiazdą, przemierzającą nocne niebo nad Chironem.

★

Podróż „Mayflowera II" dobiegała końca.

Koniec części pierwszej

JAMES P. HOGAN

Najazd z przeszłości

(Voyage from Yesteryear)

Przełożył Juliusz Garztecki

JAMES P.HOGAN

urodził się w 1941 r. w Londynie. Studiował inżynierię ogólną, a następnie specjalizował się w zakresie elektroniki. Kilka lat pracował w przemyśle komputerowym, zanim zadebiutował w 1977 r. jako autor powieścią *„Inherit the Stars"*. W tym samym roku przeniósł się z W. Brytanii do Stanów Zjednoczonych. Pracował jako konsultant w firmie komputerowej DEC (Digital Equipment Corporation) zajmując się problemami zastosowania minikomputerów do prac naukowych i badawczych. W roku 1978 wydał dwie kolejne powieści *„The Genesis Machine"* i *„The Gentle Giants of Ganymede"*. Ich sukces na rynku czytelniczym skłonił Hogana do porzucenia pracy zawodowej i poświęcenia się w całości pisarstwu.
W 1979 r. opublikował powieść *„The two Faces of Tomorrow"*, w 1980 – *„Thrice upon a Time"*, a w 1982 r. prezentowaną tu czytelnikom powieść *„Voyage from Yesteryear"*. (W.M.)

Prolog

– Panie i panowie, oto nasz dzisiejszy gość honorowy – Henry B. Congreve. – Mistrz ceremonii zakończył słowo wstępne i odsunął się na bok, dając przejście na podium krępemu, białowłosemu człowiekowi w smokingu i czarnym krawacie. Rozległy się entuzjastyczne oklaski trzystu gości, zebranych w zespole hotelowym Hiltona na zachodnich przedmieściach Waszyngtonu. Światła na sali przygasły, widownia ściemniała. Tłum zebranych zmienił się w zbiorowisko białych gorsów, połyskujących szyj i palców oraz podobnych do masek twarzy. Dwa reflektory punktowe wyłowiły z mroku mówcę, czekającego, aż ucichnie owacja. Mistrz ceremonii powrócił w ciemności na sąsiedni fotel.

Pomimo sześćdziesięciu ośmiu lat szarpaniny z życiem, Congreve stał prosto, z krótko ostrzyżoną głową nad kwadratowymi ramionami i tułowiem mocnym jak u buldoga. Jego surowa, jakby wyciosana toporem twarz zachowała twarde i zdecydowane rysy, oczy zaś, gdy rozglądał się po sali, błyszczały dobrodusznie. Wielu z zebranych zdawało się dziwne, że człowiek tak żywotny, tak nadal pełen wewnętrznej siły, ma teraz wygłosić przemówienie z okazji odejścia w stan spoczynku.

Niewielu młodszych wiekiem astronautów, naukowców, inżynierów czy urzędników mogło sobie przypomnieć innego niż Congreve prezesa na czele Północnoamerykańskiej Organizacji Eksploatacji Kosmosu. Dla wszystkich zaś taka zmiana sytuacji będzie czymś nieodwracalnym.

– Dziękuję ci, Matt – zagrzmiał z rozmieszczonych wokół głośników szorstki baryton Congreve'a. Rozejrzał się, jakby chciał zapamiętać wszystkich tu zebranych. – Ja... ach, ledwie udało mi się tu trafić. – Przerwał, a ostatnie szepty na sali umilkły. – W holu na dole jest napis, że pokaz wykopalisk odbywa się na górze, w pokoju dwanaście-zero-trzy. – W tym tygodniu odbywało swe doroczne zebranie u Hiltona Amerykańskie Towarzystwo Archeologiczne. Congreve wzruszył ramionami. – Doszedłem do wniosku, że to właśnie tam powinienem się udać. Na szczęście wpadłem w przejściu na Matta i to on skierował mnie na właściwą drogę.

Na sali rozległy się śmiechy, przerywane paru okrzykami protestu przy niektórych stolikach. Congreve odczekał, aż znów zapadła cisza i mówił dalej, już mniej żartobliwym tonem. – Przede wszystkim muszę podziękować wszystkim tu obecnym, a także wszystkim pracownikom POEK, którzy dziś nie mogli przybyć na zaproszenie. Chcę oczywiście powiedzieć także, jak bardzo sobie cenię to spotkanie, a jeszcze wyżej je cenię jako wyraz uczuć. Dziękuję wam... wam wszystkim. – Z tymi słowami wskazał gestem na zrobiony ze srebra i brązu, stojący na podstawie z tekowego drewna osiemnastocalowej wysokości model jeszcze nie wypróbowanej i bezimiennej sondy kosmicznej SP3, ustawiony naprzeciw jego miejsca przy stole prezydialnym.

Kontynuował przemówienie jeszcze poważniej. – Nie chcę się zagłębiać w historyjki i wspomnienia osobiste. Istnieje zwyczaj opowiadania takich błahostek przy podobnych jak dzisiejsza okazjach. Ale nie chcę, by moje ostatnie przemówienie jako prezesa POEK było błahe. Czasy, w których żyjemy nie pozwalają na taki luksus. Chcę więc zamiast tego pomówić o sprawach, które dotyczą całej naszej planety i odbijają się na życiu każdej żyjącej na Ziemi istoty, a nawet na pokoleniach jeszcze nie narodzonych – zakładając, że w ogóle nastąpią po nas przyszłe pokolenia. – Przerwał na chwilę. – Chcę mówić o przetrwaniu... przetrwaniu rodzaju ludzkiego.

Choć w sali panowała cisza, wydawało się, że po tych słowach zapadła jeszcze głębsza. Tu i ówdzie zebrani wymieniali zaciekawione spojrzenia. Było już jasne, że Congreve nie wygłasza zwykłego przemówienia z okazji odejścia na emeryturę. Mówił dalej. – Już raz doszliśmy do krawędzi trzeciej wojny światowej, balansując ryzykownie na jej skraju. Dziś, w roku 2015 istnieją nadal, jak istniały, zawiści, nieufności i podejrzenia, które zaprowadziły nas na brzeg wojny i były plagą ludzkości przez całą jej historię. Dzisiaj znowu krótkofalowe względy polityczne stwarzają klimat takiego napięcia i rywalizacji, jak w końcu ubiegłego wieku. Innymi słowy stwierdzenie, że przyszłość rodzaju ludzkiego nigdy nie była bardziej zagrożona, niż jest obecnie, nie jest przesadą.

Ciągnęło się to przez całą historię i znowu zaczynało na nowo. Najnowsze nowiny sprzed czterech lat z Ziemi donosiły o szybkiej eskalacji najnowszej wojny przeciw Nowemu Izraelowi Południowej Afryki. Tym razem jednak wmieszała się FWA. Stratedzy Zachodu zinterpretowali to jako plan FWA sprowokowania powszechnej wojny w Afryce w tym celu, by Federacja mogła następnie wkroczyć i oskrzydlić Europę od południa. Wynikał z tego zamiar owładnięcia całym blokiem kontynentalnym Afryki, Azji i Europy. Po co zaś opanować Azję, Afrykę i Europę? Colman nie wiedział. Był całkiem pewien, że większość ludzi, którzy zabijali się tam na Ziemi, ani nie chciała tych obszarów, ani nie przejmowała się aż do tego stopnia, kto będzie nimi władał. To Howardowie Kalensowie chcieli mieć je na własność, bo chcieli mieć wszystko. Być może, gdyby zdołali się nauczyć takiego postępowania z ludźmi, by się nie bać odwracać do nich plecami, a także chodzenia do łóżka z własnymi żonami, nie potrzebowaliby podbojów terytorialnych. A przecież potrafili wmówić wszystkim, że to właśnie uczyniło ich lepszymi niż inni, zaś inni ludzie w to uwierzyli.

Przypomniał sobie opowiadanie Jaya o fizyku z laboratoriów w segmencie Princeton, który uważał, że społeczeństwa ludzkie były ostatnią fazą ewolucji zapoczątkowanej miliardy lat temu, gdy wszechświat zaczynał się kondensować z promieniowania. Ewolucja to problem przetrwania. Kto w ogóle przetrwa na dłuższą metę – Colman nie był taki pewny. Czy kukiełki, które myślą to, co im się każe i zabijają się wzajem z przyczyn, które ich nie powinny obchodzić, czy kapral Swyley, który trzymał się z daleka od wszystkiego i nie mieszał się do niczego tak długo, póki mu dawano spokój?

Być może, pomyślał, w końcu krótkowzroczni posiądą Ziemię.

Rozdział IX

W dniu oficjalnie określanym jako 28 grudnia 2080 roku, według systemu rachuby czasu, który będzie obowiązywał tak długo, dopóki statek nie przestawi się na kalendarz chiroński, „Mayflower II" wszedł do układu planetarnego Alfy Centaura z szybkością 2837 mil na sekundę, stale opóźnianą czynnym maksymalną siłą głównym napędem. Okres opóźnienia wymiany depesz z Chironem zmniejszył się znacznie poniżej czterech godzin. Telegram z planety potwierdził, że kwatery dla przybywających zostały przygotowane, zgodnie z ich żądaniem, na peryferiach Franklina.

★

31 grudnia 2080 roku.

Odległość od Chirona 1,9 miliarda mil; szybkość obniżona do 1100 mil na sekundę. Rozpoczęło stopniowo wzrastające hamowanie działania głównego napędu. Dla skompensowania zmniejszenia liniowej, wynikającego z deceleracji, ruchome segmenty Pierścienia zaczęły się z wolna obracać. Chirończyków nie nadeszła żadna odpowiedź na depeszę z żądaniem podania nazwisk, stopni służbowych i tytułów dygnitarzy planety, wyznaczonych dla przyjęcia oficjalnej delegacji „Mayflower II" chwili jego przybycia.

★

5 stycznia 2081 roku.

Szybkość 300 mil na sekundę, odległość od celu 493 miliony mil. Dokonano korekty kursu dla wprowadzenia statku na orbitę zbliżenia.

★

8 stycznia 2081 roku.

W odległości 8 milionów mil od celu; siły obronne postawiono w stan pełnej gotowości; wysunięto zasłonę zdalnie sterowanych przechwytywaczy, rozwiniętą na 50 000 mil przed statkiem dla przykrycia jego końcowego zbliżenia. Ze strony Chirona zupełna obojętność.

★

9 stycznia 2081 roku.

Okres opóźnienia łączności dwustronnej z Chironem dwadzieścia dwie sekundy. Procedura proto

Rozdział VIII

– Na dzień dzisiejszy, dzień ostatniej wspólnej wigilii Bożego Narodzenia przed osiągnięciem celu naszej podróży, jako temat mego okolicznościowego posłania do was wybrałem fragment, który brzmi: „Pozwólcie dziateczkom przyjść do mnie" – Głos naczelnego biskupa Misji dostojnie spływał z głośników rozmieszczonych wokół Teksaskiej Czaszy do uszu dziesięciu tysięcy zgromadzonych wiernych, z nabożeństwem przysłuchujących się z miejsc na jej zboczach. Pośrodku zielony prostokąt boiska był wypełniony oddziałami załogi i wojska, bez ruchu stojących u jednego jego końca w paradnych mundurach. Środek zajmowały równe prostokąty dzieci szkolnych, odzianych w świeżo wyprane i odprasowane brązowe i niebieskie kurtki. Na drugim końcu stadionu, naprzeciw podwyższenia, z którego przemawiał biskup, wznosiły się amfiteatralnie ławki, na których zasiadały Bardzo Ważne Osobistości w ciemnych garniturach, pastelowych sukniach i obwieszonych odznaczeniami mundurach. Głos kontynuował: – Stosowne to słowa, bo zaiste niebawem spotkamy istoty, które musimy uznać i przyjąć jako dzieci pod względem duchowym, choć nie zawsze może cielesnym i umysłowym...

Colman stał obok Hanlona na czele trzeciego i drugiego plutonu kompanii „D", bezpośrednio za Sirocco, dość daleko na skrzydle oddziałów wojska. Bardzo niewielu z kompanii było nieobecnych z takich czy innych przyczyn. Wśród tych zaś wyróżniał się nieobecnością kapral Swyley, przebywający w izbie chorych Brygady z nadzieją na świąteczny obiad z indykiem; stały rozkaz trzymania kaprala na diecie szpinakowo-rybnej w tajemniczy sposób wymazał się z pamięci komputerowej. Dietetyk był pewien, że poprzednio coś w tym rodzaju musiało istnieć; ale zgodził się w końcu, że może myli Swyleya z kimś innym. Swyley zgodził się, że coś takiego znajdowało się w zapisach, mówiąc, że się nie zgadza; dietetyk nie zrozumiał tego i zdecydował zapomnieć o wszystkim.

– ...Na różne sposoby zeszli z właściwej ścieżki, my zaś musimy wspomnieć na nasz zarówno chrześcijański, jak patriotyczny obowiązek wprowadzenia tej zbłąkanej trzódki na powrót do owczarni. Nierzadko jest to niełatwym zadaniem, wymagającym zarówno stanowczości, jak poświęcenia, zarówno współczucia, jak rozumu...

Colman pomyślał o odprawach dotyczących ofensywnej taktyki dla uchycenia kluczowych pozycji na powierzchni Chirona, w których uczestniczył niedawno, oraz o intensywnym ćwiczeniu działań antyterrorystycznych i przeciwpartyzanckich, które się właśnie rozpoczęło. Kazanie przypomniało mu o starych statkach niewolniczych, które przybywały ze słowami braterstwa i miłości, a pod pokładem trzymały w gotowości magazyny pełne prochu. Czy można było do tego stopnia uwarunkować ludzi, by byli przekonani, że robią jedno, gdy robili coś dokładnie przeciwnego i by nie dostrzegali sprzeczności? Zastanawiał się, co takiego Dyrektoriat dowiedział się o Chironie, a utrzymuje w tajemnicy?

– Będzie więc z naszym pożytkiem, gdy pamiętać będziemy o tych rzeczach w chwili, gdy zwracamy się, z wiarą w naszą misję i z zaufaniem, płynącym z wiedzy, iż nasza sprawa wynikła z Jego woli, ku zadaniom, które przed...

Po przeciwległej stronie stadionu, na najwyższej kondygnacji miejsc siedzących, Colman mógł dostrzec wysoką, wyprostowaną figurę srebrnowłosego Howarda Kalensa, obok niego zaś Celię w jasnoniebieskiej sukni i odpowiednio dobranym płaszczu. Powiedziała mu, że Kalens ma wewnętrzny przymus posiadania: posiadania rzeczy i posiadania ludzi. Uważał, że zagraża mu wszystko i każdy, komu nie rozkazywał. Colman uważał za dziwne, że tak wielu ludzie może uważać za swego przywódcę kogoś obarczonego takimi cechami. Aby stać na czele, trzeba umieć się obchodzić z ludźmi tak, by można się do nich obrócić plecami i mieć pewność, że to niczym nie grozi. Celia nie zgodziła się, by być jedną z pozycji w inwentarzu własności Kalensa i dowiodła tego samej sobie w taki sam sposób, jak Colman potrafił dać samemu sobie dowody, że nikt mu nie będzie dyktował, jak ma myśleć. Takie były następstwa działań ludzi,którzy postępowali tak, że nie śmieli zwrócić się do innych plecami. Colman nie zazdrościł Kalensowi ani jego pozycji, ani wielkiego domu w Dystrykcie Kolumbia; wiedział, że sam może stanąć plecami do ludzi ze swego plutonu bez obawy, że zostanie zastrzelony. Powinno się wszystkim Bardzo Ważnym Osobistościom tam w ławkach wydać działa szturmowe M32, pomyślał Colman. Wtedy oni wszyscy się pozabijają, strzelając sobie nawzajem w plecy, by myśleć tak, jak będą mieli ochotę.

Jak więc ludzie tacy, jak Howard Kalens, myśleli o Chironie? Czy wyobrażali sobie, że będą w stanie posiadać całą planetę? Czy z tego powodu poddawali dzieci praniu mózgów, by je zmienić w kukiełki ze Sfory, które myślą to, co im się każe oraz w cywilów, którzy będą mówić, że tak być powinno? Ale dlaczego ludzie na to pozwalają? Większość z nich nie pragnie posiadać planety; po prostu chcą, by dać im spokój i pozwolić być inżynierami albo uprawiać fermy. Pozwalają zaś dlatego, że zgadzają się z zasadami, które mówią, że będą należeli do lepszych, jeśli będą myśleć tak, jak zasady nakazują, do gorszych zaś, gdy tego nie uczynią.

Dongreve odepchnął się rękami od mównicy i wyprostował. Gdy znów zabrał głos, zaczął mówić nieco mniej uroczystym tonem. – W zakresie, który na co dzień dotyczy wszystkich nas tutaj zgromadzonych, wzrastające tempo rozwoju programu kosmicznego w ciągu dwóch ubiegłych dziesięcioleci dostarczało nam wielu wzruszeń. Niektóre budzące nadzieję osiągnięcia mogły równoważyć mniej przyjemne nowiny, nadchodzące z innych stron. Zbudowaliśmy stałe bazy na Księżycu i na Marsie; budują się osiedla ludzkie w przestrzeni kosmicznej; do księżyców Jowisza dotarła wyprawa załogowa; prowadzi się za pomocą robotów badania na najdalszych granicach Systemu Słonecznego i poza nimi. Ale – tu z westchnieniem wyciągnął ramiona – działania te dokonywane były na skalę narodową, a nie międzynarodową. Pomimo nadziei i słów wypowiadanych w ubiegłych latach, wszędzie bezpośrednim następstwem odkryć było ich wykorzystanie militarne. Prowadzi to nas do nieuchronnego wniosku, że wojna, [illegible] wybuchnie, szybko rozprzestrzeni się poza powierzchnię Ziemi i zagrozi naszemu gatunkowi w[illegible]dym miejscu. Musimy mieć odwagę spojrzeć w oczy prawdzie, że taki jest zasięg niebezpieczeństw[illegible]óre grozi nam w najbliższych latach.

Odwrócił się na chwilę, spojrzał na model SP3 błyszczący obok na stole, a potem wskazał go gestem. – Za pięć lat ta automatyczna sonda opuści System Słoneczny i odbędzie podróż do najbliższych gwiazd, w poszukiwaniu planet nadających się do zamieszkania... daleko od Ziemi i z dala od wszystkich ziemskich problemów, niepokojów i zagrożeń. Na koniec, jeśli wszystko dobrze pójdzie, osiągnie miejsce izolowane przez niewyobrażalną odległość od problemów, które spowodowały, że walka stała się nieodłączną i nieusuwalną częścią smutnej historii istnienia rodzaju ludzkiego na tej planecie.

Congreve spojrzał zamyślony na model sondy kosmicznej, jakby jego myśli ulatywały wraz z nią daleko i coraz dalej. – Będzie to nowy dom – dodał nieobecnym głosem. – Nowy, świeży, pulsujący świat, nie napiętnowany walką człowieka o wydźwignięcie się spomiędzy zwierząt, miejsce, które może stać się dla naszej rasy jedyną szansą zachowania swej odnogi tam, gdzie będzie ona mogła przeżyć, a jeśli trzeba, zacząć od nowa. Lecz tym razem świadoma lekcji przeszłości, które posłużą jej na naukę.

Szmer zmieszanych szeptów szybko przebiegł przez salę. Congreve skinął głową, dając do zrozumienia, że jest gotów spotkać sprzeciwy. Podniesieniem ręki poprosił o uwagę i głosy zwolna ucichły.

– Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że SP3 można przebudować ze statku-robota na załogowy. Projektu w jego obecnym zaawansowanym stadium nie da się już zmienić. Zbyt wiele rzeczy trzeba by przemyśleć od początku, a tego rodzaju zadanie wymagałoby dziesięcioleci. A przecież nigdzie nie projektuje się żadnej konstrukcji tak zaawansowanej, jak SP3, cóż dopiero mówić o jej zbudowaniu. Sposobność jest wyjątkowa i za żadną cenę nie można pozwolić, by nam się wymknęła. Ale równocześnie na opóźnienia pozwolić też sobie nie możemy, choćby były konieczne, by skorzystać z okazji. Jakież więc jest wyjście z sytuacji? – Rozejrzał się dokoła w oczekiwaniu odpowiedzi. Żadna nie nadeszła.

– Badamy ten problem od pewnego czasu i sądzimy, że rozwązanie można znaleźć. Wysłanie grupy ludzi dorosłych ani jako działającego zespołu, ani w stanie hibernacji nie jest na pokładzie statku możliwe; etap jego budowy jest już zbyt zaawansowany, by można zmieniać wyjściowe parametry konstrukcyjne statku. Ale w takim razie po cóż w ogóle wysyłać d o r o s ł y c h ? – Congreve wyciągnął ręce błagalnie. – Przecież naszym celem jest po prostu tam stworzyć przedłużenie naszej rasy, gdzie będzie ona wolna od nieszczęść, które mogą nas dotknąć tutaj. A miejsce na to można znaleźć tylko u kresu podróży. Ludzie nie będą potrzebni ani podczas drogi, ani w fazie badań wstępnych, gdyż maszyny zdolne są w sposób doskonały wypełnić wszystko w zakres tych działań. Dopiero, gdy fazy te zostaną pomyślnie ukończone, istotną staje się obecność człowieka. W ten sposób, odrzucając konwencjonalne koncepcje podróży międzygwiezdnych i znajdując zupełnie nowe podejście do problemu, możemy uniknąć wszystkich trudności związanych z ideą wysyłania ludzi w przestrzeń międzygwiezdną: niech statek s t w o r z y ludzi, gdy przybędzie na miejsce!

Przerwał, lecz tym razem najmniejszy szept nie zakłócił ciszy.

Zaczął przemawiać coraz goręcej, przekonująco, z naciskiem. – Postępy inżynierii genetycznej i embriologii pozwalają na elektoniczne zapisanie w komputerach statku ludzkiej informacji genetycznej. Kosztem niewielkiej masy i przestrzeni wyposażenie statku może zostać uzupełnione o wszystko, co niezbędne dla stworzenia i wyhodowania pierwszej generacji, liczącej nawet kilkaset ludzkich zarodków, gdy tylko zostanie znaleziona planeta, na której wstępne badania atmosfery i powierzchni wykażą właściwe warunki. Embriony następnie mogą być oddane pod opiekę i wreszcie wychowywane przez wyspecjalizowane roboty, które przekażą im tyle z naszej kultury i historii, ile pomieści pamięć komputerów. Wszystkich środków koniecznych do zbudowania i utrzymania rozwiniętego społeczeństwa, dostarczy sama planeta. W tym celu, gdy na orbicie pierwsze pokolenie będzie przechodziło okres niemowlęctwa, inne maszyny wybudują na powierzchni zakłady przetwórstwa metali i innych materiałów, fabryki, fermy, systemy transportu i ośrodki mieszkalne. Można się spodziewać, że w ciągu paru

pokoleń powstanie kwitnąca kolonia i niezależnie od tego, co stanie się tutaj, rodzaj ludzki ocaleje. Takie podejście do sprawy ma tę zaletę, że jeśli zaangażujemy się weń natychmiast, konieczne zmiany zmieszczą się w istniejącym harmonogramie budowy SP3 i zgodnie z poprzednimi planami start może nastąpić za pięć lat.

Słuchacze Congreve'a zwolna wracali do życia. Choć wielu z nich było ciągle zbyt zdumionych, by zdobyć się na wyraźną reakcję, głowy zaczęły skłaniać się twierdząco i szepty przebiegające przez salę brzmiały pozytywnie. Prezes skinął głową i z lekka się uśmiechnął, jakby ciesząc się myślą, że najlepsze zachował na koniec.

– Drugą rzeczą, którą chciałbym oznajmić dzisiaj jest, że tego rodzaju decyzja właśnie została podjęta. Jak wspomniałem przed chwilą, temat ten był już przedmiotem studiów przez dłuższy czas. Dziś mogę was poinformować, że trzy dni temu przezydent Stanów Zjdenoczonych i przewodniczący Wschodniej Strefy Wspólnego Rozkwitu podpisali porozumienie, wchodzące w życie natychmiast, o wspólnym urzeczywistnieniu projektu, który wam pokrótce zarysowałem. Działalność różnych państwowych i prywatnych instytutów badawczych i innych organizacji, które zostaną zaangażowane w przedsięwzięciu, będzie koordynowana przez przedstawicieli Północnoamerykańskiej Organizacji Eksploatacji Kosmosu i reprezentantów naszych chińskich i japońskich partnerów pod nazwą kodową „Gwiezdna Przestrzeń".

Twarz Congreve'a rozjaśniła się szerokim uśmiechem. – Trzecia informacja, jaką mam przekazać, brzmi, że mimo wszystko ten wieczór nie oznacza mego wycofania się z pracy zawodowej. Prezydent zaproponował mi kierownictwo projektu „Gwiezdna Przestrzeń" z ramienia Stanów Zjednoczonych jako starszego partnera porozumienia. Przyjąłem. Rezygnuję z funkcji w POEK wyłącznie dlatego, by móc w całości poświęcić się moim nowym zadaniom. Tych, którzy mogą mniemać, iż w przeszłości mieli ze mną ciężkie życie, mogę z nieszczerym ubolewaniem zawiadomić, że będę się tu jeszcze przez dłuższy czas kręcił, zanim zaś nasz projekt zostanie urzeczywistniony, czasy staną się o wiele cięższe.

Kilka osób w końcu sali wstało i zaczęło klaskać. Aplauz wzmagał się, aż przekształcił w zbiorową owację. Congreve uśmiechnął się nie zmieszany w podziękowaniu za ten wybuch entuzjazmu, przez chwilę stał pozwalając trwać owacji, w końcu znów oparł się o mównicę.

– Pierwsze oficjalne spotkanie z Chińczykami odbyło się wczoraj i już podjęliśmy pierwszą wspólną oficjalną decyzję. – Znów rzucił okiem na model sondy gwiezdnej. – SP3 ma już imię. Została nazwana imieniem bogini z mitologii chińskiej, która wydała nam się odpowiednią patronką dla statku: Kuan-yin – bogini przynosząca dzieci. Miejmy nadzieję, że dobrze potrafi strzec swych dzieci w nadchodzących latach.

wszystko pójdzie pokojowo, ale byli też zadowoleni, że jest pod ręką wojsko, by usuwać trudności. Nie zależało im na pokoju po to, by Colman i jemu podobni nie zostali zabici ani by Chirończycy podobni do Jaya zostali inżynierami, zaś podobni do czarnego chłopa koło Zeerust uprawiali farmy, nie ginąc pod dywanowym nalotem. Chcieli pokoju po to, by móc nająć Chirończyków za połowę płacy Ziemian i by zbudować dla swych dzieci dobre, ekskluzywne szkoły. Chirończykom nie można pozwolić chodzić do szkół, bo wtedy zażądają równych płac z Ziemianami. A zresztą na takie szkoły nigdy nie będzie ich stać – przecież to w końcu nie są ludzie.

– Jaki wydruk daje chiroński komputer, gdy ktoś go chce użyć bez upoważnienia? – zapytał jeden z biznesmenów, gdy sytuacja dojrzała do opowiadania dowcipów.

– Jaki?

– RATUNKU! GWAŁCĄ! Ha-ha, ha-ha-ha!

Colman zdecydował przejść się do Rockefellera i sprawdzić, czy nie został tam ktoś z jego plutonu. Po drodze nagle zwolnił kroku. Nie tak dawno temu natknął się przypadkiem na bardzo osobisty i zadowalający sposób tworzenia sobie samopoczucia, że wyrównuje swe rachunki z systemem, choć nie bardzo wiedział, dlaczego tak się dzieje. Nikt prócz niego nie wiedział o tym, nawet Hanlon, ale to nie sprawiało różnicy. Nie spotykał się z nią od pewnego czasu, ale właśnie dziś był w odpowiednim nastroju.

By uniknąć posługiwania się komblokiem w niezbyt prywatnym otoczeniu, wszedł do kabiny w hotelu u Rockefellera i wywołał numer tak zaprogramowany, że odpowiadał tylko, gdy była sama. Czekając na sygnał, Colman błyskawicznie przebiegł myślą wydarzenia sprzed sześciu miesięcy. Stał wyciągnięty na baczność w paradnym mundurze obok modelu stanowiska zdalnego kierowania ogniem artyleryjskim – eksponatu, należącego do części wystawy zorganizowanej przez armię z okazji święta Czwartego Lipca – gdy ona niedbałym krokiem oddaliła się od grupy sączących koktajle Bardzo Ważnych Osobistości i stanęła koło niego, podziwiając ekrany z pozorowanymi obrazami pola bitwy. Powolnym, sugestywnym ruchem przesunęła długim, lakierowanym paznokciem po klawiatrze skomplikowanego pulpitu kontrolnego podsystemu śledzenia satelitarnego. – A ilu jeszcze tak przystojnych mężczyzn jak ty, sierżancie, jest w armii? – szepnęła do ekranów przed sobą.

– Nie mogę odpowiedzieć, Madame – odrzekł Colman armacie laserowej, stojącej o dwadzieścia stóp przed nim. – Nie jestem specjalistą od przystojnych mężczyzn.

– Więc może specjalistą od pań, poszukujących podniecającej rozrywki?

– To zależy, Madame. Mogę sprawić masę kłopotów.

– Bardzo mądrze, sierżancie. Niemniej niektóre z nich umieją być bardzo dyskretne. Teoretycznie biorąc, zaliczyłyby się wówczas do innej kategorii, nie sądzisz?

– Teoretycznie, jak sądzę, ma pani słuszność – zgodził się Colman.

Miała przyjaciółkę imieniem Weronika, która mieszkała samotnie w pracowni artystycznej w segmencie Baltimore i była bardzo wyrozumiała. Można było polegać, że Weronika opuści dom na cały wieczór, i to w każdej chwili; Colman niekiedy zastanawiał się, czy ona rzeczywiście istnieje. Posiadanie pracowni na wyłączny użytek nie stanowiłoby trudności dla żony Bardzo Ważnej Osobistości, nawet przy ograniczonej powierzchni mieszkalnej „Mayflower II". Nigdy mu nie powiedziała, czy był jej jedynym mężczyzną, on zaś nigdy nie pytał. To należało do zasad ich związku.

Ekran naprzeciw niego nagle rozjaśnił się, ukazując jej twarz. Przez maleńki ułamek sekundy w jej oczach zabłysło zdziwienie, ustępując ciepłemu płomykowi oczekiwania, pomieszanego z odrobiną rozbawienia.

– Hej, witaj, sierżancie – powiedziała niskim głosem. – Zaczynałam się zastanawiać, czy nie nastąpiła dezercja. Teraz zaś zastanawiam się, co możesz mieć myśli o tej nocnej godzinie,

– To zależy. Jaka jest sytacja pod względem towarzyskim?

– Och, jak na sobotni wieczór, bardzo nudna.

– Nie ma go...

– Pije, opycha się i spiskuje. Z pewnością do białego rana.

Colman zawahał się przez chwilę, by pytanie stało się zrozumiałe samo przez się. – Więc...?

– No cóż, jestem pewna, że Weronika da się przekonać, jeśli zadzwonię do niej i ładnie poproszę.

– Powiedzmy, za pół godziny.

– Pół godziny. – Uśmiechnęła się obiecująco i mrugnęła. W chwili, gdy ekran gasł, Colman na moment ujrzał w zbliżeniu jej sięgające ramion kasztanowate włosy i piękne rysy twarzy, pochylającej się do ekranu by przerwać połączenie.

Półetatową kochanką Colmana z najwyższego towarzystwa była Celia Kalens.

akcentem od drzwi wejściowych. Bret Hanlon stał oparty niedbale o framugę, z zimnym błyskiem w niebieskich oczach. Jego potężne ramiona zdawały się zasłaniać wejście na całą szerokość. Wyglądał na zupełnie spokojnego i odprężonego, ale Colman zauważył, że Hanlon pochylił się lekko do przodu, dłonie zaś nieznacznie opuszczał na wysokość ud. Obaj kaprale wymienili przestraszone spojrzenia, obecność Hanlona odwracała szanse. Padawski patrzył niepewnie, ale równocześnie nie chciał się niesławnie wycofać. Przez parę sekund ciągnących się jak minuty atmosfera na sali naładowała się do granic wybuchu. Nikt nie drgnął.

W tym momencie trzech żołnierzy Służby Specjalnej, wychodzących z Bowery zatrzymało się, by sprawdzić kawiarnię. Dało to Padawskiemu poszukiwany pretekst. – Wychodzimy stąd – powiedział. Trio z buńczucznymi minami podążyło do drzwi, Hanlon zaś wszedł do środka i stanął z boku. U wyjścia Padawski zatrzymał się, by rzucić Colmanowi nienawistne spojrzenie. – Innym razem. A wtedy nie będzie miał tyle szczęścia. – Wyszli. Na zewnątrz trzech „S"-manów zrobiło w tył zwrot i powoli odeszło.

Hanlon zbliżył się, usiadł w loży. W sali wszystko wróciło do normy. – Wiedzieli, że tu jesteś, Steve. Podsłuchałem ich rozmowę u Rockefellera. Pomyślałem sobie, że wrócę i powłóczę się gdzieś tutaj.

– Zawsze mówiłem, że masz dobre poczucie czasu, Bret.

– Czy ten fajny chłopak to Jay, o którym mi opowiadałeś? – spytał Hanlon.

– To Jay. Jay, to jest Bret, Bret Hanlon. Dowodzi jednym z plutonów i uczy walki wręcz. Nie zadzierai z nim.

– Czy to dlatego te typy się wyniosły? – spytał Jay, powoli odzyskując naturalny kolor.

– Prawdopodobnie jedno z drugim miało coś wspólnego – odpowiedział z uśmiechem Colman. – Z takimi szumowinami ma się do czynienia w wojsku. Nadal cię to interesuje?

– Sądzę, że będę musiał to przemyśleć – zgodził się Jay.

Hanlon zamówił trzy hamburgery z garniturem i najbliższe pół godziny dwaj sierżanci spędzili na rozmowie z Jayem o życiu wojskowym, o futbolu i o tym, jak Stanislau przełamuje zastrzeżone kody publicznego banku pamięci. W końcu Jay oświadczył, że czas mu do domu, więc odprowadzili go przez kilka poziomów, aż do centrlnego dworca kapsuł na Manhattanie.

– Czy wracamy do towarzystwa? – zapytał Hanlon, gdy po odjeździe Jaya do segmentu Maryland schodzili szerokimi schodami na forum na środkowym pokładzie.

Colman zwolnił kroku i podrapał się w brodę. Nie miał na to ochoty. – Idź sam, Bret – powiedział. Myślę, że się trochę powłóczę. Wolałbym zostać na chwilę sam.

Rozmowa z Jayem przypomniała Colmanowi masę rzeczy, o których na co dzień nie miał ochoty myśleć. Życie było jak wojsko: brało ludzi, łamało ich na drobne kawałki i składało z powrotem tak, jak chciało. Tyle, że nie robiło tego z ciałami, lecz z umysłami. Brało umysły dziecięce w okresie ich plastyczności i paraliżowało je, mówiąc, że są głupie; dezorientowało je przy pomocy ludzi, którzy z założenia wszystko mieli wiedzieć lepiej, ale nic z tego im nie przekazywali; na koniec terroryzowało je przy pomocy Boga, który kochał wszystkich. A wtedy musztrowało je i ćwiczyło, dopóki słusznym nie stało się tylko to, co kazano im myśleć. Ten system zmienił Anitę w lalkę i próbował zrobić kukiełkę z Jaya, tak jak już ją zrobił z Bernarda. Zmieniał ludzi w magnetofony, które nagrywały i odgrywały słowa i wyrabiał w nich przekonanie, że wiedzą wszystko o ludności planety, której nigdy nie oglądali na oczy. I rozwalał czaszki czarnych chłopców, ponieważ chcieli oni uprawiać swe farmy, a nie chcieli, by ich dzieci przybijano gwoździami do ścian, następnie zaś mówił cywilom w Cape Town, że tak jest w porządku. A co zrobił z Colmanem? Nie miał na to odpowiedzi, ponieważ nie wiedział, jak mogłoby być, gdyby było inaczej.

– Doigrają się szybko tego, co im się należy – oświadczył tłuścioch siedzący na stołku barowym obok Colmana. – Rozwydrzone dzieci, mnożą się jak króliki... Obrzydliwe. I do tego robią bomby! Dzikusy, nic tylko dzikusy, nie lepsze, niż Chirończycy. Kalens ma rację. On ich nauczy trochę szacunku i przyzwoitości. – Colman przełknął drinka i wyszedł.

„Jezu" – pomyślał. „Ten ustrój przyprawia mnie o mdłości". A ciągnęło się to dawniej, niż od dwudziestu lat, bo czymże był „Mayflower II", jak nie przedłużeniem systemu, od którego próbował uciekać przez całe życie? Jay zaczyna pojmować, że pułapka w jaką wpadł, już się zamyka. I nic się nie zmieni. Nigdy. Chiron też nie będzie wyjściem, na które Colman miał nadzieję zgłaszając się na ochotnika, gdy miał dziewiętnaście lat. Wiozą system wraz z sobą, a Chiron stanie się jego częścią. Wrócił do Bowery, gdzie paru biznesmenów na przechadzce po mieście postawiło mu drinka. Byli zaniepokojeni plotkami o możliwości kłopotów, bo mieli wielkie plany ekspansji na Chironie i chcieli wyciągnąć z Colmana, co się o tym szepcze w armii. Colman powiedział, że nic się nie szepcze. Biznesmeni mieli nadzieję, że

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYPRAWA STATKU „MAYFLOWER II"

Rozdział I

Trzeci pluton kompanii „D" zajął taktyczną pozycję bojową około dwustu stóp poniżej linii grzbietowej, w zagłębieniu otoczonym stykającymi się spłachetkami dzikiej szałwii i niskich zarośli. Z dwóch stron osłaniały ją występy niskiej ściany skalnej, potężny głaz zamykał trzecią, z przodu zaś chroniła półka z mniejszych, płaskich kamieni. Tarcza termiczna rozciągnięta w górze skrywała ciepło ciał żołnierzy przed wykryciem przez zawsze czujne sensory nieprzyjacielskich satelitów obserwacyjnych.

Gdy Colman uniósł skraj siatki maskującej, trzymając nadal głowę głęboko cofniętą, ujrzał widok pełen zwodniczego spokoju. Zbocze pagórka poniżej pozycji stromo opadało. Słabe światło gwiazd ledwie pozwalało dostrzec jego zarysy, które dalej rozpływały się w ciemnościach wąwozu leżącego u stóp wzgórza. Noc była bezksiężycowa, niebo bezchmurne jak kryształ. Wzrok Colmana powoli przystosował się do panującego zmroku, spojrzenie przeniosło dalej. Systematycznie badał obszar, na którym dwudziestu pięciu ludzi plutonu od trzech godzin trwało nieruchomo w ukryciu. Jeśli wykopali doły strzeleckie i stanowiska sprzętu tak, jak im pokazał, a także należycie wykorzystali roślinność i kamienie, była duża szansa, że nie zostaną wykryci. Aby jeszcze bardziej zmylić przeciwnika, kompania „D" rozłożyła pozorujące atrapy termiczne o pół mili dalej, blisko grzbietu wzgórza, w miejscu, gdzie wedle wszelkich zasad pluton powinien zająć pozycję bojową. Samoprogramujące się promienniki włączały się i wyłączały losowo, pozorując przesuwanie się ludzi. Dzięki temu przez większą część nocy ściągały na siebie sporadyczny ogień nieprzyjaciela. Pluton w ogóle nie był ostrzeliwany, co dobrze świadczyło o przestrzeganiu regulaminu, w jego wersji przerobionej na własną rękę przez sierżanta sztabowego Colmana. „Istnieją dwa sposoby robienia czegokolwiek" – mawiał rekrutom. „Sposób wojskowy i sposób błędny. Innych sposobów nie ma. Jeśli więc mówię wam, abyście coś zrobili po wojskowemu, co to oznacza?"

– Aby robić tak, jak pan to mówi, sierżancie.

– Doskonale.

O pięćdziesiąt stóp dalej zabłysł na sekundę pomarańczowy punkcik w miejscu, gdzie Stanislau i Carson trzymali ścieżkę do wąwozu w polu ostrzału submegadżulowego lasera. Colman zachmurzył się. Prawie niedostrzegalnie odwróciwszy głowę szepnął do Driscolla: – Widać papierosa przy SDL. Skończyć z tym.

Driscoll zapukał palcem w płytkę kompaku i z wbitego w ziemię ostrza pobiegły przez glebę drgania nadźwiękowe, niosąc sygnał wywoławczy Stanowiska Działa Laserowego. – Tu SDL, słucham – rozległ się przyciszony gos z kompaku.

Driscoll szepnął do mikrofonu umocowanego do swego hełmu: – Czerwony Trzy, sprawdzenie linii. – Ten tekst, automatycznie zapisany w elektronicznym dzienniku łączności bojowej, brzmiał zupełnie niewinnie. W ciemności Driscoll włączył na chwilę blokadę zapisu. – Światło u was, gówniarze. Zgasić albo ukryć. – Zdjął palec z wyłącznika. – Melduj sytuację, SDL.

– W stanie gotowości i dozorowania – odpowiedział obojętny głos. – Nic do zameldowania. – Na stanowisku działa ogieniek znikł w mgnieniu oka.

– Utrzymywać gotowość. Koniec.

Colman odchrząknął cicho, raz jeszcze rozejrzał się po terenie, opuścił skraj siatki maskującej i spojrzał do środka. Obok Driscolla Maddock przyglądał się łożysku wąwozu przez wzmacniacz obrazu. W ciemności obok niego kapral Swyley wpatrywał się z napięciem w ekran wideoskopu przedpola. W przyćmionym świetle ekranu rysy jego twarzy nabrały ostrości.

Obraz, który przykuł jego uwagę był przekazywany przez osiemnastocalowy szybujący automat zwiadowczy piechoty, który udało im się skrycie umieścić na wysokości tysiąca stóp nad dnem wąwozu, niemal dokładnie nad przednim skrajem pozycji nieprzyjacielskiej. Jego odczyt był uzupełniany przez dodatkowe dane z satelitów i innych źródeł sieci wywiadu elektronicznego. Na ekranie było widać bunkier dowodzenia w głębi wąwozu, ujawnione stanowiska broni nieprzyjaciela, obliczone przez komputerową analizę punktów początkowych śledzonych radarowo trajektorii wystrzelonych pocisków, oraz położenie punktów obserwacyjnych i ogniowych na podstawie analizy triangulacyjnej rozproszenia

odbić światła laserów kontrolnych. Chłodne wody strumienia i jego dopływów wyglądały na ekranie jak czarne gałązki, skały i głazy świeciły odcieniami błękitu, żywa roślinność przechodziła od rdzawego brązu na wzgórzach do głębokiej czerwieni w gęstych zaroślach u podnóża wąwozu; ślady po odłamkach bomb i pocisków świeciły odcieniami od matowego oranżu do żółcieni, zależnie od tego, ile czasu upłynęło od wybuchu.

Tym jednak, co tak przykuwało uwagę kaprala Swyleya, były maleńkie plamki jaśniejszej czerwieni, które mogły być, ale mogły i nie być, śladami niewystarczająco zamaskowanej pozycji obronnej, a także ledwie widoczne, cienkie jak włos linie, które mogły być śladami termicznymi niedawnego ruchu pojazdów.

W jaki sposób Swyleyowi udawało się czytać obraz tak precyzyjnie jak to robił, nikt dokładnie nie wiedział, a już najmniej on sam. Niezależnie od przyczyn, zdolność Swyleya wyławiania znaczących szczegółów z beznadziejnej gmatwaniny zaśmieconego tła obrazu i nieomylnego odróżniania wartości informacji od atrap pozorujących i pułapek była z całkowitą słusznością głośna – i niesamowita. Ponieważ jednak sam Swyley nie wiedział, jak to robi, nie był więc w stanie wytłumaczyć tego programistom systemów elektronicznych, którzy mieli nadzieję powielić jego osiągnięcia w programach analizy obrazów. W rezultacie wszyscy „iści" oraz „ologowie" zaczęli go maltretować, poddając nieskończenie długim i bezpłodnym badaniom testowym. Na koniec Swyley wymyślił dla nich dość wiarygodnie brzmiące wytłumaczenie, które miało tylko jeden słaby punkt: programy napisane zgodnie z nim – nie działały. Wtedy Swyley oświadczył, że jego tajemnicza zdolność nagle znikła.

Major Thorpe, oficer wywiadu elektronicznego w sztabie brygady, przeczytał kiedyś, że szpinak i ryby są znakomitym lekarstwem przeciw osłabieniu wzroku, przepisał je więc Swyleyowi w formie diety intensywnej. Ale Swyley nienawidził ryb i szpinaku jeszcze bardziej, niż testów, którym był poddawany i w przeciągu tygodnia został dotknięty ostrym daltonizmem, co udowodnił nie dostrzegając niczego w ogóle nawet na najprostszych displejach treningowych.

W rezultacie Swyley został uznany za „nieprzystosowanego społecznie" i przeniesiony do kompanii „D", gdzie zsyłano wszystkich nieprzystosowanych i niezadowolonych. Tam jego zdolność cudownie powracała, pod warunkiem, że nie było w pobliżu żadnego oficera, z wyjątkiem kapitana Sirocco, który dowodził kompanią „D" i zupełnie nie interesował się, w jaki sposób Swyley uzyskuje wyniki, pod warunkiem, że były one prawidłowe. Nie obchodziło też kapitana, że Swyley był nieprzystosowany, szczególnie biorąc pod uwagę, że tak czy inaczej z samego założenia cała kompania „D" składała się wyłącznie z takich ludzi.

Oznacza to, że nie ma łatwego sposobu wydostania się z kompanii „D", a cóż dopiero ze służby wojskowej w ogóle – rozmyślał Colman, oczekując w ciemności aż Swyley wyda swe orzeczenie. Wynikało z tego, że przeniesienie Colmana z armii do Inżynierii, o co prosił, było mało prawdopodobne.

Według przekonania Colmana rozumiało się samo przez się, że nikt pozostający przy zdrowych zmysłach nie chce zostać zabity albo wysyłany do miejsca, o którym nigdy nie słyszał, przez ludzi, których nigdy nie spotkał, w celu zabijania innych ludzi, których nie znał. Dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie służył w wojsku. Ponieważ jednak armia była pełna ludzi, których uważał za dostatecznie normalnych i zdrowych na umyśle, prawdopodobnie wynikał z tego wniosek, że wojskowe pojęcie normalności musiało być nader dziwne. Z drugiej strony przeniesienie się do czegoś takiego, jak Inżynieria, wyglądało na pierwszy rzut oka na sprawę całkowicie naturalną, rozsądną, konstruktywną i pożądaną. A to, jak się zdaje, było dostateczną gwarancją, że armia uzna taką prośbę za nierozsądną i dla Colmana niewłaściwą.

Z jeszcze innej strony, do ważnych elementów oceny należało badanie i rekomendacja psychiatryczna, Colman zaś podczas kilku seansów, spędzonych z przydzielonym do brygady psychiatrą Pendreyem, stopniowo doszedł do wniosku, że Pendrey był zdeklarowanym wariatem. Zastanawiał się więc, czy zwariowany psychiatra, wychodząc ze zwariowanych założeń, może w końcu dojść do wniosków, zgodnych ze zdrowym rozsądkiem; podobnie, jak dwie równoważne inwersje logiczne w dowodzeniu nie naruszają prawdziwości wniosku. Ale znów, jeśli zgodnie ze standardami armii Pendrey był normalny, analogia nie chwytała.

Prawda, że Sirocco poparł wniosek; ale Colman nie był pewien czy zda się to na wiele, biorąc pod uwagę, że Sirocco dowodził kompanią „D" i wszystko co proponował, było w sposób oczywisty gdzieś na drodze służbowej rozumiane odwrotnie. Może powinien był przekonać kapitana, by nie popierał wniosku. Z drugiej jednak strony, jeśli wszystko co popierał Sirocco, od razu podlegało odwróceniu i jeśli Pendrey był wariatem, ale zgodnie z normami wojskowymi normalnym, i jeśli założenia, z których Pendrey wychodził były równie wariackie, to mimo wszystko mogła z tego wyniknąć decyzja dla Col-

– Nawet ty?

– Oczywiście. Co może być bardziej idiotycznego, niż wojsko?

– Ale ty nie jesteś głupi – powiedział Jay. – Więc czemu wstąpiłeś?

– Bo to była grupa, dokładnie jak ci opisałem: coś, do czego się należy. Zawsze działałem na własną rękę i rozrabiałem dokoła, tylko po to, by mnie zauważono. Tak postępują ludzie. Nie idzie o to, co robisz, coś dobrego czy złego, jeśli tylko robisz coś, dzięki czemu inni zauważają twoje istnienie. Nie ma nic gorszego, jak nie zostać zauważonym przez kogokolwiek. – Colman wzruszył ramionami. – Stłukłem typunia, który sam się o to napraszał, ale przypadkiem miał bogatego tatusia i zaproponowano mi służbę wojskową zamiast ciupy, ponieważ doszli do wniosku, że to będzie nie mniejsza kara. Zgodziłem się natychmiast.

Jay wypił łyk kawy, przyglądając się filiżance przez chwilę dłużącą się w nieskończoność, aż wreszcie nie podnosząc oczu powiedział: – Myślałem o tym w tę i w tamtą stronę... wiesz, mam wrażenie, że chciałbym dostać się do wojska. Jak to można najlepiej załatwić?

Colman rzucił mu surowe spojrzenie. – Jak ci się zdaje – co na tym zyskasz? – zapytał.

– Och, kto wie... może coś z tego, o czym opowiadałeś?

– Wyrwać się z klatki domowej, być naprawdę sobą, zerwać z siebie kaftan bezpieczeństwa i tak dalej, hę?

– Może.

Colman, starając się sformułować właściwą odpowiedź, wytarł usta serwetką z zasobnika stojącego na stole i pokiwał głową. Ugrzązł w armii, ale chciałby zostać zawodowym inżynierem; Jay śpiewająco mógł stać się inżynierem, ale zdawało mu się, że wolałby być w armii. Odpowiedź, wyliczająca w lekceważący sposób przyczyny, dla których to nie był tak dobry pomysł, dla Jaya się nie nadawała – znał je na pamięć i nie chciałby ich słuchać.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hałasem i kilka mocnych gardeł zagłuszyło rozmowy w kawiarni. Colman poznał trzy twarze z kompanii „B" – wysokiego, żylastego sierżanta Padawskiego o cienkich, brzydkich wargach i twardych czarnych oczach, osadzonych w wąskiej, śniadej twarzy, i dwóch kaprali, których nazwisk nie mógł sobie przypomnieć. Byli już po alkoholu, a Padawski potrafił być wredny nawet na trzeźwo. Dawna przyjaźń Colmana z Anitą zawiązała się wówczas, gdy dziewczyna zaczęła szukać w jego i Halona towarzystwie obrony przed prześladowaniem Padawskiego. Colman umiał sobie poradzić w potrzebie, Hanlon zaś, poza tym że dowodził jako sierżant drugim plutonem, był instruktorem walki wręcz dla całej kompanii „D" i to dobrym instruktorem. To zestawienie skutecznie odstraszyło Padawskiego, lecz od tej chwili darzył on Colmana skrytą nienawiścią.

– Co to za jedni? – spytał Jay, zauważywszy napięcie Colmana.

– Złe wieści – syknął Colman przez ściśnięte zęby. – Mów spokojnie dalej. Nie rozglądaj się.

– Mam to w dupie – ryczał Padawski, gdy trójka toczyła się w stronę kontuaru. – Mam to głęboko w dupie, mówię wam. Jeśli ten zasraniec chce, żeby... – Przerwał nagle. – Popatrz, kogóż tu mamy? Złotowłosy chłopczyk z kompanii „D", z tych kretynów na tyle cwanych, by spieprzyć całe ćwiczenia pierwszego dnia. – Colman czuł drżenie podłogi, gdy ciężkie kroki zbliżały się do loży. Nieznacznie zmienił pozycję nóg pod stołem i położenie ciała w taki sposób, by być gotowym do poderwania się w każdej chwili. Wygodniej ujął w dłoń filiżankę do połowy wypełnioną gorącą kawą. Spojrzał na złośliwie uśmiechniętego o trzy stopy od stolika Padawskiego.

– Spotkanie prywatne – mruknął cichym, ale groźnym głosem. – Spływaj.

– Hej, chłopcy, złotowłosy ma nową dziewczynkę! Popatrzcie! Chcesz nam coś powiedzieć, Colman? Zawsze cię podejrzewałem.– Obaj kaprale głośno zarechotali, jeden z nich zatoczył się na stolik w drugim rzędzie. Siedzący tam człowiek przeprosił i wyniósł się. W głębi lokalu zza kontuaru wyszedł zaniepokojony właściciel.

Jay zbladł i siedział nieruchomo. Colman wlepił w Padawskiego płonący wzrok. Padawski wyszczerzył zęby jeszcze bardziej. Przy trzech na jednego i Jayem obok, wiedział, że ma Colmana w ręku. Padawski przysunął twarz do Jaya i chuchnął oddechem przesyconym zapachem piwa.

– Hej, chłopczyku, czy chciałbyś...

– Dosyć – warknął Colman. – Odwal się od niego. Sprawę macie ze mną. Pójdę na was trzech, ale nie tutaj. On z tym nie ma nic wspólnego.

Zaaferowany właściciel podsunął się bliżej, nerwowo gniotąc ścierkę w dłoniach. – Słuchajcie, nie chcę tu żadnych awantur. Ja po prostu podaję klientom co zamówione, w porządku? Goście też nie chcą awantury. Czemubyście wobec tego...

– Ach, to te chłopczyki, co szukają awantury, tak? – rozległ się przyciszony głos z lekkim irlandzkim

wykorzystaniu nadarzającej się okazji, wynagrodzi sobie tym swoją przeszłość. Dlaczego - nie wiedział; na pewno cokolwiek uczyni teraz, nie zrobi to żadnej różnicy Colmanom, ale czuł, że jest im to winien. Tak działały umysły ludzkie. Umysły mogły być nader osobliwe.

Postawił kawy na stole i wsunął się na miejsce naprzeciw Jaya. - Miałeś kiedy pragnienie? - zapytał, mieszając cukier w filiżance.

Jay był zdumiony. - Jakże... oczywiście. Tak sądzę. Czy to nie każdemu się zdarza?

- Naprawdę spragniony - tak bardzo, że twój język jest jak kłębek waty stalowej, puchnie ci w ustach, a skóra zaczyna pękać.

- No... nie. A bo co?

- Ja byłem. Kiedyś odcięto mnie z paru chłopakami na prawie cały tydzień na pustyni w Południowej Afryce. Nie możesz wtedy myśleć o niczym, prócz wody. Pragnienie jest nie do opisania. Za kubek wody dałbyś sobie odciąć rękę. - Przerwał, Jay czekał zaintrygowany. - Gdy zaś masz picia ile trzeba - kontynuował Colman - zaczynasz się martwić o jedzenie. To idzie wolniej, ale w końcu jest równie złe. Było masę wypadków ludożerstwa trupów przez ludzi, którzy chcieli zostać przy życiu. Wystarczy być dostatecznie głodnym. Inni walczyli na śmierć i życie o garść obierzyn kartoflanych.

- No i...?

- Gdy masz co jeść i pić, zaczynasz się martwić, by ci było ciepło. A gdy ci już dość ciepło, zaczynasz myśleć o własnym bezpieczeństwie. - Colman na chwilę rozłożył ręce. - Kiedy ludzie żyją w gromadzie, przez większość czasu większość z nich ma co jeść i pić i udaje im się zapewnić sobie ciepło i bezpieczeństwo. Jak sądzisz, co wówczas przychodzi im na myśl?

Jay był zakłopotany, zmarszczył brwi. - Seks? - zaryzykował.

Colman wyszczerzył zęby. - Oczywiście masz rację, istnieje jednak przyjęte założenie, że udawać będziesz, iż nie masz o tym pojęcia. Jednak co innego miałem na myśli: uznanie. Ta właściwość natury ludzkiej ujawnia się, gdy zostają zaspokojone większe potrzeby. A gdy już się ujawni, staje się równie potężna, jak cała reszta. Człowiek potrzebuje przekonania, że nie jest gorszy w porównaniu z innymi facetami wokół niego. Potrzebuje uznania za to, co w nim jest dobre i potrzebuje być wyróżniany. Tak jak mówiłeś, prawdopodobnie za tym wszystkim tkwi seks, bo człowiek myśli, że wtedy dziewczyny zwracają na niego uwagę. Ale niezależnie od przyczyn, ta potrzeba naprawdę istnieje.

Jay zaczął już wyciągać wnioski. - Pod jakim względem w porównaniu z innymi? - zapytał. - Jaka jest skala?

- To nie ma znaczenia - odpowiedział Colman. - Jest różna w różnych miejscach. Być najlepszym myśliwym w wiosce, albo tym, który zabił najwięcej lwów. Może zależeć od sposobu, w jaki pomalujesz twarz. Przez większą część historii skalę stanowiły pieniądze. Nieważne, co za nie kupujesz. Ważne jest to, że rzeczy, które kupiłeś, mówią do innych: „Żeby zarobić tyle, by to wszystko kupić, miałem takie same możliwości jak ty. Ale ja zarobiłem, a ty nie. Wobec czego jestem lepszy od ciebie". O to chodzi w całej sprawie.

- Czemu jest ważne, by być lepszym, niż ktoś inny?

- Już ci powiedziałem, to jest instynktowne. Nie da się tego zwalczyć. To jest jak pragnienie.

- A ja też powinienem tak odczuwać?

- Odczuwasz. Czy nie jest ci przyjemnie, gdy twoja drużyna zwycięża w Czaszy? Czemu tyle pracujesz w szkole? Oczywiście lubisz naukę, ale czy przy tym nie starasz się usilnie wszystkim udowodnić, że jesteś bystrzejszy niż te wszystkie dupki głupsze od ciebie? To cię nie emocjonuje? Bądź szczery. A jako dziecko, czy nie należałeś do bandy z tajnymi hasłami i znakami rozpoznawczymi, składającej się z samych najlepszych kumpli? Założę się, że tak.

Jay kiwnął głową z uśmiechem. - Masz rację. Tak było.

- Tak było ze wszystkimi. A gdy robisz się starszy, to się nie zmienia. Nawet zaostrza. Faceci łączą się w bandy i ustanawiają zasady niedopuszczenia do nich innych typków, ponieważ typkom, którzy należą, jest z tym lepiej niż tym, którzy nie należą.

- Przecież to głupie zasady - zaoponował Jay. - Są bez sensu. Dlaczego ktoś miałby być lepszy przez to, co gada poza miejscem pracy? Przecież liczy się tylko to, co robi w pracy.

- Zasady nie muszą być sensowne. Służą tylko do tego, by głosiły, że jesteś inny. Chwytasz? Twój tata należy do grupy, która ustanowiła mnóstwo zasad, na które nie miał żadnego wpływu. Ale że jest na sznurku w taki sam sposób jak wszyscy, musi odczuwać, że jest akceptowany. Aby zaś być akceptowanym, trzeba okazywać, że się przestrzega zasad. Gdyby tego nie robił, stałby się groźny dla grupy i usunięto by go. Rozejrzyj się wokół, a zobaczysz, w ile idiotyzmów ludzie się wplątują tylko po to, aby być przekonani, że należą do liczącej się grupy.

mana pomyślna. Ale czy rzeczywiście? Jego próby wymyślenia się w pokrętną logikę sytuacji zostały znów przerwane przez Swyleya, który wreszcie odwrócił się od ekranu i oparł wygodnie.

- Praktycznie całość ich sił została zgrupowana na flankach po obu stronach wąwozu - obwieścił Swyley. - Jest kilka pododdziałów, które posuwają się w dół po przeciwległym zboczu, ale nie zajmą pozycji jeszcze przez około trzydzieści minut. W tej chwili i wprost naprzeciw nas są na dole niczym nie osłonięci.

- Niczego tam nie mają? - upewnił się Colman, dotykając ekranu palcem w miejscu, gdzie dolna część ścieżki wynurzała się z zagajnika na skraju trawiastej płaszczyzny o kilkaset stóp od nieprzyjacielskiego bunkra. Na ekranie widniał ledwie dostrzegalny układ kleksów po obu stronach drogi, dokładnie w miejscach, w których można było spodziewać się pozycji obronnej.

Swyley potrząsnął głową. - To są atrapy. Jak mówiłem, przesunęli praktycznie wszystkich facetów na zewnętrzne skrzydła - tknął palcem w ekran - tu, tu i tu.

- Starają się okrążyć kompanię „B" i dostać wyżej, na grzbiet cztery-dziewięć-trzy - orzekł Colman, studiując obraz.

- Być może - odparł Swyley wymijająco.

- Tam na dole wygląda mi martwo, jak na pustyni - wmieszał się Maddock, nie odrywając ani na chwilę wzroku od wizjera wzmacniacza.

- Co mówią sejsmometry i wąchacze o tych atrapach Swyleya? - spytał Colman, zwracając się do Driscolla.

Driscoll przetłumaczył zapytanie na język komputera i spojrzał na sumator danych na jednym z ekranów kompaku. - Nieznaczne drżenie nadprogowe w odległości ośmiuset jardów. Współczynnik wzrostu w kierunku wiatru poniżej pięciu punktów w odległości czterystu. Potwierdzenie negatywne ze zwiadu akustycznego - znaczy wzrost tła. Komputery nie wykazały układów drgań wywołanych przez działania człowieka wśród danych nadchodzących od czujników, skrycie zrzuconych wokół wąwozu z lecących na niskim pułapie, zdalnie sterowanych „pszczół" krążących nocą; sensory chemiczne rozmieszczone na zawietrznej mniemanych atrap pozorujących wykryły tylko niewiele molekuł związków zapachowych, charakterystycznych dla ciała ludzkiego; przez mikrofony nie nadeszły żadne spójne sygnały dźwiękowe, ale to niewątpliwie było spowodowane wysokim poziomem białych szumów, generowanych w pobliżu strumienia. Chociaż więc dowody były tylko cząstkowe i do tego negatywne, podtrzymywały niewiarygodne skądinąd twierdzenie Swyleya, że główna droga na dół, prowadząca do przedmiotu działania, była w tym momencie faktycznie nie broniona.

Colman zmarszczył się i błyskawicznie przeanalizował sens zebranych danych. Żadna jednostka wojskowa, składająca się z ludzi przy zdrowych zmysłach, nie brałaby pod uwagę możliwości zdobywania tego rodzaju przedmiotu frontalnym natarciem w centrum - najniższy odcinek kierunku natarcia był zbyt dobrze osłonięty przez panujące nad nim zbocza, a jeśli atak by utknął, nie było drogi odwrotu. Nieprzyjacielski dowódca pomyślał więc sobie, że każdy będzie tak myślał. Po cóż więc wiązać masę ludzi dla obrony punktu, który nie będzie wcale atakowany? Zgodnie z regulaminem, właściwym sposobem natarcia na bunkier byłby albo atak z góry, wzdłuż strumienia, albo też przez przekroczenie go poniżej bunkra i rozwinięcie natarcia ze szczytu po przeciwległej stronie. Dlatego nieprzyjaciel skoncentrował się w punktach górujących nad obu oczywistymi drogami natarcia, czekając w zasadzkach na któryś z wariantów ataku. Ale właśnie dlatego środek pozostał szeroko otwarty.

- Stan pogotowia po sieci dla dowódców drużyn - powiedział Colman do Driscolla. - I daj łączność z Niebieskim Jeden.

Sirocco odezwał się przez kompak w parę chwil później. Colman streścił sytuację. Śmiałość pomysłu przekonała kapitana natychmiast. - Musimy to zrobić na własną rękę. Nie ma czasu, by wciągać w to brygadę, ale możemy związać facetów po przeciwnej stronie, gdy będziesz szedł naprzód i przetoczyć przed tobą zaporę ogniową dla oczyszczenia terenu z przeszkód. - Sirocco miał na myśli zrobotyzowane kompanijne baterie artyleryjne, rozmieszczone w głębi, za linią grzbietową pasa wzgórz. - Ale to oznacza, że jak tam wleziesz, będziesz szedł do przodu bez żadnego ognia przeciwartyleryjskiego. Co sądzisz?

- Jeśli pójdziemy szybko, damy sobie radę bez tego - odparł Colman.

- Bez ognia przeciwartyleryjskiego nie będzie czasu na podciągnięcie żadnego innego plutonu dla wsparcia twoich działań. Będziesz zdany tylko na siebie - odparł Sirocco.

- Możemy użyć robobaterii dla położenia osłony bliskiego działania na skrzydłach. Jeśli dasz nam przykrycie optyczne i podczerwone na tysiąc dwieście stóp, damy sobie radę.

Sirocco zawahał się na ułamek sekundy. - Okay - powiedział na koniec. - Do roboty.

W dziesięć minut później Sirocco ukończył pośpiesznie nakreślony z pomocą oficera operacyjnego plan ognia i przekazał szczegóły do pierwszego, drugiego i czwartego plutonu, Colman zaś zakończył odprawę swego plutonu za pośrednictwem dowódców drużyn. Sierżant sprawdził i zabezpieczył wyposażenie osobiste; rozładował, załadował i ponownie sprawdził swe działo szturmowe M32; sprawdził i przeliczył amunicję.

Gdy tylko pierwsza salwa bomb dymowych rozerwała się w odległości tysiąca dwustu stóp, kryjąc teren przed obserwacją nieprzyjacielską, trzeci pluton rzucił się naprzód wzdłuż ścieżki, w kierunku gęściejszych zarośli poniżej. W parę chwil później granaty przesłaniania optycznego zaczęły wybuchać dokładnie poniżej zasłony dymnej, rzygając chmurami pyłu aluminiowego, rozkładającymi nieprzyjacielski system kontroli i komunikacji laserowej. Skoncentrowany ogień zaporowy artylerii przed nacierającym oddziałem i wysokoenergetyczne promienie pulsujące, wystrzeliwane przez plutony flankujące natarcie, toczyły się naprzód wzdłuż ścieżki, oczyszczając ją z min i innych urządzeń przeciwpiechotnych. Za zaporą ogniową drużyny trzeciego plutonu posuwały się skokami, osłaniając się wzajemnie ogniem dla uzupełnienia działań artylerii. Oporu nie było. Artyleria obrońców otworzyła ogień w dziesięć sekund od pojawienia się zasłony dymnej, ale nieprzyjaciel strzelał na ślepo i po większej części nieskutecznie.

Po trzynastu minutach walka była skończona. Colman stał na żwirowym brzegu strumienia, przyglądając się, jak jego ludzie wyprowadzają z nieprzyjacielskiego bunkra zdumionego majora i jego ogłupiały sztab. Dołączono ich do stada rozbrojonych obrońców, zgonionych do kupy pod czujnym spojrzeniem uśmiechniętych wartowników z trzeciego plutonu. Najważniejszym zadaniem było wzięcie jeńców i uzyskanie informacji, plon zaś stanowiło, na dodatek do majora: dwóch kapitanów, porucznik, podporucznik, starszy chorąży sztabowy, sierżant szef, dwóch sierżantów i ponad tuzin szeregowych. Ponadto zdobyto nienaruszone wykazy sygnałów wywoławczych i mapy wraz z bezcennym sprzętem łączności i sterowania bronią. Całkiem niezły połów, pomyślał Colman z satysfakcją.

Komputery uznały dwóch ludzi z trzeciego plutonu za zabitych i pięciu za ciężko rannych. Colman myślał sobie, jakby to było pięknie, gdyby prawdziwe wojny można było prowadzić w taki sposób. W tym momencie jaskrawe światła wysoko w górze w mgnieniu oka zmieniły na scenie wydarzeń noc w sztuczny dzień. Przez parę sekund mrużył oślepione oczy, po czym zsunął hełm na tył głowy i się rozejrzał. Zabici i ciężko ranni, trafieni na zboczu wyżej, schodzili grupką po ścieżce, pozostałe trzy plutony kompanii „D" wychodziły z ukrycia. Wzdłuż wąwozu było widać większy ruch po obu stronach, w miarę, jak jednostki obrońców i napastników pojawiały się na otwartej przestrzeni. Wozy sztabowe, transportery piechoty i różne inne pojazdy latające zaczęły brzęczeć z daleka, zza odleglejszych łańcuchów wzgórz, gdzie kończyło się niebo. Colman nie miał pojęcia, że aż tyle wojska brało udział w manewrach. Nieprzyjemne uczucie wślizgnęło się do jego mózgu: właśnie doprowadził do przedwczesnego końca skomplikowaną zabawę, na którą sztabowcy cieszli się od dłuższego czasu; prawdopodobnie nie będą z tego powodu zbyt szczęśliwi. Może nawet dojdą do wniosku, że nie chcą go dłużej w armii – pomyślał filozoficznie.

Jeden z wozów sztabowych zbliżył się z narastającym wyciem, przez sekundę zawisł nieruchomo prawie dokładnie nad bunkrem, by wreszcie gładko wylądować. Jego tylne wejście odsunęło się, ukazując szczupłego, śniadego kapitana Sirocco w hełmie i battledressie, ubranego jeszcze w kamizelkę przeciwodłamkową. Gdy pojazd był sześć stóp nad ziemią, wyskoczył zwinnie i podszedł spokojnie do Colmana. Niefrasobliwe rysy jego twarzy, ocienionej obfitym czarnym wąsem, jak zwykle nie wyrażały niczego, ale w oczach tańczyły ogniki. – Niezła robota, Steve – powiedział bez wstępów. Z rękami na biodrach odwrócił się i przyjrzał grymasom oburzenia wziętych do niewoli „nieprzyjacielskich" oficerów, stojących z ponurymi minami koło bunkra. – Nie sądzę jednak, abyśmy za to dostali odznaki sprawności zuchowych. Właśnie złamaliśmy prawie wszystkie punkty regulaminu walki piechoty. – Colman chrząknął. Nie spodziewał się wiele więcej. Sirocco podniósł brwi i wieloznacznie skłonił głowę.

– Czołowy atak na umocnioną pozycję, odsłonięte skrzydła, praktycznie żadnej możliwości odwrotu, żadnego planu postępowania w nieprzewidzianych wypadkach, niedostateczne wsparcie z powierzchni i żadnego ognia przeciwartyleryjskiego – wyrecytował rzeczowo, a równocześnie bez cienia niepokoju.

– A co na temat stania z otwartą gębą? – spytał Colman. – Nic o tym nie ma w regulaminie?

– Zależy od tego, kim jesteś. W kompanii „D" wszystko jest względne.

– Nie myślałeś kiedy, by podszyć spodnie na siedzeniu kawałkiem kamizelki przeciwodłamkowej? – spytał Colman po chwili. – Być może będzie ci to potrzebne.

– Ach, gówno mnie to obchodzi. – Sirocco spojrzał w górę. – w każdym razie za chwilę się przekonamy.

– Słuchaj, ja.. ja nie miałem zamiaru przeszkadzać – wyjąkał Jay. – To znaczy, jeśli ty i ona jesteście...

Anita zatrzymała się u wejścia do teatru klubowego, oparty o ścianę żołnierz coś do niej mówił. Wzięła go pd rękę i zaśmiała się głośno w odpowiedzi. – W takim stopniu – odpowiedział Colman, pokazując tamtych ruchem głowy. – Nie ma sprawy. Może nawet wyrządziłeś mi przysługę. – Żołnierz rzucił nerwowe spojrzenie na potężną, sześciostopową sylwetkę Colmana i szybko się oddalił, z Anitą uwieszoną jego ramienia.

Colman popatrzył za odchodzącymi, po czym przestał o nich myśleć i przez kilka chwil spoglądał na Jaya. – Nie wykombinowałeś jeszcze, jak bywa w życiu, he? – burknął. Oszczędziło to wielu niepotrzebnych pytań.

Jay się trochę uspokoił, oczy zabłysły mu z ulgą, bo odpadła potrzeba zupełnie zbędnych wyjaśnień.

– To cholernie skomplikowane – odpowiedział po prostu.

– Czy coś ci ułatwi, jeśli powiem, że i ja też jeszcze nie wykombinowałem do końca, jak to bywa w życiu?

Jay potrząsnął głową. – To by tylko oznaczało, że mamy takie same problemy. Ale niczego by nie rozwiązało.

– Ja też tak myślę. No to nie powiem tego.

– Czy to oznacza, że już wykombinowałeś?

– A czy dla twoich problemów robiłoby jakąkolwiek różnicę, gdybym potwierdził?

– Nie. Bo to byłoby rozwiązanie dla ciebie, ale nie dla mnie.

– No to masz odpowiedź.

Jay skinął twierdząco, wyprostował ręce tkwiące dłońmi w kieszeniach, aż mu ramiona podeszły na wysokość uszu, pozostawał w tej pozycji przez parę chwil, po czym odprężył się nagle z westchnieniem.

– Czy mogę o coś zapytać? – powiedział zadarłszy głowę.

– Czy będę musiał na to odpowiedzieć?

– Jeśli nie zechcesz, to myślę, że nie.

– No to wal.

– Czemu jest tak jak jest? Dlaczego to, co ty i ja robimy w Jersey, ma jakiś związek z posadą mego taty? To się kupy nie trzyma.

– Czy pytałeś go o to?

– Mhm.

– I?

Jay spojrzał w dal mrużąc oczy i podrapał się po głowie. – Mniej więcej to, czego się spodziewałem. Nic osobistego; jesteś facetem w porządku; gdyby to od niego zależało, to by inaczej wyglądało, ale nie zależy – takie gadanie. Ale czuło się, że mówi to dlatego, żeby nie wyglądać na świnię. To poważniejsze, niżby się zdawało. Nie o to chodzi, czy to zależy od niego, czy nie. On naprawdę wierzy, że tak być powinno. Jak ludzie mogą stać się takimi?

Colman rozejrzał się i zrobił gest w kierunku kawiarni koło Bovery. – Nie będziemy tu wystawali przez całą noc – powiedział. – Wejdźmy. Napijesz się kawy?

– Oczywiście... dziękuję. – Poszli w kierunku wejścia. – I dziękuję ci za zawory – powiedział Jay. – Pasują znakomicie.

– Jak ci idzie?

– Całkiem nieźle. Zestaw kołowy skończony. Będziesz musiał przyjść i rzucić okiem.

– Oczywiście.

Jay usiadł w wolnej loży, Colman zaś wziął z kontuaru dwie kawy i wsunął do szczeliny swoją wojskową kartę żołdu. Często i na różne sposoby Jay przypominał Colmanowi jego samego z czasów młodości. Nazwisko zawdzięczał sierżant inteligenckiemu małżeństwu, które go adoptowało, gdy miał lat jedenaście, by zapewnić towarzystwo dla ich syna Dona, starszego o dwa lata. Nie chcieli sobie utrudniać karier zawodowych przez drugie własne dziecko. Przybrany ojciec Colmana był inżynierem termodynamikiem, zaangażowanym w sprawę wymienników ciepła w systemach magnetohydrodynamicznych; tłumaczyło to wczesne zainteresowanie chłopca sprawami techniki. Choć Colmanowie robili co mogli, by obu chłopców traktować jednakowo, Steve miał za złe Donowi, że skończył szkołę średnią, a zazdrościł, gdy ten poszedł na studia inżynieryjne, chociaż sam Steve był na to za młody. Buntowniczy charakter, który znacznie przyczynił się do umieszczenia chłopca w domu dla krnąbrnej młodzieży, z którego został wybrany do adopcji, objawił się znowu. W rezultacie małżeństwo Colmanów przeżyło sporo przykrych chwil, o co Steve, ochłonąwszy, miewał żal do siebie. Z jakichś niejasnych dla niego samego przyczyn czuł, że jeśli uda mu się dopomóc Jayowi w realizacji jego potencjalnych możliwości i

przed wielu miesiącami i zachował przyjemne wspomnienia. Ale chociaż czuł, że jej trwające przez cały wieczór zaloty zaczęły go podniecać, rozmowa o możliwości dobrania się jako para i zbliżającym się lądowaniu wprowadziła element nie istniejącego przedtem ryzyka. Mogło przecież być i tak, że Anita w głębi duszy taiła zamiar stworzenia w przyszłości na Chironie solidnego, trwałego domu rodzinnego. Zdecydował, że przy pierwszej sposobności szepnie słówko Hanlonowi, by pomógł mu się urwać pod koniec wieczoru.

Gdy Colman z Anitą wyszli z Bowery i skierowali się za resztą towarzystwa, które już się oddaliło, teren dla pieszych pełen był ludzi marnujących czas na zastanawianiu się, co by zrobić z resztą wieczoru. Anita przystanęła szukając czegoś w torebce. Colman zatrzymał się czekając na nią. Gdy siedzieli w barze dotknięcie jej ręki na ramieniu było podniecające, lekki aromat perfum, dolatujący gdy pochylała się, by ująć szklankę, działał drażniąco. Co u diabła? - pomyślał. - Anita nie jest dzieckiem. Po dwudziestu latach zamknięcia w statku kosmicznym człowiek potrzebuje od czasu do czasu rozrywki.

Odwróciwszy się ujrzał, że trzyma w dłoni fiolkę pigułek. Wrzuciła jedną do ust i uśmiechając się szelmowsko podsunęła fiolkę Colmanowi. - Dziś sobota, może trochę urozmaicenia? - Zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Anita odęła wargi. - Dobre są. Psychiatrzy mówią, że zmniejszają zahamowania i wzmagają świadomość. A powinniśmy znać sami siebie.

- Rozmawiałem z psychami. Wszyscy mają kota. Stąd mogą wiedzieć, czy znam siebie, czy nie? Czy wiesz jak twoja głowa funkcjonuje w środku? - Anita potrząsnęła nią w sposób oznaczający, że nic ją to nie obchodzi. Colman ściągnął brwi jeszcze mocniej, raczej wskutek rozczarowania, że miłe perspektywy zaczęły się rozwiewać, niż z dezaprobaty dla spraw, które go nie dotyczyły. - No to w jaki sposób ma ci o tym powiedzieć pigułka?

- Powinieneś sam siebie odnaleźć, Steve. To dobrze robi.
- Nigdy się nie zgubiłem.
- Zangredi używa stymulatorów dla katalizowania swych prądów psychicznych. Dzięki temu może przewidywać przyszłość.
- Na litość boską, przecież to wymysł telewizyjny. Ona nie istnieje. To nie jest prawdziwe życie. W prawdziwym życiu nic takiego nie ma.
- Kogo to obchodzi? Tym zabawniej. Czemu nudzisz?

Rozdrażniony Colman odwrócił wzrok. Mogła być świetnym myślącym człowiekiem. Wolała zamiast tego być lalką, poruszaną i kształtowaną przez wszystko, co widziała i słyszała dokoła. Wokół niego wszędzie to samo, połowa ludzi jakich spotykał śpiewała w chórze w głębi sceny, na której Stormbel dawał przedstawienie kukiełkowe. Nagle przypomniały mu się wszystkie przyczyny jego ochłodzenia wobec Anity, wiele miesięcy temu, gdy jeszcze poważnie przemyśliwał nad prawnym uregulowaniem ich stosunku i ustatkowaniem się na wzór Hanlona. Próbował wówczas się dostroić do jej fali, ale napotkał tylko biały szum. Najbardziej zaś złościło go, że nie musiała tak się zachowywać; miała głowę na karku, ale odmawiała jej używania.

Chudy, jasnowłosy wyrostek, oparty o kolumnę i leniwie kopiący tam i z powrotem pusty karton, wyprostował się na widok Colmana i podszedł do niego. Zatrzymał się z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie i uśmiechnął się z zażenowaniem. Colman spojrzał zdumiony na chłopca. Był to Jay Fallows. - Co u diabła ty tu robisz?

- Och, wykombinowałem sobie, że będziesz gdzieś w tej okolicy.
- Czy to ten chłopak, który robi lokomotywy? - spytała Anita.
- Tak. To jest Jay. Jest do rzeczy... i bystry.
- Bystry... umysł. - Oczy Anity zaczęły się robić z lekka nieprzytomne. - Lokomotywy, umysł chwytliwy. To mi się podoba. Rymuje się. Nie uważasz, że się dobrze rymuje? - Uśmiechnęła się do Jaya i mrugnęła łobuzersko. - Cześć, Jay. - Pigułka w połączeniu z alkoholem uderzyła jej do głowy. Jay uśmiechnął się, ale był zażenowany.
- Słuchaj, mam wrażenie, że Jay chce pomówić o sprawach, które by cię nie interesowały - powiedział Colman do Anity. - Może dołączysz do tamtych? Dogonię was później.
- Nie chcesz, żebym z tobą została?

Colman westchnął. - Nic podobnego. Po prostu...

Anita pomachała ręką na wysokości twarzy. - W porządku. Nie chcesz, żebym z tobą została... Nie chcesz mnie, bym została. W porządku. - Zaczęła recytować śpiewnym głosem: - Kto twierdzi, że potrzebuję kogokolwiek, by się zabawić jakkolwiek? Popatrz, świetnie się czuję. W porządku... Ty i Jay możecie sobie pogadać o lokomotywach i umysłach chwytliwych. - Ruszyła przed siebie wymachując trzymaną za pasek torebką.

Colman poszedł za jego wzrokiem. Pancerny transporter dla Bardzo Ważnych Osobistości, z odznakami generalskimi na masce, zdążał w ich kierunku. Colman przerzucił swe M32 na drugie ramię i wyprostował się w oczekiwaniu. - Podciągnąć się tam! - zawołał do ludzi z trzeciego plutonu, którzy włóczyli się grupami nad strumieniem i koło bunkra, paląc i rozmawiając. Papierosy rozduszono grubymi podeszwami butów bojowych, rozmowy umilkły, grupki stanęły w większym porządku.

- Na czym opierał pan swoją analizę rozkładu sytuacji, sierżancie? - zapytał Sirocco ostrym, wysokim głosem, małpując urzędowy sposób mówienia pułkownika Wessermana, adiutanta generała Portneya. Nadał swemu głosowi ton podejrzliwy i oskarżycielski. - Czy kapral Swyley odegrał istotną rolę w sformułowaniu pańskiej oceny taktycznej? - Takie pytanie musiało się pojawić; regulaminowa procedura analizy obrazowej, prowadzonej w brygadzie, nie ujawniłaby żadnych danych, usprawiedliwiających decyzję natarcia.
- Nie, sir - odpowiedział sztywno Colman, patrząc nieruchomo wprost przed siebie. - Kapral Swyley obsługiwał kompak. Nie można mu powierzać analizy danych wywiadu elektronicznego. Jest daltonistą.
- W takim razie jak wyjaśnicie wasze niezwykłe wnioski?
- Myślę sir, że był to przypadek trafnego domysłu.

Sirocco westchnął. - Zdaje mi się, że będę musiał złożyć raport, że zezwoliłem na natarcie z własnej inicjatywy, bez żadnych danych na jej poparcie. - Łypnął na Colmana. - Nie masz przypadkiem pod ręką kogoś, kto umiałby uszyć dobrą parę spodni?

Drzwi transportera Bardzo Ważnych Osób otwarły się tuż przed nimi, ukazując korpulentną sylwetkę pułkownika Wessermana. Jego rumiana twarz była jeszcze bardziej rumiana niż zwykle, przybrawszy w okolicy szyi kolor fioletowy. Wyglądał, jakby dusiła go tłumiona wściekłość.

- Mam wrażenie, że on zupełnie nie czuje słodkiej woni sukcesu - szepnął Colman obserwując pułkownika.

Sirocco przez chwilę kręcił wąsa. - Sukces jest jak pierdnięcie - orzekł. - Tylko własny ładnie pachnie.

Rozdział II

Dyżurujący w sali monitorów Subcentrum Sterowania Napędem Bernard Fallows dostrzegł nagłą zmianę kolorów i linii na jednym z rozmieszczonych wokół ekranów. W mgnieniu oka wszystko inne uleciało z jego umysłu. Ekran był jednym z kilku podłączonych do Piątego Zespołu Głównego Systemu Dostawy Paliwa i obrazował pracę jednej z baterii potężnych pomp zasilania wodorowego, rozmieszczonych w rufowej części statku, o pięć mil od miejsca, w którym Fallows się znajdował.

- Co się dzieje z Piątą-E, Horacy? - zwrócił się do pustego pokoju, w którym siedział.
- Projekcja tendencji niskopoziomowej - odpowiedział komputer wykonawczy Subcentrum przez małą siatkę, umieszczoną na jednym z boków pulpitu sterowniczego przed Fallowsem. Wygląda, jakby zasilacz trzy łamane przez pięć miał się znowu zacząć grzać. Korelacja całkowita sześćdziesiąt siedem, kontrola działania pozytywna, wskaźnik rozprężania osiem-zero.
- Odczyt na wskaźniku sześć?
- Znikomy.

Dalsze informacje otrzymał Fallows z ekranu. Zmiany wyśledzone przez komputer były minimalne: maleńkie otwarcie tendencji, która, jeśli się nawet utrzyma, nie będzie sprawiać kłopotów przez miesiąc albo i dłużej. Biorąc pod uwagę, że do osiągnięcia Chirona były jeszcze trzy miesiące podróży, powodów do niepokoju nie było. Szczególnie, że pozostałe pompy tej samej grupy miały zaprojektowany dostateczny margines mocy, by dać sobie radę bez wsparcia. Ale, nawet biorąc to pod uwagę, nie ulegało wątpliwości, że Merrick będzie się upierał przy rozmontowaniu Głównego Systemu, by przeszlifować łożyska, wyregulować ustawienie i ponownie wyważyć wirniki. Od czasu, gdy włączono główny napęd, już dwa razy w ciągu trzech miesięcy przeszli przez tę procedurę. Oznaczało to jeszcze jeden tydzień pracy w stanie niemal nieważkości, niezdarnego gramolenia się w ciężkich skafandrach po niedobrej stronie rufowej osłony przeciwpromiennej.

- Durna pompa - kwaśnym tonem mruknął Fallows.
- Ponieważ pompa nie należy do istot organicznych, zakładam, że wypowiedź ta należy do gramatycznej kategorii wykrzykników - zaszczebiotał Horacy.
- Och, udław się. - Komputer posłusznie powrócił do swych medytacji.

Fallows znów usiadł na krześle i regulaminowo obiegł wzrokiem salę monitorów. Za szklaną przegrodą naprzeciw jego pulpitu, na stanowiskach załogi, wszystko wydawało się przebiegać normalnie;



byli ich znawcami. Jedynym co widzieli, były ocenzurowane transmisje z planety, z nagranym na statku komentarzem. Czemu ludzie nie pojmują, że wmawia się im, co mają myśleć? Przypomniał sobie zasłyszane w Cape Town historyjki o tym, jak czarni w buszu gwałcili białe kobiety, a następnie rąbali je siekierami na kawałki. Czarnuch, którego ich patrol przesłuchiwał w wiosce koło Zeerust, nie wyglądał na typa zdolnego do podobnych rzeczy. Był prostym chłopem, który chce, by mu dano spokojnie uprawiać jego farmę, mimo że niewiele już wówczas z niej zostało. Błagał Amerykanów, by nie przybijali jego dzieci gwoździami do ściany – bo wśród jego ludu opowiadano, że Amerykanie to robią. Wyjaśnił, że z tego właśnie powodu strzelił do patrolu i zranił chudego Teksańczyka, maszerującego pięć kroków przed Colmanem. I dlatego też biały porucznik armii Południowej Afryki strzelił mu w łeb. Ale cywile w Cape Town i tak wiedzieli lepiej, bo telewizja powiedziała im, co mają myśleć.

Kapral Swyley nie odzywał się w ogóle, co było znaczące, gdyż Swyley zawsze wykazywał wiele zdrowego rozsądku. Jeśli milczał, znaczyło to, że się nie zgadza z tym, co słyszał. Jeśli zaś się zgadzał, mówił, że się nie zgadza. Nigdy zaś nie powiedział, że się z czymkolwiek zgadza. Gdy dietetyk wykrył, że rozkaz co do diety szpinakowo-rybnej nadal obowiązuje, a Swyley zdecydował, że jest całkiem zdrów, lekarz wojskowy nie był w stanie oskarżyć go o symulację, ponieważ Swyley nigdy się nie zgadzał, gdy mówiono, że jest chory. Sam zaś powiedział jedynie, że ma skurcze żołądka. Lekarz orzekł, że każdy, kto ma kurcze żołądka w czasie wolnym od służby musi być chory. Swyley tego nie powiedział. Co więcej, Swyley się z tym nie zgadzał, co dla każdego powinno być jasne, ponieważ milczał.

– Ja uważam, że jednak mamy się czego bać – rzekła Paula. – A jeśli oni okażą się naprawdę wredni i nie zadadzą sobie trudu by porozmawiać? Przypuśćmy, że wystrzelą w nas rakietę bez ostrzeżenia i w ogóle... Mam na myśli, że jesteśmy tu w kosmosie wystawieni na strzał jak zające, nieprawdaż? I co wtedy będzie?

Sirocco parsknął śmiechem. – Powinnaś coś wiedzieć o tym statku, nim zaczniesz mieć takie zmartwienia. Prawdopodobnie postawimy zasłonę przechwytywaczy i podejdziemy za nimi do lądowania. Zatrzymają wszystko na dziesięć tysięcy mil. Musisz mieć trochę zaufania do naszej firmy.

Hanlon machnął ręką w powietrzu. – Jak na sobotni wieczór, wszystko to robi się zbyt poważne. Po co my o tym gadamy? Mamy się przejmować głupimi plotkami? – Spojrzał na Sirocca. – Szklanki są prawie puste, Wasza Wysokość. Kolejka była częścią zakładu.

Sirocco już miał odpowiedzieć, ale szybko odstawił szklankę, złapał czapkę ze stołu i wstał. – Muszę znikać – szepnął. – Będę u Rockefellera, jeśli ktoś chce do mnie dołączyć. – Przemknął między stolikami i znikł w salce w głębi, skąd było wyjście na zewnątrz obok toalety.

– Co u diabła go ugryzło? – spytał zdumiony Hanlon. – Czy kapitanom już tak marnie płacą?

– „S"-mani – mruknął Swyley, nie poruszając wargami. Parę razy poruszył oczami w kierunku swego prawego ramienia, wskazując na coś. W barze trochę przycichło, atmosfera zrobiła się nieco napięta.

Colman śledził z nad szklanki wejście do baru trzech żołnierzy Służby Specjalnej. Stanęli groźni i sztywno wyprostowani w ciemnozielonych mundurach, z daszkami czapek nisko opuszczonymi na twarze o twardych, wystających podbródkach, przyglądając się uważnie otoczeniu. Nikt długo nie wytrzymywał ich wzroku nie odwracając spojrzenia. Jeden z nich mruknął rozkazująco do barmana, który skłonił się, szybko postawił szklanki i chwycił butelkę z półki za sobą. „S"-mani stanowili elitę wojsk regularnych, wybraną z najgorszych drani w armii i kompletnie pozbawioną poczucia humoru. Przypomnali Colmanowi komandosów, których widywał w Transwaalu. Przy uroczystych okazjach stanowili ochronę Bardzo Ważnych Osobistości – prócz tradycji nie było na to innych uzasadnień na pokładzie „Mayflowera II" – i zostali sformowani przez Borfonteina jako oddział szturmowy, związany specjalną przysięgą lojalności. Dowodził nimi generał nazwiskiem Stormbel. W kompanii „D" żartowano z ich mechanicznej precyzji ruchów na paradach i niewidzialnych nitek, za które pociągał Stormbel. Ale nie opowiadano takich dowcipów nigdy, gdy którykolwiek z nich znajdował się w zasięgu głosu. Nazywano też Służbę Specjalną – Sforą Szakali.

– Mam wrażenie, że sami zapłacimy za drinki – orzekł Hanlon, dopijając piwo i stawiając szklankę na stole.

– Tak to wygląda – zgodził się Stanislau.

– Ja płaciłem ostatni – zastrzegł się Colman. Towarzystwo jakby ostygło z zapału.

– No to czemu nie zwinąć się stąd i nie wypić kolejki u Rockefellera? – zaproponował Hanlon. – Sirocco powiedział, że tam właśnie idzie.

– Wspaniały pomysł – orzekł Colman i wstał z miejsca. Dłoń Anity ześliznęła się z jego ramienia i chwyciła lekko za mały palec. Reszta towarzystwa dopiła piwo, wstała po kolei, żegnając się skinieniem głowy właściciela lokalu Sama i zaczęła posuwać się ku drzwiom luźną grupą.

Anita nadal trzymała Colmana za palec, co zrozumiał jako milczące zaproszenie. Spał z nią kilka razy

– Ktoś musi zapewniać funkcjonowanie armii. Dziś właśnie jego kolejka. Umie to równie dobrze, jak inni.

– No cóż, jakby to powiedzieć... Małam się zabawić dziś wieczorem – powiedziała Paula, rzucając Hanlonowi ciepłe spojrzenie.

Bret Hanlon podniósł rękę obronnym gestem. Miał różową, miesistą dłoń, porośniętą na grzbiecie rzadkimi złotymi włoskami. Wyglądała, jakby mógł nią rozgniatać orzechy kokosowe i pasowała do jego mocnej, krępej budowy, rumianej twarzy i przenikliwych niebieskich oczu, odziedziczonych po irlandzkich przodkach. – Na mnie nie licz – powiedział. – Jestem już zaangażowany, grzecznie i poważnie. To do tamtego faceta powinnaś robić słodkie oczy. – Pokazał głową na Colmana, uśmiechając się złośliwie.

– Dobrze by mu to zrobiło – orzekł Sirocco. – Może wtedy zrobią go inżynierem. Ale nie pójdzie ci to łatwo. On czeka, póki nie sprawdzi, co one tam umieją na Chironie.

– Nie wiedziałem, że masz skłonności do małych dziewczynek, Steve – przekomarzała się Anita. – Nie wyglądasz na takiego. – Hanlon ryknął śmiechem i poklepał się po udach.

– Mam dwie siostry, które nie są w stanie sprawić kłopotów – zaoferował Stanislau.

– Nic nie rozumiecie – oświadczył Colman. – Wcale nie idzie o te małe. – Wytrzeszczył oczy w parodii lubieżnego oczekiwania. – Pomyślcie o tych wszystkich b a b c i a c h . – Terry i Paula roześmiały się.

Choć Colman dostosował się do ogólnego nastroju i obrócił wszystko w żart, poczuł w głębi duszy ukłucie irytacji. Nie był pewien, z jakiego powodu. Drwiny Anity były echem potocznych wyobrażeń, ale zawarty w nich obraz planety zaludnionej przez dzieci, był oczywistą bzdurą; pierwsze pokolenie Chirończyków musiało się już zbliżać do pięćdziesiątki. Nie podobało mu się, że głupie formuły wchodzą ludziom do głów, a potem znów z nich wychodzą, bez cienia myśli poświęconej po drodze ich znaczeniu. Anita była ponętną i niegłupią dziewczyną. Nie musiała się tak zachowywać. Ale w tej chwili przyszło mu do głowy, że może traktuje to zbyt poważnie. Czy on sam nie zachował się podobnie przed chwilą?

– Niezłe babcie! – wykrzyknął Terry. – Czy ktoś oglądał dzisiejszy dziennik? Któryś tam naukowiec przypuszcza, że Chirończycy być może produkują bomby. Był też wywiad z Kalensem. Powiedział, że nie można z góry zakładać, że oni tam na planecie są w pełni rozumni.

– Nie chcesz przez to powiedzieć, że przyjdzie do walki, prawda? – spytała Paula.

– Tego nie powiedziałem. Ale to dziwni ludzie... nad wyraz ostrożni. Nie dają całkowicie uczciwych odpowiedzi na nasze wszystkie pytania.

– Ale nie możesz uważać za oczywiste, że oni będą całą tę sytuację oceniać podobnie, jak inni ludzie – podsunęła Anita. – To naprawdę nie ich wina; nie mieli stosownego wychowania i tak dalej; niemniej byłoby głupio ryzykować.

– Myślę, że to by się zgadzało – przyznała Paula z roztargnieniem.

– Czy sądzisz, szefie, że oni mogą nam napytać biedy? - zwrócił się Stanislau do Sirocca.

Sirocco wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. Nie marwiłbym się o to zbytnio. Trzymaj się Steve'a i Breta, rób co si powiedza, a wyjdziesz z tego cało.

Colman i Hanlon, choć nie weterani wojenni, należeli do nielicznych żołnierzy wojsk liniowych Misji, którzy brali udział w bitwach, służąc jako rekruci w amerykańskiej jednostce ekspedycyjnej, walczącej u boku Południowych Afrykanów w Transwaalu w 2059 roku; w rok później zgłosili się jako ochotnicy na „Mayflower II". Doświadczenia wojenne przydały im aury pewnej niezwykłości, szczególnie wśród młodszych żołnierzy, którzy osiągnęli pełnoletność – niektórzy nawet urodzili się i wstąpili do wojska – już w czasie wyprawy.

– Jestem zdania, że Kalens powinien zostać wybrany – oświadczył Terry. – Powiedział trochę wcześniej w dzisiejszym wywiadzie, że byłoby całkiem niezłe gdyby się okazało, że Chirończycy zaczęli tworzyć armię, ponieważ oszczędziłoby to nam czasu i wysiłku na ich szkolenie. Musimy tylko im pokazać, że jesteśmy po ich stronie i działać wspólnie, gdy pokaże się „Pagoda".

Statek kosmiczny FWA był zbudowany inaczej niż „Mayflower II". Dla skompensowania sił występujących podczas przyspieszeń, miał formę dwóch kiści smukłych ostrosłupów, zawieszonych przegubowo wokół osi centralnej. Dzięki temu mogły się wokół niej obracać lub odchylać. To podobieństwo do wpółotwartego, dwupiętrowego parasola, zyskało statkowi przezwisko „Latającej Pagody". Terry pociągnęła mały łyk ze szklanki i rozejrzała się po zebranych. – Facet myśli całkiem dorzecznie. Wcale nie musimy z nimi walczyć. Wystarczy, że przerobimy ich na nasz sposób i naprostujemy ich myślenie.

– Ale to nie znaczy, że mamy ryzykować – podkreśliła Anita.

– No, oczywiście... Po prostu chcę powiedzieć, że nie ma się czego bać.

Colman znów zaczął się irytować. Do tej pory nikt ze statku nie spotkał Chirończyka, ale wszyscy już

pozostałe ekrany potwierdzały, że wszystko jest tak, jak powinno. Rezerwowy zbiornik paliwa rakietowego silnika korekcyjnego numer 2 został, po uprzedniej nieznacznej korekcie kursu, dopełniony i znów sygnalizował: „Gotów". Wszystkie podzespoły paliwa, chłodziwa, mocy głównej i pomocniczej, hydrauliczne, pneumatyczne, benzynowe, olejowe, regeneracji powietrza oraz oprzyrządowania, obsługujące Sekcję Napędu, działały należycie w założonych granicach. Daleko, w okolicach rufy, zespoły gigantycznych reaktorów termojądrowych pożerały 35 milionów ton wodoru, wychwyconego magnetycznie z przestrzeni kosmicznej podczas dwudziestoletniej podróży. Co sekundę dwie jego tony przekształcały się w energię w postaci straszliwego, półtoramilowej średnicy strumienia promieniowania i produktów reakcji. Aby wyhamować prędkość podróżną 140 milionów ton masy „Mayflower II", strumień musiał palić się przez sześć miesięcy.

Statek opuścił Ziemię, niosąc na pokładzie tyle tylko paliwa, ile potrzeba było dla osiągnięcia szybkości podróżnej i wziął kurs przez gęste chmury wodoru, aby zebrać go tyle, ile potrzeba będzie do hamowania.

Fallows spojrzał na zegar pośrodku pulpitu. Mniej niż godzina do przejęcia wachty przez Waltersa. Będzie więc miał przed ponownym objęciem służby dwa dni wolne. Przez chwilę smakował tę myśl, przymknąwszy oczy.

Jeszcze tylko trzy miesiące lotu! Jego dzieci często pytały, czemu jako młody człowiek w kwiecie wieku odwrócił się plecami do wszystkiego co znał i zapłacił dwudziestoma latami życia za prawo do jednokierunkowej podróży do Alfy Centaura. Pytały nie bez racji, bo przecież jego decyzja w znacznej mierze wpływała również na ich przyszłość. Większość z trzydziestu tysięcy mieszkańców „Mayflower II" już się przyzwyczaiła do wysłuchiwania podobnych pytań. Fallows zwykle odpowiadał, że ogarniało go coraz większe rozczarowanie na widok świata nieustannych zbrojeń, zbliżających się do poziomu szaleństwa, które poprzedziło zniszczenie większej części Ameryki Północnej, Europy i północnej Azji podczas krótkiej masakry roku 2021, i że zostawił to za sobą, by zacząć od nowa gdziekolwiek indziej. To była powszechnie przyjęta odpowiedź, która miała także przywracać spokój sumienia odpowiadającemu. Ale Fallows zdawał sobie doskonale sprawę, że sam w to nie wierzy. Starał się udawać przed sobą, że nie pamięta rzeczywistej przyczyny.

Urodził się niemal pod koniec Chudych Lat, które nastąpiły po wojnie. Nie pamiętał ich więc, ale ojciec opowiadał mu o czasach, gdy pięćdziesiąt milionów ludzi żyło w nędznych budach, skleconych wokół sczerniałych i pokręconych szkieletów tego, co niegdyś było miastami, i tłoczyło się na śniegu w kolejkach po przydziałową zupę i chleb z rządowych kuchni polowych. Opowiadał też o jego matce, harującej po piętnaście godzin dziennie przy cięciu płyt na prefabrykowane domy, co pozwalało jej dwa razy dziennie postawić na stole rodzinnym skąpy posiłek; rosół wołowy z ryżem, dostarczanym przez chińskie statki żywnościowe, a także co pół roku kupić po jednej parze obuwia jednorazowego użytku z prasowanego papieru. Opowiadał o starszym bracie, zabitym w walce z bandami rabunkowymi, które przybyły z Karaibów i z południa.

Fallows pamiętał lata, gdy smukłe palce budynków błyszczących nowych miast znów zaczęły, wśród pustyń gruzu, wskazywać niebo; gdy huczały i łomotały nowe huty stali i aluminium, podczas gdy na drugiej półkuli Chiny i Indo-Japonia zmagały się w zapasach o kontrolę nad przemysłową i handlową potęgą Wschodu. To były podniecające lata, pulsujące lata, lata natchnione. Fallows pamiętał zalane światłem reflektorów waszyngtońskie parady Czwartego Lipca – barwę i wspaniałość zmasowanych orkiestr, kolumny maszerujących pod powiewającymi sztandarami żołnierzy w błyszczących mundurach, hymny narodowe i pieśni wznoszące się z gardeł dziesiątków tysięcy zgromadzonych na Capitol Square, tam, gdzie niegdyś stały słynne budowle. Pamiętał, jak dumnie wkroczył na bal w szkole wyższej w nowiutkim mundurze Korpusu Młodzieży Amerykańskiego Nowego Porządku, udając z wyniosłą miną, że nie dostrzega towarzyszących mu wszędzie pełnych podziwu spojrzeń. Jak chełpił się przed zazdrosnymi przyjaciółmi po pierwszym weekendzie, spędzonym na manewrach wojskowych na pustyni Nowego Meksyku... Pamiętał wybuch radości, gdy Ameryka znów otworzyła stałą bazę załogową na Księżycu.

Rozpalała go, jak większość rówieśników, wizja Ameryki Nowego Porządku, którą pomagali wykuwać z ruin i zgliszcz starej. Jeszcze silniejsza niż poprzednio, czystsza moralnie i duchowo, ufna świadomością misji powierzonej jej przez Boga, powstanie na nowo jako nienaruszalne sanktuarium, chroniące dziedzictwo kultury Zachodu przed rozkładowym potopem pogańskiej dekadencji i aroganckiego bogactwa, zalewającego przeciwną stronę kuli ziemskiej. A gdy Wschód wreszcie rozpadnie się na skutek wewnętrznego rozkładu, gdy ostatecznie zostanie zdemaskowany fałsz jedności, którą Arabowie próbują narzucić w Azji Środkowej i gdy afrykańska wojowniczość na koniec wyczerpie się w orgii

morderczych sporów, Amerykański Nowy Porządek wchłonie zbłąkaną chwilowo Europę i zwycięży. Oto był cel.

„Mayflower II", który rósł z roku na rok i nabierał kształtów na orbicie księżycowej, stał się widomym symbolem tych dążeń.

Choć Fallows w roku 2040 miał tylko osiem lat, wyraźnie pamiętał podniecenie wywołane wiadomością, że nadszedł sygnał ze statku kosmicznego zwanego „Kuan-yin", wystrzelonego w roku 2020, bezpośrednio przed wybuchem wojny. Sygnał zawierał wiadomość, że „Kuan-yin" wykrył na orbicie Alfy Centaura odpowiednią planetę i rozpoczyna eksperyment. Planetę nazwano Chironem, jak jednego z mitycznych centaurów. Trzy inne, większe planety, odkryte przez „Kuan-yin" w systemie Alfy Centaura, otrzymały nazwy: Folos, Nessus i Eurytion.

Wśród rówieśników Fallowsa niewielu było takich, którzy nie pamiętaliby upojenia tamtych czasów, czasów krucjaty, wyzwania, celu i zamiaru - odbudowy imperium poza Ziemią i podboju jej samej. Gdy zaś, jako symbol tych spraw, rozrastał się na księżycowym niebie „Mayflower II", dla wielu marzenie o udziale w locie statku i krucjacie dla uchronienia Chirona przed Niewiernymi stało się ambicją życia. Lekcje dyscypliny i poświęcenia z czasów Chudych Lat pomogły w ukończeniu „Mayflowera II" na dwa lata wcześniej od najszybszego rywala. Dzięki temu dwudziestoośmioletni Bernard Fallows po męsku uścisnął dłoń ojca i ucałował na pożegnanie zapłakaną matkę. Wkrótce potem, na pokładzie promu wystrzelonego z bazy w Arizonie, dotarł do transportera księżycowego, który miał go zanieść na start do pierwszego etapu jego osobistej krucjaty: niesienia Amerykańskiego Nowego Porządku ku gwiazdom.

Teraz nieczęsto o tym myślał. Marzenie, by stać się wielkim przywódcą i zdobywcą, który zaniesie Słowo na Chirona, z biegiem lat zblakło. Zamiast tego... co? Dziś, gdy statek był niemal u celu, okazało się, że Fallows nie miał jasnego wyobrażenia, co robić... poza kontynuowaniem trybu życia, do którego przywykł od dawna. Tyle, że w innym otoczeniu.

Tok jego myśli został przerwany widokiem Cliffa Waltersa, zdążającego po tamtej stronie szklanej przegrody do pokoju monitorów. W chwilę później boczne drzwi otworzyły się z cichym wizgiem i wkroczył Walters. Fallows odwrócił się na obrotowym krześle i spojrzał zdziwiony. - Cześć. Wcześnie przyszedłeś. Miałeś jeszcze czterdzieści minut.

Walters ściągnął marynarkę i powiesił ją w szafie przy drzwiach, wyjmując równocześnie książkę z wewnętrznej kieszeni. Fallows zmarszczył się, ale milczał.

– Wcześniej przejmuję służbę - odpowiedział Walters. - Merrick chciałby chwilę z tobą porozmawiać. Mam ci też powiedzieć, żebyś przyszedł na PDI. Możesz zakończyć dyżur i mieć z nim rozmowę, w czasie wliczonym do pracy. - Podszedł do pulpitu i skinął głową w stronę ekranów. - Jak nam leci? Masa burzliwych i emocjonujących wydarzeń?

– Ucieszysz się, jak ci powiem, że główna trzy łamane przez pięć znów zaczyna swoje kawały. Na niskim poziomie, ale bez żadnych wątpliwości. O godzinie siedemnastej zero zero odpalenie korekcyjnego dwa przez jedną piętnastą sekundy, bez zakłóceń. Główne spalanie sprawuje się pięknie i wyrównuje zgodnie z programem... - Wzruszył ramionami. - To by było tyle.

Walters chrząknął, obiegł szybkim spojrzeniem ekrany i na wolnym wywołał dziennik za ostatnie cztery godziny. - Wygląda, że czeka nas znowu demontaż tej cholernej pompy - mruknął nie odwracając głowy.

– Tak wygląda - odpowiedział Fallows z westchnieniem.

– Nie warto się z nią pieprzyć - oświadczył Walters. - Za trzy miesiące możemy doskonale przejść na zapasową i do diabła z tym wszystkim. Załatwi się ją, jak dolecimy, gdy będzie zgaszony główny napęd. Po co się pocić i odchudzać w małpich kostiumach?

– Powiedz to Merrickowi - odrzekł Fallows, z wysiłkiem ukrywając swą dezaprobatę. Takie gadanie zdradzało niedbały stosunek do spraw techniki. Nawet, gdyby podróż miała trwać tylko trzy tygodnie, nie byłoby usprawiedliwienia, pozwalającego pozostawić bez naprawy wymagające tego części maszynerii. Ryzyko katastrofalnej awarii mogło być mikroskopijne, ale było. A dobry zwyczaj wymagał zmniejszania możliwości takiego ryzyka do zera. Fallows uważał się za wykwalifikowanego inżyniera, miał więc obowiązek być drobiazgowym. Do przyzwyczajeń zaś Waltersa należał brak obowiązkowości w pewnych sprawach - na pewno w mało ważnych. Ale niedbalstwo pozostawało niedbalstwem. Fallowsa drażniło, że obaj mieli równy stopień służbowy. - Wpis do dziennika służby o zmianie wachty, Horacy - zwrócił się do siatki na pulpicie sterującym. - Dyżurny Fallows zdaje, dyżurny Walters przejmuje.

– Odnotowano - odpowiedział Horacy.

Fallows wstał z krzesła i odsunął się na bok. Walters rozwalił się na miejscu kierownika Subcentrum.

- Odchodzisz na czterdziestoośmiogodzinny, prawda? - spytał Walters.

restauracji; trzy bary, jeden z nich z parkietem tanecznym w głębi; biuro totalizatora, przyjmującego zakłady na wyniki zawodów w Czaszy oraz spóźnione o cztery lata wyniki z Ziemi; teatr klubowy, w którym, jak wszyscy udawali, nie odbywały się przedstawienia striptizowe, oraz całe masy neonów. Bar Bowery, popularne miejsce spotkań wolnych od służby żołnierzy oddziałów liniowych, gnieździł się w zakątku tego obszaru, obok kawiarni, za nabijanymi gwoździami drzwiami z imitacji dębu i wysokim oknem z małych, barwnych szybek, przez które światło wewnątrz wydawało się czerwone.

Wnętrze Bowery było tłoczne i zadymione. Wśród tłumu, wzdłuż długiego baru po lewej stronie sali, było widać mnóstwo kobiet i mundurów; w mniejszej salce w głębi grał czteroosobowy zespół muzyczny. Colman i paru innych z kompanii „D" siedziało przy jednym ze stolików, ustawionych w podwójnym szeregu wzdłuż ściany naprzeciw baru. Był z nimi Sirocco, pomimo regulaminowego zakazu bratania się oficerów z szeregowymi. Pojawił się też kapral Swyley na skutek decyzji dietetyka z izby chorych, który wykonał rozkaz brania go zawsze na dietę, złożoną wyłącznie z ryb i szpinaku, kiedykolwiek zgłosi się do izby. Bret Hanlon, sierżant dowodzący drugim plutonem i stary kumpel Colmana, siedział po drugiej stronie Sirocca wraz ze Stanislauem, artylerzystą działa laserowego trzeciego plutonu i paru cywilnymi dziewczynami. Anita, zatrudniona jako siła fachowa w dziale łączności Brygady, tuliła się do Colmana, trzymając go miękko pod rękę.

Stanislau wpatrywał się w skupieniu w oparty o brzeg stołu komblok, z miniaturowym ekranem pełnym wijących się krzywych mikrokodu pamięci komputerowej. Zręcznie wystukał szereg cyfr na klawiaturze pod ekranikiem, przestudiował to, co się ukazało w odpowiedzi i następnie wystukał polecenie. W lewym dolnym rogu ekranu pojawiły się cyfry. Stanislau spojrzał triumfalnie na Sirocca. - 3,141592653 - ogłosił. - Dziesięć pierwszych cyfr liczby pi. - Sirocco prychnął, wyciągnął banknot pięciodolarowy z kieszeni i oddał go. Założyli się, czy Stanislau może złamać system bezpieczeństwa banku pamięci i wydobyć z niego informację, wprowadzoną pół godziny temu przez Sirocca do działu dostępnego dla publiczności, lecz pod zabezpieczeniem osobistego klucza kodowego.

– No i jak? - wrzeszczał uradowany Hanlon. - Chłop dał mu radę!

– Nie zapomnij także o kolejce piwa dla wszystkich - zwrócił Colman uwagę Sirocca. Dziewczyny zapiały z radości.

– Gdzie się tego nauczyłeś, Stan? - spytała Paula, jedna z cywilnych dziewczyn. Miała szczupłą, ale przyjemną twarz, niepotrzebnie pokrytą grubą warstwą wyzywającego makijażu. Nosiła bardzo obcisłą, prowokacyjną sukienkę.

Stanislau wsunął komblok do kieszeni. - Lepiej się nie dowiadujcie - powiedział. - Niezbyt budująca historia.

– Dalej, Stan. Nawijaj - nalegała Terry, koleżanka Pauli. Colman rzucił Stanislauowi nie pozwalające na wykręty, rozkazujące spojrzenie.

Stanislau pociągnął duży łyk ze szklanki i machnął ręką z rezygnacją. - Mój dziadek przeżył Chude Lata włamując się do składów i sprzedając, co tam było zmagazynowane. Nikt nie wymyślił zabezpieczeń, których on nie potrafiłby rozpruć. Ojciec pracował w Ratunkowym Biurze Pomocy. Porozumieli się i wpisali do kartoteki dwie siostry i brata, których nigdy nie miałem, dzieląc się zyskami. Więc dało się wyżyć. - Wzruszył ramionami niemal przepraszająco. - Myślę, że stało się to jakby tradycją... dziedziczną w naszej rodzinie.

– Prawdziwy zawodowy włamywacz! - wykrzyknęła Terry.

– Ty sukinsynu - rzekł z podziwem Hanlon.

– Czegostam-synu, w każdym razie - dodała Anita. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Sirocco znał już tę historię, ale nie wypadało mu jej komentować. Stanislau został przeniesiony do kompanii „D" w wyniku dochodzenia w sprawie tajemniczego zniknięcia ze składnic Brygady narzędzi i elektrycznych części zamiennych, które następnie pojawiły się w sprzedaży w dziale materiałów dla majsterkowiczów jednego z domów towarowych.

Swyley, ukryty za grubymi okularami, nadającymi jego oczom wygląd gotowanych jajek, co jasno wykazywało absurdalność wszelkich pomysłów badania go na wyjątkowe zdolności wizualne, siedział zamyślony i nieobecny. Rozważał właśnie, czy nie dałoby się wykorzystać przestępczych umiejętności Stanislaua w celu doliczenia kilku punktów dodatnich w jego własnych aktach personalnych w wojskowym komputerze administracyjnym. Ale w obecności Sirocca nie mógł przecież występować z takim pomysłem, byłoby to już zbyt bezczelne. Zdecydował, że porozmawia ze Stanislauem w cztery oczy.

– Gdzie się dziś podział Tony Driscoll? - zapytała Paula, rozglądając się po barze. - Nigdzie go tu nie widzę.

– I nie staraj się zobaczyć - odpowiedział Colman. - Ma nocną służbę.

– Czy wy nie macie litości nad tymi chłopakami? - zwróciła się Terry do Sirocca.

kasztanowate włosy wiązała w koński ogon; ubrana była w brązowe spodnie i pomarańczową jedwabną bluzkę, opinającą pełne, jędrne piersi.

Podnosząc wzrok na wychodzącego z domu Howarda nie zmieniła wyrazu twarzy. Ich wzajemne stosunki były zarówno teraz, jak i poprzednio formą towarzyskiego współżycia, opartego na dojrzałym uznaniu realiów życia i ich wymagań, bez komplikowania go nadmiarem romantycznych złudzeń, panujących wśród niższych warstw społecznych i podtrzymywanych w imię równowagi, bezpieczeństwa i potrzeby kontrolowanej rozrodczości. Niestety, masy były niezbędne dla podtrzymywania obrony układu. Maszyny miały więcej cech pożądanych, ponieważ pilnie przykładały się do swoich zadań, nie stawiając żądań, ale zabłąkani idealiści mieli niefortunny zwyczaj używania technologii do zastępowania pracy ludzkiej, niezbędnej, by ludzie mieli zajęcie i nie myśleli o głupstwach. Idealiści byli również gotowi uczyć ich myślenia. Były to dwudziestowieczne złudzenia, a rok 2021 ich skutkiem.

– Sądzę, że powinniśmy wydać ten obiad, o którym wczoraj mówiłem – rzekł Howard. – Czy możesz ułożyć listę gości i rozesłać zaproszenia? Na koniec przyszłego tygodnia, powiedzmy w piątek lub sobotę...

– Jeśli mamy znowu wziąć sale u Françoise, lepiej zarezerwuję ją teraz – odpowiedziała Celia. – Czy wiesz już, ile ma tam być osób?

– Och, niewiele, niech to sprawia prywatne i przytulne wrażenie. Lepiej będzie tutaj. Z tuzin osób, myślę. Więc oczywiście Lewis i Gerrard. I czas już, abyśmy bardziej zbliżyli się z Borfonteinem.

– Z tym człowiekiem?

– Tak, wiem, że jest w nim coś z barbarzyńcy, ale niestety potrzebuję jego poparcia. A jeśli pojawią się kłopoty, wiedza o tym, czy możemy liczyć, że wykona swe zadanie nim ktoś go zastąpi, ma zasadnicze znaczenie.

W okresie czasowego upadku północnego obszaru cywilizacji Zachodu, Afryka Południowa przeszła przez serię wojen wyzwoleńczych, toczonych przez graniczące z nią od północy czarne narody i przekształciła się w kraj o represyjnym, totalitarnym ustroju, sprzymierzony z Australią i Nową Zelandią, które w walce z przypływem azjatyckiego liberalizmu, pochłaniającym już Indonezję, również stały się państwami autorytarnymi. Były to metody nie pozbawione zalet, ale jako produkt uboczny pojawiali się Borfonteinowie.

– I być może także Gaulitz – Celia wymieniła nazwisko jednego z czołowych naukowców Misji.

– O tak, Gaulitz na pewno. Mam plany w związku z Herr Gaulitzem.

– Posada rządowa?

– Szamana. – Kalens uśmiechnął się na widok zmarszczonych brwi Celii. – Jedną z przyczyn upadku Ameryki było to, że pozwoliliśmy nauce stać się zbyt powszechną i zbyt dostępną. Dlatego zaczęto nią gardzić. Nauka jest zbyt potężna, by ją powierzać masom. Musi być kontrolowana przez tych, którzy są dość inteligentni, by się nią posługiwać kompetentnie i dobroczynnie. Gaulitz jest człowiekiem odpowiednim, by go upozować na... arcykapłana, dla przywrócenia jej tajemniczości i wzbudzenia zdrowego lęku, nie sądzisz? – Pokiwał głową z chytrym wyrazem twarzy. – Starożytni Egipcjanie mieli do tego słuszne podejście. – W tym momencie przyszło mu do głowy, że piramidy można uważać za symbole hierarchicznej formy idealnego, stabilnego społeczeństwa – geometrycznej góry lodowej. Interesująca analogia. Dobrze będzie podnieść ten temat podczas obiadu. Może przyjmie piramidę za godło ustroju, który zostanie wprowadzony na Chironie.

– Czy zdecydowałeś coś na temat Sterma? – zapytała Celia.

Howard uniósł rękę i przez parę chwil z wahaniem pocierał podbródek. – Hmmm... Sterm. Nie mogę go rozgryźć. Mam przeczucie, że może on być siłą, z którą trzeba się będzie liczyć, zanim wszystko rozegra się do końca, ale nie wiem, po czyjej stronie stoi. – Rozmyślał jeszcze przez chwilę i w końcu potrząsnął głową. – Będę chciał poruszyć kilka spraw poufnych. Jest za wcześnie, by zbyt otwarcie ujawniać nasze zamiary. Lepiej go skreśl. Później może się to zmieni... ale tymczasem trzymajmy go na dystans.

Rozdział VII

Na „Mayflowerze II" nie rozdawano za darmo towarów ani usług, lecz tak jak wszędzie sprzedawano je za pieniądze. Tym sposobem ludność nie traciła kontaktu z mechanizmem popytu i podaży oraz zachowywała świadomość realiów handlowych, mających zasadnicze znaczenie dla prawidłowego rozwoju przyszłej kolonii na Chironie.

Jak w każdą sobotę wieczorem, teren przeznaczony dla pieszych na pokładzie pod centrum handlowym i jego biurami w segmencie Manhattan był pełen ożywionych tłumów. Mieściło się tam wiele

– Mhm.

– Masz plany?

– Właściwie nie. Jay gra jutro w jednej z drużyn w Czaszy. Chyba pójdę i popatrzę. Może nawet przejadę się na Manhattan, już dość dawno tam nie byłem.

– Weź dzieci na spacer wokół segmentu Wielkiego Kanionu – poradził Walters. – Przebudowano go – dużo drzew i skał, masa wody. Powinien być ładny.

Fallows zdziwił się. – Myślałem, że będzie jeszcze przez dwa dni nieczynny. Podobno armia miała tam manewry czy coś w tym rodzaju.

– Wcześniej się skończyły. W każdym razie Bud powiedział mi, że jutro Kanion będzie otwarty. Sprawdź to i spróbuj.

– Chyba tak zrobię – powiedział Fallows, kiwając powoli głową. – Taaak... Mogę się powłóczyć parę godzin na świeżym powietrzu. Dzięki za wiadomość.

Fallows wyszedł z sali monitorów, przeciął Subcentrum Sterowania Napędem i przez podwójne, zasuwane drzwi wyszedł na jasno oświetlony korytarz. Winda przeniosła go o dwa piętra wyżej do innego korytarza i w parę minut później został wprowadzony do biura na Pokładzie Dowodzenie Inżynierią. Siedział tam Leighton Merrick, Pomocnik Zastępcy Dyrektora Inżynierii i coś kontemplował na ekranach informacyjnych panelu zamontowanego w lewym rogu jego biurka.

Fallows miał zawsze wrażenie, że Merrick przypomina mu budową średniowieczną gotycką katedrę. Długie, wąskie ciało, sztywno wyprostowane, przypominało z daleka kolumnę z surowego, szarego kamienia; spadziste ramiona, pionowe zmarszczki na twarzy, skośne brwi i czołowa łysina z ostrym, skierowanym ku górze środkiem podkreślającym spiczastość jego głowy, składały się na kompozycję ostołuków, pobożnie wspinających się ku niebu, precz od doczesnego świata spraw ziemskich. Twarz zaś, niby kamienna fasada, spoglądająca w dół przez osłaniające wewnętrzne sanctuarium, obojętne okna, była podobna do skorupy odrzucającej na należyty dystans profanów od tego, kto zamieszkiwał jej wnętrze. Czy w tym wnętrzu rzeczywiście ktokolwiek przebywał? – zastanawiał się niekiedy Fallows. Czy też raczej z biegiem lat skorupa zyskała samodzielny byt i kontynuowała swe funkcje, ten zaś natomiast, kto ją niegdyś zamieszkiwał, zwiądł niezauważenie lub zszedł z tego świata?

Fallows nigdy nie oponował sztuki swobodnego samopoczucia w obliczu Merricka, choć tyle już lat był jego podwładnym. Okazywanie nienależytej poufałości było oczywiście nie do pomyślenia między funkcjonariuszami czwartego i szóstego stopnia. Ale nawet biorąc poprawkę na tę różnicę, Fallows zawsze odczuwał ostry niepokój w parę sekund po wejściu do pomieszczenia, gdzie znajdował się Merrick. Szczególnie zaś, gdy było to spotkanie w cztery oczy. Tym razem na to nie pozwoli – po raz nasty zdecydował jeszcze na korytarzu. Tym razem racjonalnie pomyśli, że zachowywał się irracjonalnie i nie da się zastraszyć przez własną wyobraźnię. Przecież Merrick nie obrał go sobie na przedmiot szczególnego lekceważenia. W ten sposób zachowywał się wobec każdego. Więc było to bez znaczenia.

Merrick milcząco wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka i nadal wpatrywał się w ekran, nie spojrzawszy nawet na podwładnego. Fallows usiadł. Po dziesięciu mniej więcej sekundach poczuł się niewyraźnie. Co niewłaściwego popełnił w ostatnich paru dniach? Może o czymś zapomniał... a może nie zameldował na czas... albo coś odłożył nie podejmując decyzji? Wysilał pamięć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Na koniec, w zdenerwowaniu, udało mu się wyjąkać: „Mmmm... pan mnie wzywał, sir".

Pomocnik Zastępcy Dyrektora Inżynierii zstąpił na koniec z wyższych regionów myśli i podniósł głowę. – Ach, tak, Fallows. – Wskazał na ekran, który przed chwilą studiował. – Co wiecie o niejakim Colmanie, który stara się wydostać z Armii i przejść do Inżynierii? Zastępca otrzymał kopię wniosku o przeniesienie i przekazał mi do zaopiniowania. Wynika z niego, że ten Colman powołuje się na was. Co o nim wiecie?

Spiczasty podbródek i zsunięte gotyckie brwi Merricka zmieniły się w znak milczącego zapytania, jak szanujący się funkcjonariusz Inżynierii w czwartym stopniu służbowym mógłby się pospolitować z sierżantem piechoty.

Dopiero po paru chwilach Fallows zrozumiał, o co chodzi. Gdy zaś pojął sytuację, jęknął bezgłośnie.

– Ja, eee... On był instruktorem mego syna w przysposobieniu wojskowym – wyjąkał Fallows w odpowiedzi na badawcze spojrzenie Merricka. – Spotkałem go na paradzie z okazji zakończenia kursu... rozmawiałem z nim przez chwilę. Wydało mi się, że bardzo mu zależy na dostaniu się do szkoły inżynieryjnej. A ja prawdopodobnie powiedziałem: „Czemu nie spróbować?", czy coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że mógł on zapamiętać moje nazwisko.

– Mmmm. A więc w rzeczywistości nie wiecie niczego, ani o jego doświadczeniu, ani o zdolnościach.

Jest to ktoś, kogo spotkaliście przypadkowo i kto nadał zbyt wiele wagi waszej wypowiedzi. Tak?

Fallows nie był w stanie przełknąć w całości słów, które Merrick wkładał mu w usta. W rzeczywistości bowiem zapraszał tego człowieka wiele razy do domu, by pogadać o sprawach techniki. Colman miał kilka fascynujących pomysłów. Fallows nie umiał się powstrzymać od przeczącego potrząśnięcia głową.

– Wydawało mi się, że zadziwiająco orientuje się w szerokim zakresie istotnych zagadnień. Jeszcze do zeszłego roku służył w Korpusie Inżynieryjnym Armii, ma więc mocne podstawy praktyczne. I dużo uczył się od chwili, gdy wyruszyliśmy z Ziemi. Mam... miałem wrażenie, że może warto zwrócić na niego uwagę. Ale to oczywiście tylko wrażenie.

– Zwrócić uwagę w jakim celu? Na pewno nie chcecie przez to powiedzieć, że nadaje się on na pracownika inżynieryjnego.

– Oczywiście, nie! Ale może jako technik drugiej czy trzeciej grupy. Albo na kursie przygotowawczym na wyższą uczelnię.

– Hmmm. – Merrick machnął ręką w kierunku ekranu. – Brak wyższego wykształcenia. Musiałby być przynajmniej rok z chłopcami o połowę młodszymi od siebie. Nie jesteśmy punktem rehabilitacji społecznej, jak wiecie.

– Z powodzeniem przerobił samodzielnie kurs politechniki od pierwszego do piątego semestru – zwrócił uwagę Fallows. Denerwowało go, że sprawia wrażenie, jakby się wykłócał. Ale nie miał wielkiego wyboru. – Myślałem, że może po kursie doskonalącym byłby w stanie uzyskać drugi...

Merrick spojrzał podejrzliwie zza biurka. Wyraźnie nie takiej odpowiedzi oczekiwał. – Jego stan służby w Armii pozostawia, jak wiecie, wiele do życzenia. Sierżant sztabowy w wieku lat dwudziestu dwóch, a od czasu startu z Księżyca lata w górę i w dół, jak jo-jo. Wstąpił do wojska tylko po to, aby uniknąć dwóch lat służby poprawczej, a już o wiele wcześniej był w tarapatach po uszy.

– Nic o tym dotychczas nie wiedziałem, sir.

– Teraz już wiecie – Merrick złożył dłonie czubkami palców przed sobą. – Czy jesteście zdania, że przestępstwa i skłonności kryminalne, są, czy też nie są w zgodzie z wyobrażeniem, jakie powinniśmy się starać utrzymać o naszej Służbie?

W obliczu tak postawionego pytania Fallows mógł tylko odpowiedzieć: – Cóż... nie, mam wrażenie, że nie są.

– Aha! – Merrick wydawał się nieco bardziej zadowolony. – Ja bym z pewnością nie chciał, aby moje nazwisko występowało w dokumentach w połączeniu z nazwiskiem kogoś takiego. – Jego wypowiedź świadczyła jak najjaśniej, że Fallows stworzyłby sobie nienajlepsze perspektywy na przyszłość, gdyby pozwolił sobie na to, by i jego nazwisko pojawiło się w takich dokumentach. Merrick skrzywił się, jakby gryzł cytrynę. – Motłoch z dołów społecznych przepchnął się wyżej. Musimy, jak wiecie Fallows, umieć trzymać ich tam, gdzie ich miejsce. Właśnie z takich powodów upadł Stary Porządek. Pozwolił im wspiąć się za wysoko, a oni wzięli górę. I co się stało? Ściągnęli w dół – cywilizację. Czy chcecie być świadkiem tego raz jeszcze?

– Nie, na pewno nie – odpowiedział niezbyt uszczęśliwionym tonem Fallows.

– Innymi słowy pozytywna odpowiedź na ten wniosek nie może być traktowana ani jako służąca najlepszym interesom Służby, ani Państwa, nieprawdaż?

Fallows nie był w stanie rozwikłać logiki tego wywodu w dostatecznym stopniu, by zakwestionować wniosek. Potrząsnął więc głową twierdząco. – Rzeczywiście nie wygląda na to, jak sądzę.

Merrick skinął z powagą. – Funkcjonariusz, który jest uczestnikiem działania sprzecznego z najważniejszymi interesami Służby Państwa powinien być uważany za wywrotowca. Zgadzacie się z tym?

– Tak, to prawda, ale...

– Czy więc chcielibyście być odnotowani w aktach jako popierający działania nielojalne i wywrotowe? – zaatakował Merrick.

– Zdecydowanie nie. Ale znów...

– Dziękuję wam – powiedział Merrick, chwytając okazję zakończenia rozmowy. – Zgadzam się z wami i aprobuję waszą ocenę. Bardzo dobrze, Fallows. Korzystajcie z wolnego czasu. – Merrick odwrócił się bokiem i zaczął coś wystukiwać na klawiaturze pod ekranami.

Fallows wstał niezdarnie i zaczął iść ku drzwiom. W pół drogi zawahał się, zatrzymał i jeszcze raz zwrócił do Merricka. – Sir, jest jeszcze coś, co chciałbym...

– To wszystko, Fallows – mruknął Merrick, nie podnosząc wzroku. – Możecie odejść.

*

W kwadrans później, pędząc w stronę domu kapsułą tranzytową wzdłuż liczącej sześć mil średnicy

na pokładach zbytkownych jachtów u wybrzeży Australii?" Kalens wątpił w taką możliwość. Cóż więc dało światu ich tak zwane wyzwolenie, poza sprostytuowaniem jego skarbów, zdeprecjonowaniem wartości kulturalnych i zatopieniem płodów jego najwspanialszych umysłów w potopie płaskiego egalitaryzmu i powszechnej utraty smaku? Takie samo niszczące pasożytnictwo mas, rozrastające się w tkance społecznej jak złośliwa choroba, o pół wieku wcześniej rzuciło Zachód na kolana.

Społeczeństwo w warunkach naturalnych jest jak lodowiec. Osiem dziewiątych pogrążonych w grubej ignoracji i służących jedynie temu, by wynieść i podtrzymywać wartościową mniejszość, która wcielając wszystko co najbardziej wysublimowane, co najdoskonalsze w swej rasie, nabywała przez to prawa do przywilejów obok obowiązku władzy. Klęska 2021 roku tym była wywołana, że równowagę naruszyło zbyt wiele balastu ludzkiego, którego miejsce było na dole, usiłującego wspiąć się powyżej środka ciężkości i lodowiec przewrócił się do góry dnem. Wojna była ceną, którą przyszło zapłacić za to, że kupczykowie zaczęli pozować na mężów stanu, brygadziści fabryczni na fabrykantów, zaś wymachujący dyplomami wyższych uczelni lumpowie na myślicieli. Ceną za pomieszanie elementarnego wykształcenia z wiedzą i uznania prostodusznego marzycielstwa za dowód wartości duchowych. Ale dziś, gdy doktryna Nowego Porządku zaczęła leczyć Zachód z choroby, na drugiej półkuli wybuchła nowa epidemia – statek niekontrolowanego rozrostu azjatyckiego dobrobytu w następstwie wojny. Wszystko to dowodziło, że gatunek ludzki jako całość nigdy się niczego nie nauczy.

– Przeciętność posiądzie Ziemię – powiedział Kalens któregoś dnia 2055 roku do żony Celii, wracając do ich rezydencji w stanie Delaware z serii rozmów z europejskimi ministrami spraw zagranicznych. – Albo wreszcie dojdzie do nowej wojny. – Dlatego właśnie Kalensowie wyruszyli na „Mayflower II", by na dalekich przestrzeniach stać się świadkami budowy nowego społeczeństwa, które oprze się na lekcjach płynących z przeszłości, lecz nie będzie obciążone jej fatalnym dziedzictwem. Nie trzeba będzie walczyć z tradycjami płonnych nadziei, ustępować wobec zagranicznej rywalizacji, nie będzie rozrodzonych w miliardowe rzesze wrzaskliwych, bezużytecznych mas, dla których trzeba wymyślać jakieś zajęcia. Chiron stanie się czystym, nienaruszonym, niepokalanym płótnem, które czeka, by Kalens pierwszy nakreślił na nim swoje plany.

Trzy przeszkody stały między Kalensem i latami kształtowaną przezeń wizją przewodzenia jego własnej odmianie ustroju neofeudalnego, która będzie wcieleniem idealnego modelu społeczeństwa. Po pierwsze, trzeba będzie zapewnić sobie zwycięstwo w wyborach po ustąpieniu Wellesleya. O to mógł być niemal spokojny: Lewis skutecznie koordynował kampanię środków masowego przekazu, sondaże opinii dawały doskonałe wyniki. Drugi był problemem Chirończyków. Chociaż wolałby proste i bez cudów rozwiązanie Borfonteina, Kalens musiał przyznać, że po sześciu latach umiarkowanego kursu Wellesleya, opinia publiczna „Mayflowera II" będzie się domagać bardziej dyplomatycznego podejścia. Jeśli dyplomacja odniesie sukces i Chirończycy gładko się zintegrują z przybyszami, tym lepiej. Jeśli nie, możliwości militarne Misji zapewnią ostateczne rozwiązanie czy to groźbą, czy przez eskalację demonstracji siły; oceny da się tak ukształtować, by wynikło z nich uzasadnienie jakiego będzie potrzeba. Kalens nie wierzył, by na Chironie istniały jakiekolwiek warte uwagi urządzenia obronne, ale takie sugestie miały potencjalną przydatność propagandową. Chociaż więc aż do tej pory nie było jasne dla Kalensa jakich użyje środków, był pewien, że z Chirończykami da sobie radę. Trzecie zagadnienie stanowiła misja Federacji Wschodnio-Azjatyckiej, która powinna przybyć za dwa lata. Ale rozwiązawszy dwa pierwsze problemy, mając do dyspozycji zasoby surowcowe i przemysłowe całej planety oraz pięćdziesiąt tysięcy dorosłej ludności, przewidzianej jako poborowych, Kalens był pewien, że poradzi sobie również z Azjatami, a także z wyprawą europejską, która przybędzie w rok po nich. A to mu rozwiąże ręce, pozwalając na zerwanie wszelkich więzi Chirona z Ziemią. Z tej części swoich marzeń nie zwierzał się nikomu, nawet Celii.

Ale zaczynać trzeba od najważniejszego. Już czas na mobilizację potencjalnych sojuszników, których ostrożnie sondował i pozyskiwał sobie od czasu poprzednich wyborów, trzy lata temu. Starannie postawił koreański flakon w przeznaczonej do tego niszy między regałami i przeszedłszy przez salon, dostał się na patio, gdzie wyciągnięta na leżaku, z przenośnym komblokiem na kolanach, Celia układała list do jednej z przyjaciółek.

Młoda, nowoczesna żona, którą Howard Kalens zabrał ze sobą na Lunę i załadował do „Mayflowera II", obecnie przekroczyła już czterdziestkę, lecz twarz jej nabrała charakteru i dojrzałości. Z ładnej, młodej dziewczyny rozwinęła się kobieta o ciele pełnym zmysłowego powabu. W porównaniu z cechującym modelki typem nietrwałej urody nie była, ściśle rzecz biorąc, piękna. Ale mocny, zdecydowany zarys jej podbródka i kształtnych ust wraz ze spokojnym, oceniającym spojrzeniem oczu, badających świat z dystansu zdradzały lubieżną, nie wygasającą z upływem czasu pobudliwość. Sięgające ramion

ludzi – powiedział na koniec, podnosząc wzrok na zebranych. – Obecnie, gdy jesteśmy niemal na miejsu, morale jest wysokie i nie chcę go niszczyć. Postaraliśmy się wpoić masom taki wizerunek Chirończyków, by nasi ludzie przyjęli wobec nich stanowczą postawę. Nieustannie podkreślaliśmy, że przeważa wśród nich młodzież. Metody twardej ręki nie są właściwym sposobem postępowania z tymi, których powszechnie uważa się za rasę dzieci. Po prostu wewnątrz naszego własnego obozu wywołalibyśmy niechęć i sprzeciwy, a tego sobie absolutnie nie życzymy. Tak, musimy pokierować sytuacją w sposób stanowczy, ale elastyczny i umiarkowany, póki się nie umocnimy. Nasze siły muszą być w stanie gotowości na wszelkie niespodzianki, ale bez ostentacji, chyba że okoliczności zmuszą nas do zmiany postępowania. Oto moja recepta, panowie – stanowczo, cicho i elastycznie.

Jeszcze przez pewien czas trwała dyskusja, ale Wellesley ciągle jeszcze był Dyrektorem Misji i władzą najwyższą, jego więc punkt widzenia ostatecznie przeważył. – Zrobię, jak zechcesz, ale nie powiem, że z przyjemnością – oświadczył Borfontein. – Może wiel z nich to jeszcze dzieci, ale jest także prawie dziesięć tysięcy pierwszego pokolenia i około trzydziestu tysięcy, kończących albo przekraczających wiek nastolatków. Czyli aż nazbyt wielu dorosłych, zdolnych sprawić nam kłopoty. Musimy więc mieć plan działania w nieprzewidzianych wypadkach, z założeniem, że będziemy zmuszeni do aktywnego podjęcia inicjatywy.

– Czy to jest wniosek? – zapytał Wellesley. – Proponujesz stworzenie na wypadek nieprzewidzianych okoliczności planu zakładającego, że użyjemy siły jako pierwsi?

– Musimy brać pod uwagę i taką ewentualność i być na nią przygotowani – odpowiedział Borfontein. – Tak, to jest wniosek.

– Popieram – mruknął Howard Kalens.

Wellesley spojrzał na Slessera, który, chociaż ciągle jeszcze miał obawy, wyglądał równocześnie, jakby mu z jakichś niejasnych przyczyn ulżyło. Wellesley ociężale skinął głową. – Dobrze. Działaj na tej podstawie, John. Ale traktuj te plany i sam fakt ich istnienia jako ściśle tajny. O ile tylko się da, ogranicz je do oddziałów „S", wojska w to nie wciągaj jeśli nie będziesz zmuszony.

– Powinniśmy też podpowiedzieć środkom przekazu, by od tej chwili udoskonaliły sposoby oddziaływania – rzekł Kalens. – Może mocniejsze podkreślanie takich cech, jak upór i nieodpowiedzialność Chirończyków uszłyuni opinię publiczną... na wszelki wypadek. Mogą też dać jedną czy parę wzmianek, że istnieją oznaki, iż Chirończycy mogli się uzbroić i trzeba na to być przygotowanym. Zawsze można to będzie w razie potrzeby zdementować jako informacje przesadzone. Czy mam szepnąć słówko Lewisowi na ten temat?

Wellesley dumał przez parę chwil nad tą propozycją, ale w końcu skinął głową. – Myślę, że powinieneś to zrobić.

Sterm przyglądał się, słuchał i milczał.

Rozdział VI

Howard Kalens siedział przy biurku w gabinecie swego willowego domu, położonego wśród wypielęgnowanych krzaków i roślin, w sektorze mieszkalnym dla szczytów hierarchii władzy w Dystrykcie Kolumbia, kontemplując porcelanowy flakon, który z wolna obracał w dłoniach. Pochodził z Korei, z czasów trzynastowiecznej dynastii Koryo. Miał około czternastu cali wysokości, długa szyjka płynnie przechodziła w gruszkowaty brzusiec, pokryty seledynową polewą z delikatnie wtopionymi mishima, przedstawiającymi wierzbę wśród symetrycznych rysunków kwiatowych, ujętych w dekoracyjne szlaki o powtarzającym się motywie liści. Biurko z masywnego orzecha było w stylu dziewiętnastowiecznego nawrotu francuskiego rokoka, z dobrze dobranym fotelem roboty tego samego artysty. Wśród książek, ustawionych na półkach za siedzącym w fotelu Kalensem, znajdowały się pierwsze wydania Henry'ego Jamesa, Scotta Fitzgeralda i Normana Mailera; Matisse na przeciwległej ścianie był reprodrukcją oryginału, przechowywanego w skarbcu „Mayflowera II"; obok niego wisiały litografie Rico Lebruna. Oczy Kalensa rozkoszowały się delikatną równowagą szczegółów i kontrastami barw; jego palce gładziły powierzchnię flakonu; on sam zaś napawał się uczuciem, że powrócił maleńki ułamek sekundy i miejsca z odległych miejsc i czasów, by przez krótką, ulotną chwilę być tylko jego własnością.

„Koreański rzemieślnik, który wymodelował ten przedmiot, zapewne żył prostym życiem, nie narzekał na swój los i mógł zejść ze świata z pełną satysfakcji świadomością, że stworzył piękno z niczego i przez swój krótki pobyt na tym świecie pozostawił go bogatszym" – myślał Kalens. „Czy jego azjatyccy potomkowie po ośmiu wiekach będą w stanie to samo powiedzieć lub mieć to samo poczucie doścignięcia celu, rozdrapując między siebie masowo produkowane dobra konsumpcyjne, afiszując z arogancją nowobogackich w domach mody i salach licytacyjnych Londynu, Paryża i Nowego Jorku, czy wylegując

linii obwodowej „Mayflowera II", Fallows był ciągle jeszcze pogrążony w myślach. Merrick miał rację – zdecydował. On sam zaś był głupcem. Nie miał żadnego powodu, by dla zachcianek Colmana znosić taki magiel, jak przed chwilą, lub pozwalać, by kwestionowano jego uczciwość. Nie ma obowiązku, by któremukolwiek z tych ludzi pomagać w prostowaniu powikłanych ścieżek ich życia.

Cliff Walters nigdy by się nie wplątał w tak głupią sytuację. Czy można więc mieć pretensje, gdy czasem przymruży oko na drobiazg bez znaczenia? I to by już było wszystko, jeśli idzie o Fallowsa – durnego chłopaczka, który przyleciał z Arizony, by zbawiać świat, a nie wie, że nie trzeba pchać palca między drzwi. Cliff Walters zasługiwał na wszystkie otrzymywane awanse – przyznał Fallows, odprawiając seans samobiczowania, on sam zaś nie zasługiwał na nic więcej, jak pozostanie zerem przez wszystkie przyszłe lata na Chironie. Może kiedyś nauczy się słuchać Jean.

Rozdział III

„Mayflower II" przypominał koło, nasadzone na cieńszy koniec prawie stożkowej osi, zwanej Wrzecionem. Od podstawy leja zbieraka magnetycznego na dziobie do olbrzymiej parabolicznej masy odrzutowej, tworzącej jego ogon, Wrzeciono mierzyło ponad sześć mil.

Koło, czyli Pierścień, miało ponad osiemnaście mil obwodu i dzieliło się na szesnaście oddzielnych segmentów, połączonych przegubami kulowymi. Dwa segmenty wiązały Pierścień z Wrzecionem, z którym były sztywno połączone, pozostałe czternaście mogło obracać się na sprzęgach międzysegmentowych, co zmieniało kąty nachylania podłóg poszczególnych segmentów wobec osi podłużnej Wrzeciona. Ta konstrukcja o zmiennej geometrii pozwalała na taką wypadkową składowej poprzecznej sił obrotowych ze składową osiową siły napędu, że w Pierścieniu panował przez cały czas normalny poziom pseudograwitacji, niezależnie od tego, czy statek szedł z przyspieszeniem, czy też, jak przez większą część podróży, bez ciągu.

W segmentach Pierścienia były rozmieszczone wszelkiego rodzaju urządzenia wynalezione w okresie budowy osiedli orbitalnych, umożliwiające mieszkanie, pracę, wypoczynek, produkcję przemysłową i rolną. W chwili, gdy statek zbliżał się do Alfy Centaura, służył trzydziestu tysiącom ludzi. Ponieważ okres opóźnienia przy rozmowie z Ziemią wynosił obecnie dziewięć lat, te trzydzieści tysięcy składały się na społeczeństwo całkowicie niezależne, samorządne i samowystarczalne. Posiadało własne siły zbrojne, a że planiści wyprawy musieli brać pod uwagę wszelkie możliwe okoliczności i scenariusze, wojsko było przygotowane na wszystko, bowiem nie mogło być mowy o żądaniu posiłków, gdyby pojawiły się trudności. Celom militarnym służył milowej długości Moduł Bojowy, przycumowany do ostrza Wrzeciona, który mógł się odczepiać od statku i w potrzebie działać samodzielnie jako okręt wojenny o sile ognia wystarczającej, by unicestwić każdą ze stron, które brały udział w II wojnie światowej. Mógł wyrzucać samonaprowadzające się pociski dalekiego zasięgu, umiejące wybierać cele w odległości pięćdziesięciu tysięcy mil; pociski orbitujące dla rażenia powierzchni planety zarówno bombami dla celów pojedynczych, jak bronią promienistą; zrzucać do atmosfery statki bombardujące i lecące tuż nad ziemią manewrujące rakiety oraz wysadzać desanty. Ponadto niósł wielkie zapasy materiałów rozszczepialnych.

Wojsko dysponowało też warsztatami dla regeneracji głowic bojowych i produkcji wyposażenia zamiennego. Dla zabezpieczenia przed wypadkami i by zaoszczędzić na ciężarze, projektanci umieścili je na drugim końcu Wrzeciona, za olbrzymią osłoną przeciwpromienną, która oddzielała resztę statku od płomienia głównego napędu. Warsztaty nazywały się oficjalnie Składnicą i Zakładem Regeneracji Głowic, nieoficjalnie zaś Fabryką Bomb. Nikt w niej nie pracował. Bieżące operacje wykonywały maszyny; inżynierowie rzadko tam zaglądali, tylko z okazji przeglądów lub naprawy nadzwyczajnej. Niemniej był to zakład wojskowy, składowano w nim amunicję, a zgodnie z przepisami oznaczało to, że musi być strzeżony. Nie robił najmniejszej różnicy fakt, że był on prawdziwą fortecą, tak skutecznie bronioną elektronicznie, że mucha nie przedostałaby się bez zezwolenia – regulamin mówił, że składnice amunicyjne muszą być strzeżone przez w a r t o w n i k ó w. A warta w tym miejscu – myślał Colman – była najparszywszą, najbardziej zasraną służbą w całej służbie wojskowej.

Tak właśnie myślał siedząc wraz z Sirocco koło okna wartowni, wychodzącego na pancerne wrota warsztatów i gapiąc się na korytarz, którym od dwudziestu lat nie przeszedł nikt, jeśli naprawdę nie musiał. Obaj siedzieli zamknięci w ciężkich skafandrach ochronnych. Za nim starszy szeregowiec Driscoll wciśnięty w krzesło oglądał film na jednym z ekranów komunikacyjnych, z fonią przełączoną na radiostację własnego skafandra. Driscoll powinien był patrolować korytarz, ale nie stosowano tego rytuału, gdy Sirocco dowodził oddziałem wartowniczym przed Fabryką Bomb. Coś z rok temu ktoś z kompanii „D"

wykorzystał fakt, że w ciężkich skafandrach wszyscy wyglądali jednakowo i podłączył wideotaśmę z jakimś dawno zapomnianym obowiązkowym wartownikiem do obwodu telewizji przewodowej, przez który przełożeni mieli zwyczaj od czasu do czasu podglądać. Od tej pory nikt z kompanii nie trudził się patrolowaniem. Natomiast kamery przestawiono na wczesne uprzedzanie o niezapowiedzianych inspekcjach.

– Nigdy nie wiadomo. Może będziesz miał większe szanse, gdy dolecimy do Chirona – powiedział Sirocco. Wniosek Colmana o przeniesienie został odrzucony przez Inżynierię. – Przyrost ludności będzie ogromny, a to otworzy różne możliwości. No i masz.

– No i co mam?

– No i masz za to, że jesteś dobrym żołnierzem i parszywym obywatelem.

– Czy ten, który nie lubi zabijać innych, jest dobrym żołnierzem?

– Oczywiście – Sirocco podniósł dłoń w pancernej rękawicy, jakby odpowiedź była oczywista. – Chłopaki, które tego nie lubią, a muszą, robią się wściekli. Jeśli nie mogą wyładować wściekłości na tych, którzy im rozkazują, przenoszą ją zastępczo na nieprzyjaciela. W ten sposób stają się ryzykantami i giną. Wobec tego nie są tak dobrzy. To logiczne.

– Wojskowa logika – mruknął Colman.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest sensowna. – Sirocco rozkrzyżował ręce, przeciągnął się trochę i westchnął. Po chwili milczenia spojrzał ciekawie na Colmana. – Więc... co nowego z tym kociakiem z Brygady?

– Nie ma sprawy.

– Nie leciała?

– Głupia.

– Fatalnie. W jaki sposób?

– Astrologia i siły kosmiczne. Chciała się dowiedzieć, pod jakim znakiem jestem urodzony. Powiedziałem jej, że pod znakiem z napisem: Sala Porodowa. – Colman skrzywił się kwaśno. – Do diabła, dlaczego muszę bez przerwy dostosowywać się do wszystkich?

Sirocco uśmiechnął się pod wąsem. – Nie nabierzesz mnie, Steve. Po prostu nie chcesz się angażować, póki nie zbadasz szans na Chironie. No, przyznaj się – aż cię korci, by się dorwać do chirońskich dziewczyn.

Zalążkiem kolonii była dziesięciotysięczna grupa, powołana z zarodków do życia „Kuan - yin" w pierwszym dziesięcioleciu od przylotu. Najstarsi z nich mieliby obecnie ponad czterdzieści lat. Według wskazówek zapisanych w komputerach rodzicielskich, pierwsze pokolenie powinno zacząć doświadczenia w zakresie ograniczonej reprodukcji jako dwudziestolatki. To samo miało dotyczyć drugiego pokolenia i w rezultacie podnieść liczbę ludności do około dwunastu tysięcy. Ale Chirończycy mieli widocznie na ten temat własne poglądy, gdyż ludność liczyła już ponad sto tysięcy i wzrastała błyskawicznie, obecnie już w czwartym pokoleniu. Wynikały z tego zastanawiające wnioski.

– Nie liczę na to tak bardzo – powiedział Colman. – Może jest tak, jak niektórzy chłopcy myślą, a może nie. W każdym razie, statystycznie rzecz biorąc, każda dziewczyna w naszym wieku jest tam już prababcią.

– A któż o nich myśli? Czy obliczyłeś sobie, ile słodkich laleczek tam na dole biega luzem? – zachichotał lubieżnie Sirocco przez intercom. – Założę się, że zanim wejdziemy na orbitę, Swyley zostanie cudownie uleczony. – Niezależnie od tego, czy był daltonistą czy nie, kapral Swyley doskonale orientował się w sytuacji. Dowodem tego było choćby to, że dokładnie na dwadzieścia cztery godziny przed wyznaczeniem kompanii „D" do dwutygodniowej służby wartowniczej przed Fabryką Bomb, akurat zdążył zameldować, że jest chory na kurcze żołądka. Ponieważ zameldował o tym w czasie wolnym od zajęć, został uznany za „chorego"; gdyby zgłosił się z kurczami żołądka podczas zajęć, Armia uznałaby go za symulanta.

Rozległ się sygnał wywoławczy od sztabu brygady i Sirocco włączył się do kanału fonii, by przyjąć wiadomość. Colman usiadł wygodniej i rozejrzał się. Wskaźniki i sygnalizatory alarmowe na stojącym przed nim pulpicie kontrolnym nic nie wskazywały. W okolicy nikt nie czołgał się pod podłogą, by się przecisnąć między zewnętrzną i wewnętrzną powłoką statku; nikt nie majsterkował przy żadnych drzwiach ani włazach; nie wycinał dziury z przedziału silnikowego, pełznąc z pokładu akceleratorów o piętro wyżej, ani nie wspinał się ukradkiem w przestrzeni kosmicznej po poszyciu statku. Jednym słowem nikomu dziś nie były potrzebne głowice termojądrowe. Colman wstał i obszedł krzesło. – Muszę rozprostować nogi – odpowiedział na rzucone zza szyby hełmu spojrzenie Sirocca. – Zresztą i tak czas na obchód. – Sirocco skinął głową i dalej mówił do mikrofonu w hełmie. Colman wziął na ramię swoje M32 i wyszedł z wartowni.

nie tyle było zaprowadzenie tam i wówczas funkcjonującego systemu decyzyjnego – komputery mogły sobie doskonale dać radę z istotnymi problemami – ile wpojenie Chirończykom w młodym już wieku idei rządów reprezentacyjnych i zasady elity rządzącej. Miało to stanowić psychologiczne podstawy działania systemu społecznego, nadającego się w przyszłości do wcielenia w dotychczas przyjęte na Ziemi wzorce. Ze skąpych wypowiedzi na ten temat wydawało się wynikać, że pierwsze pokolenia zignorowały zupełnie te wskazówki i w ogóle nie miały godnego uwagi systemu rządów. Było to absurdem, gdyż jak wynikało z innych odpowiedzi, żyli oni w kwitnącym i technicznie zaawansowanym społeczeństwie, kierując nim, jeśli mówili prawdę, całkiem sprawnie. Innymi słowy całą masę spraw ukrywali.

Choć w swych transmisjach laserowych wydawali się grzeczni i szczerzy, wiało od nich chłodem, wystarczającym, by obudzić podejrzenia. Nie wyglądało na to, by pożądliwie wyczekiwali przybycia swych zbawców z oddali. I jak dotychczas nie odpowiedzieli na żądanie ze strony Misji uznania jej suwerenności nad kolonią w imieniu Stanów Zjednoczonych Nowego Porządku.

*

– Mydlą nam oczy – oświadczył generał Johannes Borfontein, Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych Ekspedycji Chiron – oddziałów regularnych na pokładzie „Mayflowera II" – małej grupie zwołanej przez siebie na prywatną dyskusję polityczną z Garfieldem Wellesleyem w osobistej sali konferencyjnej Dyrektora Misji, położonej na wyższym poziomie Centrum Rządowego w segmencie, znanym pod nazwą Dystryktu Kolumbia. Generał miał twarz ziemistą i pooraną zmarszczkami, włosy czarne z siwymi pasmami, głos zaś pobrzmiewający resztkami gardłowego akcentu, odziedziczonego wraz z pochodzeniem z Afryki Południowej. – Na zorganizowanie tego przedstawienia mamy dwa lata, a oni grają z nami w ciuciubabkę. Na to czasu nie mamy. Nie mamy też dowodów istnienia na planecie jakiegokolwiek planu obrony. Twierdzę, że powinniśmy wylądować z demonstracją siły i natychmiastowym ogłoszeniem stanu wojennego. To najlepsze rozwiązanie.

Admirał Mark Slessor, który dowodził załogą „Mayflowera II", nie wyglądał na przekonanego. – Nie wiem, czy to takie proste. Mają zakłady termojądrowe, mają promy orbitalne, transkontynentalne odrzutowce i system komunikacyjny, obejmujący całą planetę. Skąd możemy wiedzieć, czy nie pracują nad obroną? Mają ku temu środki i umiejętności. Rozumiem punkt widzenia Johna, ale jego podejście do sprawy jest zbyt ryzykanckie.

– Nigdy nie widzieliśmy niczego związanego z obroną, oni zaś nigdy o tym nie wspominali – nalegał Borfontein. – Trzymajmy się rzeczywistości i znanych faktów. Po co komplikować rozwiązanie spekulacjami?

– A co ty sądzisz, Howard? – zapytał Garfield Wellesley Howarda Kalensa, siedzącego obok, milczącego jak dotąd, z ponurym wyrazem twarzy, Zastępcy Dyrektora Misji, Matthewa Sterma.

Jako Dyrektor Łączności, Kalens stał na czele zespołu dyplomatycznego do spraw nawiązania stosunków z przywódcami chirońskimi i był odpowiedzialny za zaplanowanie polityki, która miała, stopniowo, w miesiącach następujących po lądowaniu, doprowadzić do utworzenia rzekomo wspólnego, a w rzeczywistości zdominowanego przez Ziemian rządu kolonii. Problem dotyczył go więc w większym stopniu, niż kogokolwiek z obecnych. Kalens nadał najpierw odpowiednią pozycję swemu długiemu, starannie wypielęgnowanemu i odzianemu ciału. Następnie odpowiedział. – Zgadzam się z Johnem, że surowe rządy należy wprowadzić wcześnie... być może będzie można je łagodzić nieco później, gdy Chirończycy się z nimi pogodzą. Niemniej Mark też jest nie bez racji. Jeśli możemy, powinniśmy unikać ryzyka działań wojennych i myśleć o nich tylko jako o ostateczności. Będziemy potrzebowali, by te siły i środki pracowały d l a nas, nie przeciw nam. A mamy nader skąpe. Nie możemy sobie pozwolić na ich roztrwonienie albo zniszczenie. Być może sama groźba użycia siły wystarczy do osiągnięcia naszych celów – bez potrzeby pójścia aż tak daleko, by robić otwartą demonstrację siły czy jako pierwszy krok ogłaszać stan wojenny.

Wellesley opuścił wzrok na swe dłonie i długo się im przyglądał. Rozmyślał nad tym, co usłyszał. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, miał za sobą dwadzieścia lat odpowiedzialności na pozaziemskich stanowiskach kierowniczych i dwie kadencje jako Dyrektor Misji. Choć w jego bladych, spoglądających spod przerzedzonej rudawej czupryny oczach jeszcze pojawiały się metaliczne błyski, a rysy jastrzębiej twarzy nadal były ostre i wyraźne, widać już na nim było pierwsze oznaki wyczerpania psychicznego: zapadnięte policzki, więdnąca szyja, ledwie widoczne pod marynarką opadnięcie ramion. Wszystko to zdawało się zapowiadać, że Garfield Wellesley, gdy ostatecznie doprowadzi „Mayflowera II" do celu podróży, z zadowoleniem zrzeknie się swych funkcji.

– Sądzę, że nie bierzecie dostatecznie pod uwagę efektów psychologicznych u naszych własnych

nie doszukuj się w tym niczego więcej. - Spojrzał na pudełko w ręce Jaya. - A ja nic nie widziałem. Chodź Jay, obejrzymy sobie tę twoją lokomotywę.

Rozdział V

Chiron miał prawie dziewięć tysięcy mil średnicy, ale jego żelazoniklowe jądro było nieco mniejsze od ziemskiego. W rezultacie grawitacja na powierzchni była zbliżona. Jego okres obrotu wokół osi wynosił trzydzieści jeden godzin, sama zaś oś była bardziej nachylona wobec płaszczyzny orbity, niż ziemska. W połączeniu z bardziej wydłużoną elipsą orbity - skutkiem perturbacji, wynikających z bliskości Bety Centaura - dawało to w wyniku większą rozpiętość klimatyczną między szerokościami geograficznymi i większą różnorodność pór roku. W towarzystwie dwóch, podziobanych kraterami księżyców - Romulusa i Remusa - Chiron obiegał Afę Centaura w ciągu 419,66 dni.

Około 35 procent jego powierzchni zajmowały lądy, przede wszystkim trzy główne kontynenty. Największym z nich była Terranova, obszerny, wydłużony ze wschodu na zachód konglomerat wszelkich możliwych regionów geograficznych, panujący nad półkulą południową i rozciągający się zza bieguna aż po równik na swym północnym skraju. Selene, o poszarpanej linii brzegowej i z mnogością przylegających wysp, była połączona z zachodnią częścią Terranovy międzymorzem, zwężającym się do przesmyka poniżej równika. Artemia leżała bardziej na wschód, oddzielona przez oceany.

Choć na pierwszy rzut oka Terranova wydawała się zwarta i masywna, rozcinało ją prawie na dwoje rozciągnięte południkowo morze wewnętrzne, zwane Śródchirońskim, łączące się na północy wąską cieśniną z oceanem. Wysoki łańcuch górski na wschód od morza Śródchirońskiego dopełniał podziału Terranovy na dwa subkontynenty - Orienę na wschodzie i Occidenę na zachodzie.

Na planecie rozwinęły się różnorodne formy życia. Niektóre z nich zbliżały się wyglądem i zachowaniem do przedstawicieli ziemskiej flory i fauny, niektóre zaś nie. Chociaż kilka gatunków dążyło po omacku ku ścieżce, na którą na Ziemi przed dwoma milionami lat wkroczyli hominidzi, nie pojawiła się jeszcze wśród nich kultura oparta na autentycznej inteligencji, języku i używaniu narzędzi.

Morze Śródchirońskie rozciągało się od chłodnej południowej strefy klimatycznej aż do gorących, subtropikalnych szerokości u jego ujścia. Wzdłuż wschodniego brzegu ciągnął się wąski pas nizin nadbrzeżnych, po części otwartych, po części zaś lesistych, stromo przechodzący w podnóże łańcucha Wielkiej Bariery, za którym rozłożyły się szeroko równiny i pustynie centralnej Orieny. Occidena na przeciwległym brzegu była na znacznej długości bardziej dostępna z morza, ale niziny na zachodzie dzielił na dwie kotliny biegnący na wschód łańcuch górski. Przedłużenie łańcucha sięgało morza jak kamienny kręgosłup pofałdowanych dolin, otoczonych malowniczymi zielonymi równinami, piaszczystymi zatokami i poszarpanymi przylądkami. Nosiło nazwę Półwyspu Mandela na cześć znanego męża stanu z lat 2010-tych. U podstawy półwyspu, na północnym brzegu, roboty z „Kuan-yin" obrały miejsce dla Franklina - pierwszego osiedla mieszkalnego na powierzchni planety, zbudowanego w czasie, gdy pierwsi Chirończycy przebywali jako niemowlęta na pokładzie swego statku-matki.

W ciągu czterdziestu dziewięciu lat Franklin wyrósł na pokaźne miasto. W nim i wokół niego mieszkała większość ludności Chirona. Pojawiły się też inne osiedla, przede wszystkim na wybrzeżach morza Śródchirońskiego lub w ich pobliżu.

Łączność między Ziemią i „Kuan-yin" była podtrzymywana od chwili startu statku automatycznego w 2020 roku, chociaż nie przebiegała w czasie rzeczywistym wobec rosnącej odległości i progresywnie wzrastającego okresu opóźnienia w przekazywaniu depesz. Pierwsza wiadomość do Chironian nadeszła, gdy najstarsi z nich mieli po dziewięć lat. Była to odpowiedź z Ziemi na otrzymany z „Kuan-yin" pierwszy sygnał o osiągnięciu celu podróży. Odtąd kontakt był stale podtrzymywany, ale pojedyncza wymiana depesz trwała dziewięć lat. Natomiast „Mayflower II" był obecnie zaledwie o dziesięć dni świetlnych od Chirona i coraz się doń zbliżał, korzystał więc z informacji o warunkach na planecie, jakie do Ziemi dotarłyby po latach.

Chirończycy odpowiadali dość chętnie na pytania o przyrost i rozmieszczenie ich ludności, o rozwój i zdolność produkcyjną przemysłu wydobywczego i zasilanych energią jądrową zakładów przetwórczych i wytwórczych, o programy szkolne, programy badawcze w laboratoriach, dzieła artystów i kompozytorów, osiągnięcia inżynierów i architektów oraz o wyniki badań geologicznych takich okolic, jak upalne lasy deszczowej południowej Selene, czy daleki północny mroźny subkontynent Lodowy.

Natomiast bardziej powściągliwi byli co do szczegółów swego systemu administracyjnego, który w oczywisty sposób daleko odbiegał od uporządkowanego wzorca, zawartego we wskazówkach, do których, jak zakładano, mieli się zastosować. Wskazówki zawierały plan systemu wyborczego, który miał zostać wprowadzony w życie z chwilą, gdy pierwsze pokolenie osiągnie wiek pokwitania. Ich intencją

Z korytarza skręcił w boczne, nigdy nie używane drzwi i poszedł galerią między zewnętrzną ścianą Fabryki i kurtyną z kabli, rur i przewodów, poruszając się w grawitacji wynoszącej 15 procent normalnej powolnymi, niedbałymi susami, które od dawna stały się jego drugą naturą. Chociaż przeniesienie do kompanii „D" było uważane za równoznaczne z degradacją, Colman doznał wielkiej ulgi, że na koniec dostał się pod rozkazy kogoś takiego jak Sirocco. Był to jedyny znany mu dowódca, który z chęcią brał ludzi takimi, jakimi byli, nie uważając za swój obowiązek przerabiania ich na coś innego. Nie mieszał się i nie wtykał nieustannie nosa. Jak długo robiono to, czego żądał, nie przejmował się specjalnie tym, w jaki sposób to robiono, i pozwalał ludziom postępować tak, jak im odpowiadało. Raz wreszcie być traktowanym jak ktoś odpowiedzialny, szanowany jako istota obdarzona rozumem i umiejąca go używać - było to nowe i krzepiące przeżycie. Większość ludzi w kompanii odczuwało to samo. Nie należeli do gatunku skwapliwie wyrażającego takie uczucie słowami... ale okazywali je.

Nie nazbyt wpływało to na utwierdzenie tego typu posłuszeństwa, jaki Armia chciałaby wprowadzić, ale Sirocco na to, co trzeba robić, miał własne poglądy najczęściej znacznie różniące się od przyjętych w Armii. Dobrzy oficerowie bardzo przejmowali się robieniem kariery i awansami, lecz Sirocco nie mógł się zmusić, by Armię traktować jako coś poważnego. Oczywiście wielomiliardowej wartości przemysł, stworzony dla zabijania ludzi, był sprawą nader poważną, lecz Colman był przekonany, że Sirocco w głębi duszy nigdy nie dostrzegł wzajemnego powiązania tych spraw. Wojsko było po prostu grą, w którą lubił się bawić. A że przy tym Sirocco ani nie miał zamiaru przejmować się nimi, ani ich gry brać na serio, dali mu kompanię „D". Okazało się jednak, że bardzo mu to odpowiadało.

Colman dotarł do mostku, łączącego galerię z drzwiami w grodzi, prowadzącymi do jednej z pompowni. Tryt produkowany na rufie w reaktorach pomocniczych był tu sprężony, by wzbogacić plazmę jądrową głównego napędu przed wyrzuceniem jej w przestrzeń. Trudno było sobie wyobrazić skalę gigantycznych sił, wyzwalanych niedaleko stąd w misie odrzutowej, gdy do uszu dochodził tylko ciągły, daleki grzmot. Ale Colman raczej czuł niż słyszał ten natarczywy, ryczący łoskot, przenikający z taśm stalowych podłogi przez podeszwy butów skafandra i przez rękawice na dłoniach opartych na barierce mostku, wysoko nad halą maszyn. I jak zawsze coś w nim w środku drgnęło, gdy przez system nerwowy ciało odebrało wrażenie rozpętanej wokół siły - dzikiej, brutalnej, drapieżnej energii, okiełznanej i posłusznej lekkiemu dotknięciu palca do przełącznika. Spojrzał na linie nadprzewodzących szyn zbiorczych, chłodzonych do temperatury ledwie o parę dziesiątków stopni wyższej od zera absolutnego, biegnących o parę stóp od plazmy rozpalonej do setek milionów stopni; na obudowę akceleratora nad głową, gdzie cząstki atomów pędziły z przyświetlną szybkością ścieżkami, wytyczonymi z dokładnością do milionowej części cala; na zwoje kabli systemu informacyjnego, przekazującego z mikrosekundy na mikrosekundę wiecznie czuwającym komputerom wiadomości o wszystkim, co się tu działo. I pomyślał, że to wszystko zbudowali ludzie. Musiał to sobie przypominać, bo niekiedy wszystko wyglądało tak, jakby cały ten świat zaprojektowany i stworzony przez maszyny był królestwem maszyn, w którym człowiek był kimś obcym i niepotrzebnym.

Colman uważał jednak, że on sam nie był wśród maszyn obcy. Rozumiał je, przemawiał ich językiem, one zaś mówiły do niego. W tej chwili mówiły językiem drgań przenikających jego skafander. Mowa ich była jasna i bezpośrednia. Nie znała sofizmatów i dwuznaczników. Maszyny nigdy nie mówiły czegoś innego, niż myślały, nie dawały mniej, niż obiecywały i nie żądały niczego ponad to, o co już prosiły. Nie kłamały, nie oszukiwały, nie kradły i były uczciwe wobec tych, którzy je uczciwie traktowali. Podobnie jak Sirocco brały go takim, jakim był, a same też nie udawały, że są czymś innym. Nie domagały się, by się zmienił ze względu na nie i same nie obiecywały, że się zmienią dla niego. Maszyny nie znały pojęć wyższości czy niższości i akceptowały istniejące między nimi różnice - jedne były lepsze do tego, a drugie do czegoś innego. Potrafiły to zrozumieć. Czemu - rozmyślał Colman - ludzie tego nie potrafią?

Za mostkiem drzwi w grodzi były otwarte. Koło odemkniętej skrzynki rozdzielczej leżały narzędzia. Colman wszedł przez drzwi do pompowni. Znalazł się na otoczonej barierą platformie, powyżej poziomu podłogi wysokiej hali, ciągnącej się w górę i w dół, podzielonej na piętra systemem dźwigarów i wsporników. Na każdym piętrze mieściła się jedna z wielkich pomp i jej urządzenia pomocnicze. Na poziomie bezpośrednio pod Colmanem pracowała przy pompie grupa inżynierów i monterów. Zdjęli część obudowy na jednym końcu maszyny, rozmontowali łożysko i właśnie podczepiali liny suwnicy bramowej nad głowami, na których miał się unieść wirnik. Oparty o barierę Colman śledził ich przez chwilę, kiwając do siebie głową w milczącej aprobacie: liny główne i ubezpieczające były napięte należycie, pod kątem prostym; wirnik podparto klinami, by nie przygniótł monterom dłoni; części wymontowane leżały w porządku z dala od maszyny, obnażone zaś powierzchnie łożyska zabezpieczono wyś-



żamy, że znaczy. – Pernak pochylił się do przodu i zwilżył wargi. – Dam ci luźną analogię. Wyobraź sobie płomień. Załóżmy, że istnieje rasa istot płomiennych, które żyją wewnątrz niego i mogą opisywać procesy zachodzące wokół nich terminami fizyki płomienia, które sobie wyliczyli. Okay? – Jay zmarszczył brwi, ale skinął twierdząco. – Załóżmy teraz, że dysponując tymi prawami, mogą prześledzić wstecz całą swoją historię do momentu, gdy płomień zapalił się po raz pierwszy na główce zapałki czy gdziekolwiek. Dla nich będzie to początek ich wszechświata, nieprawdaż?

– Och, zgoda – oświadczył Jay. – Ich prawa nie mogą im nic powiedzieć o zimnym wszechświecie przed tym momentem. Fizyka płomienia mogła się pojawić dopiero wtedy, gdy już powstał płomień.

– Zmiana fazowa, wytwarzająca swe własne prawa – potwierdził, kiwając głową, Pernak.

– I mówi pan, że Wielki Wybuch to było coś podobnego?

– Mówię, że to bardzo prawdopodobne. Zmianę fazową inicjuje koncentracja energii – gęstość energii – tak, jak na główce zapałki. Dlatego może się okazać, że Wybuch i wszystko, co po nim nastąpiło, było wynikiem koncentracji energii, która nastąpiła z jakichkolwiek przyczyn w systemie rządzonym przez prawa odmienne jakościowo, których istnienie dopiero zaczynamy podejrzewać. Właśnie w tym kierunku prowadzę badania.

Znowu błysnęły gwiazdy i już byli w Idaho, w jednym z dwóch segmentów konstrukcyjnie sztywno połączonych z Wrzecionem. Wnętrze jego było gmatwaniną przestrzeni otwartych i zamkniętych, metalowych ścian i kratownic, cystern, rur, tuneli i maszynerii. Zatrzymali się na chwilę, by przyjąć nowych pasażerów, zapewne przybywających z Wrzeciona linią średnicową. Kapsuła znów ruszyła.

– To otworzyłoby możliwości, od których mózg się może zagotować – podjął temat Pernak. – Przypuśćmy na przykład, że bylibyśmy w stanie zrozumieć te prawa i na miniaturową skalę stworzyć nasze własne koncentracje, przenoszące energię z... nazwijmy to hiperkosmosem, do naszego własnego wszechświata – jednym słowem wytwarzać „Małe Wybuchy" – białe minidziury. Pomyśl, co by to było za źródło energii! Reakcja termojądrowa wyglądałaby przy tym, jak wystrzał z kapiszonu. – Pernak zamachał rękami. – Albo jeszcze coś innego, Jay. Może się okazać, że otoczenie w którym żyjemy leży na gradiencie pomiędzy jakimś hiperźródłem, które wlewa masę-energię do naszego świata i jakimś hiperodpływem, który je odbiera – może w rodzaju czarnych dziur. Gdyby tak było, to wszechświat nie byłby wcale zamkniętym układem termodynamicznym. A wtedy proroctwa zagłady wszechświata przez zamarznięcie, które ma kiedyś nastąpić, mogą być bzdurą, bo Drugie Prawo Termodynamiki odnosi się tyko do układów zamkniętych. Innymi słowy: może odkryjemy, że jesteśmy istotami płomiennymi, zamieszkującymi fabrykę zapałek.

Kapsuła dojechała do segmentu Jersey i zaczęła zwalniać, zbliżając się do miejsca przeznaczenia zaprogramowanego przez Jaya. Warsztaty i inne publicznie dostępne urządzenia dla majsterkowiczów były rozłożone na bliższym skraju głównych terenów fabrycznych. Jay prowadził drogą obok budynków administracyjnych i wzdłuż galerii, przez hałaśliwą okolicę woniejącą olejem i rozgrzanym metalem, do obitych blachą stalową wrót. Przez małe boczne drzwi weszli do portierni, gdzie za szklaną ścianką dozorca grał w karty ze strażnikiem na starym, porysowanym metalowym stole. Na widok Jaya i Pernaka portier wstał i powłócząc nogami podszedł. Jay pokazał zaświadczenie szkolne, pozwalające mu na bezpłatne korzystanie z warsztatów. Portier wsunął kartę do terminalu komputerowego, po czym zwrócił ją wraz z żetonem na pobieranie narzędzi od magazyniera warsztatów.

Gdy Jay już się zbierał, by pójść dalej, portier zatrzymał go uwagą: – Jest tu coś dla ciebie. – Sięgnął pod stół i wyjął kartonowe pudełeczko z nabazgranym nazwiskiem Jaya.

Zdumiony Jay przeciął opakowanie i otworzył pudełko. Wewnątrz leżał kawałek wykładziny piankowej i złożona kartka papieru. Pod wykładziną, wtulony w gniazdo z gąbki gumowej, leżał zapakowany w natłuszczony papier komplet części do zaworu suwakowego cylindra wysokoprężnego, wykończonych, wypolerowanych i błyszczących. Na kartce było napisane:

Jay,

Pomyślałem sobie, że będziesz potrzebował pomocy z tym tutaj, więc zrobiłem to zeszłej nocy. Jeśli mnie przeczucie nie myli, masz drobne trudności. Nie ma sensu niepokoić ludzi, którzy chcieliby dobrze. Wierz mi, to nie taki zły facet.

STEVE.

Jay zamrugał powiekami i spojrzał na Pernaka, który przyglądał się mu ciekawie. Poczuł się jak winowajca, nie umiejąc znaleźć koniecznego, jak się zdawało, wyjaśnienia. – Bernard opowiedział mi wszystko – rzekł Pernak, zanim Jay znalazł odpowiedź. – Myślę, że ma w tej chwili duże trudności, więc

chwili Pernak zaczął opowiadać o zmianach fazowych w prawach fizyki i ich przejawianiu się w procesach ewolucji. Jedną z zalet Pernaka było, zdaniem Jaya, to że trzymał się zawsze tematu i nie obciążał go moralizowaniem ani nieproszonymi radami dorosłego człowieka. Chłopiec nie był pewien, czy taka postawa wynikała ze skrywanej niewiary w skuteczność moralizatorstwa, czy też Pernak był po prostu zdania, że należy pilnować własnego nosa? Nigdy nie zdobył się jednak na postawienie fizykowi takiego pytania.

Doszli do stacji kapsuł pasażerskich i stanęli na peronie, gdzie już czekało cztery czy pięć osób. Paru z nich było sąsiadami, pozdrowili Jaya skinieniem głowy. Najbliższa kapsuła okólna wzdłuż Pierścienia miała nadjechać za minutę z sekundami. Jay i Pernak zatrzymali się przed plakatem wyborczym, ukazującym surowe i arystokratyczne rysy Howarda Kalensa, obejmującego planetę Chiron opiekuńczym spojrzeniem łaskawego, choć powściągliwego bóstwa. Hasło było krótkie: POKÓJ I JEDNOŚĆ.

– Traktuj to jak zmiany fazowe, które opisują przejścia między stanem stałym, ciekłym i gazowym – rzekł Pernak. – Prawa dla gazów sprawdzają się tylko w pewnym ograniczonym zakresie. Jeśli będziesz próbował ekstraplować je zbyt daleko, otrzymasz zwariowane wyniki, w rodzaju objętości osiągającej wartość zerową i tak dalej. W rzeczywistości nie może to nastąpić, ponieważ gaz przechodzi w ciecz zanim osiągnie się tę granicę. A wtedy występują zachowania inne jakościowo, z nowymi, własnymi prawami.

– Mówi pan, że ewolucja jest serią zmian tego typu?

– Tak, Jay. Ewolucja jest nieustannym procesem wynurzania się układów bardziej uporządkowanych i skomplikowanych z prostszych, na zasadzie serii faz następujących po sobie. Najpierw była ewolucja fizyczna, następnie atomowa, później chemiczna, później biologiczna, jeszcze później zwierzęca, na koniec ludzka, a teraz mamy do czynienia z ewolucją społeczeństw ludzkich. – Przy wymienianiu każdej fazy ruchliwe rysy twarzy Pernaka przybierały coraz to inny wyraz. – Podczas każdej fazy pojawiają się nowe stosunki i właściwości, które można wyrazić tylko w kontekście tego wyższego poziomu. Nie można zaś – wyrażeniami, dotyczącymi procesów działających na niższych szczeblach ewolucji.

Jay myślał przez kilka sekund i powoli skinął głową. – Sądzę, że zrozumiałem. Chce pan powiedzieć, że sposoby działania ludzi i ich uczucia nie mogą być opisane wyrażeniami dotyczącymi związków chemicznych, z jakich są zbudowani. Molekuła DNA to o wiele więcej, niż wiązka niezorganizowanych ładunków i wiązań walencyjnych. Sposób w jaki jest zorganizowana stwarza jej własne prawa.

– Dokładnie tak, Jay. Masz do czynienia ze wstępującą hierarchią rosnących poziomów komplikacji. Na każdym poziomie pojawiają się nowe powiązania i znaczenia, które są funkcją samego poziomu i w ogóle nie istnieją na poziomach niższych. Na przykład w alfabecie jest dwadzieścia sześć liter. Jedna litera zawiera mało informacji, ale jeśli uporządkować litery w słowa, liczba rzeczy, które można nimi opisać, wypełni cały słownik. Jeśli zaś ułożysz słowa w zdania, zdania w akapity i tak dalej, aż do całej książki, osiąga się różnorodność praktycznie nieskończoną i można przekazać każdą treść, jakiej się zapragnie. A przecież wszystkie książki, napisane kiedykolwiek po angielsku, zawierają tylko te same dwadzieścia sześć liter.

Nadjechała kapsuła. Jay milcząco przetrawił słowa Pernaka. Gdy wsiedli, Jay wprowadził do tablicy przy drzwiach kod stacji w segmencie Jersey. Usiedli na wolnych miejscach naprzeciw siebie, kapsuła ruszyła. Po krótkim rozbiegu wjechała w rurę wyjściową z Marylandu i przeszła przez jeden z kulistych łączników przegubowych, które zarówno sprzęgały poszczególne segmenty Pierścienia w całość, jak i stanowiły obudowę łożysk i mechanizmów obrotowych, regulujących położenie segmentów zależnie od ruchu statku. Przez krótką chwilę oglądali przez przezroczysty pancerz zewnętrzny ogromne Wrzeciono, które zdawała się podtrzymywać o trzy mile ponad ich głowami siatka belek i trawersów, z ogromem kosmosu otwierającym się po obu jego stronach. Zaraz potem wjechali do segmentu Kanzas, a widok za oknem zmienił się; ogrodzone pastwiska zwierząt i spiętrzone poziomy osiedli rolnych, gospodarstw rybnych i basenów hydroponicznych.

– Okay, w ten sposób można cofać się aż do Big Bangu – Wielkiego Wybuchu – powiedział na koniec Jay. – A stamtąd jak jeszcze daleko?

– Z klasycznego punktu widzenia – nigdzie. Ale jestem całkiem pewien, że jeśli napotykasz teorię zawierającą osobliwości, nieskończoności i nonsensowne wyniki, jest to pewna wskazówka, że starasz się przepchnąć znane ci prawa poza zmianę fazową, na obszar, na którym już nie działają. Myślę, że tak jest w tym właśnie wypadku.

– No to jak daleko można pójść? – nie ustępował Jay.

– Ze znanymi nam prawami fizyki – nigdzie, co jest tylko inną formą powtarzania dobrze znanych wniosków. Ale uważam za błąd podtrzymywanie przekonania, że przedtem nie było niczego w sensie przyczynowym – oczywiście jeżeli „przedtem" oznacza cokolwiek podobnego do tego, co zwykle uwa-

ciółką od uszkodzenia przez przypadkowo upuszczone narzędzie. Lubił przyglądać się dobrej robocie.

Stał tak prawie pięć minut, gdy otworzyły się drugie drzwi o parę kroków dalej i na platformę wyszedł człowiek ubrany tak samo, jak inżynierowie pracujący poniżej. Podszedł do drabinki niedaleko Colmana, zatrzymał się na chwilę obrzucając go dziwnym spojrzeniem i zaczął schodzić na dół. Identyfikator na kieszeni jego kombinezonu nosił napis: B. FALLOWS. Colman podniósł dłoń w pozdrowieniu i przełączył swe radio na częstotliwość lokalną. – Hej, Bernard, to ja. Steve Colman. Nie wiem, czy już słyszałeś, ale nie wyszło z przeniesieniem. Niemniej dzięki za poparcie.

Na twarzy zagadniętego za szybą hełmu nie było uśmiechu. – Pan Fallows dla was, sierżancie. – Głos był lodowaty. – Przepraszam, ale jestem zajęty. Mniemam, że i wy macie robotę. Czy mogę zaproponować, aby każdy z nas zajął się tym, co do niego należy? – Chwycił za poręcz drabinki, zszedł tyłem z platformy, lekko ześlizgnął się na poziom niżej i odwrócił, by dołączyć do grupy pracujących.

Colman patrzył za nim przez chwilę, wreszcie powoli zrobił w tył zwrot i skierował się do drzwi w grodzi. Nie czuł się ani urażony, ani szczególnie zdziwiony. Zbyt wiele razy widywał podobne sceny. Fallows był niezłym facetem, ktoś tam, gdzieś tam natarł mu uszu i wszystko. – Może on wie wszystko o tym, jak maszyny działają. – Mruknął do siebie półgłosem Colman, idąc galerią koło ściany Fabryki Bomb. – Ale nie wie, jak one myślą.

Rozdział IV

Na ekranie ściennym w jadalni Fallowsów, w jednostce mieszkalnej dla funkcjonariuszy wyższych stopni średniego szczebla w segmencie Maryland, wyświetlano film o wojnie 2021 roku. Jay Fallows nie posiadał się z radości, gdy projekcja się zakończyła. Film pokazywał Amerykanów jako wysokich, muskularnych, smukłych ludzi o stalowych oczach, falujących czuprynach, ubranych w mundury kroju marynarkowego z krawatami, co dowodziło, że noszą je ludzie przyzwoici i dobrze wychowani. Natomiast wrogowie mieli pyski buldogów, byli fałszywi i bezwzględni, nosili włosy krótko ostrzyżone, a mundury zapinane pod szyją, co oznaczało, że chcą zawojować świat. Amerykanie dysponowali lepszą techniką, ponieważ byli lepiej ogoleni.

– Olbrzym nie został zabity – obwieścił wysoki, muskularny, stalowooki bohater swemu wiernemu adiutantowi o falujących włosach, gdy tak stali przed samolotem pionowego startu Amerykańskich Sił Powietrznych, na szczycie wzgórza San Gabriel nad popieliskiem Los Angeles. – Teraz, gdy jego zadanie zostało wypełnione, będzie spał przez chwilę, by zaleczyć rany. Lecz powstanie na nowo, twardszy i zahartowany w płomieniach. To nie pójdzie na marne. – Z odjazdem kamery postacie i pagórek zmniejszyły się szybko, a panorama rozpostarła, obejmując zachodzące słońce, które jednak będzie świadkiem powracającego świtu; zagrzmiała muzyka w porywającym finale trąb i bębnów na tle chóru, który brzmiał jak niebiański.

Jay Fallows myślał przez chwilę, że się wyrzyga i próbował wyłączyć dźwięk, skubiąc równocześnie resztki lunchu. Na stole przed nim stał podparty podręcznik astronomii. Za nim matka z jego dwunastoletnią siostrą Marie, z milczącą czcią syciły się końcowym przesłaniem filmu. Książka była otwarta na stronicy ukazującej konstelacje półkuli północnej, widziane z Ziemi. Wyglądały podobnie jak z „Mayflowera II", z tym wyjątkiem, że w Kasjopei brakowało jednej gwiazdy – Słońca. Na stronicy obok, w jednym z ramion Krzyża Południa, widniała Alfa Centaura, ze statku zaś wyglądała jak jaskrawy krąg, błyszczący osobno, na pierwszym planie. Zaś Proxima Centauri na ziemskiej mapie nie była w ogóle ukazana. Był to słaby czerwony karzeł o blasku poniżej jednej dziesięciotysięcznej jasności Słońca, teraz jednak całkiem bliski i dobrze widzialny z „Mayflowera II". Zmiany w obrazie gwiazd, niemal niezauważalne z dnia na dzień, a nawet z miesiąca na miesiąc, stały się jeszcze powolniejsze od chwili, gdy główny napęd zaczął stale działać, systematycznie wyhamowując szybkość, z jaką statek przebył cztery lata świetlne kosmosu.

Większość znanych Jayowi dorosłych – to znaczy tych ponad dwadzieścia pięć lat i tak dalej – uważała się za obowiązanych do okazywania sympatii takim jak on, którzy nigdy nie doświadczyli życia na Ziemi. Z tego co mu pokazywano, nie uzyskał pewności, czy rzeczywiście tak wiele stracił. Życie na „Mayflowerze II" było wygodne i bezpieczne, z mnóstwem interesujących zajęć, a w niedalekiej przyszłości czekało podniecające wyzwanie, jakie rzucała nowa, nieznana planeta. Na pewno nikt na Ziemi nie mógł się spodziewać czegoś podobnego.

Na lekcjach Nauki Politycznej w szkole, podstawowe zadanie „Mayflowera II" zostało określone jako „profilaktyczne wyzwolenie". Oznaczało to, że ponieważ Azjaci i Europejczycy są tacy jacy są, będą chcieli owładnąć Chironem i przerobić go na swoją zgniłą modłę, jeśli tylko nadarzy im się okazja.

Wobec tego „Mayflower II" musiał w ciągu dwóch lat nauczyć Chirończyków, jak się mają bronić. Były też inne, bardziej abstrakcyjne przyczyny, żeby Chirończycy zostali wychowani i oświeceni, jednak Jay nie rozumiał ich w pełni, gdyż należały do zakresu wielu tajemnic, które niewątpliwie odkryją się same we właściwym czasie, w ramach rozwiązywania skomplikowanego problemu stawania się człowiekiem dorosłym.

Niezależnie od tego, jakich objawień wówczas dostąpi, Jay nie był w stanie zgłębić, jaki związek łączy je z budowaniem modeli lokomotyw parowych i uroczystym oświadczeniem ojca, że kontynuowanie przyjaźni ze Steve'em Colmanem nie byłoby dobrym pomysłem. Ale robienie wielkiego szumu z tego powodu nie miałoby sensu, Jay skłamał więc na temat swoich zamiarów, nie czując przy tym żadnej winy, jako że ludzie, którzy uczyli go, by był uczciwy, nie dali mu innego wyboru. To znaczy formalnie mu dali, ale to się nie liczyło, bo przecież były sprawy, których i tak nie rozumieli... albo może zapomnieli. Ale Steve zrozumie.

– Cieszę się, że się w ó w c z a s jeszcze nie urodziłam – powiedziała Marie za jego plecami. – Nie mogę sobie wyobrazić płonących całych miast. To musiało być o k r o p n e.

– Było – potwierdziła Jean. – To lekcja, którą wszyscy musimy pamiętać. A zdarzyło się tak dlatego, bo ludzie zapomnieli, że wszyscy mamy stosowne miejsca w porządku rzeczy i stosowne zadania do wykonania. Zbyt wielu niekompetentnym i niegodnym ludziom pozwolono wznieść się na stanowiska, które nie zasłużyli.

– *Odbierz co twoje, zapłać coś winien*
I rób z ochotą to, coś powinien –
wyrecytowała Marie.

– Doskonale – oświadczyła matka.

– Gówniara – pomyślał Jay i odwrócił stronicę. Następny rozdział książki zaczynał się od diagramu układu Centaura, uwydatniając jego centralny układ podwójny z orbitą osiemdziesięcioletniego obiegu wzajemnego. Diagram miał też wlamane wizerunki planet, zdjęte najpierw przez instrumenty z „Kuan-yin", a następnie potwierdzone przyz Chirończyków. Poniżej głównego diagramu pokazano spektrogramy podobnej do Słońca Alfy G2v z licznymi prążkami metali; chłodniejszej pomarańczowej Bety Centaura typu K1 z osłabionym błękitnym skrajem widma i słabymi pasmami absorpcyjnymi wolnych rodników, oraz M5e, czerwono-pomarańczowej Proximy, z silnymi strefami absorbcji we fiolecie i wyraźnymi prążkami CO, CH i TiO.

– Nie będzie wojny na Chironie, prawda? – zapytała Marie.

– Oczywiście nie, kochanie. Po prostu Chirończycy nie zwrócili tyle uwagi, ile powinni, na to, czego komputery próbowały ich nauczyć. Mieli zawsze maszyny, które dawały im wszystko, czego zapragnęli i dlatego oni myślą, że życie to jedne wielkie wakacje. Ale to nie ich wina, bo przecież to nie są tacy sami ludzie jak my. – Tego rodzaju opinia była szeroko rozpowszechniona na „Mayflowerze II", nawet mimo tego, że naczelny biskup wyprawy wiózł z sobą z Ziemi specjalne rozporządzenie, dekretujące, że Chirończycy mają dusze. Jean zdała sobie sprawę, że wyraziła się w sposób wysoce niejasny i pospiesznie dodała: – No cóż, oczywiście to są ludzie. Ale n i e z u p e ł n i e tacy, jak ty, bo urodzili się bez ojców i matek. Nie powinnaś ich nienawidzieć ani nic w tym rodzaju. Po prostu pamiętaj, że jesteś trochę lepsza, bo miałaś trochę więcej szczęścia i wiesz o rzeczach, których oni nie mieli okazji się nauczyć. Tak więc, nawet jeśli będziemy musieli okazać im odrobinę stanowczości, będzie to w końcu dla ich własnego dobra.

– To znaczy wtedy, gdy dostaną się tu Chińczycy i Europejczycy?

– Właśnie. Musimy pokazać Chirończykom, jak stać się silnymi w taki sam sposób, jak myśmy się tego nauczyli, a gdy to zrobimy, nie będzie w ogóle żadnej wojny.

Jay zdecydował, że ma tego dość, wymamrotał usprawiedliwienie i przeniósł się z książką do holu. Ojciec siedział rozwalony w fotelu, dyskutując o polityce z Jerrym Pernakiem, zaprzyjaźnionym fizykiem, który wpadł do nich godzinę wcześniej. Polityka była jeszcze jedną tajemnicą, która, jak zakładał Jay, któregoś dnia stanie się dla niego zrozumiała.

By zachować istotne cechy systemu amerykańskiego, życie na pokładzie „Mayflowera II" toczyło się pod kierownictwem administracji cywilnej, której podlegało zarówno dowództwo wojsk regularnych, jak zorganizowana na wzór wojskowy organizacja załogi statku. Głównym ciałem ustawodawczym tej administracji był Najwyższy Dyrektoriat pod przewodnictwem Dyrektora Misji, wybieranego na to stanowisko w trzyletnich kadencjach i odpowiedzialnego za nominacje dziesięciu członków Dyrektoriatu. Ostatnia kadencja obecnego Dyrektora Misji, Garfielda Weltosleya, miała upłynąć z chwilą ukończenia podróży. Miały wówczas odbyć się wybory członków rządu, zrekonstruowanego w sposób odpowiedniejszy dla warunków planetarnych.

– Howard Kalens, bez wątpienia – mówił Bernard Fallows. – Jeśli mamy tylko dwa lata na doprowadzenie tego miejsca do porządku, on jest właśnie człowiekiem, jakiego nam trzeba. Wie czego chce i mówi o tym, nie bacząc na fanaberie sondaży opinii publicznej. I ma odpowiednie pochodzenie dla takiej funkcji. Nie można stanowiska gubernatora oddać komuś z motłochu, sam rozumiesz.

Pernakowi nie nazbyt się spieszyło do wyrażenia zgody, na którą Fallows wyraźnie oczekiwał. Zaczął mówić coś nieobowiązującego, przerwał i spojrzał na wchodzącego Jaya. – Cześć, Jay. Jaki był film?

– Ech, nie przyglądałem się. – Jay zrobił niejasny gest książką i odłożył ją na półkę. – Taki, jak inne.

– O czym tam dziewczyny rozmawiają? – spytał Bernard.

– Nie jestem pewien. Nie przysłuchiwałem się specjalnie.

– Popatrz – on już przygotowuje się do życia małżeńskiego – zwrócił się ze śmiechem Bernard do Pernaka. Pernak na chwilę wyszczerzył zęby. Bernard spojrzał na syna. – Ano, jest jeszcze dość wcześnie. Już wiesz, co będziesz robił po południu?

– Chciałbym pojechać na parę godzin do Jersey, popracować nad lokomotywą.

– Świetnie. – Bernard skinął twierdząco głową, ale patrzył Jayowi w oczy sekundę dłużej, niż było trzeba, i z większą powagą, niż tego wymagał ton jego głosu.

– Jak ci z nią idzie? – spytał Pernak.

– Nieźle. Kocioł mam już wypróbowany i zamontowany, a zestawy kołowe gotowe do montażu. W tej chwili staram się dopasować zawory suwakowe do cylindrów wysokoprężnych. Trudna sprawa.

– Jak ci poszło? – spytał Pernak.

– Jeden komplet musiałem złomować – westchnął Jay. – Myślę, że muszę dopasować je na nowo. Chyba od tego dziś zacznę.

– No to kiedy mi ją pokażesz?

Jay wzruszył ramionami. – Kiedy pan chce.

– Zaraz jedziesz do Jersey?

– Wybieram się. Nie muszę jechać w tej chwili.

Pernak spojrzał na Bernarda i oparł dłonie na poręczach fotela, jakby miał wstawać. – Mam jeszcze pojechać po południu do Princeton, a Jersey leży na krótszej trasie. Mogę wziąć wóz razem z Jayem.

Bernard wstał. – Oczywiście... Nie zatrzymuję cię, jeśli masz coś do roboty. Dziękuję za zwrot przecinaka.– Odwrócił się w stronę jadalni i zawołał głośno: – Hej tam, chcecie się pożegnać z Jerrym? Wychodzi. – Pernak i Jay czekali przy drzwiach na Jean i Marie.

– Idziesz? – spytała Jean Pernaka.

– Robota nie zrobi się sama. Po drodze zatrzymuję się w Jersey, obejrzeć jak tam jego lokomotywa

– Ach, ta lokomotywa! – Jean spojrzała na syna. – Znowu nad nią pracujesz?

– Może jeszcze przez parę godzin.

– No to nie siedź tym razem przez pół nocy, dobrze? – A do Pernaka: – Uważaj, Jerry. Dziękuję za wizytę. Kłaniaj się Eve i przypomnij jej, że już znowu czas na wspólny obiad. W zeszłą niedzielę po kościele mówiła, że zatelefonuje do mnie w tej sprawie, ale nie zadzwoniła.

– Przypomnę jej – obiecał Pernak. – Gotów, Jay? No to w drogę.

Pernak nosił krótkie, czarne jak smoła włosy, był mocno zbudowany i miał ruchliwą twarz, która zawsze fascynowała Jaya nieograniczoną możliwością przybierana różnych wyrazów. W szkole Jaya miał wykłady z fizyki i zdobył popularność, zarówno przez umiejętność zabawienia słuchaczy, jak i przez doskonałą znajomość tematów. Umiał je przekazywać pasjonująco, wtrącając zaskakujące uwagi o tym, co się dzieje wewnątrz czarnych dziur; o łamigłówkach związanych z pierwszymi minutami istnienia Wszechświata, czy fantastycznych domysłach na temat życia w skręconych czasoprzestrzeniach o niezwykłej geometrii. Kiedyś pokazał grafy Feynmana, ukazujące cząstki elementarne jako linie przecięcia n-wymiarowego wszechświata z continuum dwuwymiarowym, którego jedna oś reprezentowała przestrzeń, a druga czas. Matematycznie i teoretycznie cząstka poruszająca się w przód po osi czasu była nieodróżnialna od swej antycząstki, poruszającej się wstecznie. Pernak zaś postawił słuchaczy wobec oszałamiającego przypuszczenia, że w całym wszechświecie być może istnieje jeden tylko elektron – powielający się nieustannie – biegnąc w czasie w przód jako elektron i powracając w przeciwczasie jako pozyton. To przynajmniej, podkreślił Pernak, wyjaśniałoby fakt, że wszystkie one mają taki sam ładunek i masę, czego dotychczas nikt nie potrafił w bardziej zadowalający sposób wytłumaczyć.

Pernak szedł zadziwiająco długimi, jak na swój wzrost, krokami i Jay musiał się spieszyć, by nie zostawać w tyle. Podążali wzdłuż bloków mieszkalnych segmentu Maryland, gęsto zamieszkałych, ale sprawiających wrażenie izolowanych, dzięki pomysłowemu układowi krzyżujących się tarasów. Już po

W obliczu wroga

c.d. ze str 22

Mniej zabawne były ich dyskusje na temat Caseya i mnie, do których Bigelow później się przyznał. Na jego dobro można policzyć, że sprzeciwił się planom morderstwa. Ale Meyers sądził, że jeśli to nawet się wykryje, winę będzie można złożyć na obcych.

Właśnie pakowałam się przed odlotem, gdy to wszystko się działo i nic nie podejrzewałam, nawet w dniu lądowania statku. W jaki sposób Meyers namówił Corsettiego, nie mam pojęcia. Dyskutowaliśmy to później z Caseyem i zgodziliśmy się, że nawet kretyn powinien zrozumieć, że nic z tego nie wyjdzie. Ale pewne rzeczy muszą się zdarzyć i sądzę, że ta właśnie do nich należała.

Staliśmy w tylnych drzwiach domu, przyglądając się, jak zniża się ogromna masa statku. Przy pierwszym przelocie był ledwie pałającym punktem świetlnym, szybko przesuwającym się nad bazą. Drugi powinien sprowadzić statek na ziemię, czekaliśmy więc, aż się pojawi na zachodzie. Ale to nie nastąpiło.

– Coś nie tak, Kim – powiedział Casey.

Wskazał ręką na zachód. Powietrze drgnęło, a z ziemi podniosła się ogromna chmura pyłu. Poczuliśmy wstrząsy całej planety, a potem szereg szoków dźwiękowych, po nich zaś zerwał się straszny wicher. W chmurze pyłu zajaśniały ogniste aureole.

Oboje widywaliśmy już takie rzeczy. Taki straszliwy zamęt towarzyszy lądowaniu na napędzie Aschenbrennera, ale jego centrum powinno było znajdować się nad wyspą, a nie nad puszczą na zachodzie.

Caseyowi zapłonęły oczy. Chwycił mnie za ramię i wepchnął w drzwi.

– Do środka, szybko! – ostrzegł. – Ci idioci skierowali napęd „Wilmingtona" na piramidę.

Leżałam na twardej podłodze pod Caseyem i zaczęłam protestować przeciw takiemu traktowaniu. Przestałam, ujrzawszy błysk jaśniejszy niż tysiąc słońc. Kula ognia osmoliła całe osiedle pomimo ogromnej odległości, po czym zbladła. Przez górne szyby okien widziałam, jak wznosi się w górę, w przestrzeń kosmiczną.

Nadbiegły nowe fale uderzeniowe i znowu wyjący wicher. Budynek zatrząsł się, zatrzeszczał, ale wytrzymał.

Piramida i statek – albo jedno wybuchło, albo oboje. Albo napęd statku przekroczył wytrzymałość krytyczną, albo przekaźnik. Z jednego i drugiego mogło nic nie zostać. Casey podniósł mnie z ziemi.

– Co teraz, Casey? Co robimy?

Tym razem nie znalazł odpowiedzi.

Słychać było, jak na zewnątrz ludzie krzyczą i wrzeszczą przeraźliwie, pojazdy przelatują ulicami z rykiem silników i piskiem opon. Wiedzieliśmy, że musiały być straty w ludziach.

W parę minut później wkroczył Meyers w towarzystwie dwóch ludzi, uzbrojonych w prymitywne, ale groźnie wyglądające strzelby.

– Koniec z panią, panno Wścibska – oświadczył.

Pognali nas do aresztu. Cela miała wygląd taki, jakby mogła zatrzymać nawet Caseya. Siedziałam na brzegu pryczy, płacząc; Casey chodził po celi.

– Mam doświadczenie również z więzieniami – powiedział. – Z każdego można się wydostać.

Mój pogląd na to był pesymistyczny. Nasza cela okazała się stalowym pudłem, z dziurkami w ścianach dla wentylacji. Była zespawana z płyt, z zakratowanymi drzwiami zamykanymi z zewnątrz. Nie miała otworu nawet tej wielkości, by przesunąć dłoń. Pilnował jej jeden z rewolwerowców Meyersa, siedząc na krześle za drzwiami. Po chwili Casey podszedł i usiadł koło mnie.

– Kim – powiedział – skończ z tym, opanuj się.

Miałam czkawkę z płaczu, ale kiwnęłam głową.

– Dobrze – szepnął. – Potrzeba mi trzech do czterech godzin, a rezultat może być dość przerażający. Nie pozwól, by ci to napędziło stracha.

– Okay – odpowiedziałam.

– Przez ten czas uważaj, żebym był przykryty, ale równocześnie staraj się mi nie przeszkadzać. Jeśli ktokolwiek nadejdzie, musisz mnie ostrzec. Czy to jasne?

– Jasne.

– Muszę coś niecoś poprzestawiać.

Z tymi słowami odszedł i położył się na drugiej pryczy, przykrywając kocem.

Nastąpiła zmiana straży. Nowy podszedł do drzwi, by ze mną porozmawiać, ale odpowiedziałam, by dał Caseyowi spać. Wkrótce i ten usiadł na krześle przy drzwiach.

Był prawie zachód słońca, gdy Casey się poruszył. Patrzyłam, jak spod koca wypełza ręka i podnosi się, by ująć jego brzeg. Ręka była różowa i pokryta jasnobrązowym puchem. Odwinęła koc ukazując twarz, którą znałam i nienawidziłam. Położył palec na ustach i z pryczy wstał Fritz Meyers.

– Rankin! – Nawet głos był identyczny. – Chodźcie no tutaj.

– Pan Meyers? W jaki sposób?...

– Nieważne, otwórzcie te drzwi.

– Tak jest, sir, ale... co pan tam robi?

– Nie wasza sprawa, Rankin. Ta pani i ja doszliśmy do porozumienia. Otwórzcie drzwi.

Szczęknął zamek i odsunęła się zasuwa. Casey pchnął drzwi jak taran w twarz Rankina, miażdżąc ciało i kości. Rankin padł na ziemię jak worek.

– Wychodź, Kim.

Wyszłam nie całkiem przekonana, że patrzę na Caseya. Wepchnął Rankina do celi, rzucił na moją pryczę i przykrył kocem. Ze swojej podniósł kłąb czegoś czarnego.

– Moje włosy – wyjaśnił. – Nie potrafię przekształcać martwych tkanek. Muszę się ich pozbywać i tworzyć na nowo. Musimy to schować gdzieś na zewnątrz.

– Dokąd pójdziemy?

– Najpierw na twoją kwaterę zabrać nasze rzeczy i trochę żywności dla ciebie. A potem w puszczę. Będziemy się tam ukrywać, póki nie nawiążę łączności z Ziemią. Jeśli zostaniemy, Meyers będzie musiał nas zabić, a ty nie potrafisz zmartwychwstawać.

Wyszliśmy na ulicę obozu. Był niezwykle pusty. Nagle usłyszałam słaby trzask i na południowym niebie pojawił się ogień. Wyglądało to jak pożar i zdawało mi się, że poczułam także dym. Przez chwilę obawiałam się, że pali się nasza kwatera, ale ogień był gdzieś dalej. Pobiegliśmy w tę stronę.

Na ulicy pojawili się ludzie, biegając we wszystkie strony. Kilku ciągnęło sprzęt przeciwpożarowy w kierunku ognia. Casey zawołał jednego z nich. Człowiek zatrzymał się i podszedł do nas.

– Co tam się dzieje, Barker?

– Pan Meyers... Jak... Przecież przed chwilą rozmawiałem z panem przez telefon. Jak pan się tu dostał?

– Nieważne. Informujcie.

– Idzie o pożar? To te obce go podłożyły, jak myślimy. Ja żadnego nie widziałem, ale mówią, że ich tu wszędzie pełno. Będzie bitka, tak sobie myślę.

– To co będziemy robić?

Barker popatrzył na niego wzrokiem mówiącym: I pan mnie się pyta? Ale nie powiedział tego głośno.

– Na dachach mamy chłopców ze strzelbami i paru w ślizgach. Reszta ma siekiery i maczety. Ale z pożarem nie wyrobimy. Jeśli zechcą przegonić nas ogniem, to nie ma lekko.

– Róbcie co trzeba, Barker. Wracajcie do roboty.

Barker odszedł.

– Główny majser – wyjaśnił Casey. – Jeden z głupszych. Lepiej się pośpieszmy, zanim bitwa zacznie się na dobre. Barker powiedział prawdę: nie będą mogli ugasić pożaru, chociaż wątpię, czy obcy zamierzają spalić wszystko, co mogliby zdobyć. Ogień to raczej dywersja.

Dotarliśmy do naszej kwatery, zabraliśmy co trzeba i znowu wyszliśmy. Zauważyłam, że postać Meyersa blaknie i powiedziałam o tym.

– Potrzeba wielkiej koncentracji, by utrzymać nową postać, Kim. Przynajmniej póki się do niej nie przyzwyczaję. Zdarzało się, że utrzymywałem ją przez całe lata, na przykład hrabiego de Rochambeau. Nie masz pojęcia, ile zamieszania wywołałem tą rolą.

Nie wiedziałam, że Casey ma skłonność do płatania figli. Ale tym razem dowiódł, że ją ma.

Wydostaliśmy się z osiedla, kierując się na zachód w stronę placu budowy doku. Parę razy zatrzymywaliśmy się i Casey nasłuchiwał, czy nie ma w buszu kogoś prócz nas, ale nie usłyszeliśmy ruchów ludzi ani obcych. Poprowadził nas przez nizinę w stronę wyżej położonych okolic i o poranku byliśmy już wysoko na grzbiecie półwyspu, około dwudziestu mil na zachód od bazy. Wybrał na biwak miejsce osłonięte i bliskie wody i tam odpoczęliśmy. To znaczy odpoczywałam ja, Casey zaś wspiął się na drzewo i badał okolicę przez lornetkę. Po pewnym czasie obudziłam się i zjadłam śniadanie, Casey zaś objaśnił mi nasze położenie.

– Widziałem małe grupki obcych, idących z różnych stron ku bazie. Wszystkie słabo uzbrojone. W tej chwili zapewne nie ma ich dość, by zwyciężyć ludzi, ale co chwilę przybywają nowi. Wkrótce mogą zacząć oblężenie, jeśli będą mieli dość żywności, by je utrzymać. Ale jeśli ludzie skrócą front i będą go dobrze bronić, mogą jeszcze wygrać. Myślę, że napad z ubiegłej nocy był tylko rozpoznaniem.

– Może nie wiedzą, ilu jest ludzi?

– Słusznie. Ale ludzie też nie wiedzą, jakie są siły obcych. Jeśli przekaźnik przestał działać, ich liczba się nie zwiększy, ale tę możliwość uważam za wyjątkowo niebezpieczną.

– Dlaczego? Czy to dla nas nie lepiej?

– Może na krótką metę. Ale dla naszego gatunku to groźba zniszczenia. Jeśli obcy ustalą, że nie działa, to mogą wrócić tu, by zbadać przyczyny. I odkryją nas. Odkrycie zaś powinno nastąpić jak najpóźniej. Może tymczasem zostaniemy wyratowani i uda się usunąć ślady naszego pobytu na Campbellu.

– Czy uważasz, że musimy się posunąć aż do tego?

– Nie jestem jasnowidzem, Kim.

– Być może będziemy musieli długo czekać. Prawie dwa miesiące upłyną, nim „Wilmington" będzie uznany za spóźnionego. Jeszcze więcej czasu upłynie, nim zdecydują co robić, a jeszcze więcej, zanim przyleci tu drugi statek. Co się z nami stanie do tej pory?

– Mam nadzieje, że nic. Przeżyjemy to i zrobimy co się da, aby znaleźć wyjście. Kiedyś myślałem, że wystarczy, jak wrócisz na Ziemię, a rząd niech się dalej martwi. Ale teraz tak już się nie da. Za mało mamy czasu. Szkoda, że nie mam lepszej orientacji w tych sprawach.

Uważałam, że ma, ale widać coś go jeszcze niepokoiło. Zapytałam, co.

– Obcy nie umieją działać. To nie jest zachowanie typowe dla kryminalistów, przynajmniej nie dla ziemskich kryminalistów jakich znałem. Nie są nawet w przybliżeniu dość agresywni. Nawet biorąc pod uwagę różnice kulturowe, powinni wykazywać więcej pomysłowości, przynajmniej w zakresie uzbrojenia. Prócz pałek powinni mieć jeszcze piki, a także dokonywać zorganizowanych prób zdobycia na ludziach materiałów do wyrobu uzbrojenia. Tymczasem jedyną rzeczą, którą się posługują, jest ogień, poza tym zachowują się jak amatorzy.

Znów zmieniliśmy miejsce postoju, podążając dalej od morza, by znaleźć miejsce, w którym, jak powiedział Casey: „Ty i ja będziemy mogli bronić się wystarczająco długo."

Nie wyjaśnił mi, co chce przez to powiedzieć, ale wreszcie znalazł dla nas fortecę: grotę w połowie wysokości urwiska nad szeroką rzeką. Mieliśmy ze sobą dużo jedzenia, a krzaki na wąskiej ścieżce mogły służyć jako opał. W jaskini znajdował się basen zawierający więcej wody niż moglibyśmy wypić przez całe lata. Ale w dolinie poniżej znajdował się bród, przez który obcy czasem przechodzili, kierując się do bazy.

Casey urządził mnie tutaj, a następnie powiedział więcej.

– Tej nocy – rzekł – nie zmrużysz oka, ale do mego powrotu będziesz tu bezpieczna. Nawet ty, sama jedna, utrzymasz to miejsce przeciw całej armii, mając tylko parę kamieni i nóż.

Gdy zapadła noc, wyruszył uzbrojony tylko w kij. Czekałam samotna w ciemności na jego powrót, i co chwila walczyłam z dzikimi istotami, tworzonymi w mej wyobraźni. Parę razy dotknęłam łuku i zastanawiałam się, czy będę miała, jeśli zajdzie potrzeba, dość siły by go naciągnąć i dość zręczności, by trafić w cel.

O przedświcie usłyszałam hałas na ścieżce niżej jamy i poczułam lęk. Casey na pewno poruszałby się ciszej. I tak było. Ale zbiedzony jeniec, którego prowadził, mocno związany i potykający się, nie chciał z Caseyem współpracować.

Stałam u wejścia do pieczary patrząc jak Casey wciąga go do środka i wydał mi się jeszcze brzydszy i groźniejszy, niż martwy stwór z tamtej jaskini, choć ten był znacznie mniejszy.

– Wybrałem go z powodu wzrostu – powiedział Casey. – Z czasem zrozumiesz, dlaczego. A teraz muszę wziąć się do roboty i nauczyć się jeszcze jednego języka, abym mógł z nim porozmawiać.

W następnych dniach starał się uporać z nauką chrząkania, syków i pisków, które składały się na mowę obcych. Zwątpiłam w możliwość dorównania jego determinacji i zostawiłam ich samych, woląc rozmyślać, co mogło zdarzyć się z osiedlem.

Później, gdy wszystko się skończyło, dowiedziałam się, że dla Meyersa był to rozpaczliwy okres, co na koniec zmusiło go do samobójstwa. W tym czasie większość skrajnych budynków została zrównana z ziemią dla oczyszczenia pola ostrzału dla tych, co pozostali skuleni za zaporami z drutu kolczastego. W ciągu dwóch miesięcy stracił czterystu ludzi. Nie byli po prostu zabijani, lecz znikali, obcy odciągali ich ciała.

Piramida nie została zniszczona i „Wilmingtona" poświęcono daremnie. Obcy nadal przybywali, zabijani przez strzelców wyborowych na ślizgaczach. Wreszcie obcy skończyli z tym, podpalając garaże. Meyers siedział unieruchomiony na małym terenie wraz z pozostałymi pięćdziesięcioma ludźmi i czekał końca. W tym czasie Casey był już gotów.

Sekretarz raz jeszcze przerwał moje opowiadanie.

– Tę część wydarzeń najmniej rozumiem – powiedział Carmody. Obecnie był już znacznie łagodniejszy, niemal ludzki. Jego wyniosłość znikła. – Może, gdybyśmy znaleźli Kahsih-omaha...

– Casey nie chce, by go znaleziono, Mr. Carmody. Czy pan nie rozumie – jeśli nie chce, to go nie znajdziemy. A jeśli się nie pojawi, to wszystko jest tylko opowiadaniem, legendą, zarówno dla nas, jak dla obcych.

„Dla mnie jest on czymś więcej" – pomyślałam. A myśl była bolesna.

– Chcę usłyszeć, co było dalej, miss Ryan. Szczególnie o zakończeniu.

– Myślę, że to rzeczywiście najważniejsze – odpowiedziałam. – W większości tych spraw nie brałam udziału. Wszystko co wiem, poskładałam później z relacji ludzi, z którymi rozmawiałam. Dużo moich wiadomości pochodzi od Bigelowa, a to jest mało wiarygodne źródło. I jestem pewna, że obcy nic nie podejrzewają. Zaczęło się wszystko tego ranka, gdy obudziwszy się znalazłam wiadomość wyskrobaną na piasku u wejścia do jaskini. Casey i obcy zniknęli. Oczywiście Casey wówczas już płynnie władał językiem obcych i...

– Co to była za wiadomość? – przerwał Carmody.

– Nie miała sensu, Mr. Carmody. To były tylko trzy słowa. Nie mogłam jej zrozumieć – kłamałam. – W każdym razie Casey znikł, a po tym coś się zaczęło dziać w osiedlu. Jak długo obcy tylko prowadzili oblężenie, Meyersowi udało się utrzymać bazę i był zdolny do odpierania ich nocnych wypadów dzięki wyższości taktyki i uzbrojenia. Obcy nie byli zdolni do ataku frontalnego. Aż nagle obcy przyprowadzili katapultę i użyli jej do niszczenia budynków. Meyers zastrzelił się i władzę przejął Bigelow. Ma charakter, to mu trzeba przyznać – poszedł na pertraktacje z obcymi. Resztę pan dobrze zna.

Carmody znał rzeczywiście, choć nie był pewien, co robić dalej. Ja też nie wiedziałam i powiedziałam o tym. Byłam w niezręcznej sytuacji, ale tego już mu nie powiedziałam.

– Miss Ryan, powierzam pani kierownictwo tym wszystkim, sam zaś wracam na Ziemię ze sprawozdaniem. Jakoś jednak nie mogę sobie wyobrazić, by rząd w tej sytuacji zrzekł się Campbella, w każdym razie nie teraz, gdy mamy wszystkie dane potrzebne do jego eksploatacji. Słyszę, że sieć lądowania ma być ukończona w rekordowym czasie. Bardzo różni ludzie zaczną tu przybywać. Do tej pory będzie musiała pani utrzymywać tu spokój. Sądzę, że potrafi pani dogadać się z przywódcą krajowców.

– Tak – odpowiedziałam. – Rozumiemy się wzajemnie. Całkiem nieźle mówi po angielsku.

– Świetnie. Więc nie mam się o co niepokoić.

Wstał z fotela i dał znak, bym poszła z nim do przystani.

– Chyba pani się orientuje, że to oznacza dla pani awans. Może nawet do zespołu dalekiego zwiadu. Czy to by pani odpowiadało?

Trzymał w dłoni moje sprawozdanie i poklepywał je z lubością.

– Tak, jeśli znajdę odpowiedniego partnera. Tak, sądzę, że tak.

Wsiadł do wahadłowca, a ja długo jeszcze patrzyłam, jak odlatuje, aż wreszcie znikł za horyzontem.

Carmody nie miał czasu przeczytać raportu, to wiedziałam. Gdy to zrobi, nie znajdzie najmniejszej wzmianki o niezwykłych zdolnościach, jakie ujawnił Casey. Ta część historii pozostanie legendą.

Epilog

Obcy wszedł do pokoju i usiadł koło mnie na fotelu, z niezdarnie zgiętymi nogami i rękami złożonymi na podołku. Nie patrzyłam na jego twarz więcej niż to było konieczne, bo nie miała dla mnie żadnego powabu, choć wiedziałam, co się za nią kryje. Odwróciłam więc głowę, pytając:.

– Kiedy, Casey? Jak długo jeszcze?

– Ćśś. Nie tak głośno. – Wyciągnął rękę, ale się cofnęłam. Nie mogłam pozwolić, by to mnie dotykało.

– Istnieją – powiedział – poważne ujemne strony mego obecnego wyglądu, ale zanim zadanie nie zostanie wykonane, jest on niezbędny. Przyzwyczajam się do niego, więc łatwiej go utrzymać. Powiedz mi, Kim, jak przebiegła wasza rozmowa?

– Lepiej niż mogłam się spodziewać, Carmody jest, jak się zdaje, bardzo ostrożnym człowiekiem. Ma mój raport i przeczyta go w drodze na Ziemię. Sądzi, że obcych będzie można wykorzystać.

– Ja też tak sądzę. I sądzę, że się chętnie na to zgodzą, w nadziei, że pewnego dnia będziemy mogli dopomóc ich towarzyszom.

– O ile wiem, to rzeczywiście mogą być kryminaliści.

– Nie. Nie w tym sensie, jak myślisz. I wiem już ogólnie skąd pochodzą: z głębszej części spiralnego ramienia Galaktyki. Ich planety macierzyste są ogarnięte wrzeniem. Oni zaś są uchodźcami politycznymi. Tą są politycy, filozofowie, naukowcy, pisarze, artyści i tak dalej. Wszystko, tylko nie kryminaliści. I na pewno nie żołnierze. Dlatego musiałem stanąć na ich czele i nauczyć, jak prowadzić wojnę. Nie mogli nawet zmusić się do zabijania, tylko łapali ludzi i odciągali na tyły, często z dużymi stratami ze swej strony. I nie zgłaszają pretensji do Campbella, przynajmniej nie w takim sensie, jak my. Ich rząd po prostu wysadził ich tu bez niczego, by sami sobie dawali radę na tym, co jak sądzono, jest wolną planetą. Ci ludzie sprawiali im kłopot. Dla nas zaś mogą być partnerami. Możemy wymieniać z nimi środki utrzymania za wiedzę. Sam przekaźnik materii jest tego wart. Statki kosmiczne zawsze pozostaną niezbędne dla wypraw badawczych, ale handel, jeśli ma rzeczywiście przynosić korzyści, wymaga czegoś lepszego. Przekaźnik spowoduje, że kolonizacja stanie się też praktycznie możliwa, a co to znaczy, wiesz sama. Będzie nam potrzeba bardzo wiele nowych planet.

Tym razem nie cofnęłam się przed jego dotknięciem. I wiedziałam też, co znaczyła wiadomość wyskrobana na piasku. Nadal miałam ją w pamięci.

Ten-Który-Czeka znalazł towarzyszkę „Na-Pewien-Czas".

Przełożył **Jerzy Wilczyński**

DIALOG PRZEZ RZEKĘ

Edmund Wnuk-Lipiński

Było to dokładnie trzysta dwadzieścia jeden dni po szczęśliwym zakończeniu światowego kryzysu. Od kiedy skończył mi się kalendarz, prowadziłem rachubę czasu w notatniku, co przyszło mi z tym większą łatwością, iż od dziecka nawykłem do systematyczności. Trzysta dwadzieścia jeden dni temu zakończył się światowy kryzys, przynajmniej dla mnie. Opuściłem wówczas pokład okrętu wojennego, unieruchomionego w porcie zapasowym nie opodal Luandy.

Kryzys przetrwało wiele plemion, które nie zdążyły przekształcić swych wiosek w cele ataku odwetowego, czyli – jak mawiano przed kryzysem – w miasta. Wśród tych plemion, rozrzuconych po całym globie w miejscach pozbawionych surowców i szlaków komunikacyjnych znalazło się plemię, żyjące od niepamiętnych czasów w dorzeczu Konga.

Po trzystu dwudziestu jeden dniach wędrówki przybyłem w te strony. Według moich obliczeń była niedziela; szedłem zatem leniwiej niż zazwyczaj, chociaż w ogóle nie posuwałem się zbyt szybko. Na swoje usprawiedliwienie miałem nie tylko niedzielę, ale i przeświadczenie, że zbliża się kres mojej wędrówki. Postanowiłem już wcześniej osiąść w pierwszej napotkanej wiosce, choćbym miał w niej pełnić rolę pastucha. Trudno się było spodziewać, że mój zawód będzie przydatny wspólnocie, do której chciałem wstąpić. Ostatnio zajmowałem się nadzorem nad pracą komputera okrętowego.

Tego dnia, w porze południowej, natrafiłem na ślady ludzkiej obecności. Pierwszym, może nie najbardziej przekonywającym jej dowodem, okazała się ścieżka, którą szczęśliwym trafem odnalazłem pośród gęstwiny. Drugim i zarazem ostatnim była strzała, która zaświergotała mi koło ucha i utkwiła w najbliższym pniu. Z ulgą rzuciłem się do ucieczki; oto nareszcie uciekałem nie przed zwierzętami, z którymi żadną miarą porozumieć się nie można, ale przed ludźmi, z którymi zamierzam przepędzić resztę mego życia w spokoju i harmonii.

Stało się to, jak powiedziałem – trzysta dwadzieścia jeden dni po tym, gdy, podobnie zresztą jak pozostała część załogi, opuściłem nasz potężny okręt wojenny. Rozbiliśmy się na małe grupy, wierząc, że w ten sposób przynajmniej część z nas zdoła się ocalić.

Moja grupa liczyła jedenaście osób i topniała w tempie jednej osoby na miesiąc. Pierwszy opuścił nas kucharz okrętowy, który postradawszy w trakcie ewakuacji szkła kontaktowe, wziął boa dusiciela za lianę. Potem odpadło trzech majtków, którzy mieli dość wędrówki w nieznane i przyłączyli się do karawany lotników, przypadkowo spotkanej na jednym z postojów. Lotnicy ci stanowili szczątek czterech eskadr bojowych myśliwców przechwytujących. Z braku paliwa i dalszych rozkazów porzucili swe maszyny na lotnisku zapasowym w okolicach Libreville, przekroczyli równik i ruszyli na południe, z mocnym postanowieniem założenia automatycznej białej osady w pierwszym nadającym się miejscu poniżej Zwrotnika Koziorożca. Pytali czy nie ma wśród nas kobiet, a ponieważ nie było, postanowili poszukać ich po drodze.

Reszta naszej grupy parła na wschód. Sądziliśmy zgodnie, że w samym sercu Czarnego Lądu będzie najbezpieczniej, gdyż najdalej od cywilizacji, która zabrnęła w ślepy zaułek. Niedługo potem odpadł Główny Mechanik; któregoś ranka włożył koszulę razem z drzemiącym w niej skorpionem. Wesoły był chłop i żałowaliśmy go bardziej niż kucharza, którego umiejętności już nie wzbudzały naszego entuzjazmu.

Pozostała piątka postanowiła trzymać się razem aż do końca, który wtedy jeszcze kojarzył się wszystkim z widokiem wioski murzyńskiej, zaszytej w mateczniku.

Niestety, tygodniami szliśmy przez okolice zupełnie bezludne, tak że Intendent załamał się i postanowił wracać na okręt. Nie mogliśmy mu wyperswadować, że do wybrzeża jest co najmniej dwa tysiące kilometrów. Uparł się, że to drobnostka i że trafi z powrotem po naszych śladach. Nie mieliśmy wyjścia; musieliśmy go związać i tak przybył nam bagaż; trzeba przyznać – najcięższy, bo Intendent był chłopem na schwał. Rozwiązywaliśmy go tylko na popasach, a i to nie całkiem. Jednak któregoś wieczora przeciął krępujące linki i słuch po nim zaginął.

Wkrótce po tym incydencie Radiotelegrafista i Lekarz Okrętowy mieli wypadek na polowaniu; nie trafili do szarżującego nosorożca. Zostało nas dwóch: Steward i ja. I on, i ja w trzysta dwunastym dniu trafiliśmy na wioskę. Przyjęto nas z oznakami radości, co Steward wziął niestety za dobrą monetę. Poszedł pierwszy, a ja ubezpieczałem go z krzaków. Nim zdołał cokolwiek wyjaśnić na migi, spotkał go smutny los jeńca kanibalów. Nie próbując prostować nieporozumienia, postanowiłem samotnie kontynuować wędrówkę.

Po tygodniu sypiania na gałęzi, w towarzystwie złośliwych małp, które ogołociły mnie z części bagażu, swoje perspektywy widziałem w coraz gorszym świetle. Uszczuplenie bagażu miało tę dobrą stronę, że mogłem posuwać się szybciej, ale zarazem wątlejsze było przekonanie, że mój marsz dokądkolwiek prowadzi. Toteż świst strzały odebrałem z radością. Małpy nie strzelają z łuku, a zatem moje szanse nie są marne – myślałem, przedzierając się w pośpiechu przez gęstwinę. A jednocześnie przemyśliwałem, jak dać tubylcom do zrozumienia, że mogę być pożyteczniejszy jako żywy, niż jako umarły.

Nie miałem zbyt dużo czasu na obmyślenie sposobu wejścia we wspólnotę. W ślad za pierwszą strzałą posypały się następne i byłbym podzielił los współtowarzyszy, gdyby dżungla w tych okolicach była rzadsza. Biegłem czas jakiś, pozbywając się resztek mojego dobytku. Niebawem jednak stanąłem, podrapany, z włosem zmierzwionym, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zacząłem nasłuchiwać. Może tubylcy poniechali pościgu i zadowolili się tym, czego pozbyłem się w trakcie ucieczki? Nie było tego dużo, ale ufałem, że wystarczy, aby zainteresowania pościgu obróciły się w inną stronę.

Położenie moje pozostawało trudne, ale optymizmem napawał fakt, że mimo przeciwności losu, przeżyłem Stewarda, który w naszej załodze uchodził za wygę. Jeśli do tej pory żyję, dlaczego nie miałbym żyć dalej – pokrzepiony odkrywczą myślą, zacząłem rozglądać się za noclegiem, bo słońce chyliło się ku zachodowi, a po zachodzie – pomny na przygodę Kucharza – wolałem nie imać się pracy w lesie. Po poszukiwaniach znalazłem jamę, w której – utrudzony wielce – zasnąłem, zakrywszy uprzednio wejście kolczastym krzakiem, który tej nocy miał pełnić funkcję strażnika.

Obudziło mnie światło poranka; a ściślej mówiąc – jego nadmiar. Natychmiast zerwałem się ze snu. Krzak został odsunięty, nad wylotem jamy stali tubylcy, z dzidami skierowanymi w moją stronę. Znów nie miałem czasu na poszukiwanie przyjaznych sposobów zażegnania incydentu. Wyszarpnąłem rewolwer i wystrzeliłem w powietrze przedostatnią kulę. Stary wysłużony kolt stanął na wysokości zadania, mimo że przez ostatnie miesiące nie dbałem o jego konserwację. Huk poraził tubylców na tyle, że padli na twarze, co umożliwiło mi opuszczenie jamy z godnością.

Zrozumiałem, że jest to obszar, gdzie odgłos wystrzału słyszano rzadko albo nigdy. To była szansa, z której nie omieszkałem skorzystać. Nie udało mi się wprawdzie okazać przyjaźni, ale mogłem obecnie okazać wspaniałomyślność, co – jako strategia przetrwania – było nawet korzystniejsze. Na migi rozkazałem tubylcom, aby powstali i zaprowadzili mnie do wioski. Na wszelki wypadek rewolwer trzymałem w dłoni, aby nie poczytali mojej wspaniałomyślności za słabość. Ów gest został zrozumiany należycie.

W trzysta dwudziestym drugim dniu wędrówki wioska przyjęła mnie z należnymi koltowi honorami. Dostałem chatkę i zacząłem z zapałem uczyć się miejscowego narzecza. Zapał mój był

tym większy, iż trudno było mi na migi wytłumaczyć, że od dzieciństwa jestem uczulony na fasolę, która stanowiła tutaj podstawowy składnik jadłospisu. Już po tygodniu mogłem oświadczyć gospodarzom, że przepadam za mięsem przyprawionym odrobiną soli. Po dziesięciu dniach zrozumiałem, że tubylcy nie znają soli. Po dwóch tygodniach dowiedziałem się, iż w najbliższej okolicy soli nie było, nie ma i nie będzie.

Po miesiącu mogłem dość swobodnie porozumiewać się z naczelnikiem plemienia, poważnym Balungą, który swą powagę zawdzięczał okazałej tuszy. Ponadto przechowywał w chacie największy talizman plemienia, wyznającego kult tajemniczego boga, którego dla uproszczenia nazwałem Akwawitem. Po czterdziestu dniach zostałem dopuszczony do największej tajemnicy, a mianowicie rytualnych zaślubin naczelnika Balungi z Akwawitem, co było - według wierzeń tubylców - warunkiem niezbędnym nastania pory deszczowej, a zatem i dobrych zbiorów fasoli. Owym talizmanem okazała się butelka z nalepką Aquavita, mocno już nadwerężoną przez coroczne zabiegi rytualne. Sama ceremonia nalewania wody do butelki, a później wypijania jej przez naczelnika w przytomności wszystkich członków plemienia, była wspaniała. Wziąłem w niej udział tym chętniej, że zostałem przez naczelnika mianowany szamanem, co umożliwiło mi spanie bez kolta w zasięgu ręki. Stanowisko to ze wszech miar mi odpowiadało; od niepamiętnych czasów żaden szaman nie doznał uszczerbku ze strony współplemieńców, a przeciwnie - był otaczany czcią i zaufaniem. Dokuczał mi tylko brak soli.

Podjęte na mój rozkaz poszukiwania nie dały rezultatów; być może dlatego, że dzielni wojownicy Balungi nie wiedzieli, czego mają szukać.

Pewne nadzieje wiązałem z terenami na drugim brzegu rzeki, gdzie podobno było jeziorko z „gorzką" wodą, jednak żadną miarą nie mogłem namówić wojowników do przeprawy. Żyło tam ponoć drugie plemię, uprawiające kult ognia. Naczelnikiem owego plemienia miał być Amelunga. Początkowo kładłem niechęć do wyprawy na karb wzajemnej wrogości. Okazało się jednak, że oba plemiona nie toczyły ze sobą walk od niepamiętnych czasów, a przeciwnie - współpracowały pokojowo, co polegało głównie na wymianie kobiet i koźląt ku obopólnej korzyści. Wszakże przed niespełna rokiem w rzece tak obrodziły krokodyle, że nawet najodważniejsi łowcy nie zbliżali się do brzegu na dystans bliższy niż cztery strzały z łuku. Wojownicy twierdzili, iż przed rokiem gdzieś z góry rzeki popłynęły ławice martwych zwierząt, a między nimi trafiały się ludzkie zwłoki. W ślad za zwłokami przybyły krokodyle. Niebawem jednak zaczęły się kłopoty z pożywieniem, co doprowadziło stada krokodyli do słusznego gniewu. A że było ich więcej niż kiedykolwiek, więc i gniew był - ilościowo przynajmniej - większy. Gdy skończyła się obfitość zapasów rzecznych, krokodyle rozpoczęły poszukiwania przestrzeni życiowej na obu brzegach, o czym przekonali się mniej roztropni wojownicy, którzy - zapędziwszy się w tamte okolice - przepadali na zawsze.

Naprawdę nikt nie był w tamtych okolicach od ponad pół roku. Nic dziwnego, że wyjaśnienia nie trafiły mi do przekonania. Sam nie miałem czasu pójść nad rzekę, ze względu na liczne szamańskie obowiązki. Oprócz rytualnych obrzędków coraz więcej czasu pochłaniało mi lecznictwo, które - wobec braku lekarstw i jakichkolwiek narzędzi - polegało głównie na utrzymaniu higieny. Do mycia zachęcałem ludzi zaklęciem z dodatkiem mydła, które własnym sposobem produkowałem z padliny. Nie przypominało może Yardleya, ale spełniało swe funkcje dostatecznie dobrze. Słowem - nie mogłem osobiście sprawdzić owych legend. Coś w nich musiało być, skoro najodważniejsi wojownicy pod różnymi pozorami wymigiwali się od rekonesansu nad rzeką. Oczywiście dałbym temu pokój, gdyby nie myśl, że prawdopodobnie tam, na drugim brzegu jest soli pod dostatkiem i nikt z niej nie korzysta. Obmyślałem różne sposoby, by skłonić Balungę do skrzyknięcia wszystkich wojowników i wyruszenia przeciw krokodylom. Nie zaniedbywałem też niezbędnych przygotowań. Uzbrojenie naszej armii, liczącej około czterdziestu mężczyzn, wydawało mi się niewystarczające. Toteż bez zbytniego rozgłosu przygotowałem stos włóczni, dłuższych niż były w użyciu i zaopatrzonych w utwardzane groty, bez trudu przebijające tarcze będące w dotychczasowym wyposażeniu sił zbrojnych. Miałem nadzieję, że z tym większą łatwością poradzą sobie ze skórą krokodyla.

Któregoś dnia, kiedy wydawało mi się, że znalazłem sposób na przekonanie Balungi, udałem się do naczelnika i rzekłem:

- Szlachetny wodzu! Zechciej wysłuchać co ma do powiedzenia twój wierny szaman. Nasze świetne plemię, którego miałem zaszczyt zostać członkiem, pod twym panowaniem przeżywa dni szczęśliwe. Zaś jeśli deszcze nastaną o zwykłej porze, o co usilnie zabiegam u potężnego Akwawita i na co dostałem już pewne wstępne obietnice, nasze plemię cieszyć się będzie wielkim dostatkiem. Fasoli starczy nie tylko dla wojowników, ale także dla ich najmłodszych żon. Paszy dla kóz będzie tyle, że będziesz mógł ich mlekiem obdzielać nie tylko swoją rodzinę i mnie, niegodnego twego sługę, ale także starszyznę plemienia. Wielki jesteś, o wodzu, a ja, twój skromny szaman, nie szczędzę wysiłku, aby wielkość twą umocnić po wsze czasy.

Balunga, żując prażone ziarna fasoli, które usłużnie podawała mu jedna z żon, skinął łaskawie głową.

- Słyszałem od naszych dzielnych i nieustraszonych wojowników - ciągnąłem - że na drugim brzegu rzeki jest gorzkie jezioro. Tam znajdziemy sól, która umocni twoją potęgę. Musimy przeprawić się na drugi brzeg.

Balunga, wypluwając łupinę, spojrzał na mnie leniwie i powiedział:

- Krokodyle. Tam są krokodyle. Nikt nie przejdzie, nawet ty szamanie, choćbyś użył swego miotacza piorunów.

Nie zamierzałem pozbawiać się ostatniego naboju w tak lekkomyślny sposób; co więcej - w ogóle nie zamierzałem brać udziału w ryzykownej wyprawie. Miałem dość niepotrzebnego narażania karku. Chciałem tylko wyjaśnić Balundze mój plan, a ściślej - tę jego część, której miał być wykonawcą, ale Balunga dodał:

- Nie wiem, dlaczego zależy ci tak na dotarciu do gorzkiego jeziora. Ta woda nie nadaje się do picia, nie można nią poić kóz.

- Szlachetny wodzu! - odparłem. - Nie chodzi o gorzką wodę, ale o sól, która jest w tej wodzie rozpuszczona.

- A na co nam ona sól?

- Jeśli doda się jej do jedzenia - mówiłem z zapałem - to tak, jakby się spożywało jadło godne Akwawita.

Mnie tam nasze jedzenie smakuje - wzruszył ramionami, biorąc kolejną garść prażonej fasoli. - A jeśli tobie, szamanie, nie idzie ono w smak, to starszyzna uchwali ograniczenie twoich racji. Oni z chęcią podzielą się tym, co zostanie.

Sprawy przybierały zły obrót. Uświadomiłem sobie, że żebym nie wiem jak wynosił zalety soli, to nikt dla jej zdobycia nie zmierzy się z krokodylem, choćby ślepym i bezzębnym. Postanowiłem spróbować z innej beczki. Przygotowane przeze mnie włócznie czekały, ale do pełnego uzbrojenia brakowało idei, w imię której wojownicy Balungi mieliby jednak wyruszyć. Taką ideę miałem zamiar podsunąć wodzowi.

- Szlachetny Balungo! Czyż krokodyle są dostatecznym powodem do tego, aby nasze plemię ograniczało spożycie fasoli i nie mogło powiększyć stada kóz? Nasze kobiety uprawiają mało urodzajne spłachetki ziemi, kozy szczypią resztki trawy, a tymczasem nad rzeką leży podobno urodzajny grunt, na którym wyrosłoby co najmniej dwakroć tyle fasoli co dzisiaj, a soczystej trawy jest tam podobno tak dużo, że moglibyśmy liczbę kóz powiększyć trzykrotnie.

Balunga niedbałym skinieniem odprawił żony. Na jego twarzy malował się wysiłek. Znaczyło to, że wódz rozważa w swym umyśle racje, które mu przedstawiłem. Trwało to dość długo i wreszcie przemówił:

- Też o tym myślałem, szamanie. Sam wiesz najlepiej, jak bardzo leży mi na sercu dobro naszego plemienia. Czasy teraz inne i młodzi wojownicy nie zadowalają się byle czym. Chcą żyć jak starszyzna, choć do pozycji starców brakuje im zasług i lat, chcieliby mieć to, co przeznaczone pod koniec żywota. Ale żeby tak było, nie wystarczy już praca kobiet. Musisz im, szamanie, wytłumaczyć, że będą żyli dostatniej, jeśli zajmą się pracą. Niech więc odłożą włócznie i tarcze, zwłaszcza, że wyniki polowań są gorsze i niech zajmą się karczowaniem dżungli. Będziemy mieć więcej ziemi, więcej fasoli i kóz.

- Twoja przenikliwa mądrość, wielki Balungo, przyprawia mnie o trwogę. Przed twym światłym umysłem nic się nie ukryje. Patrzysz dalej, niż my wszyscy i widzisz więcej. Dlatego też raczyłeś poddać mnie próbie i sprawdzić, czy zgodzę się na rozwiązanie niegodne bohaterskich tradycji naszego plemienia. Czyż bowiem wojownicy mogą być posłani do karczowania dżungli? Czyż mamy czas, aby przeczekać kilka pór deszczowych, zanim wydarta dżungli ziemia zacznie rodzić na chwałę Akwawita i twoją, wielki wodzu? Wiem, wodzu, że o tym wszystkim myślałeś i chciałeś mnie, niegodnego, a zarazem najbliższego sługę, wystawić na próbę. Czuję to, mówią mi to tajemne siły, którym służę z równą gorliwością jak tobie, że bliski jesteś wydania rozkazu wyruszenia przeciwko krokodylom. Wiem, że myślałeś o tym przez wiele nocy i dni ofiarnej służby na rzecz naszego plemienia. I mówię ci wodzu - nadszedł czas, aby twe wielkie zamysły wprowadzić w czyn. Gdy przepędzisz stąd krokodyle, twoja potęga będzie niezmierzona. Nikt się tobie nie oprze, zaś Ame-

HAJIME SORAYAMA



lunga, jeśli do tej pory nie stał się pożywieniem tych żarłocznych zwierząt, odda się pod twoją opiekę. Będziesz panował na obu brzegach rzeki, zaś ja, twój wierny sługa, będę krzewić wiarę w naszego potężnego Akwawita, który tym bardziej sprzyjać będzie twoim zamysłom. Nadszedł czas, wodzu, abyś okazał swą prawdziwą wielkość.

Moja przemowa musiała zrobić na nim wrażenie, bo zapomniał o żuciu fasoli. Twarz jego znów wyrażała wysiłek: myślał. Po długiej chwili milczenia powiedział:

– Rozważę wszystko, coś rzekł, wierny szamanie. Rzeczywiście miałem taki zamiar; odczytujesz w lot moje myśli. Idź do swoich zajęć, a ja przez ten czas rozważę wszystko z właściwą mi roztropnością.

Byłem dobrej myśli. Na wszelki wypadek zająłem się segregowaniem tajnej broni, czyli wydłużonych włóczni o utwardzonych grotach. Nie zajęło mi to dużo czasu, resztę dnia przeznaczyłem na inspekcję sanitarną chat. Zauważyłem, że młodzi wojownicy ściślej przestrzegali moich zaleceń i chętniej oddawali się rozkoszom mycia. Gdybym miał choć odrobinę soli, z łatwością doprowadziłbym do tego, że przynajmniej oni przedkładaliby potrawy solone nad dotychczasową jałową strawę. W ich chatach byłem przyjmowany ochoczo, starzy wojownicy ciągle odnosili się do mnie z mieszaniną lęku i nieufności. Wiedziałem, że jeśli Balunga wyda rozkaz walki z krokodylami, młodzi pójdą ze śpiewem na ustach, zaś starzy przyłączą się, bo nie będą mieli wyboru.

Balunga wezwał mnie tego samego dnia. Już od progu zauważyłem, że sprawy przybrały zły obrót. Balunga nie patrzył mi w oczy, a na jego szyi błyszczały strużki potu. Balunga bał się mnie, ale jeszcze bardziej bał się ryzykownej wyprawy. Zrozumiałem to wszystko, zanim otworzył usta. Czekałem jednak. Zaprosił mnie gestem do zajęcia miejsca po swej prawej stronie, odprawił żony i przemówił:

– Mój zacny szamanie. Rozważałem wszystko roztropnie, jak to mam w zwyczaju, i doszedłem do wniosku, że jeśli wyprawimy się na krokodyle i ich nie przepędzimy, to stracę żony, tę chatę, a nade wszystko – prażoną fasolę, bez której obejść się nie mogę. Porażkę wszyscy zrozumieją jako brak łaski ze strony Akwawita dla jego wiernego sługi, wodza Balungi. Powołają nowego wodza, a mnie przepędzą. Żyliśmy tak długo na tej ziemi, którą w swej łaskawości obdarzył nas Akwawit. Dlaczego mielibyśmy chcieć więcej, niż jest nam przeznaczone? Czyż nie obrazilibyśmy tym naszego potężnego Mzimu?

Chciałem mu przerwać, ale uciszył mnie gestem i mówił dalej:

– Rozważyłem wszystko, mój szamanie. Stwierdziłem, że nie możemy wysłać wojowników do karczowania dżungli, bo słusznie mogliby to poczytać za naruszenie świętych praw plemiennych. Ale nie chcę też wysyłać ich na krokodyle. Jeśli bowiem wyprawa się powiedzie, to wojownicy zaczną domagać się większych racji fasoli w nagrodę za zasługi. I nawet jeśli nasze kobiety zaczęłyby produkować więcej fasoli i starczyłoby jej nie tylko dla starszyzny, ale dla wszystkich wojowników, to przecież wtedy starszyzna będzie ze mnie niezadowolona i zacznie domagać się większych przydziałów żon i mleka koziego, aby dalej wyróżniać się wśród plemienia. A skąd ja wezmę im więcej żon? Przecież nie oddam swoich, bo to nie licowałoby z godnością wodza. Tak więc nawet gdyby wyprawa się powiodła, to wzrosłoby niezadowolenie wśród członków plemienia i w rezultacie byłoby gorzej, niż jest teraz.

Balunga sapnął i nerwowo przełknął ziarno fasoli. Nie doceniałem go, okazał się nadspodziewanie czujny w obronie swoich interesów.

– Szlachetny wodzu – zacząłem – pozwól, że...

Nie pozwolił. Machnął ręką i mówił dalej:

– Wszystko rozważyłem dokładnie, mój wierny szamanie. Obrazilibyśmy potężnego Akwawita, sięgając po tereny, które sam nam odjął. Będziemy żyli, jak dotychczas. A ty szamanie wznieś modły, aby go przebłagać za bezbożne wyciąganie ręki po to, co nie nam przeznaczone. Gdyby Akwawit życzył sobie, abyśmy powrócili nad rzekę, to sam przepędziłby krokodyle. Nie powiesz mój szamanie, że nie byłby zdolny do takiego czynu?

Podrapałem się w brodę.

– Szlachetny wodzu – spróbowałem przełamać jego upór. – Boleję nad tym, co powiedziałeś, bowiem nie dalej jak dziś rano Akwawit dał znak, że jest przychylny naszym zamiarom. Znalazłem oto koło chaty martwego krokodyla, którego z radością spaliłem na chwałę naszego Mzimu. Jeśli jednak, szlachetny wodzu, ten oczywisty znak łaski nie przekonuje cię, to muszę ci donieść, że wśród młodszych wojowników odzywają się szemrania. Narzekają na ciebie, wodzu. Mówią, że jak tak dalej pójdzie, to

przyjdzie im żenić się z własnymi ciotkami, a włócznie zamienić na kije pasterskie. Mówią też, że ich siostry zestarzeją się w panieństwie, bo nie masz już w plemieniu młodej kobiety, której poślubienie nie naruszyłoby tabu pierwszego lub drugiego stopnia. Tymczasem tam, za rzeką, czekają ich przyszłe żony, nad rzeką zaś leży ziemia, której nam brakuje. Zresztą, od dawna nikt nie zapuszczał się nad rzekę. Może tam już nie ma krokodyli?

– Czy sądzisz, że nasze kozy nie poszłyby tam, gdyby to było bezpieczne? Wolą szczypać marną trawę tutaj, a nawet na skraju dżungli, gdzie mogą zostać porwane przez drapieżnika, niż iść nad rzekę, gdzie woda czysta, a trawa zielona.

– Wyślij kogoś wodzu, aby sprawdził, czy kozy mają rację.

– Dobrze. Wysyłam ciebie, mój wierny szamanie. Weź swój miotacz piorunów i sprawdź, czy kozy żywią słuszną obawę.

– Szlachetny wodzu! – odparłem prędko. – Moje obowiązki są zbyt absorbujące, abym mógł sobie pozwolić na taką wyprawę. Ich zaniedbanie mogłoby sprowadzić słuszny gniew Akwawita na nasze plemię.

Balunga spodziewał się mojej odmowy, bo – odpędziwszy muchy krążące mu wokół oczu – pokręcił głową:

– Skoro tak, to sprawa jest jasna. Postanowiłem, że będziemy żyć jak dotychczas, a ty przebłagasz Mzimu za nasze, a właściwie twoje niewczesne zamiary. Taka jest moja wola, a twoim zadaniem jest jej uzasadnienie. Skończyłem.

Dał znak, abym się oddalił. Wstałem i wyszedłem z chaty naczelnika. Targała mną złość. Byłem głodny, ale myśl o jałowym jedzeniu przyprawiała mnie o mdłości. Skoro mogłem już żyć, chciałem żyć lepiej.

Przyszedłem do swojej chaty. Spojrzałem smętnie na stos przygotowanych włóczni. I wówczas zaczął mi świtać nowy pomysł. Postanowiłem zrobić zamach stanu.

Jeśli kiedykolwiek robiliście zamach stanu, to doskonale wiecie, że jego sukces uzależniony jest od spełnienia przynajmniej dwóch warunków. Po pierwsze musicie znaleźć ideę, która mogłaby pociągnąć niezadowolonych, zneutralizować niezdecydowanych i pozbawić głosu opornych. Po drugie, trzeba znaleźć ludzi, którzy bez wahania wykonają wszelkie rozkazy; nawet te niekoniecznie zgodne z głoszoną ideą.

Kłopot polegał na tym, że w naszym plemieniu jedynym niezadowolonym byłem ja sam. Młodzi wojownicy, o których szemraniach wspomniałem wodzowi, mogli co najwyżej zaliczać się do niezdecydowanych, żaden z nich nie podniósłby ręki na świętą osobę Balungi. Był wprawdzie wśród nich pewien młody, ambitny, a więc obiecujący materiał na pomocnika rewolucji. Myślałem o Ogunie, moim asystencie w praktykach szamańskich, którego chowałem na swojego ucznia. Cała reszta zaliczała się bez wątpienia do przeciwników mojego zamysłu, gdyż nie doświadczając żadnych alternatyw życiowych jest się naturalnym konserwatystą. A przecież cały ich świat, odkąd sięgali pamięcią, był niezmienny.

Nie stałem przed łatwym zadaniem. Należę jednak do tych, których przeszkody mobilizują, zamiast zniechęcać. Pewnie dlatego udało mi się przetrwać moją długą wędrówkę przez dżunglę. Pomysł zorganizowania powstania pochłonął więc moją uwagę tak dalece, że zapomniałem o soli, a ściślej – o jej braku. Rzeczywisty cel moich zabiegów przypomniał mi się dopiero w porze kolacji, kiedy przyniesiono do chaty jałowe udko koźlęcia, łaskawie nadgryzione przez świętobliwe zęby Balungi. Gest ten miał oznaczać, że niewczesne pomysły o wyprawie nad rzekę zostały mi wybaczone. Balunga był nieodrodnym synem swojego plemienia; lubił, gdy wszystko zostawało po staremu.

Był to o tyle sprzyjający zbieg okoliczności, że mogłem swoje zamysły wprowadzać w czyn bez specjalnych obaw, choć z naturalną przezornością. Balunga nadal mi ufał. A nie ma lepszej rękojmi sukcesu, niż zaufanie tyrana, którego zamierza się obalić. I tak powoli przestawiałem się na terminologię rewolucyjną, co przyszło mi z tym większą łatwością, że gryzienie niesolonego mięsa – nawet napoczętego przez wodza – doprowadzało mnie do pasji.

Nie dokończyłem udka. Wyrzuciłem mięso przed chatę; według hierarchii, pozostałości po moich posiłkach przypadały Ogunie. Nie mogłem jeść, mimo iż nie czułem się do końca nasycony. Wypiłem kwaśny płyn, który parzyłem z własnoręcznie palonych owoców dzikiej kawy, a później wezwałem Ogunę.

Asystent stawił się bez zwłoki, co nie było niczym nadzwyczajnym, jego podstawowym zajęciem było oczekiwanie na moje wezwanie. Wiedziałem, że jego pozycja jest łakomym kęskiem dla kilku młodych zuchów, którzy woleliby pić sfermentowany sok kokosowy w cieniu mojej chaty niż uganiać się po dżungli za zwierzyną. Oguna też o tym wiedział, więc starał się swoje nieliczne obowiązki wykonywać sumiennie. I nie ma tu nic do rzeczy, że odebrałem od niego wcześniej przysięgę, iż wykonywać będzie moje rozkazy tak, jakby pochodziły od samego Akwawita. Gdy więc Oguna pojawił się w drzwiach, skinieniem przywołałem go bliżej i powiedziałem:

– Mój wierny poczciwcze. Miałem dzisiaj widzenie z Akwawitem... – musiałem przerwać, gdyż Oguna padł na twarz, a nie lubię prowadzić rozmowy, jeśli nie widzę twarzy rozmówcy.

– Wstań, mój poczciwy Oguno, czeka cię wielka kariera. Akwawita w swojej łaskawości dozwolił mi wejrzeć w przyszłość. Chyba rozumiesz, co mówię?

– Tak, wielki szamanie – skłonił się z największym uszanowaniem.

– No więc słuchaj, bo chcę, żebyś pierwszy wiedział, co się stanie. Nasze plemię będzie potężne, jak nigdy przedtem. Czeka nas wspaniałe życie – mówiłem głosem tak natchnionym, że sam poczułem powiew wielkich tajemniczych spraw. – Wspaniałe życie, pełne fasoli, udźców kozich pieczonych na wolnym ogniu, tłustych kobiet, chętnych do posługi. Najlepsi, a zarazem najwierniejsi synowie plemienia nabędą umiejętności, których nikt przedtem w plemieniu nie posiadał. Będą mogli zaklinać myśli w znaki na korze i kiedy zechcą, będą mogli te myśli odczytać.

– Nawet cudze myśli? – zapytał z bojaźnią.

– Tak, nawet cudze. Wszyscy będą równi, choć niektórzy będą musieli pilnować tej równości i dlatego będą równiejsi. Czy rozumiesz, Oguna?

– Nie, wielki szamanie, ale wierzę głęboko, że masz rację – odparł z nabożną czcią i znów upadł twarzą na ziemię.

Podszedłem do niego:

– Wstań, albowiem nadszedł czas wielkich spraw. To dobrze, że wierzysz; na tej ufności zbuduję nową przyszłość naszego świetnego plemienia. A Akwawit będzie nam sprzyjał.

Wróciłem na swoje miejsce przy ognisku, tymczasem Oguna wstał z klęczek i zajął miejsce, które mu wskazałem. Zbliżał się najtrudniejszy moment rozmowy. Musiałem wyjawić przynajmniej część moich zamysłów.

– Jak widzisz, czeka nas wspaniała przyszłość – zacząłem ostrożnie, pilnie obserwując reakcję Oguny – jednak nie ziści się ona sama. – Twarz Oguny wydłużyła się, więc żeby podtrzymać jego entuzjazm, dodałem szybko: – Ziści się naszymi rękami. Sami ją sobie wyrąbiemy maczetą w dżungli przyszłych zdarzeń. – Podobała mi się ta metafora. Postanowiłem ją zapamiętać, bowiem wiedziałem, że będę potrzebował wielu metafor do przyszłych przemówień politycznych.

– Mój poczciwy pomocniku – ciągnąłem. – Umiesz posługiwać się maczetą?

– Ty wiesz najlepiej, wielki szamanie.

– Istotnie, wiem. Wszak to ty odrąbujesz głowę bawołu jednym ciasem.

– Na chwałę Akwawita – potwierdził skromnie.

– I umiesz posługiwać się wydłużonymi dzidami, które przygotowałem przeciwko krokodylom?

– Sam kazałeś mi dzidy wypróbować, wielki szamanie; lecą dalej, silniej przebijają... Tak, wiem, jak ich używać.

– To dobrze, to dobrze... Wiedziałem, że czeka cię chwała i zaszczyty. Czy zrobisz wszystko, aby nasze plemię mogło żyć lepiej? Czy zdobędziesz się na to, by wypełnić rozkazy Akwawita? – Wiedziałem, że przynajmniej w pierwszej fazie zamachu stanu rozkazy muszą być wydawane w imieniu kogoś o niekwestionowanym autorytecie. Nawet jeżeli ten ktoś nie istnieje. A taką rolę z powodzeniem mógł grać Akwawit, przynajmniej do czasu kiedy nie wykształci się nowy autorytet. I nie ma tu nic do rzeczy, że pomyślałem o sobie, bo tak pomyślałby każdy na moim miejscu.

Oguna nie odpowiedział na ostatnie pytanie, tylko pełnym uszanowania gestem wyraził zupełne oddanie. Czułem, że pierwszy krok zakończył się sukcesem. Dysponowałem ślepo oddanym człowiekiem. Na wszelki wypadek dodałem:

– Ci którzy pomyślnie przejdą czas próby, mogą liczyć na wdzięczność naszego ludu, który nareszcie zostanie wyzwolony z wielowiekowych pęt niewoli.

– Jestem twoim sługą, wielki szamanie.

– Dobrze – powiedziałem. – Mogę ci zatem w największej tajemnicy wyznać, że Akwawit postawił dwa warunki, które musimy spełnić, jeśli chcemy liczyć na jego przychylność.

Edmund WNUK-LIPIŃSKI

(ur. 4.05.1944 r. w Suchej) – absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, doktor habilitowany, socjolog kultury i struktur społecznych, pracujący w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN – obecnie jako kierownik Zakładu Badań Nierówności Społecznych. Aktywny także jako pisarz SF preferuje tematykę social-political fiction. Jego powieść **„Wir pamięci"** (Czytelnik, 1979) zwiastowała serię polskich dystopii pisanych przez Oramusa, Żwikiewicza, Zajdla, Parowskiego, Wolskiego, które ukazały się z opóźnieniem w roku 1982. Kilka gotowych od dawna opowiadań E.W. czeka na druk w antologiach. Prezentujemy Państwu jedno z nich.

Jakie to warunki, wielki szamanie?
Wstałem, dorzuciłem kilka gałązek do ogniska i zacząłem chodzić po chacie. Oguna wodził za mną wiernym wzrokiem. Zaczynam oto wkraczać na drogę, z której nie ma odwrotu – pomyślałem. Jeśli o obaleniu tyrana myśli jedna osoba, można to nazwać marzeniem. Jeśli jednak rozmawiają na ten temat dwie osoby, to już początek zamachu stanu. Wahałem się więc przez chwilę, bo wiedziałem, że później będę musiał odrzucić wszelkie wahania. Przypomniała mi się jednak nie dokończona, jałowa kolacja i podjąłem decyzję.
– Mój poczciwy Oguno, muszę cię ostrzec, że jeśli bez mojego wyraźnego zezwolenia dowie się ktoś o naszej rozmowie, to możesz spodziewać się najsroższej kary Akwawita.
Twarz Oguny spopielała, a więc moje słowa osiągnęły zamierzony skutek. Grunt był przygotowany.
Teraz mogę wyznać ci owe dwa warunki, które postawił nasz potężny Akwawit. – Oguna patrzył na mnie z pokorą, a jego twarz z wolna przybierała normalną barwę. – A więc po pierwsze; po drugiej stronie rzeki jest gorzkie jezioro.
– Wiem, wielki szamanie. Woda w nim przeklęta. Nawet kozy nie chcą jej pić.
– Mylisz się Oguno, ta woda jest święta. Nie jest ona przeznaczona dla zwykłych ludzi, a tym bardziej dla kóz. To woda naszego boga, to woda życia.
– Na Akwawita, wielki szamanie! – szepnął ze zdumieniem Oguna.
– Tak mi powiedział potężny Akwawit, który gniewa się, że do tej pory tego nie zrozumieliście. Powiedział mi też, że kto będzie jej umiejętnie używał, będzie wolny od wszelkich chorób, a zwłaszcza od wypadania zębów i paznokci. To woda, którą Akwawit przeznaczył dla naszego plemienia.
– Wielki szamanie, ta woda jest na drugim brzegu Wielkiej Rzeki. Tam żyje plemię Amelungi; to jego tereny. A w rzece – krokodyle.
– Wielka przyszłość jest niemożliwa bez wielkich czynów, mój poczciwy Oguno. To trudny warunek, wiem, ale Akwawit jest z nami. Drugi warunek jest jeszcze trudniejszy – znów dorzuciłem kilka gałązek do przygasającego ogniska i nalałem sobie trochę kawy. Oguna z nabożeństwem obserwował moje gesty.
– Drugi warunek – ciągnąłem, starając się nadać mojemu głosowi możliwie obojętne brzmienie – to usunięcie Balungi, na którego Akwawit bardzo się gniewa.
– Wielki szamanie! – jęknął Oguna i znowu padł na twarz. – To niemożliwe! Wielki Balunga jest strzeżony przez trzy złe duchy, zaklęte w amulety, które wiszą u jego drzwi. Sam mówiłeś, szamanie, że te amulety lepiej strzegą Balungę niż zastęp wojowników, bo ktokolwiek podniósłby na niego rękę, padnie rażony piorunem.
– Wstań, mój poczciwy Oguno.
Usiadł posłusznie, ale nie mógł opanować drżenia. Dałem mu kubek kawy, z którego pociągnął chciwie kilka łyków. Ja tymczasem wydobyłem rewolwer, mocno już nadgryziony rdzą.
– Czy pamiętasz ten amulet?
– Tak, wielki szamanie.
– Czy pamiętasz, kiedy wyszedł z niego piorun?
– Tak – szepnął.
– To ja wysłałem ten piorun.
– Pamiętam.
– Kto więc ma władzę nad piorunami?
– Ty, wielki szamanie.
– Jeśli ja mam władzę nad piorunami, to jakże którykolwiek z nich mógłby porazić mojego wysłannika?
– Zaiste, wielki szamanie, to niemożliwe, chyba, żebyś sam tego chciał!
– Właśnie! A więc i drugi warunek, postawiony przez Akwawita, nie jest tak trudny, jak z pozoru wygląda.
– Jesteś wielki, szamanie.
Odetchnąłem z ulgą. Kolejny krok został zrobiony.
– A teraz do rzeczy. Słuchaj uważnie, mój poczciwy sługo.
– Słucham, wielki szamanie.
– Którzy z młodych wojowników są dzielni i zasługują na zaufanie Akwawita?
– Wszyscy.
– Tak, wiem – odparłem niecierpliwie. – Zastanów się jednak, którzy z nich gotowi byliby na wykonanie warunków postawionych przez Akwawita, a także moich rozkazów?
Oguna zmarszczył czoło.
– Potrzebuję na początek nie więcej niż czterech-pięciu młodych zuchów, którzy unieszkodliwią straż przyboczną Balungi.
– Chyba mam takich – odparł po chwili namysłu.

Jeszcze tej samej nocy stawiło się w mojej chacie czterech zuchów, gotowych na wszystko, a zwłaszcza szwagier oraz syn ciotecznego brata szwagra matki pierwszej żony Balungi, którego nasz wódz od niejakiego czasu pomijał w rozdziale łupów myśliwskich. Ten ostatni chłopak o ponurym wejrzeniu był szczególnie cennym nabytkiem. Straż przyboczna Balungi przyzwyczajona była do jego obecności w pobliżu chaty wodza. Ponadto, chłopak ów znał doskonale plemię po drugiej stronie rzeki, bowiem przywędrował tu jako część posagu pierwszej żony wodza, a jego – jeśli dobrze rozwikłałem skomplikowane powiązania rodzinne – przyrodniej siostry ciotecznej w drugiej linii. Zaraz też wypytałem go, jak się nazywa (Seko, a tak, Seko, pamiętam chłopcze, pamiętam), jak się czuje i czy umie posługiwać się bronią. Zapewniłem go też, że od tej pory dostawać będzie należną mu część łupów, albowiem zamierzam wszystkich wynagradzać według zasad dla budownictwa nowej wspaniałej przyszłości naszego plemienia.
Egzamin wypadł pomyślnie dla całej czwórki. Postanowiłem więc, w obecności Oguny, którego mianowałem ich dowódcą, wydać im rozkazy, które powinni wykonać jeszcze tej nocy. Zgodzili się chętnie, a nawet z pewną dozą entuzjazmu. Widocznie Oguna należycie przygotował ich apetyty na przyszłe gratyfikacje.
Gdy wyszli, położyłem się spać, aby w razie niepowodzenia być tak samo zaskoczonym i oburzonym, jak reszta starszyzny plemienia. Sen jednak nie nadchodził. Silniej niż zazwyczaj docierały do mnie odgłosy nocnego życia dżungli. Piski, skowyty, chrząkania, nagły łopot skrzydeł – wszystko to zlewało się w jedną kakofonię dźwięków, przy której normalnie zasypiałem. Lecz dzisiaj snułem trwożne myśli o możliwych skutkach niepowodzenia. Zapadłem w stan półjawy, półsnu; wydawało mi się, że idzie po mnie przyboczna straż, aby rzucić mnie na pożarcie hienom, których chichoty pobrzmiewały tu i ówdzie. Otrząsnąłem się z przywidzeń i znów zapadłem w półsen. Ognisko zupełnie przygasło. Ponownie usłyszałem jakieś kroki. Tym razem, po otrzeźwieniu, słyszałem je nadal. Grupa mężczyzn w milczeniu zbliżała się do chaty. Pod lewą łopatką, miast serca, czułem polny kamień, który z głuchym łomotem tłukł się o żebra. Powinienem zrobić EKG – pomyślałem, widać niezupełnie otrząsnąłem się z majaków. Kroki zbliżały się. Mimo iż noc była chłodna, po plecach spływały mi strużki potu. Grupa milczących mężczyzn była bardzo blisko. Zaszyłem się w kąt chaty, ściskając w ręku rewolwer i pilnie obserwowałem drzwi. Po chwili mata się uchyliła.
W drzwiach stanął Oguna, wspierając się na dzidzie mojego pomysłu.
– Wielki szamanie, stało się według twej woli.
– Balunga?
– Błaga cię, wielki szamanie, o łaskę i pragnie ze wszystkich sił, abyś uczynił go swym osobistym służącym.
– Straż przyboczna?
– Jest gotowa wiernie ci służyć, choć na razie leży powiązana i czeka swojego losu.
– Dobrze, mój zacny Oguno. Bardzo dobrze. Dzielnie się spisałeś i dlatego mianuję cię komendantem strażników nowego ładu, a zarazem głównym wykonawcą moich rozkazów – odłożyłem dyskretnie rewolwer do schowka i wytarłem rdzawe plamy, które przylgnęły do spoconej dłoni.
Oguna skłonił się nisko i czekał. Nie przypuszczałem, że wszystko potoczy się aż tak szybko. Zmuszony byłem improwizować, aby nie stwarzać wrażenia, iż sam jestem zaskoczony tym, co się stało. Zamach stanu udał się i należało coś zrobić. Był to mój pierwszy zamach stanu, więc nie czułem się pewnie w roli dyktatora. Na wszelki wypadek przybrałem pozę, jaką miewają politycy na oficjalnych portretach, aby dać Ogunie do zrozumienia, że nie tylko panuję nad wydarzeniami, ale nawet przewiduję ich przebieg.
– Dziś o wschodzie słońca zgromadzisz starszyznę plemienia, a także wszystkich wojowników. Na miejsce zbiórki wyznaczam plac przed chatą Balungi. Tam nastąpi uroczyste przekazanie mi władzy.
– Rozkaz, wielki szamanie. Przyniesiemy Balungę, kiedy dasz znak.
– Jak to, przyniesiecie? Czyżby nie mógł chodzić?
– Jest związany...
– Więc go rozwiążcie – powiedziałem i zaraz dodałem szybko: – Wystarczy, jeśli rozwiążecie go tuż przed ceremonią.
– Rozkaz, wielki szamanie.
– I dajcie mu do zrozumienia, że nie powinien psuć podniosłej chwili nieodpowiedzialnymi wybrykami. Jeśli nadal chce żyć.
– Stanie się, jak każesz, wielki szamanie – odparł i skierował się do wyjścia.
– Jeszcze jedno, mój poczciwy Oguno – zatrzymałem go. – Prywatnie, między nami, możesz nadal tytułować mnie wielkim szamanem. Jednak oficjalnie nie wolno się do mnie zwracać inaczej, jak Wielki Wodzu. Nasz nowy ład, w imię którego zrzuciliśmy tyrana, zasługuje chyba na Wielkiego Wodza, prawda?
– Tak jest, Wielki Wodzu – odparł Oguna bez drgnienia powieki.
– Liczę na ciebie, mój komendancie – powiedziałem, aby zaakcentować również jego nową godność.
– Nie zawiodę zaufania – odparł z niezwykłą u niego pewnością siebie. Zaczynał już przyzwyczajać się do zaszczytnego stanowiska.

Ceremonia uroczystego przekazania władzy odbyła się w podniosłym nastroju. Nie było żadnych zakłóceń ze strony nieuświadomionych elementów. Dla dodania sobie powagi wystąpiłem z rewolwerem, a kiedy Balunga przekazał mi amulety wodzowskie, a nade wszystko – butelkę, z której rytualnie wypiłem kilka łyków wody, zatknąłem rewolwer za pas i udałem się w kierunku chaty. Towarzyszyła mi moja przyboczna gwardia, a za nią ruszyła reszta. Jeden Balunga pozostał tego dnia samotny.
Kiedy powiesiłem insygnia władzy nad drzwiami swojej chaty, zaś butelkę umieściłem w tym samym schowku, co rewolwer,

starszyzna, a za nią cała ludność, wydała okrzyk zachwytu. Po tym punkcie programu, na mój znak, gwardia zaczęła rozdawać zapasy suszonego mięsa, które zgromadził dla siebie przezorny Balunga. Oficjalny zachwyt przemienił się w spontaniczne owacje i gwardia otoczyła mnie, aby ochraniać moją osobę od natarczywych objawów radości wyzwolonego ludu. Stali ci wspaniali chłopcy, uzbrojeni w dzidy mojej konstrukcji. Twarze mieli marsowe, ale wiedziałem, że to maska, jaką przystoi wkładać prawdziwym wojownikom na podniosłe uroczystości, zaś pod nią kipi radość przemieszana z ulgą, że stanęli po właściwej stronie we właściwym czasie.

Zaraz po inauguracyjnym przemówieniu, w którym zapowiedziałem wyprawę nad rzekę, rozpoczęły się tańce. Świętowano do późnej nocy. Oguna nie tracił czasu na zabawy i od razu przystąpił do formowania oddziałów wojowników zgodnie z moimi wskazówkami.

Nie minęły trzy dni, gdy zbudowane zostały zręby nowej społeczności. Przede wszystkim Oguna sformował niewielką, ale poręczną armię, wyposażoną w nowe, wydłużone dzidy. Po wtóre – Seko zorganizował specjalny oddział wojowników przeznaczony do ochrony ładu i porządku. Po trzecie, sam osobiście zreformowałem – przy pomocy oddziału specjalnego – Radę Starszych, która od tej chwili nazywała się Radą Plemienia. Usunąłem siedemdziesiąt procent konserwatywnych starców, a na to miejsce wprowadziłem żądnych działania zuchów, na których mogłem polegać, bo swój awans zawdzięczali mnie.

Zgodnie z moją rekomendacją, przewodniczącym Rady został wybrany Oguna. Nie ma potrzeby dodawać, że wybór był jednomyślny. Stanowisko szamana zachowałem dla siebie. Zrobiłem tak na wyraźne życzenie mojego ludu i nieistotny jest fakt, iż życzenie to podsunąłem szeptem Ogunie. Chłopak nie miał doświadczenia w sprawach państwowych i musiałem mu czasem pomagać.

Teraz już myślałem zupełnie serio, że zjedzenie dobrze posolonego udźca koźlęcia jest niezbyt odległe. By przybliżyć tę perspektywę zarządziłem ćwiczenia wojskowe. Wprawdzie sam byłem cywilem do szpiku kości i nigdy nie przeszedłem nawet szkolenia rekruckiego (ze względu na stan zdrowia i wuja w Sztabie Generalnym), ale pamiętałem telewizyjne reportaże z poligonów i defilad. Komendy wynalazłem naprędce; krótkie, dźwięczne, zapowiadające zupełnie nowy okres w dziejach wojownictwa naszego plemienia. Wygłosiłem także stosowną przemowę o przewadze nowoczesnej broni, w którą wyposażyłem wojowników, co znakomicie podniosło morale mojej armii.

Przez tydzień prowadzone były ćwiczenia. Od czasu do czasu obserwowałem je podczas uroczystych inspekcji. Wojownicy szybko doszli do wprawy w przebijaniu kukieł krokodylich na lądzie i pod wodą. Nadchodził czas wielkich zmagań z prawdziwymi krokodylami. Wojownicy Oguny, żądni sławy, z entuzjazmem czekali tej chwili. Nie były to wcale moje powierzchowne przypuszczenia. Nastroje te przezierały również przez raporty, które codziennie rano składał mi Seko.

Dzień wyprawy nad Wielką Rzekę wybrałem starannie, zapowiadając w kolejnym uroczystym przemówieniu, że Akwawit jest z nami i z niecierpliwością czeka, aż rozprawimy się z bezbożnymi gadami, które bezczeszczą święte wody Wielkiej Rzeki.

Wyruszyliśmy o świcie; w szyku, który nakazywała naturalna ostrożność. Najpierw mały oddział zwiadowczy, składający się z najlepszych biegaczy plemienia. Zwiadowcy prowadzili pluton kóz, a właściwie – kozłów ofiarnych, na które miał się skierować pierwszy impet krokodylej żarłoczności. Pół kilometra za nimi posuwały się główne siły armii, potem ja – w ścisłym otoczeniu przybocznej gwardii, a za mną reszta plemienia. W chatach pozostali tylko ci, którzy nie mogli chodzić, a więc niemowlęta i starcy złożeni chorobą. I, rzecz jasna, Balunga, którego kazałem zamknąć; bo chociaż wielokroć dał dowody lojalności, a nawet oddania, wolałem nie ryzykować jego nieodpowiedzialnych, wichrzycielskich wybryków w przypadku niepowodzenia wyprawy.

Kozły ofiarne opierały się, szarpały, co należało złożyć na karb ich słabego uświadomienia politycznego. Nie rozumiały zaszczytnej funkcji, jaka została im powierzona i dlatego opóźniały nasz pochód.

W końcu jednak oddział zwiadowców zniknął w przybrzeżnych zaroślach, gdzie od dwóch już lat nie stanęła ludzka stopa. Główny rzut sił zbrojnych krok za krokiem zbliżał się do niebezpiecznej strefy. Serce zaczęło mi mocniej bić. Zbliżał się moment zasadniczych rozstrzygnięć.

Minęło kilka dobrych chwil, a z zarośli nie wyłonił się nikt. Było niemal niemożliwe, aby wszyscy zwiadowcy zostali natychmiast pożarci. Ci młodzieńcy celowali przecież w szybkim oddalaniu się z niebezpiecznych miejsc. Poczułem się nieswojo. Kazałem Seko zacieśnić szyki, zaś Ogunie dałem znak rozpoczęcia ataku. Armia, wywijając dzidami, wpadła z krzykiem w zarośla. Wkrótce krzyk ten zamarł i już nic nie słyszeliśmy.

Dostojni członkowie Rady Plemienia zaczęli spoglądać na mnie lękliwie, a kobiety, zamykające nasz pochód, na wszelki wypadek podniosły lament. Z minuty na minutę morale spadało. Już nawet członkowie przybocznej gwardii zaczęli spoglądać na siebie niespokojnie.

Gdy usłyszałem trwożne szepty, że żywy nie uszedł ani jeden, postanowiłem rzucić na szalę cały swój autorytet.

Krzyknąłem do Seko:

– Za mną!

Wpadłem w zarośla pierwszy. Nie miałem czasu na oglądanie się, ale z ulgą słyszałem za sobą trzask łamanych gałązek. Gwardia nie zawiodła.

Przebiegłem zarośla z dzidą gotową do ataku i znalazłem się na podmokłym brzegu Wielkiej Rzeki. Oczom mym ukazał się dziwny widok. Ludzie z oddziału zwiadowczego, przemieszani z głównymi siłami armii, krążyli tuż nad wodą pilnie czegoś wypatrując. Porzucone kozły ofiarne spokojnie szczypały trawę.

Wezwałem Ogunę, który stawił się natychmiast i służbiście zameldował:

– Wielki Wodzu! Nie ma krokodyli na lądzie. W wodzie znaleźliśmy tylko jednego, a i to ślepego. Nie ustajemy w poszukiwaniach.

– Tego się spodziewałem – powiedziałem na wszelki wypadek i dałem mu znak, aby odszedł do swych zajęć. Tymczasem sam przemyśliwałem, jakby z tego zbiegu okoliczności uczynić sukces militarny.

Jeszcze tego samego dnia zwołałem wiec, którego głównym punktem było moje przemówienie, poprzedzone tryumfalnym pochodem zwycięskiej armii.

Przywiązywałem wielką wagę do ceremonialnej oprawy każdej plemiennej uroczystości. Wiedziałem bowiem, że nic nie zapada silniej w pamięć pospólstwa niż wielkie ceremonie; są one odbierane jako znak powagi, stabilizacji i dobrych perspektyw na przyszłość. Wszak przegrani, lub nawet tylko zagrożeni, nie organizują uroczystości.

Godzi się też dodać, iż uroczystości te pełniły zarazem dodatkową funkcję w podnoszeniu na wyższy poziom demokracji w naszym plemieniu. Zaprowadziłem obyczaj, który szybko się utrwalił, że w czasie uroczystości każdy członek plemienia mógł zadawać pytania i wyrażać swoje opinie o polityce Wielkiego Wodza. Zawsze byłem zwolennikiem demokracji bezpośredniej i w tym właśnie kierunku zacząłem prowadzić wychowanie mojego ludu.

Pewne, czysto techniczne szczegóły były przyczyną tego, że mechanizm zadawania pytań i wyrażania swoich opinii musiał być zorganizowany. Co by to było, gdyby nagle wszyscy zaczęli zadawać pytania i mówić, co myślą? Powstałby chaos, w konsekwencji naruszenie powagi urzędu, który dla dobra plemienia sprawowałem. Dlatego też Seko był odpowiedzialny za zachowanie porządku i dobrych obyczajów. Wyznaczył więc tych, którzy mieli zadawać pytania i wkrótce wyznaczenie do zadania pytania stało się jednym z najzaszczytniejszych wyróżnień w naszej społeczności. Ponieważ pytania mieli zadawać przedstawiciele wszystkich warstw, a nie wszyscy wiedzieli, o co pytać, została przygotowana przez Radę Plemienia lista standardowych pytań i opinii na ważniejsze uroczystości. Wszyscy więc mogli brać udział w demokratycznym dialogu bez obawy, że ich wystąpienia okażą się niedojrzałe politycznie. Było to wielkie osiągnięcie na polu reform społecznych. Każda uroczystość utwierdzała mnie i wszystkich pozostałych, że idziemy we właściwym kierunku. Podejmowane inicjatywy cieszyły się jednomyślnym poparciem wszystkich członków plemienia. Nigdy nie spotkałem się z pojedynczą choćby opinią, która zawierałaby pogląd przeciwny.

Nie inaczej było i tym razem. Wygłosiłem przemówienie, w którym podałem do publicznej wiadomości, że dzięki pomocy Akwawita przepędziłem wcześniej wszystkie krokodyle pewnym osobliwym zaklęciem, zaś dzisiejsza wyprawa udowodniła, że nawet gdybym nie uciekł się do pomocy tego zaklęcia, to i tak nasza dzielna armia zrobiłaby z nimi porządek. Zbyt jednak miłuję swój lud – mówiłem – bym miał go narażać na niepotrzebne ryzyko. Przemówienie moje zostało przerwane niekłamanym wybuchem entuzjazmu. Gdy się uciszyło, ogłosiłem oficjalnie, iż tereny przybrzeżne zostały ponownie włączone do prastarego terytorium naszego plemienia. Przyjęto to spontanicznymi wybuchami radości, jak zwykle w przypadku zysków terytorialnych. Postanowiłem, że kozły ofiarne zostaną zjedzone na uroczystej uczcie na cześć nowego porządku, który otworzył przed plemieniem nowe perspektywy. Seko z trudem uspokajał najbardziej rozentuzjazmowanych.

Mogłem spokojnie wypuścić Balungę; już nie był groźny.

Uczta trwała do późnej nocy. Śpiewom i tanecznym korowodom nie było końca. Lubiłem patrzeć, jak mój lud się bawi. Tylko jedna rzecz nadal psuła mi humor; brak soli.

Następnego dnia, po jałowym śniadaniu, składającym się z prażonej fasoli i koziego mleka, kazałem nawiązać łączność z plemieniem po drugiej stronie rzeki. Zadanie to okazało się trudniejsze niż przypuszczałem. Wszystkie tam-tamy plemienne były niezdatne do użytku. Podobnie zresztą, jak pirogi, które zdążyły zgnić w otoczeniu krokodyli.

Zaraz też po śniadaniu wyznaczyłem brygady remontowo-budowlane; część zajęła się konstrukcją nowych tam-tamów (bo czymże jest sprawowanie władzy bez środków łączności?), część została skierowana do remontu piróg, zaś dla siebie kazałem zbudować specjalną jednostkę pływającą, większą i napędzaną nie

tylko wiosłami, lecz również żaglami mojego pomysłu. Moja piroga miała pełnić funkcję jednostki flagowej.

Prace te zajęły wojownikom cały dzień, mimo ponagleń Seko i jego dziarskich chłopców. Kiedy byliśmy gotowi do wyprawy, Oguna otrzymał polecenie nawiązania łączności i uprzedzenia, że wybieramy się z wizytą dobrej woli. Pamiętam ten przyjemny wieczór nad brzegiem Wielkiej Rzeki i urywane dźwięki tam-tamu, które niosły na drugi brzeg wiadomości o naszej rychłej, przyjacielskiej wizycie.

Blisko godzinę Oguna bezskutecznie wywoływał drugi brzeg, gdy wreszcie usłyszeliśmy odpowiedź.

Spojrzałem niecierpliwie na stojącego obok mnie Seko, który natychmiat zaczął tłumaczyć:

CIE-SZY-MY-SIĘ-Z-NA-WIĄ-ZA-NIA-ŁĄCZ-NOŚ-CI-MY-TEŻ-PRZE-PĘ-DZI-LIŚ-MY-KRO-KO-DY-LE-CHCE-MY-ROZ-MA-WIAĆ-Z-BA-LUN-GĄ-BRAT-AME-LUN-GA.

Treść depeszy nieco mnie zdezorientowała. Zwróciłem się więc do Oguny:

– Czy Amelunga jest rzeczywiście bratem Balungi?

– Oni są spokrewnieni przez matki ze strony ojców. Co odpowiedzieć?

– Odpowiedz, że macie nowego, wielkiego wodza, który też jest bratem Amelungi.

Znów zawarczał tam-tam pod wprawnymi rękami Oguny. Po chwili ciszy nadleciała niesiona wiatrem odpowiedź:

CHCE-MY-ROZ-MA-WIAĆ-Z-BA-LUN-GĄ.

Zezłościła mnie ta uparta odpowiedź, przywoływała bowiem niepotrzebne wspomnienia z przeszłości. Kazałem zakończyć łączność. Wróciliśmy do wioski i zwołałem naradę najściślejszego sztabu, to znaczy – wezwałem do siebie Ogunę i Seko.

Skoro tylko się zjawili, zacząłem w te słowa:

– Jeśli nie spełnimy drugiego warunku postawionego przez Akwawita, jego przychylność może się od nas odwrócić. Musimy zdobyć gorzkie jezioro, taki jest nakaz chwili. A poza tym, czyż możemy pozwolić, aby nasi bracia za rzeką jęczeli pod jarzmem rządów Amelungi, skoro wyzwoliliśmy się spod tyranii Balungi?

– Nie możemy na to pozwolić – odparli zgodnie.

– No właśnie. Byłby to policzek dla naszego nowego ładu. – Zapalałem się coraz bardziej. – Byłoby największym egoizmem z naszej strony, gdybyśmy zdobycze nowego ładu chowali tylko dla nas. Czyż nasi bracia za Wielką Rzeką nie zasługują na lepsze życie?

Krzyknąłem. Nic nie ma takiej siły przekonania, jak krzyk.

– Zasługują! – potwierdzili obaj, pełni gotowości.

– Mam plan – ciągnąłem dalej – jest prosty, a jego wykonanie nie powinno sprawiać kłopotów tak znakomitym wojownikom jak wy.

– Słuchamy cię, Wielki Wodzu – rzekł Seko z przejęciem.

– Musimy działać szybko, bo wieść o nieroztropnej odpowiedzi Amelungi rozniesie się po naszym plemieniu i zamąci w głowach umiłowanego ludu.

– Tak jest!

– Będziemy więc działać w następujący sposób – zniżyłem głos, aby moje dyrektywy nie dostały się do niepowołanych uszu. – Ty Seko, znasz swoje plemię doskonale. Masz tam krewniaków, przy których pomocy pokażesz naszym braciom zza rzeki, że można żyć lepiej, czyli tak jak my żyjemy. Oczywiście napotkasz opór starych, konserwatywnych elementów z Amelungą na czele. Wówczas wezwiesz nas na pomoc. Czy wszystko jasne?

– Tak jest, Wielki Wodzu. Zrobię, jak każesz.

– W razie powodzenia, w które nie wątpię – dodałem – będziesz pełnił funkcję zaprzyjaźnionego z nami wodza naszych braci zza rzeki. Czy to ci odpowiada?

– Tak, Wielki Wodzu – odparł szybko. – Amelunga nigdy mnie nie lubił i dlatego przy pierwszej okazji pozbył się mnie ze swojego plemienia. Ale nadszedł czas zapłaty; podzieli los Balungi. Zasłużył na to – dodał mściwie, a ja zdobyłem przekonanie, że włoży całą energię w wykonanie powierzonego zadania.

Seko wyruszył na drugi brzeg tej samej nocy. Dwa dni czekaliśmy na sygnał, ale drugi brzeg milczał uparcie. Trzeciego dnia, w porze przedwieczornej, najlepszej do nadawania, poszedłem z Oguną na brzeg i kazałem wysłać następującą depeszę:

DO-WIE-DZIE-LIŚ-MY-SIĘ-ŻE-MA-CIE-TRUD-NOŚ-CI-JUT-RO-WY-SY-ŁA-MY-PO-MOC.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

WSZEL-KĄ-PO-MOC-ODEP-RZE-MY-NA-SZA-AR-MIA-JEST-W-PO-GO-TO-WIU.

Ogromnie zatroskała mnie ta odpowiedź. Oznaczała, że Seko nie zdołał jeszcze opanować środków łączności i masowego przekazu. Obawiałem się o jego los, bo był znakomitym kandydatem na zaprzyjaźnionego wodza. Wydałem więc niezbędne rozkazy do podjęcia przyjacielskiej wyprawy nazajutrz przed świtem. Oguna zajął się techniczną stroną przygotowań.

Wyruszyliśmy na godzinę przed wschodem słońca. W rzedniejących z wolna ciemnościach spoglądałem z dumą na moją flotę; wyglądała imponująco. Wojownicy byli pełni zapału; wszak tam, po drugiej stronie rzeki, były kobiety, które zostały przyobiecane im jako żony. Ich zapał podwyższyło moje ostatnie zarządzenie, likwidujące okup za żonę z zaprzyjaźnionego plemienia.

Desant odbył się sprawnie i bez specjalnych kłopotów. Armia Amelungi, mimo zapewnień o gotowości, jeszcze spała. Jedynie gwardia przyboczna starego wodza stawiała, słaby zresztą, opór. Wydłużone dzidy mojej konstrukcji jeszcze raz wykazały swoją wyższość nad tradycyjnym uzbrojeniem.

Nigdzie jednak nie napotkaliśmy Seko. Nie było też widać żadnych śladów jego działalności. Początkowo Amelunga zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o bytności Seko w tych stronach. Kiedy jednak kazałem go przesłuchać członkom mojej przybocznej gwardii, język mu się rozwiązał i przypomniał sobie, że, istotnie, widział Seko, a nawet kazał go uwięzić w jednej z pieczar nad rzeką. Wysłałem dwóch ludzi ze swojej gwardii, aby czym prędzej uwolnili Seko, zaś Amelundze nakazałem abdykację. Uczynił to bez zwłoki, co poczytałem mu za okoliczność łagodzącą. Trybunał wojskowy, zorganizowany przez uwolnionego Seko, skazał Amelungę tylko na banicję, zaś pełnię władzy przekazał Seko.

Oguna, na prośbę nowego wodza, oddał mu do dyspozycji część armii, aby pomóc mu w zorganizowaniu własnych sił zbrojnych.

Z całą tą formalną robotą uwinęliśmy się dość szybko. Mogłem nareszcie udać się nad Gorzkie Jezioro, zaproszony zresztą oficjalnie przez Seko, który namawiał mnie do kilkudniowego wypoczynku po trudach wyprawy. Chętnie przystałem na jego propozycję.

Po raz pierwszy po długiej przerwie jadłem tego dnia solone potrawy.

Dni płynęły leniwie; Seko robił wszystko, abym czuł się komfortowo. Tymczasem Oguna, w moim zastępstwie, sprawował rządy w swojej rodzinnej wiosce. Po obu stronach rzeki zapanował pokój i współpraca. Tubylcy, idąc moim śladem, zaczęli jeść solone potrawy. Wkrótce tak do tego przywykli, że nie wyobrażali sobie innego jedzenia, jak solone.

Pozostałbym pewnie w gościnie u Seko dłużej, gdyby nie coraz bardziej zastanawiające zachowanie Oguny. Miast samorzutnie przysyłać mi raporty o sytuacji w wiosce, czynił to tylko na moje wyraźne żądanie. Ponadto przestał w raportach tytułować mnie „Wielkim". Postanowiłem niezwłocznie powrócić. Uczyniłem to bez uprzedzenia i zastałem Ogunę na zwołanym przezeń zebraniu jego najbardziej zaufanych krewniaków, którymi poobsadzał ważniejsze stanowiska w armii. Rzekomym celem tego zebrania było podniesienie morale armii, które spadało w zastraszającym tempie. Ponieważ – jak mówił Oguna – w okolicy nie ma teraz żadnych wrogów, armia wyraźnie gnuśniała. Przypomniał mi, że to ja w mojej doktrynie wojennej zawarłem pouczenie, że armia bez wroga przestaje istnieć; powoli, choć systematycznie toczy ją demoralizacja. Może istotnie o czymś takim wspominałem, ale przecież warunki zmieniły się diametralnie. Teraz już nawet dziecko nie bało się Balungi, więc nie mógł on dłużej pełnić roli wroga, który integrowałby armię wokół wspólnego celu.

Manewry też się armii znudziły, zaś Oguna uparcie twierdził, że armii potrzebny jest autentyczny wróg. Wyglądało to logicznie i gotów byłbym przyznać Ogunie rację, gdyby nie zdarzenie, które napełniło mnie obawą.

Którejś nocy zniknął mój zardzewiały rewolwer i butelka. Zrozumiałem wówczas, że Oguna już znalazł wroga, który uratuje jego armię.

Tym wrogiem miałem być ja.

Nie zwlekając ani chwili, załadowałem pod osłoną ciemności moją flagową jednostkę niezbędnymi zapasami żywności i broni i odbiłem od brzegu. Czułem, że byłoby wielką nieroztropnością z mojej strony czekanie poranka i wyjaśnienie sprawy zaginionych przedmiotów.

Ruszyłem w dół rzeki w nadziei, że uda mi się dołączyć do kompanii lotników, którzy mieli zamiar założyć osadę poniżej Zwrotnika Koziorożca.

Warszawa, 1980 **Edmund Wnuk-Lipiński**


Andrzej Bicki

Dariusz Tomasz Lebioda

PILOCI ultrafioletowych dali

Fragmenty

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

III

byłem tylko pracownikiem służby naziemnej ale ten ubrany zawsze w jaskrawobłękitny kombinezon lotnik często przychodził do naszego warsztatu i opowiadał mi o swoim srebrzystym odrzutowcu

jego maszyna nie należała do najnowocześniejszych ale on uzyskiwał na niej prędkości rzędu sześć macha i nawet piloci najszybszych odrzutowców poklepywali go po ramieniu mówiąc o nim – błękitny hipersonik

na dwa dni przed wypadkiem (niektórzy mówią że było to samobójstwo gdyż mógł się katapultować) poprosił mnie o przejrzenie silnika – nie chciałem wierzyć własnym oczom – pomiędzy wlotem a dyszą nie było komory spalania jakieś pomarańczowe sita poprzecinane metalicznie połyskującymi prętami zachodziły na siebie koncentrycznie

zamykając osłonę niechcący dotknąłem jednego z prętów rozległ się przeciągły syk przypominający mruknięcie rozdrażnionego lwa i zaraz potem przyszedł błękitny hipersonik patrząc na mnie jak na mordercę

V

samoloty zwiadowcze białych raz po raz pojawiały się nad naszym zamaskowanym lotniskiem – wiedzieliśmy że kiedyś wreszcie nas odkryją i zawiadomią swoje bazy – nasi ludzie meldowali że ich bombowce gotowe są do lotu i czekają tylko na rozkaz

nasze błękitne dowództwo – ukryte we wraku ogromnego białego śmigłowca postanowiło przeprowadzić nalot na ich pozycje – już od czterech dni ładowaliśmy do komór bombowych pociski burzące każdy z nich piętnując niebieskim kołem – niektórzy pisali też imiona swych przyjaciół pilotów zestrzelonych nad whitelandem

wkrótce byliśmy gotowi ubrani w pomarańczowozłote kombinezony dyskutowaliśmy czy lepiej będzie bombardować ich z lotu nurkowego czy wznoszącego – fleming żartował że skieruje w nich swój bombowiec a wróci z powrotem na jednej z bomb – pamiętam że wszyscy wybuchnęli śmiechem

w chwilę potem wybuchać zaczęły na naszym lotnisku lodowato białe pociski naszych wrogów.

VII

wznosząc się ponad pułap chmur myślałem o tej różowej kobiecie którą wczoraj miałem w ramionach przyciągając ku sobie drążek sterowy miałem wrażenie że lekko naginam nad siebie jej ciało wbijając się w ostatnie czapy cumulusów cieszyłem się że rozgarniam jej jasne włosy wdychając powietrze czułem zapach jej skóry

kiedy odzyskałem przytomność dyżurny lekarz powiedział mi że mojego ponaddźwiękowego geparda biali zastrzelili ich najnowszą rakietą o nazwie natalia – nie wiem jak pan to przetrzymał – powiedział lekarz – nic podobnego nigdy mi się nie zdarzyło

kiedy odszedł spojrzałem w szklaną dal okna z daleka leciał w moją stronę biały gołąb – nie mogłem się doczekać chwili kiedy znowu spojrzę w oczy natalii

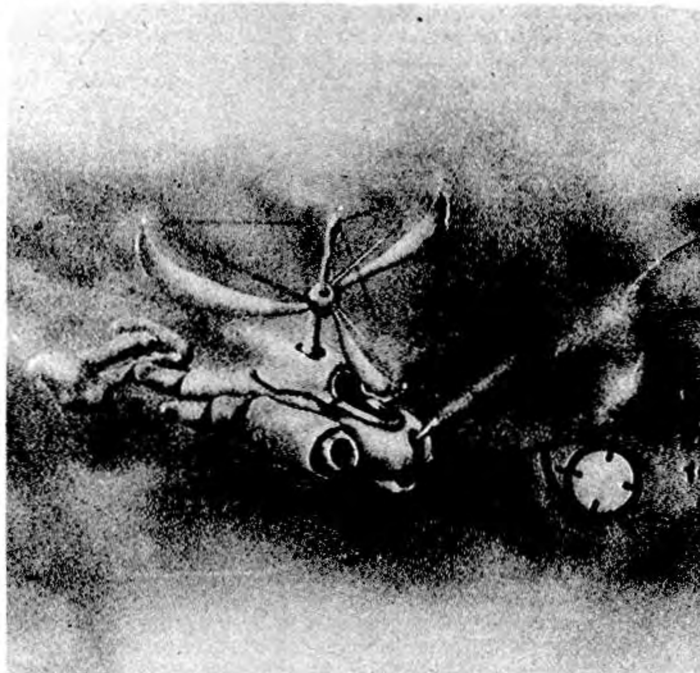
XIII

zajmowałem się projektowaniem śmigłowców generacji xtp 8 – otrzymałem zadanie skonstruowania nowego modelu maszyny która wzięłaby udział w defiladzie powietrznej nad drugim sektorem

długo żyłem w próżni moich myśli nie mogąc znaleźć właściwej koncepcji – chciałem aby ten helikopter zaćmił wszystkie moje dotychczasowe konstrukcje –

i wtedy gdy przypadkowo oglądałem film o drapieżnikach żyjących na półwyspie qp 46 wpadł mi do głowy ten pomysł

zbudowałem śmigłowiec przypominający kształtem czaszkę żenety – jego parametry przeczyły wszelkim pra-



wom aerodynamiki – fachowcy patrzyli na jego srebrzysty kadłub sceptycznie a młodzi konstruktorzy uśmiechając się chytrze wietrzyli w tym moją pierwszą wielką porażkę – możliwość zajęcia mojego miejsca w construction blue office

zbliżał się dzień parady – nikt nie zdążył należycie poznać mojej maszyny więc spokojnie czekałem na rozkaz pilotowania jej

nadszedł na dwa dni przed pokazem – eskadrą kierować miał mój kiedyś najlepszy przyjaciel martin kennedy

każdy kto słyszał huk setek wznoszących się w powietrze helikopterów wie jak raduje się serce konstruktora – oparłem rękę na drążku i wraz z innymi wzniosłem się nad lądowisko – miałem na sobie lśniący – biały jak śnieg – kombinezon żaroodporny

kiedy zbliżaliśmy się nad błękitny płaskowyż włączyłem mechanizm zegarowy – za minutę moja misja zostanie spełniona – wyskoczyłem ze śmigłowca i włączyłem zamontowany na plecach rakietoton

kilkadziesiąt sekund później mój helikopter – tak jak żeneta rzuca się na śpiącego na drzewie czarnowrona – wyskoczył do przodu tuż obok ogromnej maszyny martina kennedy

zanim błękitni zdążyli zorientować się co się stało wielka implozja wessała wszystkie lecące w idealnie równym szyku jednostki bojowe

– biel mogła przystąpić do kontruderzenia –

XIV

marica była dziewczyną maxa – max rzucił ją dla supernowoczesnego bombowca – marica zaczęła pić i szybko odebrano jej licencję

żeby zarobić na życie puszczała się z mechanikami pokładowymi i z członkami obsługi wahadłowców

była w tym równie dobra jak kiedyś w prowadzeniu odrzutowych jachtów powietrznych jak kiedyś w trzymaniu odrzutowego pocisku we właściwym torze lotu

prędko na swej nowej profesji dorobiła się fortuny kupiła samolot ponaddźwiękowy starszego typu i dzięki protekcji swoich kochanków z rady najwyższej odzyskała pozwolenie latania

kongregacja pilotów obarczyła winą za to co się potem stało kierownika lotów który pozwolił jej wystartować w momencie kiedy błękitne bombowce unosiły się z lotniska

pilot marica skierowała swój samolot w stronę prowadzącej eskadrę wielkiej maszyny maxa i zmieniając geometrię skrzydeł spowodowała zderzenie

zabiła jego wraz z kochanką i połączyła się z nim na zawsze w eksplodującym pocałunku śmierci

taka była starszy pilot marica

XVI

mam na imię paul – pracowałem jako muzyk na wahadłowcu chrabąszcz – powierzono mi prowadzenie czteroosobowego zespołu uprzyjemniającego sjesty głównym mechanikom i oficerom odpowiedzialnym za najważniejsze układy sterowe

zbliżaliśmy się do piątego sektora – nasza muzyka inspirowana obrazami z telewizjera miała ciepłe pomarańczowe brzmienie z lekkimi poblaskami złota i srebra

wszystkim bardzo się to podobało i cieszyliśmy się z tego – moi koledzy john george i ringo zbierali gratulacje na każdym pokładzie

wśród mechaników drugiego silnika był jednak chłopak który miał na imię david – był trochę stuknięty starał się we wszystkim naśladować naszego drugiego wokalistę johna – ubierał się tak jak on poślubił dziewczynę z tej samej platformy startowej i próbował grać na gitarze

feralnego dnia kiedy szliśmy do kantyny david z miotaczem laserowym w ręku czekał przyczajony we wnęce korytarza – kiedy zobaczył johna wpakował mu w szyję całą zawartość magazynka

gdy go schwytaliśmy krzyczał że nasz wokalista był szpiegiem białych i podszył się pod jego nazwisko – to ja jestem john to ja grałem w zespole z paulem georgem i ringo –

darł się na całe gardło gdy zamykano go w komorze neutralizacyjnej

XVII

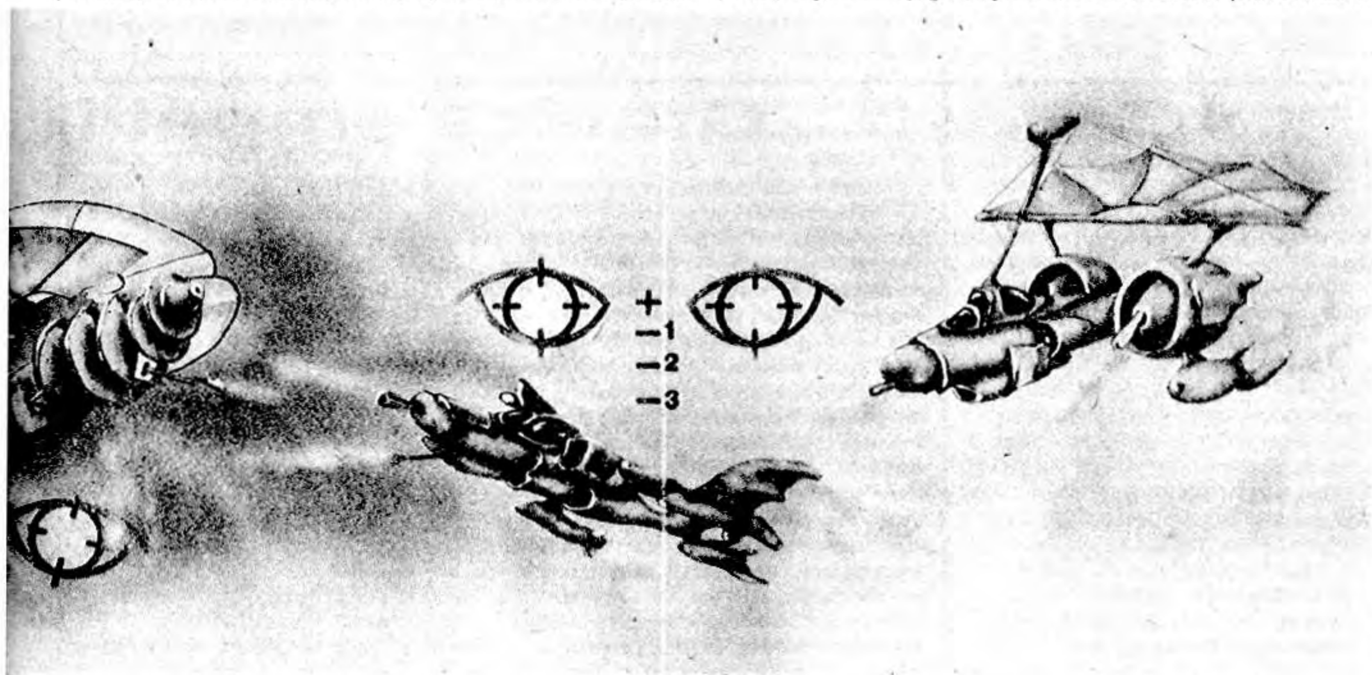
znad czwartego sektora przywieziono schwytanego cyborga – uczeni rozpoczęli z nim eksperymenty – okazał się niezwykle jak na istotę tak niskiego poziomu inteligentny

doświadczenia potwierdziły domysły że cyborg może naśladować głos człowieka a po pewnym treningu zdolny jest także odtwarzać całe fragmenty mowy ludzkiej

(...)

po szeregu treningów i doświadczeń w komputerowym mózgu cyborga umieszczono specjalnie przygotowany program – odtąd ten półczłowiek półmechanizm był jednym z naszych najlepszych zwiadowców

biali wpadli na jego trop na skutek awarii w przewodach – na szczęście wmontowano mu także mechanizm samoniszczący



Andrzej Brzezicki

XVIII

badacze czwartej grupy operacyjnej: evans i prescott w chwili gt 2 a także naukowcy pierwszej grupy jablokov i sikorsky w chwili zrównania trajektorii założyli że wypukła poduszka tłuszczowa umieszczona na kościach szczękowych i międzyszczękowych oraz wklęsła przednia powierzchnia czaszki białych pilotów działają jak soczewka dźwiękowa i reflektor

organy te koncentrują sygnały nadawane przez worki powietrzne związane kanałem nosowym i w postaci wiązki dźwięków kierują je na lokalizowany obiekt

hipoteza soczewki dźwiękowej doskonale tłumaczy dokładność celność a nade wszystko długie dystanse na jakie może działać echolokacja białych mumi

Nowa seria SF

Wydawnictwo „Iskry" zainaugurowało nową serię wydawniczą poświęconą literaturze fantastyczno-naukowej. Są to zeszyty zawierające krótkie utwory prozatorskie dość znanych, aczkolwiek nie tych najbardziej, autorów. Pierwszy cykl zeszytów otwierają dwa opowiadania Charlesa R. Tannera, z których jedno – „Tumitak z podziemnych korytarzy" – już się ukazało.

Pojawienie się nazwiska Tannera wśród autorów tłumaczonych na język polski przypomina o twardych prawach rynku, którym nasi wydawcy muszą się teraz podporządkować. Muszą zarabiać, a na fantastyce naukowej się zarabia. Jednocześnie zaś nie dysponują zbyt dużymi zasobami waluty wymienialnej na płacenie honorariów pisarzom współczesnym, których utwory są jeszcze chronione prawem autorskim. Dlatego zapewne za Tannerem pojawią się opowiadania i powieści innych autorów, którzy zmarli przed ponad 25 laty, a więc do ich twórczości wygasły już prawa autorskie i spadkobiercy nie będą mogli domagać się zapłaty za publikację w Polsce. Taka sytuacja nie zadowoli w pełni miłośników SF, ale też wymusza na wydawcach sięgnięcie do klasyki i przypomnienie zapomnianych lub zupełnie nieznanych u nas nazwisk i utworów. Wiedzy o tradycji nigdy nie za dużo i taka „powtórka z historii" światowej fantastyki naukowej przyda się nam wszystkim.

Mamy więc Tannera, zmarłego w 1954 roku pisarza, który nigdy nie był zaliczany do „pierwszej ligi" SF, nie olśniewał czytelników pomysłami, fantazją, choć tworzył rzetelne, rzemieślniczo poprawne utwory. „Tumitak z podziemnych korytarzy" otwiera cykl opowiadań Tannera, których akcja rozgrywa się na Ziemi opanowanej przez podstępnych przybyszów z Wenus. Ludzie po zaciętej obronie schronili się w podziemnych korytarzach i coraz bardziej dziczejąc żyją w strachu przed szylkami. Wenusjanie, szylki, najpierw urządzali polowania na ludzi, a później zaczęli po prostu hodować wybraną grupę ludzi, których zabijali wykorzystując ich krew dla sobie tylko wiadomych celów (narracja opowiadań prowadzona jest z punktu widzenia tytułowego bohatera, więc czytelnik wie tyle, co on lub niewiele więcej).

Wyjściowy pomysł opowiadań o Tumitaku jest zaczerpnięty z „Wojny światów" Herberta Georga Wellsa i Tanner nie starał się tego maskować. Nawet wygląd zewnętrzny szylków przypomina nieco opis Marsjan, jaki znajdujemy u Wellsa. Tanner jednak poszedł dalej niż autor „Wojny światów", który – było nie było – zakończył swą powieść happy endem. U Tannera Wenusjanie zwyciężyli i byli panami Ziemi. W chwili, kiedy rozpoczyna się akcja pierwszego opowiadania, o życiu na powierzchni ludzie wiedzą już tylko z legend. Tworzą skłócone wspólnoty plemienne, powoli się degenerujące. Jako taką wiedzą, będącą pozostałością po rozwiniętej niegdyś nauce, dysponują tylko dostarczyciele żywności. Synem jednego z nich jest Tumitak.

Tanner na tle – że tak powiem – „rozwiniętego" Wellsa ulokował bohatera zapożyczonego z opowieści rycerskiej. Otóż Tumitak przestudiowawszy starożytne księgi opisujące życie na Ziemi i najazd Wenusjan postanawia podjąć niebezpieczną wyprawę po głowę szylka, by udowodnić wystraszonym i zdegenerowanym ludziom, iż z szylkami można walczyć i można ich zabijać. Tu wszystko odbywa się zupełnie tak, jak w sadze – bohater zostaje przez ojca wyposażony w magiczne przedmioty (latarkę, granat i pistolet) i wyrusza żegnany przez najbliższych, którzy przekonani są, że już nigdy go nie zobaczą. Ale oczywiście wszystko się udaje, mimo licznych przygód Tumitak dociera na powierzchnię Ziemi i pokonując wielki strach zabija szylka, wraca do swoich, dokonuje zjednoczenia sąsiednich plemion i obwołany jest królem.

Na przykładzie twórczości pisarzy tej rangi, co Tanner, a więc średniej, widać doskonale, jak blisko SF jest związana z baśnią i jak sama żywi się swoim własnym dorobkiem. W opowiadaniu „Tumitak z podziemnych korytarzy" właściwie nie ma nic oryginalnego, niczym nas ono nie zaskakuje – jest doskonałą lekturą rozrywkową i niczym więcej. Powracają w nim motywy, postaci i myśli przeżute już przez innych, ale zgrabnie zmontowane i przystosowane do tego, co chciał osiągnąć pisarz. W sumie: mała rzecz, choć cieszy.

Leszek Bugajski

Charles R. Tanner: *Tumitak z podziemnych korytarzy"* Przełożył Wiktor Bukato. Iskry, Warszawa 1984. Cena 50 zł.

Granice empatii

Konstrukcja tomiku „Węzeł" Gabrieli Górskiej zrazu budzi w czytelniku konsternację, a potem może nawet uznanie. Teoretycznie są to trzy opowiadania, lecz autorka łączy je jednym tytułem i przechodzi skokowo od opowieści do opowieści, zmiana fabuły i bohaterów dokonuje się nagle. Ta gra stanie się zrozumiała, gdy uznać, że całość przedstawia wygenerowane sztucznie warianty naszego świata.

O możliwości takiej generacji opowiada część środkowa. Przedstawia tu Górska węzłową teorię czasu, w którym można się poruszać za sprawą urządzenia zwanego viniculatorem. Narrator tej części, Swann, podejmie podróż temporalną, by uratować śmiertelnie chorą, a kochaną kobietę. Ale uwaga – zmieniając jeden element rzeczywistości, możemy zachwiać całą jej skomplikowaną strukturą. I tak też się chyba stało, świadczą o tym światy przedstawione w części pierwszej i trzeciej – zdruzgotane, kalekie, karykaturalne.

Niedawno, przy okazji WL-owskiego wydania „Czarnoksiężnika z archipelagu" Ursuli Le Guin, czytaliśmy w posłowiu Lema do tej książki uwagi naszego mistrza SF o pisarstwie kobiet. Uwagi te, uczciwszy proporcje, częściowo pasują do książki Górskiej. Jest to proza poprawna, narracja na szczyty wspina się rzadko, ale i wyraźne zapaści nie przydarzają się autorce, jak bywa czasem z pisarstwem energiczniejszych mężczyzn. Potwierdza także lektura „Węzła" ów sąd potoczny który widzi w kobietach istoty szczerze zajęte tym, co kruche, delikatne, pokrzywdzone.

Przy czym, co także jest właściwością pisarstwa pań, bardziej bywa autorka „Węzła" przekonywająca, gdy apeluje do czytelniczego współczucia, niż gdy w obronie pokrzywdzonych i wyznawanych wartości przechodzi do ataku. I tak na przykład część pierwsza – utrzymana w klimacie lirycznego horroru relacja o spotkaniu nadwrażliwego chłopca z przedstawicielem agresywnej cywilizacji – niesie znane przesłanie, byśmy wyszli naprzeciw innym, a wtedy i oni zrezygnują z wrogości. Nie zawiera już podobnego zrozumienia cudzych racji część ostatnia, rysująca karykaturalny obraz społeczności pisarzy i krytyków. Ta akurat alegoria ma zresztą wyraźny adres (jeden z demonicznych krytyków literackich owego świata nazywa się Starościk, drugi – Niewiadomski); niech mnie diabli, jeśli czytelnicy nie domyślą się, o kogo chodzi!

Uważam, że złośliwy portrecik dawno się nam fantastom należał, ale Górska gryzie chyba problem od niewłaściwej strony. W jej świecie XXI wieku, wygenerowanym niejako przy uzdrowicielskiej okazji, autorzy zrzeszeni w specjalnym Koncernie piszą pod dyktando demonicznych Krytyków, a czytelnicy zaś poznają ich dzieła tylko z recenzji, konsumując na co dzień „bzdurne komiksy". Krytycy rozkwitają, przygnębieni autorzy marzą o dawnych czasach, w których autor pozostawał suwerenny, krytyk był doradcą i przyjacielem, a nie dyktatorem, a książki ukazywały się w nakładach wielotysięcznych, nie zaś w jednym egzemplarzu. Brzmi to efektownie, ale alegoria jest głęboko niesłuszna. W znanym mi świecie znani mi krytycy SF pisali recenzje wewnętrzne odrzucając poronione grafomańskie teksty, a jednò z wydawnictw też zresztą w imię jakichś racji puszczało je mimo wszystko na rynek. Górska rozpacza, jakie to wspaniałe stronice kreślą jej literatom Krytycy- Oprawcy, ja zaś nie mogę uwierzyć w wartość dzieł powstających przy użyciu Systemu Inspiracji Autorskiej, który bezpłodnemu autorowi piszącemu akurat o morzu funduje fantomatyczny sztorm zupełnie jak żywy. Poza tym gdyby Górska nie była tak niesprawiedliwa dla krytyków, jak jej Krytycy są dla pisarzy, zauważyłaby natychmiast, że uprawianie krytyki też jest rodzajem p i s a r s t w a i że analizowanie grafomanii może być koszmarem. Pojęcia grafomanii zdaje się Górska nie znać, nie pojawia się ono w wymyślonym przez nią świecie.

Nie mówię, że stosunki wśród fantastów, w ogóle w świecie literatury są zdrowe. Ale i nie uzdrowi ich wrażliwa i drażliwa autorka, eksponująca taki selektywny wątek, że jej jakiś krytyk nadepnął na odcisk, bo polecił tekst poprawić, skrócić lub przemyśleć od nowa. Zresztą, czy krytyk? A może – wydawca, mecenas, redaktor, cenzor, polityk, dysponent... kto tam jeszcze? Tylko Górską taka krzywda spotkała? Nie spotykały innych krzywdy nieco większe? Rozumiem, że „Węzeł" to są zwykłe fikcje – parodie światów z viniculatora – ale niepokoi mnie, że autorka tak dobrze wie, kogo i za co wolno jej atakować, a kogo już nie. Że na temat na przykład komiksów ma do powiedzenia tyle tylko, że są kretyńskie, najgłupsze, szmirowate... Typowo damski punkt widzenia, nawiasem mówiąc.

Nie staram się dotknąć Górskiej, tylko na zimno prześwietlam wady i zalety jej tomiku. W książce najważniejszej jest napisana właśnie część trzecia (niesłuszna, co chyba udowodniłem), najmniej efektowny wydaje się środek. Początek jest niezły, choć znam wiele opowiadań o niepokojach dziecka poszukującego przyjaźni, a dręczonego przez niemądrych rodziców. W ogóle wolę w „Węźle" strukturę niż fakturę, całość jest lepiej pomyślana niż zrobiona i pewnie dlatego rozszyfrowanie oryginalnej konstrukcji książki dostarczyło mi małej radości. Aha – i nie zgadzam się z zakończeniem. Autorka buduje pętlę: literaci, którym źle było pod butem Krytyków, także na wolności, którą sobie wywojują, nie wiedzą co począć i po pewnym czasie szukają starego bata. Mam wrażenie, że Górska, jak to u kobiet bywa, zapomniała o bogactwie stanów pośrednich.

Maciej Parowski

Gabriela Górska: *Węzeł*. Seria „Stało się jutro". Nasza Księgarnia, Warszawa 1985. Cena 55 zł.

PS. Swoje recenzje piszę czasem na podstawie tzw. szczotek otrzymywanych z wydawnictw, lub – jak było w przypadku zapowiadanych wznowień książek Cz. Chruszczewskiego („Fenomen kosmosu"), J. Kozieleckiego („Smutek spełnionych baśni") i E. A. Poego („Opowiadania") – na podstawie poprzednich wydań. Ten sposób czynienia rubryki bardziej aktualną sprawia, że recenzjom zdarza się dotrzeć do rynku przed książką. Za wynikłe z owych wyprzedzeń nieporozumienia przepraszam zainteresowanych Autorów, Wydawców, Czytelników. (mp)

Biotranzystor w zamieci elektromagnetycznej

Chociaż poglądy o wyprzedzaniu fantazji przez naukę są głoszone od wielu lat, większość odbiorców traktuje takie sformułowania jako kurtuazyjne gesty w stronę tej drugiej. O tym, że nie mają racji przekonuje nas najnowsza książka profesora Włodzimierza Sedlaka, zawierająca kwintesencję dwudziestoletniej pracy autora na polu bioelektroniki – dziedziny wiedzy, której jest prekursorem.

Przebijając się przez tę książkę – a nie czytając, bo nie jest to książka do czytania – z każdym rozgryzionym zdaniem utwierdzamy się w przekonaniu, iż twórcom science fiction – tym, oczywiście, którzy pierwszego członu gatunku nie traktują jak zwykłego ozdobnika – pozostało albo zamknąć warsztaciki, albo starać się jako tako utrzymać na etacie kibiców czołówki. Jeśli zdecydują się na drugie rozwiązanie, to powinni obserwować obszary kontaktowe dwu lub większej liczby dyscyplin, gdyż właśnie tam bywa najciekawiej. Zgodnie z regułą zjawiska, które można by nazwać „prawem pogranicza", wszystko co nowe rodzi się na stykach – stanach skupienia materii, nauk, kultur, systemów, jakby tam tkwiły zarodki stwórczego fermentu. I właśnie w jednym z takich obszarów położonym u zbiegu biologii i fizyki, a ściślej: biologii, biochemii, biofizyki, elektroniki oraz fizyki, z nieprawdopodobną swobodą porusza się lubelski naukowiec i wydobywa stamtąd obserwacje na miarę wstrząsów cywilizacyjnych. Nazwanie tego pogranicza bioelektroniką wydaje się już nie zadowalać samego autora terminu i raczej skłania się on ku poetycznej nazwie „fizyka życia".

Od ponad stu lat funkcjonował w nauce biochemiczny model życia, lecz – jak to zwykle bywa – nowo odkrywane zjawiska i powiązania sprawiły, iż w pewnym momencie przestał być przydatny i koniecznością stało się stworzenie nowego, bardziej przystającego do obecnego poziomu poznania i do rzeczywistości. Tak doszło do zbudowania modelu bioelektronicznego, opisującego życie jako proces kwantowy łączący reakcje chemiczne ze zjawiskami elektronicznymi. Takie spojrzenie na istotę życia jest treścią dyscypliny, która może okazać się koniem trojańskim filozofii, treścią „Postępów fizyki życia".

Nietuzinkowe to dzieło! Gdyby kiedyś ktoś wpadł na absurdalny pomysł plebiscytu mającego wyłonić najlepszą polską książkę naukową dwudziestego wieku, praca Sedlaka powinna zdobyć najwyższe uznanie. Gdyby stało się inaczej, znaczyłoby, iż została wydana... zbyt wcześnie, zawiera myśli i sformułowania wybiegające poza granicę naszego stulecia.

Wszystko, co dotychczas napisałem brzmi jak zachęcanie do sięgnięcia po paksowski rarytas. Dla równowagi trzeba przestrzec potencjalnego czytelnika: jest to książka bardzo, bardzo trudna! Wymaga nie tylko znajomości fizyki na poziomie uniwersyteckim i porządnego rozeznania w biologii – przede wszystkim jest to książka dla ludzi o zacięciu filozoficznym. I do tego cierpliwych, bowiem autor jakby z premedytacją wielokrotnie stara się zrazić odbiorcę stosując wiele drażniących konstrukcji warsztatowych oraz pozornie zbyt skomplikoway język. Niech za przykład posłuży tu fragment zdania: „...*sieć molekularna synchronizuje swój kwantowy paroksyzm akustyczny z elekromagnetycznymi efektami biouktadu*". Jeśli jednak wgłębić się w zagadnienie, niełatwo zaproponować inne sformułowanie dla przekazania olbrzymiego ładunku informacji i problemów, dla rozbudzenia refleksji i wskazania zupełnie nowych kierunków myślenia.

Czym jest żywy organizm, a zatem i każdy z nas? Skonstruowanym przez przyrodę, samowzbudnych i samosynchronizującym się sztucznie, niepowtarzalnym układem bioelektronicznym, na organicznych półprzewodnikach, charakteryzującym się kwantowym sprzężeniem elektroniki z reakcjami chemicznymi oraz nieznaną jeszcze kwantową termodynamiką. Układ ten potrafi ewoluować, regenerować własne struktury i funkcje, a także produkować duplikaty.

Jeśli komuś taka definicja nie odpowiada, niechaj zapomni ją jak najszybciej i dalej egzystuje sobie w błogiej nieświadomości, co bynajmniej nie ustrzeże go przed wszechogarniającą elektromagnetyczną apokalipsą, jaką sami rozpętaliśmy. Bo trzeba zdać sobie wreszcie sprawę z tego, że żyjemy w samym wnętrzu planetarnego kondensatora z jedną okładką w postaci jonosfery, drugą – ziemskiego gruntu. Do niedawna przestrzeń ta była wypełniona polami i falami wytworzonymi w sposób naturalny; teraz została doszczętnie zaśmiecona emisjami milionów radiostacji, setkami tysięcy kilometrów elektrycznych linii przemysłowych, miliardami silników i prądnic. Nasze anteny – pardon! – zmysły, rozpoznają drobny wycinek oceanu szumów i informacji, w chaosie tym jesteśmy zanurzeni i on nas przenika bez przerwy, ugniata jak ciasto nasze systemy nerwowe, endokrynologiczne. Istnieją obawy, iż wzrastająca liczba chorób psychicznych, zwłaszcza w społeczeństwach wysokozurbanizowanych, nie pozostaje bez związku z totalnym zaśmieceniem środowiska elektromagnetycznego Ziemi. Do tego dochodzi mechaniczne niepokojenie jonosfery przez 10 tysięcy „mieszadeł" – sztucznych satelitów. Wszystko to razem daje w efekcie skażenie środowiska geofizycznego, czyli „*przezroczystą, a więc zdradliwą i niedostrzegalną śmierć elektromagnetyczną*", będącą częścią składową śmierci środowiskowej. Sławetne „promienie śmierci" dawnych fantastów są już wokoło i wewnątrz nas.

Nie sposób obejść się bez kilku dalszych cytatów z książki Sedlaka: „*Środowiskowa śmierć nazywa się przez dłuższy czas dobrobytem, produkcją, techniczną zdobyczą, rozrywką, ambicją, informatyką o świecie*". Tak to człowiek postawił biosferę przed niezwykle trudnym zadaniem przystosowania się do błyskawicznych zmian środowiska przez przyśpieszenie ewolucji. Alternatywą jest wymarcie.

A my? My jesteśmy przecież częścią biosfery...

Pod koniec swej książki autor stara się podać bioelektroniczną definicję świadomości określając ją jako „*stan energetycznego wzbudzenia układu czynnikami wewnętrznymi lub zewnętrznymi, z wywołaniem zmiany behawioru*". Później zaś dodaje: „*Teoretycznie biorąc powinien istnieć sposób materializowania świadomości, czyli zwiększania gęstości energetycznej świadomości do stanu masy*". A to już prawie magia...

Albo może fizyka XXI wieku.

Ryszard Głowacki

Włodzimierz Sedlak: *Postępy fizyki życia*. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1984. Cena 300 zł.

Historia naiwna

Ciekaw jestem, jak zareagowałby historyk oraz wydawnictwo, gdyby ktoś napisał, że bitwa pod Grunwaldem została stoczona w 1683 roku i połączone siły polsko-tureckie pokonały w niej armię szwedzką pod wodzą Iwana Groźnego... Taki tekst zostałby zapewne odrzucony nie tylko ze względu na anachronizmy, lecz również z powodu jego nonsensowności. Niepojęte jest więc, dlaczego mogła ukazać się książka zawierająca nielogiczności, a przede wszystkim wykazująca ignorancję autora (oraz redakcji) w budowie wszechświata.

Książką tą jest utwór SF „Adax z Układu Adhary" historyka Jerzego Jana Kolendy. Dowiadujemy się więc, że gwiazdozbiór Psa Wielkiego to potężne „zbiorowisko gwiazd" oraz że istnieją w nim dwa układy planetarne odległe od siebie o 300 parseków, zamieszkałe przez istoty rozumne (?) Nie dość na tym – w odległości wielu kiloparseków od Adhary ma się znajdować pewien układ (dodajmy, że chodzi o Układ Słoneczny), który obiega środek swojego „zbiorowiska gwiazd" w odległości około 10 megaparseków. Zaś nieco dalej dowiadujemy się, że Adharę dzieli od Słońca... 17 parseków. Te wyjaśnienia brzmią jak relacjonowane przez Szwejka twierdzenie, iż wewnątrz kuli ziemskiej znajduje się druga kula, tylko większych rozmiarów.

Spróbujmy te „rewelacje" jakoś uporządkować. Otóż Adhara rzeczywiście jest jedną z gwiazd Psa Wielkiego, ale jak wiadomo gwiazdozbiory nie są tworami fizycznymi (realnie istniejącymi). Adhara jest odległa od Słońca o 200 parseków i razem z nim wchodzi w skład naszego „zbiorowiska gwiazd" czyli Galaktyki! I wreszcie zarówno Słońce, jak i Adhara to gwiazdy odległe od centrum Galaktyki o około 10 kiloparseków.

Tyle o przestrzennej lokalizacji akcji, ale nie brak też błędów „lokalizacji" w czasie. Otóż cywilizację Adhary (Dedrumów) dzieli od drugiej, wrogiej cywilizacji Gronów, 300 parseków i odległość ta nie stanowi żadnego problemu w podejmowaniu najpierw wspólnych wypraw, a potem w toczeniu wojny kosmicznej, podczas gdy pokonanie 17 ps dzielących (w książce) Adharę od Słońca stanowi dla tychże Dedrumów ogromną trudność. Gdzie tu logika? I nie widzę też najmniejszego sensu w prowadzeniu wojny na odległość 300 ps, czyli prawie 1000 lat świetlnych!

Podobnych błędów i nieścisłości jest więcej. Ponadto książkę cechuje banalność i nieporadność kreacyjna oraz narracyjna, płaski dydaktyzm, wreszcie rażąca sztuczność w zachowaniu się rzekomo inteligentnych istot. Odnajdujemy w niej jakieś drugorzędne cechy i elementy utworów typu space opera czy wojen gwiezdnych, których rozmach jest pozorny, zaś realizacja nieszczególna. Krótko mówiąc jest to **historia naiwna**, a nie „opowieść fantastyczna dla młodzieży", dla której należy pisać tak samo jak dla dorosłych albo nawet lepiej.

Zastanawia mnie, dlaczego autor nie sięgnął do formuły powieści fantastyczno-historycznej, w której mógłby uzyskać większą swobodę twórczą. Uniknąłby także popełnienia rażących błędów, których formuła science fiction wcale nie usprawiedliwia! Książka „Adax z Układu Adhary" ma wszelkie szanse, żeby stać się klasycznym przykładem, jak nie należy pisać utworów SF.

Zbigniew Dworak

Jerzy Jan Kolendo: *Adax z Układu Adhary*. Opowieść fantastyczna dla młodzieży. Pojezierze, Olsztyn 1983. Cena 90 zł.

Jasieński Bruno

(właściwie: Zysman Artur)

(1901 – 1939)

Poeta, powieściopisarz, tłumacz

Urodził się 17 lipca 1901 roku w Klimontowie w rodzinie prowincjonalnego lekarza. Uczęszczał do gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie, którego nie ukończył z powodu wybuchu pierwszej wojny światowej. W latach 1914 – 1918 przebywał wraz z rodzicami w Moskwie, uczył się w szkole polskiej, gdzie otrzymał świadectwo dojrzałości. Wrócił do kraju w roku 1919 wstępując na Uniwersytet Jagielloński. Studiował filologię polską. Wespół z grupą młodych poetów i malarzy (m.in. Anatolem Sternem, Tytusem Czyżewskim, Stanisławem Młodożeńcem) założył Klub Futurystów „Katarynka". W roku 1921 – razem z A. Sternem – wydał głośną jednodniówkę „Nuż w bżuhu" oraz pierwszy zbiorek „poezji futurystycznych" – „But w butonierce", zdobywając rozgłos ekstrawagancją stylu i treści, manierystyczną techniką narracji, ingerencją w kwestie językowo-stylistyczne. W rok później ukazała się opowieść „Nogi Izoldy Morgan" (1922) i „Pieśń o głodzie" mówiąca o buncie proletariatu, echach Rewolucji Październikowej (Jasieński wzorował się tu na swoim mistrzu – Włodzimierzu Majakowskim).

Wkrótce po wypadkach roku 1923 (krakowskim powstaniu robotników) autor „Noża w bżuhu" wydaje wspólnie z Anatolem Sternem tom wierszy pod tytułem „Ziemia na lewo" (1924) manifestując swoją przynależność do rewolucyjnego nurtu poezji polskiej. W tym czasie nawiązuje współpracę z pismem KPP „Nowa Kultura", a po przeniesieniu do Lwowa zostaje redaktorem działu literackiego w „Trybunie Robotniczej". Z powodu prześladowań politycznych w roku 1926 musi opuścić kraj i wyjeżdża do Paryża. Jest czynnym członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej, współpracuje z organem tej partii – pismem „L'Humanité". Organizuje polski teatr robotniczy. W roku 1926 publikuje jedno z największych dzieł swego życia – poemat „Słowo o Jakubie Szeli" mówiący o tzw. „rabacji chłopskiej" w roku 1846.

W odpowiedzi na pamflet francuskiego literata Paula Moranda (utwór „Palę Moskwę" będący niewybrednym atakiem na Związek Radziecki) Bruno Jasieński pisze powieść „Palę Paryż" drukowaną początkowo na łamach „L'Humanité" w roku 1928. Powieść ta ukazała się w dwa lata później nakładem jednego z największych wydawnictw francuskich – Ernesta Flammariona (1930), poprzedzona przedmową Henri Barbusse'a. Przetłumaczono ją na język rosyjski: w Związku Radzieckim osiągnęła niebywałe powodzenie, miała kilka wydań (wyd. 1 i 2 – 1929, wyd. 3 i 4 – 1930, wyd. 5 – 1934), przy czym jej pierwsze wydanie (140 tys. egz.) zostało wyczerpane w ciągu trzech dni. Przełożona na język niemiecki (druk w „Arbeiter Illustrierte Zeitung"; następnie w wydawnictwie „Neuer Deutscher Verlag") ukazała się także w języku holenderskim (1933), czeskim (1930), hebrajskim (1929), a w roku 1929 opublikowała ją również polska spółka wydawnicza „Rój" z przedmową J. Kadena-Bandrowskiego (wyd. 2 – 1931; wyd. 3 – 1957, „Biblioteka Dwudziestolecia").

Niezwykle ostry ton polemiczny książki stał się powodem wydalenia Jasieńskiego z Francji jako „uciążliwego obcokrajowca". Mimo protestów wybitnych twórców kultury (z Henri Barbusse'em na czele) musiał opuścić Paryż i zamieszkał we Frankfurcie nad Menem. Uzyskawszy chwilowe cofnięcie zarządzenia o „banicji politycznej" powrócił na krótko do Francji, ale 13 kwietnia 1929 roku został aresztowany i tym razem odstawiony pod konwojem do granicy belgijskiej. Stąd udał się na zaproszenie rządu ZSRR do Leningradu, a następnie do Moskwy (warto dodać, że jeszcze w Paryżu powstał pomysł sztuki satyrycznej Jasieńskiego „Bal manekinów" – wersja polska, przygotowana do druku przez Anatola Sterna, ukazała się w „Dialogu" w roku 1957).

W Związku Radzieckim prowadził autor „Ziemi na lewo" ożywioną działalność publicystyczną i literacką. Wchodził w skład Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich (1930), redagował pismo „Kultura Mas" – Organ Centralnej Sekcji Polskiej Wszechzwiązkowego Zjednoczenia Zrzeszeń Pisarzy Proletariackich. Od roku 1930 był również redaktorem pisma „Internacjonalnaja Litieratura". Współpracował z teatralną radą artystyczną, pisał wiersze, artykuły, opowiadania („Główny winowajca", „Męstwo", „Nos" etc.), wydawał powieści w języku polskim i rosyjskim. Dużą popularnością cieszyła się jego powieść „Człowiek zmienia skórę" mówiąca o przemianach kulturalnych w Rosji Radzieckiej (wyd. polskie 1932–1933; tekst pełny: 1961, tłum. J. Brzęczkowski).

W roku 1936 Bruno Jasieński zostaje aresztowany na skutek zdrady prowokacji i postawiony pod zarzutem zdrady interesów socjalizmu. Umiera w drodze na zesłanie w styczniu 1939 roku w obozie pod Władywostokiem. Pozostawia niedokończoną powieść „Zmowa obojętnych" (druk „Nowyj Mir" 1935–1936; tekst polski odtworzony przez żonę poety – Annę Berzin, tłum. W. Melcer, 1962 r.).

W roku 1956 Bruno Jasieński zostaje pośmiertnie zrehabilitowany.

Powieść „Palę Paryż" – alegoryczna metafora przyszłości – jest odpowiedzią na katastroficzne prognozy filozofów, socjologów i literatów (Spengler, Bierdajew, Northrop, Ortega y Gasset; w Polsce: Znaniecki, Zdziechowski) wywołane głębokimi zmianami ekonomicznymi, kulturowymi, demograficznymi u progu XX stulecia (tragedia I wojny światowej, kolejne kryzysy gospodarcze, powstanie Kraju Rad, wzrost roli mas ludowych w kształtowaniu rzeczywistości). Powieść Paula Moranda stanowiła kolejne ogniwo w serii wielkich pamfletów politycznych, narastającej fali oskarżeń literackich: od utworów I. Erenburga, St. I. Witkiewicza, W. Jaworskiego – aż po szmirowate, sensacyjne czytadła ostrzegające przed „żółtym" i „czerwonym niebezpieczeństwem" – popularne powieści Barszczewskiego, Niezabitowskiego, Krügera, Marczyńskiego i in.

W trzyczęściowej alegorii historycznej opisuje Jasieński narodziny nowego porządku społecznego, demaskuje prawdziwe oblicza mitów głoszących niemożność dalszego tworzenia wartości kulturowych. Epidemia dżumy, wywołana umyślnie przez proletariusza paryskiego, dziesiątkuje ludność stolicy, która zostaje otoczona szczelnym kordonem wojsk. Wewnątrz tej utopijnej enklawy powstają zalążki nowych systemów społecznych wzorowane na znanych strukturach socjalnych: rodzaj komun o społeczno-narodowościowym charakterze (monarchia rosyjska, tymczasowa republika żółtych, gmina żydowska, królestwo trustu anglo-amerykańskiego etc.). W kolejnych scenach, dialogach i odautorskich charakterystykach sprawdza Jasieński rzeczywistą przydatność różnych systemów ideologicznych, demaskuje popularne sądy i rozpoznania dwudziestolecia. I tak na przykład ukazuje nikczemność środowiska emigracji rosyjskiej (postać rotmistrza Sołomina), prawość moralną komunistów chińskich, internacjonalizm postaw Czerwonej Gwardii (w tym kapitana Jacqesa Lassala, który podejmuje straceńczą wyprawę holownikiem w poszukiwaniu żywności dla mieszkańców Paryża przypłacając to życiem).

Idee dyktatury proletariatu uosabia w powieści Jasieńskiego trzydziestotysięczny tłum więźniów politycznych, który wylega na ulice w czwartym dniu epidemii i formuje początki nowego państwa komunistycznego. Przez dwa lata mieszkańcy Paryża (korzystając z nowych zasobów wody) utrzymują w niepewności Europę co do rzeczywistych losów stolicy. Kiedy rządy Anglii, Francji i Polski wypowiadają wojnę ZSRR, proletariat całego kontynentu proklamuje strajk powszechny, a społeczność Paryża wzywa do przekształcenia wojny imperialistycznej w domową.

Powieść Jasieńskiego, nacechowana żywym, emocjonalnym stosunkiem do tematu, w którym znać jeszcze echa futurystycznych eksperymentów językowych jest przede wszystkim środkiem do przedstawienia tez ideologicznych. Fantazja autora pozwala na zaostrzenie konsekwencji istniejących konfliktów socjalnych, zbliża ów fresk dziejowy do gatunku, który W. Ostrowski określił kiedyś mianem „imaginary history". Niepokój, jaki wzbudziło w Polsce, zwłaszcza w kręgach kół zachowawczych, pierwsze wydanie utworu Jasieńskiego usiłował złagodzić sam Kaden-Bandrowski, parający się również tematyką polityczną. W przedmowie do edycji z roku 1929 pisał co następuje: *„Bruno Jasieński przedstawia nam w skrótach tak szybkich, że prawie pobieżnych – wszystkie nieszczęścia, katastrofy i kataklizmy, które czekają ludzkość, o ile pozostanie w tym stanie moralności, w jakim się znajduje. Kataklizmy – wedle mniemań autora – przyniosą zwycięstwo pewnej, wyraźnie określonej ideologii społecznej. Ta druga perspektywa – o zwycięstwie ideologii nie jest chyba niebezpieczna, skoro w myśl wierzeń autora ideologia ta przyniesie ludzkości najwyższą miarę szczęścia. Fantazja artysty (...) nasuwa nam przed oczy skutki, jakie wynikną z naszego egoizmu, chciwości na wszelkie dobro i zatwardziałości wobec cierpienia naszych bliźnich".*

Bibliografia wybrana

Ogólna:

– B. Prutcew: *Bruno Jasieński* WSP Rzeszów 1974.

Szczegółowa:

– L. Piwiński (w:) „Wiadomości Literackie" 1929/27.

– J. Szymański (w:) „Miesięcznik Literacki" 1929/I.

– K. A. Jaworski (w:) „Kamena" 1956/5

– H. Bereza: *Racje nienawiści* (w:) „Nowe Książki" 1957/8.

– B. Czeszko: *Palę Paryż znów po latach* (w:) „Przegląd Kulturalny" 1957/14.

– K. Wyka (w:) „Nowiny Literackie i Wydawnicze" 1957/5.

PALĘ PARYŻ

Bruno Jasieński

Była właśnie wigilia dnia 14 lipca i nad miastem rozwieszano pośpiesznie trójkolorowe flagi i papierowe lampiony. Ulicami przewalały się przystrojone odświętnie tłumy, wydzielające ten specyficzny zapach francuskiego święta: taniego wina, machorki i demokracji.

Po parogodzinnej błąkaninie, Pierre i René znaleźli się pod bramą Instytutu, gdzie René sprawował tej nocy dyżur. Instytut był pusty. Wiało od niego wilgotnym chłodem i tym złożonym zapachem chemikaliów, jakim pachną apteki w małych prowincjonalnych miasteczkach.

René zaoferował się Pierrowi pokazać laboratoria. Po szerokich, cienistych jak tunel, kamiennych schodach weszli na górę (...). Oprowadzając onieśmielonego Pierra wzdłuż oszklonych szaf, jak przed połyskującymi w słońcu szpalerami podwładnych armii, René upajał się rozkoszą swej złudnej potęgi.

Przed wielką szafą, gdzie w ustawionych rzędem statywach widniały napełnione jakimś płynem większe i mniejsze probówki, nie mógł się nawet powstrzymać od wygłoszenia małego wykładu o bakteriologii ilustrowanego przez uwięzione w hermetycznym szkle kolonie milczących mikrobów.

– Tu, za tą niepozorną, jak widzisz, szybą, trzymamy jedyną w swoim rodzaju menażerię. Wszystkie możliwe zarazy świata. W tej probówce, na lewo, masz szkarlatynę, w tamtej dalej – tężec, w tej – tyfus plamisty, w tej, w głębi – brzuszny, w tej, szóstej z brzegu – cholerę. Niczego kolekcyjka, co? Widzisz te dwie probówki na prawo, z białym, mętnawym płynem? To pupilka naszego asystenta – dżuma. Od roku nad nią pracuje, hoduje ją na jakichś pożywkach własnego wynalazku, i mówi, że dohodował się niebywałych szczepów. Bakterie jak konie (...). No, jak ci się podoba nasze gospodarstwo? Pycha, co? Wyobraź sobie, gdyby tak puścić to wszystko bractwo z szafki na przechadzkę po mieście – jak myślisz, dużo by zostało z naszego Paryża?

Pierre potakiwał w roztargnieniu.

Wizyta przeciągała się do wieczora. Późno już było, gdy Pierre pożegnał wreszcie gościnnego przyjaciela i odprowadzony przez niego do bramy, wydostał się na ulicę.

Miał tego dnia, o dwunastej objąć nocną zmianę na wieży ciśnień i musiał przed tą godziną zdążyć do Saint-Maur.

Na ulicach panował już mrok rozświetlany matowymi księżycami elektrycznych lamp (...). Uliczki dokoła płonęły już różnokolorowymi bańkami lampionów jutrzejszego święta. Tu i ówdzie próbowano tańczyć. Trotuary i jezdnie mrowiły się od ciżby przytulonych do siebie par.

Pierre poczuł nagle, jak jakiś podziemny nurt, zamurowany gdzieś głęboko przystającymi do siebie szczelnie cegłami ostatnich dni, pręży się w nim i podważa je od spodu, jak jedna za drugą odskakują wywalone cegły, trzaska rozsadzony tynk i ciepły, czerwony strumień, zatapiając kolejno z takim jaskółczym trudem pobudowane nadbudówki spraw codziennych, zwolna zalewa mu oczy, przymykając je od wewnętrznego bólu.

Kiedy je otworzył, dostrzegł już tylko migotanie niezliczonych hotelików, mrowie nalanych krwią, opasłych karków i tysiąc kobiecych profilów, identycznych, jak odbitki jednej i tej samej, tak dobrze pamiętnej twarzy.

Ze wszystkich bram, przytulone do swych apoplektycznych gachów, wychodziły i uchodziły w gorączkowym pośpiechu dziesiątki i setki Jeanette, jedna łudząco podobna do drugiej: Jeanette w zaczarowanej ulicy ze zwierciadeł w żywszym lesie o pniach ze spasionych, napęczniałych karków.

Pierre zachybotał cały i zachłysnął się piekącą nienawiścią. Na chwilę, jak daleki odbłysk, zamajaczyła mu między zaciśniętymi palcami wołowa, przeciekająca fałdami sadła, szyja grubasa sprzed hoteliku na Montmartrze i znikła, nie pozostawiając spodziewanego zadośćuczynienia.

Nie! Mało! Cóż znaczy jeden? Tysiąc! Milion! Wszystkich! Miasto! Skąd wziąć tych olbrzymich rąk, tych kilometrowych palców, co objęłyby jednym uściskiem te charczące, pofałdowane gardziele? Wszystkich! Zmiąć! Powalić! Upić się ich bezmyślnym charkotem! Ręce! Skąd wziąć tyle rąk!

Naraz niespodziewana jasność oślepiającym płomieniem magnezji rozświetliła mu na chwilę mózg, aż stanął osłupiały, oszołomiony i przycichły. Chwilę stał jak w olśnieniu, potem zawrócił na miejscu i począł iść z powrotem ulicami, którymi przyszedł, wprost, przez tłum, jak Chrystus, stąpający po wodzie, olbrzymi i majestatyczny, jakby miał przed sobą promieniejącą monstrancję swej nienawiści. Czuł, że ludzie ustępują mu z drogi, otwierając przed nim długi szpaler ulic z perspektywą w nieskończoność.

Znalazłszy się na powrót przed zamkniętymi drzwiami Instytutu, które opuścił przed chwilą, Pierre spokojnie zadzwonił.

Otworzył mu René, zdziwiony tą nieoczekiwaną powtórną wizytą. Pierre objawił mu spokojnie, że zapomniał laski, którą, o ile sobie dobrze przypomina, zostawił w laboratorium. (...)

W laboratorium laski nie było. Pierre poprosił René, by zechciał sprawdzić w innych pokojach, podczas gdy on rozejrzy się jeszcze raz po kątach.

Kiedy, po kilku minutach bezowocnych poszukiwań, René powrócił z niczym, zastał Pierra szperającego jeszcze za jedną z szaf laboratorium. Laski nie było.

Pierre przyznał, że być może nie zabrał jej w ogóle z domu – będzie musiał sprawdzić to nazajutrz – i po raz drugi pożegnał gościnnego przyjaciela, zdziwionego nie na żarty jego wyjątkowym roztargnieniem.

Wagon III klasy pociągu zdążającego tego wieczora do Saint-Maur pełen był podochoconej bliskością święta ludności podmiejskiej, dymu i zgiełku. W rozgwarze rozmów ogólnych zwracał na siebie uwagę szczupły, rudy mężczyzna na ławce w kącie, nie biorący udziału w pogawędkach i przysłuchujący się im w roztargnieniu i milcząco.

Na stacji Saint-Maur mężczyzna wysiadł. Rozmowa potoczyła się dalej.

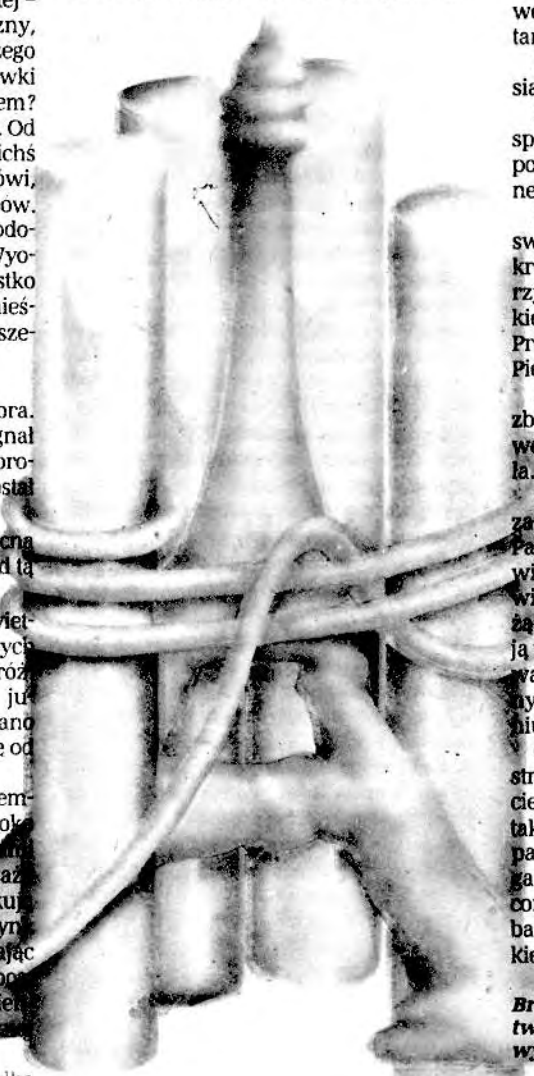
Przybywszy na wieżę ciśnień, Pierre spostrzegł, iż spóźnił się o całe pięć minut i pobiegł na górę zluzować robotnika dziennego.

Nadszedł dyżurny inżynier, kończący swój obchód nocny. Za chwilę ostatnie kroki na dole ucichły. Wtedy Pierre zanurzył rękę w kieszeni i wyjął dwie niewielkie probówki. Uważnie zbliżył je do oczu. Probówki zawierały mętny, białawy płyn. Pierre wstrząsnął nimi lekko pod światło.

Potem z probówkami w jednej ręce zbliżył się do wielkiej pompy odśrodkowej, wprawianej w ruch motorem Diesla.

Gdzieś na dole, trzasnęła brama. Pierre zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Panowała zupełna cisza. Wówczas Pierre wielkim kluczem francuskim zaczął otwierać kran olbrzymiego leja pompy służącego za rezerwuar wody puszczającej ją w ruch. Otwarłszy kran, jął odkorkowywać palcami pierwszą probówkę. Szczelny korek nie wychodził. W rozdrażnieniu Pierre chwycił go silnie zębami.

Odkorkowawszy obie probówki, ostrożnie wlał ich zawartość w chlupocącą ciężko krtań leja. Woda w dole bulgotała w takt rytmicznych uderzeń tłoka Diesla, opadając i wznosząc się miarowo, jak gigantyczna klapa sercowa wypychająca coraz to nowe porcje przezroczystej, bezbarwnej krwi w wygłodniałe arterie dalekiego, śpiącego Paryża.



Andrzej Brzezicki

Bruno Jasieński, Palę Paryż, Towarzystwo Wydawnicze „Rój", Warszawa 1929, wybór ze stron 58–64.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski



o ewolucji polskiej fantastyki w 40-leciu od popularnej konwencji do zjawiska literackiego mówią: LESZEK BUGAJSKI, RYSZARD HANDKE, ADAM HOLLANEK, ANDRZEJ NIEWIADOWSKI, ANTONI SMUSZKIEWICZ I MACIEJ PAROWSKI, który dyskusję przygotował do druku.

Przemiany

A. Niewiadowski: Porozmawiajmy o przeobrażeniach polskiej science fiction od początku lat 60-tych aż do dnia dzisiejszego. Pomówmy o przyczynach zmian i o ich kulturowych kontekstach. Popatrzmy, z czym zaczynała fantastyka ćwierć wieku temu po wyczerpaniu się formuł socrealizmu i co dziś sobą reprezentuje jako gatunek literacki i jako ruch społeczny, który wokół literatury wyrósł.

A. Hollanek: Sądzę, że początek lat 60-tych to jeszcze okres, nad którym rozciąga się zdecydowana dominacja Lema. A jego „Solaris" (1961) promieniuje na wszystkie pozycje ówczesnej SF.

Okres przejściowy

R. Handke: Wiele ukazujących się wówczas książek SF mieściło się swobodnie w wyobrażeniach z lat 50-tych. Podobnie z Lemem – działają jeszcze starsze pozycje, a są już jego nowe, ciekawsze dokonania. To wtedy, trochę ze względów merkantylnych, Wydawnictwo Literackie dużo Lema rzucało na rynek; w tych tomach nowości były przemieszane z rzeczami czytelnikom znanymi. Wychodziły jeszcze duże nakłady pierwszych Lemowskich książek, które miały charakter typowej, klasycznej SF: „Astronauci" (1951), „Obłok Magellana" (1959)...

A. Hollanek: Wydawano też wiele klasycznej fantastyki radzieckiej. Ale funkcjonowały już „Śledztwo" (1959) i „Księga robotów (1961); wkrótce miała się pojawić „Summa Technologiae" (1964). To są znamiona tego okresu.

A. Smuszkiewicz: Ogromne zasługi dla polskiej SF położył wówczas Zbigniew Przyrowski jako redaktor „Młodego Technika". Jego antologie: „Posłanie z piątej planety" (1964) i „Wołanie na Mlecznej Drodze" (1976) – pokłosie konkursów „MT" ukazywały fantastykę ukształtowaną właśnie przez red. Przyrowskiego. On wpłynął na kształt artystyczny debiutów, wiadomo było, że opowiadanie musi mieć tyle i tyle stron, by zmieścić się w numerze.

R. Handke: Poza tym debiutant czytał poprzedni numer, jeśli w następnym ma ochotę się ukazać. „MT" dyktował ton.

Wybór Formy

A. Smuszkiewicz: I upowszechnił przekonanie, że fantastyka naukowa najlepiej wypowiada się przez krótkie formy. Nie powieści, lecz opowiadania. Przez pomysł, dobrze skonstruowaną akcję, skondensowaną myśl – jak w klasycznej noweli. Teraz obserwujemy więcej powieści. Pojawiły się nowe możliwości wydawnictw i pojawiają się dłuższe formy. Przekaz, jak widać, może stymulować in plus i in minus.

A. Hollanek: Powieści są bardziej ekonomiczne, bardziej opłacalne dla autorów. Dają możliwość wykorzystania jednego pomysłu na długim dystansie.

R. Handke: Nie tylko SF, lecz w ogóle literatura żyje z pomysłów. Pisarz zwykłej powieści obyczajowej nie musi jednak wymyślać stołków, pokojów, świata i języka, jakim ludzie mówią. A pisarz SF musi. Dlatego powieść jest dla autora SF finansową pokusą i artystycznym niebezpieczeństwem. Bo nie tylko autor może mieć krótki oddech, ale i pomysł także. I pomysł ciągnięty przez wiele stron może się zdemaskować, że wcale nie był dobry.

M. Parowski: Chodzi nie tylko o długość. Opowiadanie, które prezentuje epizod ze świata przyszłego polega na kombinacji mniejszej liczby elementów, natomiast powieść to już dłuższa wycieczka w taki świat. Powieści od opowiadań różnią nie tylko rozmiary, ale stopień wewnętrznej komplikacji, stosunek do świata przedstawionego, wiedza autora o tym świecie.

A. Smuszkiewicz: Rzeczywiście, problematyka „Solaris" na piętnastu stronach się nie zmieści.

M. Parowski: A short story z kolei, to nie jest powieść opowiedziana na pół strony. Zmierzam do czego innego. Dlaczego stały się możliwe powieści, dlaczego dziś ich przybywa? Ponieważ zbiorowym wysiłkiem wieluset opowiadań, tysięcy epizodów, ten świat przyszłości został zbudowany i zabudowany. Pisarze widzą go, mogą się w nim pewnie poruszać.

R. Handke: Mogą pokazać coś, co właśnie jest warunkiem powieści, a mianowicie ewolucję, gdzie w ramach znanego świata coś się stało i zmienia się i te implikacje oddziałują dalej... Ale jedność świata, wspólny inwentarz, z którego się czerpie, kształtowały się stopniowo i nie od razu. Doskonale pamiętam, jak przed 25 laty autorzy wymyślali „każdy sobie" rekwizyty i sytuacje. Patrząc na dobierane przez nich neologizmy, widać że używali różnych słów na określenie tych samych rzeczy.

A. Smuszkiewicz: Nawet specjalnie *starali się* je inaczej nazywać!

R. Handke: Tak, licytowali się pomysłami. Starali się ze wszystkich sił być oryginalni. Jeszcze nie było praktyki, że wchodzący do tej dziedziny autorzy zastają pewien zmyślony świat o określonych regułach i sporą porcję przechodnich rekwizytów. Jeszcze nie było takiej wspólnoty, jaka na przykład łączy światy różnych baśni.

Oswajanie techniki

L. Bugajski: Myślę, że robimy błąd rozpatrując fantastykę naukową w oderwaniu od tego, co działo się poza nią i sprowadzając wszystkie przemiany do spraw literackich. Mnie się wydaje, że różnice w wizjach pisarzy brały się również stąd, iż autorzy, podobnie jak całe społeczeństwo, nie potrafili sobie wówczas wyobrazić, w jaką stronę pójdzie rozwój cywilizacji. Autor przystępujący do pisania miał słabą wizję realiów i czyste pole przed sobą. Mógł z całą naiwnością wymyślać świat od początku. W tej chwili przeciwnie, wiemy, w którą stronę idzie cywilizacja techniczna, znamy szalony dystans między nami a krajami nasyconymi elektroniką. Pewnych rzeczy nie trzeba wymyślać, tworzy się jednorodność czy jednolitość wyobraźni nawet nie uświadamiana sobie przez autorów.

R. Handke: Słusznie. Dziś nawet w podręcznikach fizyki jest niewiele rzeczy, których dawniej nie było. Ale wiecie panowie, nas tamte stare powieści SF nie drażnią dziś swoją techniczną naiwnością, bo ona akurat jest na swój sposób miła, tylko...

A. Hollanek: ...naiwnością socjologiczną, naiwnością prognoz...

R. Handke: I psychologiczną przede wszystkim. Zresztą to się wiąże z tym, o czym mówił pan Bugajski. Wymyślone postacie z dawnych książek nie odczuwają prawdziwych reperkusji świata wysokiej techniki, w którym na pozór żyją. Dziś widać wyraźnie, że to było czyste zmyślanie z powietrza.

A. Hollanek: To prawda. W latach 60-tych nasi fantaści nie potrafili sobie wyobrazić człowieka w innej przestrzeni. To ciąży nawet na Lemie, który może zdawał sobie sprawę z tej innej przestrzeni, ale nie potrafił jeszcze przystosować do niej nowego człowieka.

R. Handke: Prawdziwego „człowieka ery atomowej"... Właśnie, bomby wybuchły daleko, a myśmy żyli wówczas pod ciężarem innych spraw. Dopiero później przyszło to oswojenie z techniką i na przykład Pirx, który wcześniej był jakby artystycznie niedojrzały, nieobyty, zaczyna być autentyczny, zżyty z cudownie technicznym światem.

A. Smuszkiewicz: Tak, zjawia się nowe autorskie podejście do tematu. Narrator już nie dziwi się niczemu, czytelnik przestaje być pouczany, do książek nie dołącza się słowniczków i objaśnień, rakieta nie jest niczym nadzwyczajnym, stale tam mówi się, że jest obita...

R. Handke: ...stara, podrapana. A lot jest rutynowy i nudny. Mamy pełną sugestię potoczności. Rewelacja Pirxa polega na tym, że jest pierwszym naszym zawodowcem w kosmosie. Rutyniarzem. Ale to nie przyszło samo i nie od razu.



Fot. Zbigniew Latała

doc. dr hab. RYSZARD HANDKE – kierownik Zakładu Metodyki i Teorii Lektury Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego – zajmuje się od lat teorią literatury science fiction ze szczególnym uwzględnieniem sfery językowej i narracyjnej gatunku. W roku 1968 doktoryzował się na podstawie pracy „Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki" (opublikowana nakładem Ossolineum, Wrocław 1969). Swoje artykuły dotyczące tematyki SF zamieszczał również w „Języku Polskim", „Ruchu Literackim", „Tekstach", a także w pracach zbiorowych: „Styl i kompozycja" (1965), „Nowela, opowiadanie, gawęda" (1974).

W kręgu szablonów

A. Niewiadowski: Nie padło tu jeszcze stwierdzenie, że literatura fantastyczna lat 60-tych to z reguły proza popularna. Nawet wypowiedzi Lema można traktować jako twórczość instrumentalną, wpasowaną w schemat utopii bądź antyutopii. Jeszcze wyraźniej widać to w opowiadaniach Weinfelda, Fiałkowskiego, wczesnego Zajdla, drukowanych w prasie. Mamy tam zawsze do czynienia z elementarną chemią emocji, jest wierne przestrzeganie kodu, dobrowolne pozbawienie przekazu ambiwalencji czy nawet wieloznaczności. Na pozór hasłem tej literatury jest zaangażowanie, ale obraca się ona w kręgu spraw oczywistych – nigdy naprawdę nie prowokuje czytelnika.

M. Parowski: Ani mecenasa.

A. Niewiadowski: Niczego nie burzy, nie narusza, zaciera konflikty ideologiczne, często wykręca się alegoryzmami. Można mieć dziś ogromne zastrzeżenia do warsztatu, formy i przesłania tej prozy.

R. Handke: Niewątpliwie ma pan rację, że była to literatura dydaktyczna w najgorszy sposób – czytelnik funkcjonował w niej na zasadzie pouczanego głuptaka.

A. Hollanek: Lem do dziś mówi, że pozostał moralistą i pisze moralitety. Ale za to jak on to robi!

A. Niewiadowski: Natomiast w ówczesnej literaturze, widać to zwłaszcza u Fiałkowskiego, upowszechnia się ucieczka w moralizatorstwo przyszłościowe. Zakończenie u Fiałkowskiego jest zawsze uspokajające – był jakiś konflikt, pewne ofiary okazały się konieczne w imię wyższych idei, tak być powinno. Nie wiem, czy można coś takiego nazwać twórczym prognozowaniem fantastyki naukowej. Zawsze przecież mamy tam samouspokajającą wizję świata przyszłego.

A. Smuszkiewicz: Przynajmniej w sferze ideowej. Akcja niekiedy kończy się tragicznie. Ale wartość moralna zwycięża. To miała być diagnoza dotycząca współczesności.

M. Parowski: Fałszywa diagnoza.

R. Handke: Sądzę, że tamta stara fantastyka, mówiąc o teraźniejszości, autentycznie myślała i o przyszłości. Nie chodzi o formuły narracji, ale o to, że ówczesna SF wyrastała z marzenia i z wiary w możliwość prognozowania, w to, że rzeczywiście zmierzamy ku lepszemu, że Kosmos jest nam życzliwy. Dopiero później, przy końcu lat 60-tych pojawi się taki wątek: koniec podróży kosmicznej, ludzie chcą zostać na Ziemi, odwracają się od gwiazd. Fantastyka wyciągnęła wniosek z tego, że nauka traci oddech, że kosmos otworzył się nad naszymi głowami w momencie, w którym zrozumieliśmy, że nic nie wiemy.

A. Hollanek: Tak, Lem w „Summa Technologiae" niby wychwalając naukę, kompromituje ją.

R. Handke: Wtedy bezwiednie, a teraz świadomie.

A. Niewiadowski: I to już wówczas, u schyłku lat 60-tych, a nie dziesięć lat później dokonał się w naszej SF zwrot ku człowiekowi, badaniom kosmosu wewnętrznego. Trzeba to podkreślić z całą stanowczością – cała rzecz zaczęła się właśnie wtedy.

Przyspieszenie

R.Handke: Czyli powoli wchodzimy w lata 70-te. Tutaj, panowie, musimy być bardziej precyzyjni gdyż początek lat 70-tych, nie tylko w SF, bardzo się różnił od końca. Na to nakładają się jeszcze wydawnicze poślizgi, w wyniku których wszelkie zjawiska społeczne odzwierciedlają się w literaturze z kilkuletnim opóźnieniem. Coraz większa liczba wykształconych, z techniką obytych i techniką sfrustrowanych ludzi staje się jakością zaczynającą działać na odbiorców i na twórców. Dramatyzmy drugiej połowy lat 70-tych miały początek w rzeczywistości, w której ludzie żyli. Ale na początku społecznych zaniepokojeń nie widać. Przeciwnie.

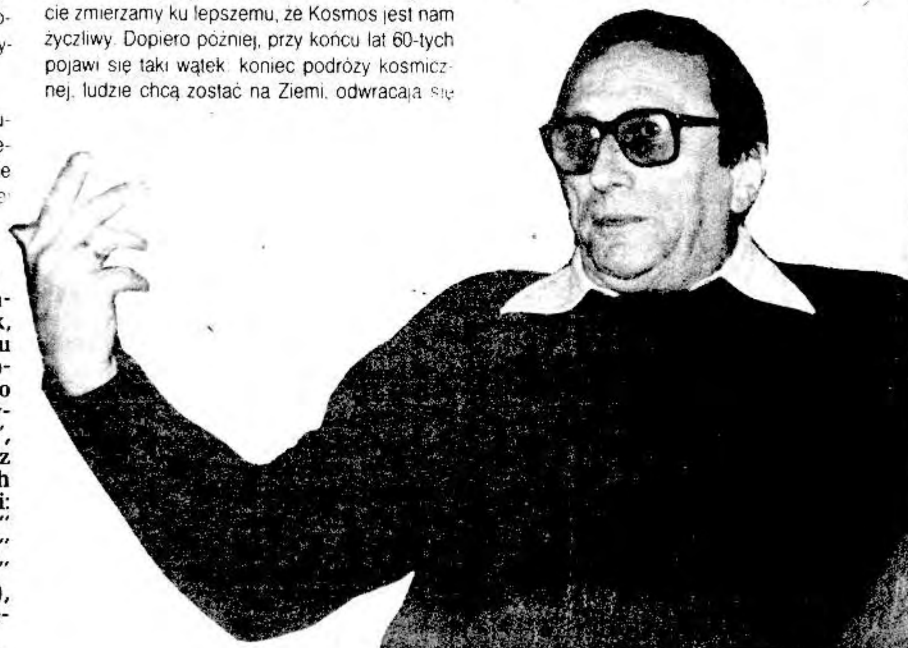
A. Niewiadowski: Mamy debiut Adama Wiśniewskiego-Snerga „Robot" (1973), książkę pod tym względem neutralną. Ale jest zwiastujący nadciągającą burzę „Kongres futurologiczny" Lema (1971).

M. Parowski: Z początku lat 70-tych zapamiętałem przede wszystkim przyspieszenie w wielu dziedzinach. Zjawiają się w Polsce magnetofony kasetowe, Coca-Cola, a z nią plastykowe wreszcie, nie drewniane skrzynki. Pojawia się „maluch". Ludzie zaczynają częściej jeździć w świat. Zaczyna się u nas boom prozy latynoskiej – wydawnictwa i pisma drukują najlepsze teksty Borgesa i Cortazara. To oni, jak sądzę, uczą pisać pokolenie 68–70.

A. Hollanek: Premiuje ich to samo wydawnictwo które publikuje Lema.

R. Handke: I to ich wpływ także mógł nas skłaniać do odchodzenia od fantastyki technicznej do fantasy.

M. Parowski: W roku 1971 startuje „Literatura na Świecie". W PIW-ie rozpędza się seria eseistyki „Biblioteka Myśli Współczesnej", ukazuje się też trochę książek kieszonkowych – jest do kupienia Ceram, eseje o technice i kulturze amerykańskiej, o naszej kulturze masowej. Te książki cze-



Fot. Jan Surowy

red. ADAM HOLLANEK – redaktor naczelny „Fantastyki", pisarz, krytyk, dziennikarz – jest autorem kilkunastu pozycji o charakterze popularno-naukowym, działaczem międzynarodowego ruchu SF. Wydał kilka książek o tematyce współczesnej („Plaża w Europie", 1967; „Bandyci i policjanci", 1982) oraz utworów science fiction przekładanych na język rosyjski, niemiecki i czeski: „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«" (1958), „Zbrodnia wielkiego człowieka" (1960), „Muzyka dla was, chłopcy" (1975), „Ukochany z Księżyca" (1979), „Jeszcze trochę pożyć" (1980), „Olśnienie" (1982), „Kochać bez skóry" (1983).



dr ANTONI SMUSZKIEWICZ – adiunkt Zakładu Metodyki Nauczania Literatury i Języka Polskiego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu – jest autorem dwóch książek poświęconych zagadnieniom gatunku SF: „Stereotyp fabularny fantastyki naukowej" (Ossolineum, 1980), „Zaczarowana gra" (Wyd. Poznańskie, 1982). Krytyk, historyk, teoretyk literatury SF. Opublikował wiele artykułów drukowanych na łamach „Nurtu", „Ruchu Literackiego", „Przeglądu Humanistycznego". Autor podręcznika metodycznego o tematyce SF opracowanego dla nauczycieli szkół podstawowych.

kają jeszcze na czytelnika, nie uciekają pod ladę. W kinach pojawia się wiele dobrych, ostrych społecznie filmów z importu, zrywających z hollywoodzką sztucznością; kino wychodzi w plener, przygląda się życiu, kontestuje. Bo przecież z drugiej strony, po 1968 roku, roku kontestacji, świat zmienia skórę, zaczyna się era kontrkultury i echa tego docierają do nas. Ruch wyzwolenia kobiet, kryzys wiary w racjonalne społeczeństwo, nieufność do cywilizacji, zwrócenie uwagi na zanieczyszczenie środowiska, odpadanie młodych od porządków ustalonych przez establishment, pierwsze próby z narkotykami (wtedy się to u nas zaczyna, tylko wówczas nie wolno o tym mówić), rewolucja seksualna, psychodeliczne przemiany w sztuce, nowe awangardy, pogłoski o widowiskach typu „Hair" „Oh! Calcutta!" czy „Jezus Christ Superstar"... Myślę, że oznaką wciągania fantastyki w orbitę tych spraw jest wydana w 1971 roku „Doskonała próżnia" Lema. Książka w wyraźny sposób żywiąca się kontrkulturową eksplozją, rzecz trochę Borgesowska, kpiarska, skłócona z tą nową rzeczywistością, gęsta od treści kilkunastu potencjalnych książek, których Lem napisać nie miał czasu i siły.

R. Handke: Mnie się wydaje, że to, co pan mówi, bardziej rejestruje kryzys warsztatu Lema niż kryzys ogólny. To zresztą zawsze było w nim fascynujące, że nie dawał się osaczyć w swojej własnej formie. Dopiero później, z perspektywy czasu, można te dwa kryzysy na siebie nałożyć.

A. Hollanek: Jednocześnie występuje przyspieszenie w dziedzinie czysto fantastycznej. Pojawia się wiele tłumaczeń z Zachodu. W „Przekroju" ukazują się tłumaczenia z Bradbury'ego, Lovecrafta. Zresztą było tam więcej takich sensacji. Wpływy się krzyżują. Nareszcie różne wpływy.

L. Bugajski: W „Iskrach" zaczyna się ukazywać wzorowa antologia Lecha Jęczmyka „Kroki w nieznane".

A. Niewiadowski: Rośnie jednocześnie świadomość teoretyczna gatunku. Przypominam: w roku 1969 ukazuje się „Polska proza fantastyczno-naukowa" Ryszarda Handkego. W roku 1970 pojawia się „Fantastyka i futurologia" Lema, wznowiona już po trzech latach.

Poślizg

A. Smuszkiewicz: I jednocześnie w tym właśnie momencie kończy się coś w zakresie nazwanej i opisanej przez pana Handkego poetyki. Ona nie wytrzymuje ciążenia nowych problemów, a skostniała właściwie w latach 60-tych. Lem już w „Edenie" (1959) robił sobie kpiny z SF: tu zaraz powinna się wyłonić jakaś łapa, bo jak czytałem SF to zawsze wychodziła... Pojawia się zatem konieczność rozszerzenia konwencji, odejścia od techniki na rzecz problemów bardziej interesujących człowieka. Fantastyka najpierw była techniczna, potem naukowa, potem zaczęła obejmować inne dziedziny życia, ale już w sferze medycyny i biologii, jak u pana Hollanka; Fiałkowski tkwił przy cybernetyce i automatach, aż wreszcie granica fantastyki naukowej się zatarła, gdyż w połowie lat 70-tych Kurpisz wprowadził tematykę filozoficzną. Stara poetyka nie mogła unieść tego wszystkiego i tak skończyła się u nas klasyczna SF. Ta, którą pan Handke definiował jako naukowo-techniczną. Lata 60-te to był okres, okazuje się, ostrzenia narzędzi pisarskich, którymi będzie się teraz kroić i analizować rzeczywistość.

R. Handke: Ale zaczyna się też okres wielkiego rozchwiania, ponieważ fantastyka zdobywa, czy też jest zdobywana przez to, co się nazywa obszarami heterogenicznymi. Mamy więc do czynienia z nowymi obszarami fantastyczności i rozmywającą się definicją naukowości. To jest zupełnie nowa jakość. W latach 60-tych przeciętnie wykształcony obywatel wiedział, że może wierzyć w kominiarza, ale za żadną cenę nie wolno mu się do tego przyznać. Później zaczął się cały szereg zjawisk meta-para-tele, z którymi nie wiadomo było co począć. Zrazu podkpiwaliśmy sobie z szerzącego się jakoby w Ameryce zabobonu, ale skutki naukowego poznania tak czy owak zaczęły komplikować nam życie. Okazało się, że każde naukowe poznanie więcej rodzi pytań niż załatwia odpowiedzi. Im szybszy jest postęp nauki, tym bardziej rosną obszary nieznanego. A na obszarach nieznanych rodzą się duchy. Zawsze się rodziły.

A. Smuszkiewicz: W epoce pozytywizmu jakiś amerykański dyrektor biura patentowego powiedział, że wiek XIX wymyślił już wszystko, a przed wiekiem XX stoi zadanie ulepszenia tego. A tu masz – zjawiają się atomy, elektronika, a za nimi duchy, hipnoza i telekineza... I tak mamy kolejną „inwazję duchów" na świat. I na Polskę.

A. Hollanek: Przy czym polskie duchy są po mickiewiczowsku – jak w „Balladach i romansach", jak w „Dziadach" – łagodne, tradycyjne, dobrotliwe. A amerykańskie, na przykład w fantasy – straszne, okrutne.

R. Handke: Polskie duchy to trochę odrzuty z eksportu. Nasi bajkopisarze nie byli w stanie sprostać prawdziwej grozie.

Fantastyka socjologiczna

M. Parowski: Chyba że chodzi o duchy, o diabelstwo społeczne, polityczne kłębiące się w stworze, którego jedni nazywają Lewiatanem, inni państwem, miastem, społeczeństwem, jeszcze inni – piekłem (Sarte: piekło to inni). Serię portretów takich groźnych Lewiatanów, obezwładniających jednostkę na przeróżne sposoby, dały powieści Zajdla, Wnuka-Lipińskiego, Oramusa, Żwikiewicza, Wolskiego, Białczyńskiego czy moja – określane teraz mianem dystopii bądź social-political fiction. Pokolenie reprezentowane przez wspomnianych autorów nieźle poznało tego stwora w latach 68–78. Ale wspomniane książki powstały u schyłku dekady lat 70-tych, a ukazały się jeszcze później. My na razie jesteśmy bliżej początku lat 70-tych, kiedy „Nasza Księgarnia" z „Młodym Technikiem" finalizują konkurs na opowiadanie (1973). Plon tego konkursu ukaże się w tomiku „Wołanie na Mlecznej Drodze" (1976). Jest tam już zapowiedź zmiany poetyki, otrząśnięcie się z problemów techniki i koncentrowanie się na człowieku. Przy czym mam wrażenie (sam brałem w tym udział), że w owym tomie wiele jeszcze było czystej spekulacji. Kontrpropozycja brała się z inwersji tego, co robili poprzednicy, nie z przeżycia na własnej skórze.

R. Handke: Ten człowiek, na którym się koncentrowano nie był jeszcze nasycony prawdziwymi dramatami.

M. Parowski: Tak, to działo się częściowo w ramach konwencji.

A. Hollanek: Ale w momencie, w którym ta konwencja się kończy, kiedy nauka i technika zaczynają się blamować, kiedy powstają przeróżne napięcia, wtedy rodzi się rozłam między Lemem i resztą fantastyki. Każdy zaczyna szukać na własną rękę i zgodnie ze swoim temperamentem.

R. Handke: I zjawiają się młodzi, którzy już nie z Lema wyrośli i zaczynają używać narzędzi wyostrzonych przez innych. Kto jeszcze tworzy w tym czasie przełomu, kto z pisarzy, którzy doprowadzili fantastykę do tego momentu i teraz oddają ją młodym?

A. Niewiadowski: Jest Lem, Hollanek, Boruń, Weinfeld – inni niż przed laty, Zajdel pisze sprawne, niekiedy aluzyjne opowiadania, mamy Trepkę, Fiałkowskiego z „Homo divisus", Chruszczewskiego...

R. Handke: Nie sądzę, żeby Chruszczewski był jednym z autorów doprowadzających fantastykę do momentu zmiany pałeczki. Czy młodzi rzeczywiście mogli się od niego uczyć?

M. Parowski: Postoświeceniowy utopista-bajkopis Chruszczewski działa na następców jak wyzwanie. Wobec niego można się określić, podobnie jak wobec tej zdefiniowanej przez pana n a u k o w o - t e c h n i c z n e j fantastyki. Lubię tę definicję i na swój sposób Chruszczewskiego – to były uczciwe, solidnie wykonane drogowskazy, tyle że wskazujące przeciwną drogę. To ogromnie wiele wyjaśniło.

R. Handke: Tak właśnie rozumiem sens definiowania. Żeby coś przełamać, trzeba dokładnie wiedzieć, co się przełamuje.

A. Niewiadowski: Z młodych tworzą wówczas: Sawaszkiewicz, Malinowski, pojawia się „Według łotra" (1978) Wiśniewskiego-Snerga...

L. Bugajski: Ale prawdziwe zmasowane uderzenie nową tematyką socjologiczną przychodzi w momencie ukazania się „Wiru pamięci" (1979) Wnuka-Lipińskiego i „Cylindra van Troffa" (1979) Janusza Zajdla. Pamiętam, przeczytałem te książki w ciągu jednego miesiąca: od razu było widać, że to jest zjawisko, nie incydent. W czasie, w którym ukazały się te dwie rzeczy powstawały właśnie, bądź już powstały, powieści-dystopie, o których mówił Maciek.

R. Handke: Tak, te dwie książki tworzą czoło fali. Były rzeczywiście nowe, stanowiły ciekawą propozycję myślową i formalną, która ujawniała się dopiero po roku 1980 w postaci serii powieści socjologicznych.

A. Smuszkiewicz: Ale czy w związku z tym przesunięciem można wspomniane powieści określać mianem literatury lat 80-tych? Czy my w ogóle mamy literaturę lat 80-tych? Sądzę, że jej nie znamy, ona dopiero powstaje. Ze względu na wydłużony proces wydawniczy docierają do nas pozycje, które zrodziły się dopiero pod koniec lat 70-tych.

Perspektywa lat 80-tych

M. Parowski: Nie mamy może książek, ale mamy przegląd i ewolucję krótkiej formy, jaką ujawnia

od dwu lat nasz miesięcznik, w tym zwłaszcza nasz konkurs. Mamy zbiorowy wizerunek adepta pisarstwa SF – oczytanego, doświadczonego na przeróżne sposoby dwudziestoparolatka, który nie widzi swoich problemów w tzw. literaturze współczesnej, więc próbuje je znaleźć i zawrzeć w fantastyce. Uprawia w związku z tym fantastykę aluzyjną, polityczną, ale także symboliczną, metafizyczną, surrealistyczną, lotrzykowską – zawsze wieloznaczną i bardzo prywatną. Na pewno nie naukową i nie polegającą na snuciu prognoz. To go nie obchodzi. Dwudziestoparolatkowe używają literackich narzędzi wyostrzonych, jak panowie wspomnieli, przez poprzedników, ale także jak myślę, przez własne bujne doświadczenia historyczne – do określenia swego miejsca w świecie. W świecie zdarzeń, myśli, idei i religii także.

R. Handke: Jeśli taki jest wynik konkursu to rzeczywiście może on być obrazem literatury lat 80-tych. Konkursy są obsyłane przez ludzi młodych, debiutantów i dzięki temu ukazują co do nas idzie. Są świadectwem wyobrażeń o tym jak należy robić literaturę, wyznawanych przez ludzi, którzy będą znaczącymi pisarzami za 5–10 lat.

Fot. Zbigniew Latała

Fanowie nadchodzą!

A. Niewiadowski: Zapomnieliście o jednej sprawie: połowa lat 70-tych ujawnia wielką potrzebę wspólnoty wśród fantastów. Powstają przecież kluby, cały ruch związany z działalnością wokół literatury, mnożą się wydawnictwa, zjazdy, spotkania, dyskusje, lansuje się własną, środowiskową hierarchię wartości i wielkości. Boję się, że jest to potrzeba jednoczenia motywowana skrywaną świadomością słabości tej literatury. Że jest to getto niedowartościowania, które w zwartości upatruje siłę przebicia.

R. Handke: Z gettem można sobie radzić arcydziełami i jeśli tylko znajdą się talenty o dostatecznym potencjale, to przestanie być problemem, choć może tożsamość SF rozmyje się gdzieś po drodze i zostanie zwyczajna dobra literatura, zajmująca się tematami, którymi dawniej literatura się nie zajmowała. Niepokoi mnie inna rzecz, a mianowicie możliwość ciągnięcia ruchu w dół przez publiczność, która ma już głos i organy – różne druki fanowskie do jego wyrażania. Wy jesteście na pierwszej linii i wiecie, że gdybyście chcieli na przykład przyciąć komiks albo uczynić go ambitniejszym, to dostaniecie natychmiast sygnały z terenu. Masy żądają czego innego, wiedzą lepiej, co jest najlepsze.

M. Parowski: To jest chyba uogólnienie trochę z daleka. Przyglądam się fanom na spotkaniach autorskich. Owszem, wyrażają życzenia – ale ruch co najmniej równie często prosi pisarzy (redaktorów, recenzentów) o to, by odrobinę przykucnęli, jak wyraża pretensję, że przykucnęli zbyt nisko. W końcu ci ludzie zorganizowali się, wyrwali ze stanu bierności. Już to odbiera im status masy.

R. Handke: Bardzo jestem panu wdzięczny, że mnie pan pociesza, ponieważ nie pragnę niczego innego jak być pocieszonym. Widziałem tutaj w Staszowie wielu bardzo inteligentnych fanów, ale to nie znaczy, że nie ma się czego bać. Obawiam się, że środowiska fanów mają własny mechanizm polegający na tym, że inteligentny prezes – rozkręca świadomość, a świadomość raz się rozkręciwszy zaczyna przywódcę za sobą wodzić i w końcu może być tak, że nie wiadomo już, kto kogo za sobą i dokąd prowadzi... Żeby podsumować te kasandryczne tony, myślę, że panowie, którzy w „Fantastyce" macie z tym wszystkim do czynienia, siedzicie na zboczu wulkanu.

A. Hollanek: Trafił pan, sam tak właśnie się czuję. Pocieszam się zjawiskami widocznymi w innych krajach, które przeszły przez tę fantastyczną falę – wszystkie irracjonalne prądy, antynaukowe, antytechniczne nastawienie...

R. Handke: W niektórych krajach to nastawienie ukonstytuowało się w partie polityczne.

A. Hollanek: Tak, „zieloni", to prawda... Ale na przykład ruch wydał także takie zjawisko jak Ursula Le Guin, która jest bardzo łagodną czarownicą. W każdym razie tam nie ma boomu fantastyki. Był i się skończył.

R. Handke: U nas ledwo się zaczął. Czy sądzicie panowie, że na naszym terenie też tak to się rozwija, że losy fantastyki mogą się podobnie potoczyć jak tam? Rynek się nasyci i za kilka lat fala opadnie, a bunt się ustateczni?

A. Hollanek: Dajcie mi papier, mnóstwo papieru, a zniszczę fantastykę. Coś w tym jest.

Zjawisko literackie

M. Parowski: Można by tak mówić, gdyby fantastyka zakorzeniła się u nas wyłącznie jako literatura rozrywkowa, ale tak nie jest. Fala dystopii, mówiliśmy i ostatnia młoda fantastyka dowodzą, że autorzy używają u nas gatunku do pisania o tym, co ich dotyczy i czego ani oni, ani inni polscy pisarze nie mogą czy nie potrafią nazwać w inny sposób. Fantastyka pełni rolę literatury realistycznej.

L. Bugajski: Literatury „zamiast".

A. Hollanek: Tym sposobem przestaje być gatunkiem fantastycznym.

M. Parowski: Tak i nie. Twierdzę, że polska fantastyka spełnia wszystkie cztery warunki nowego zjawiska literackiego – takiego, jak je określał Janusz Sławiński („Więź" 10/82) w dyskusji o literaturze po październikowej odwilży. Otóż są to: nowa tematyka, nowa poetyka, konstelacja nowych nazwisk, i nowy model życia literackiego. Zacznijmy od końca. Mamy bez wątpienia nowy model literackiego życia fantasty-

red. LESZEK BUGAJSKI – krytyk literacki, kierownik działu krytyki „Życia Literackiego", członek kolegium redakcyjnego „Pisma" i „Fantastyki" – w roku 1983 opublikował wybór szkiców o tematyce SF „Spotkania drugiego stopnia". Swoje prace ogłaszał m.in. na łamach „Nurtu", „Twórczości", „Miesięcznika Literackiego", „Odry", „Literatury".

RED. ANDRZEJ NIEWIADOWSKI – kierownik działu krytyki literackiej miesięcznika „Fantastyka", twórca haseł „Słownika polskich autorów fantastyki" – jest krytykiem, historykiem literatury. Od roku 1981 związany z Zakładem Literatury XX Wieku Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie prowadzi specjalistyczne konwersatorium o tematyce science fiction. Doktoryzował się na podstawie pracy „Konstrukcja układów fabularnych polskiej prozy fantastyczno-naukowej". Swoje artykuły ogłaszał na łamach „Przeglądu Humanistycznego", „Pisma", „Miesięcznika Literackiego", „Życia Literackiego", „Nowych Książek".

red. MACIEJ PAROWSKI – kierownik działu literatury polskiej miesięcznika „Fantastyka" i działu fantastyki w „Przeglądzie Technicznym" – jest dziennikarzem, krytykiem, publicystą kulturalnym. W roku 1982 opublikował pierwszą powieść SF „Twarzą ku ziemi". Wcześniej, w 1978 roku wydał zbiór felietonów i szkiców o kulturze masowej „Bez dubbingu".



Fot. Jan Surowy

ką. Pan Handke zastanawiał się nad niebezpieczeństwami jakie on może nieść, ja ruchu broniłem, ale ten model istnieje i nikt w Polsce nie czyta żadnego innego typu literatury w taki sposób jak fantastyki. Mamy też nową konstelację nazwisk: Wnuk-Lipiński, Żwikiewicz, Baraniecki, Oramus, mamy gwiazdorów naszego konkursu...

A. Smuszkiewicz: Jest też rzeczywiście nowa poetyka w stosunku do lat 60-tych. Tworzy się nowa poetyka, ponieważ tamta nie niosła nowej tematyki.

M. Parowski: Tak jest, a tą nową tematyką jest pakowanie do skonwencjonalizowanego gatunku tego wszystkiego, co młodym leży na sercu. Seria dystopii zaczęta przez Zajdla i Wnuka portretowała świat kryzysu wartości. Czy robiła to tzw. współczesna literatura? Nie! Przeczytajcie uważnie, nie wiem dobrą czy złą, ale bardzo pod tym względem reprezentatywną antologię KAW-u „Spotkania w przestworzach – 79" (1982). Słychać tam w niektórych tekstach jęk młodej generacji. Pewnie nie ociosany formalnie, ale autentyczny.

A. Smuszkiewicz: Rzeczywiście fantastykę ostatnich lat należałoby określić jednym słowem, trochę wyświechtanym, – była to po prostu literatura zaangażowana. Czy w tej sytuacji można mówić, że była to literatura „zamiast"?

L. Bugajski: Chyba można. W tym sensie, że sytuacje rodzące emocje, w wyniku których literatura ta zrobiła się gęsta, mocna, autentyczna – pozostały jednak nie opisane.

R. Handke: Ale rachunek się zgadza, fantastyka ostatnich lat spełnia u nas warunki zjawiska literackiego. A jeśli chodzi o ten kryzys wartości, powiedzmy sobie szczerze, jest to pewien handicap. Literatura stająca wobec takich zadań i rzeczywiście je podejmująca (bo nikt inny podjąć ich nie jest w stanie) stwarza bardzo pozytywne ciśnienie na gatunek. To znaczy na SF walą się tak duże zadania, że żeby im sprostać, trzeba dużej literatury. Powstaje sytuacja zupełnie inna niż przedtem kiedy za fantastykę brały się różne krótkie pióra, żeby bawić społeczeństwo konsumpcyjne rakietami i technicznymi zabawkami. Teraz – skończyło się. Fantastyka musi sobie uświadomić, że stoją przed nią zadania na miarę wielkiej literatury, wielkich problemów i wielkiej zdolności artystycznej. Jak to się mówi – zawsze wtedy z giermków wyrastają rycerze, kiedy na rubieży wojna. Bo jak pokój, to wyrosną dworzanie. Ponieważ ci nasi giermkowie będą musieli w ciężkim boju i ogniu zdobywać swoje pasy rycerskie, mam nadzieję, że będzie się można radować.

A. Niewiadowski: A nie boi się pan niebezpieczeństw ideologicznych uwarunkowań, które literatura ta będzie musiała podjąć? Czy nie okażą się jej spłyceniem? Czy młodzi niedoświadczeni jeszcze autorzy nie pójdą po linii najmniejszego oporu, nie wciągną tego wszystkiego w nasze mity narodowe?

A. Smuszkiewicz: Nikt inny tego za fantastów nie zrobi?

R. Handke: Prawdziwe niebezpieczeństwo dla literatury powstaje wtedy, gdy jest ona zapraszana przez dysponenta i obciążana według jego gustu. Ale kiedy człowiek pisze o tym, co czuje, że musi napisać, to nie ma problemu. To jest jeden z mitów naszej świadomości kulturowej i historycznej, że mamy wtórną literaturę, bo mamy parszywą historię. To nieprawda. Każda literatura każdego kraju podejmuje zadania, które są ważne. Jak się jest Anglikiem, to się jest Kiplingiem, bo ma się imperium. A jak się jest Polakiem, to w tym czasie trzeba się zajmować Powstaniem Styczniowym.

M. Parowski: Polski dramat romantyczny narodził się w „instrumentalnej" służbie patriotycznej.

R. Handke: Jak człowiek musi coś zrobić, to z reguły robi to na miarę swoich możliwości. To znaczy zawsze trochę lepiej niż sądził, że potrafi. Jeśli człowiek nie musi, to w ogóle nic nie robi albo udaje, że robi – tacy jesteśmy.

M. Parowski: I to ostatnie okazało się przygodą ogromnej części naszej literatury współczesnej. A czas jakiś także fantastyki.

A. Hollanek: Wróćmy do giermków, z których wyrastają rycerze. To była lepsza puenta. Dziękuję panom za udział w naszej dyskusji.

Opracował Maciej Parowski

Potwory, będące dziwacznym skrzyżowaniem różnych istot, żyły niegdyś w starożytnych legendach. Na przykład w krainie Likii (albo Licji) na południu Azji Mniejszej miała zamieszkiwać Chimera. Był to stwór o trzech głowach: lwa, kozy i smoka (Chimerę przedstawiano też jako stwora o głowie lwa, tułowiu kozy i ogonie z węża). Pustoszył on spokojną Likię ogniem, ziejącym z paszczy i nikomu nie udawało się go pokonać. Dokonał tego dopiero Bellerofon, wnuk Syzyfa, który przeleciał nad Chimerą na skrzydlatym koniu – Pegazie i wepchnął potworowi w paszczę oszczep z ostrzem z ołowiu. Ognisty dech smoka roztopił ołów, struga metalu spłynęła do jego wnętrzności – taki był koniec Chimery (kto ciekaw szczegółów, niech poczyta grecką mitologię).

Z tamtej strony lustra — Maciej Iłowiecki

Stwór z legendy

Dzisiaj Chimerę można zobaczyć tylko w muzeum w Neapolu, stoi tam jej spiżowy posąg, stworzony przed tysiącleciami przez etruskiego rzeźbiarza. Zaś nazwa potwora weszła na stałe do zasobu pojęć biologii – chimerą nazywa się bowiem organizm, powstały ze zrośnięcia tkanek pochodzących z dwóch różnych organizmów, na przykład po zaszczepieniu na jednej roślinie innej, pokrewnej. Taka roślinna chimera nie rozmnaża się płciowo, można ją mnożyć wegetatywnie przez sadzonki, cebule albo tzw. oczkowanie i dla ogrodników nie jest to nic niezwykłego. Wśród zwierząt przypadki chimer są bardzo rzadkie, stanowią wybryk natury, ale zdarzają się – np. czasem rodzi się organizm, którego prawa i lewa część wykazują cechy odmiennej płci.

W przyrodzie więc prawdziwa, biologiczna chimera zwierzęca jest prawdziwą rzadkością. Ale od bardzo niedawna udaje się tworzyć żyjące chimery dzięki pewnym sztucznym zabiegom. W tym wypadku sprawa polega nie tyle na zrośnięciu tkanek, ile na zespoleniu komórek odrębnych embrionów, pochodzących od różnych rodziców – zatem mających inne zestawy genetyczne. Może przyjemnie będzie się dowiedzieć, że pierwszym, który takie chimery stworzył, był polski biolog Andrzej Tarkowski, który i dziś zresztą pracuje twórczo w zakresie embriologii eksperymentalnej (na Uniwersytecie Warszawskim). Otóż Tarkowski specjalnymi metodami potrafił połączyć dwa zarodki myszy, pobrane od dwóch różnych mysich matek. Uzyskał w ten sposób jeden zrośnięty zarodek, który wszczepił następnie trzeciej mysiej samiczce. Myszka ta urodziła później małą myszkę, nie różniącą się specjalnie od innych zwierzątek poza jednym: noworodek mysi miał c z w o r o autentycznych, biologicznych rodziców i jedną matkę przyrodnią... Ponieważ jedna para rodziców była szara, druga znacznie ciemniejsza, nowonarodzona myszka miała futro w paski.

Prace Tarkowskiego są wielkim krokiem naprzód w tzw. inżynierii embrionalnej i myślę, że jeszcze usłyszymy o tym uczonym.

Inżynieria embrionalna (biologowie krzywią się na tę nazwę, ale co zrobić, już się przyjęła – na wzór inżynierii genetycznej) jest jedną z tych niezwykłych dróg nauki, które prowadzą w krainę cudów. Cudów zresztą dwuznacznych – w tym sensie, iż tego rodzaju manipulacje mogą być kiedyś wykorzystane w celach, które dziś nas przerażają. *„Czy chcemy wziąć na siebie odpowiedzialność za życie na naszej planecie, tworzyć dla własnych celów nowe, żywe organizmy? Czy rzeczywiście chcemy wziąć w swe ręce naszą własną ewolucję?"* – zapytywał niedawno znany biolog amerykański Robert Sinsheimer. W końcu bowiem „wyprodukowanie" embrionu l u d z k i e g o z dwóch różnych ludzkich zarodków jest tylko kwestią ulepszenia technik. Nikt dotąd nie odważył się takiego doświadczenia przeprowadzić (choć kto wie?) i nie wiemy, jakie byłoby dziecko, pochodzące od czworga rodziców.

Zwracam uwagę, że byłoby to doświadczenie zupełnie inne, niż powszechne już „zastępcze ciąże". Dzieci zrodzone przez „zastępcze matki" (żyje takich dzieci na świecie sporo) spędziły jako embriony okres rozwoju płodowego w kobiecie, która nie była ich biologiczną matką, ale oczywiście mają tylko j e d n ą parę genetycznych – więc prawdziwych – rodziców. Dziecko, powstałe przez zespolenie dwóch obcych embrionów, zatem ludzka chimera, miałoby d w i e pary prawdziwych, genetycznych rodziców. Naturalnie, można powiedzieć, że coś takiego jest możliwe tylko teoretycznie, ale dobrze wiemy, jak szybko w biologii możliwości stają się rzeczywistością. Nie ma właściwie prawa, które zabraniałoby podobnych eksperymentów z ludzkimi embrionami. Nie tylko zresztą nie istnieją w tej mierze odpowiednie normy prawne, ale ludzie wcale nie są zgodni co do tego, jakie owe normy być powinny. Na jednej szali mamy tzw. dobro nauki, potrzeby medycyny i w ogóle prawa postępu (?) – na drugiej szali – integralność osoby ludzkiej i jak dotąd oficjalnie tylko Kościół Katolicki wypowiedział się przeciw eksperymentom z ludzkimi zarodkami, które uważa (od chwili zapłodnienia) za nienaruszalne istoty ludzkie.

Wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi stawianie granic nauce w imię dobra człowieka, mamy do czynienia z najtrudniejszymi sprawami na świecie. Zwolennicy bowiem bezgranicznej „wolności eksperymentu" odpowiedzą, iż wszystkie granice stawiane nauce przynosiły zawsze szkody właśnie ludziom, a w imię „nienaruszalności integralności osoby ludzkiej" protestowano kiedyś na przykład przeciw chroniącym od śmierci szczepionkom. Z drugiej strony nie ma co ukrywać – nawet ludzie nie uznający etyki chrześcijańskiej czują doskonale, iż eksperymenty na zarodkach człowieka nie mogą przekraczać pewnych granic, że chodzi tu o sprawy, których jeszcze w pełni nie pojmujemy, ale które różnią się istotnie od wszelkich innych doświadczeń z jakimikolwiek organizmami na Ziemi.

Zostawiam na boku sprawy, o których w felietonie można tylko wspomnieć. Wróćmy do inżynierii embrionalnej. Przypomnę, że już w latach sześćdziesiątych słynne były doświadczenia embriologa Hafeza z USA. Pobierał on mianowicie zarodki rasowych krów, wszczepiał je następnie do macicy samicy królika, gdzie przebywały sobie spokojnie przez dwa tygodnie, następnie wszystkie je „wyjmował" z królika i wszczepiał z kolei – już pojedynczo – wielu krowom nierasowym. W odpowiednim czasie zwykłe farmarskie krasule rodziły cielęta najbardziej rasowe pod każdym względem. No dobrze, spyta ktoś – rozumiem, że jedna krowa, nawet najlepszej rasy, może w ciągu życia urodzić najwyżej dwanaście cieląt, a dzięki metodzie „zastępczych matek" można na przykład sto rasowych zarodków wszczepić stu innym krowom, ale po co w tym procesie królik? Otóż królik spełniał tu wyłącznie

rolę przechowalni, ponieważ rasowe zarodki trzeba było przewieźć z USA do Australii, a na pewno nie wytrzymałyby podróży „w probówce" – przewieziono po prostu jednego królika z embrionami krowimi w macicy. W ten sposób mały królik przewiózł w swym wnętrzu całe stado rasowego bydła... Zaś farmerzy australijscy mogli otrzymać ze swoich nierasowych krów najbardziej rasowe cielaki.

Metody – jak się to zwie – transferu embrionów zwierzęcych są już dziś bardzo rozpowszechnione. Uczeni potrafią nawet zmusić organizm jednego gatunku, by sposobem „ciąży zastępczej" wydał na świat potomka innego gatunku. Na razie dotyczy to gatunków pokrewnych, ale...

Na przykład ostatnio, bodaj w 1983 r. udało się w Instytucie Hodowli Zwierząt w Monachium wszczepić spokojnej łaciatej krowie domowej zarodek bantenga, z rodziny krętorogich. Bantengi tylko z wyglądu przypominają bydło domowe, żyją zaś na wolności, w gęstych lasach górskich w Indochinach, na Borneo, Jawie i na Wyspie Bali (jedynie tam zostały udomowione). Nie dają się krzyżować z bydłem domowym, natomiast udają się krzyżówki tych zwierząt z gatunkiem zwanym zebu. I oto krowa w Monachium urodziła małego bantenga! Uczeni przypuszczają, iż być może w ten sposób uda się zachować przy życiu niektóre znikające z Ziemi gatunki. Sprawa nie jest jednak prosta, poza różnymi czynnikami wchodzi w grę również i taki, jak po prostu wielkość zwierząt. Jakie bowiem zwierzę mogłoby urodzić na przykład małego słonika lub hipopotama czy nosorożca, nawet jeśli embriony tych ginących zwierząt „przyjęłyby się" w macicy jakiejś zastępczej matki?

Monachijski banteng nie jest – dodam dla porządku – biologiczną chimerą. Jest tylko noworodkiem, zrodzonym przez samicę nie tylko nie będącą jego matką, ale nawet samicę innego gatunku. Dla tak urodzonych istot nie ma jeszcze odrębnego określenia.

Co zaś do chimer, to czy możliwe jest istnienie tworu, który miałby nie tylko dwie pary biologicznych rodziców, jak myszki profesora Tarkowskiego, ale miałby dwie pary rodziców, wywodzących się z różnych gatunków zwierząt? Czy możliwe jest istnienie czegoś takiego, co – na przykład – byłoby zrodzone przez parę owiec i zarazem, jednocześnie, przez parę kóz? Co więc byłoby zarazem i kozą i owcą, kozoowcą po prostu?

Taki pomysł przeczy dzisiejszej biologicznej wiedzy. Każdy uczeń szkoły średniej wie, iż nie może istnieć zwierzę, złożone z elementów różnych gatunków, bowiem gatunki nie mogą się krzyżować. Biologia uznała zresztą tę regułę za tak ważną, iż na jej podstawie można właśnie odróżnić gatunki od podgatunków i ras. Jeśli bowiem nawet bardzo podobne zwierzęta nie mogą się skrzyżować, to stanowią dwa odrębne gatunki – jeśli zaś się krzyżują i wydają na świat potomstwo – są tylko odmianami, rasami jednego gatunku. Oczywiście, istnieją wyjątki, ale mają one tylko potwierdzać regułę. Na przykład wspomniana krzyżówka bantenga z zebu, czy zdarzające się czasem krzyżówki wilka z psem. Wszyscy też na pewno słyszeli o mułach – produkcie skrzyżowania klaczy z osłem (dziecko oślicy z ogierem zwie się osłomułem). Muły, jak wiadomo, są bezpłodne, choć mają wiele zalet jako zwierzęta domowe.

Więc skrzyżowanie owcy z kozą jest wykonalne? Otóż właśnie, rzecz taka nie udała się nigdy hodowcom, mimo różnych prób, nie zdarzyła się też nigdy samorzutnie w przyrodzie. Skrzyżowanie płciowe kozy z owcą jest po prostu niemożliwe. Ale dzięki metodom inżynierii embrionalnej stworzenie kozoowcy jest jednak możliwe!

W lutym 1984 r. w najsławniejszym bodaj na świecie, brytyjskim naukowym czasopiśmie przyrodniczym „Nature" ukazało się zdjęcie, które natychmiast reprodukowały gazety niemal wszystkich krajów (u nas np. „Kurier Polski"). Na zdjęciu widnieje stwór, będący ni to kozą, ni to owcą. Ma pyszczek kozy obdarzony rogami barana, obrośnięte jest długim, kręconym owczym futrem, gdzie niegdzie tylko widnieją dziwaczne łaty krótkiej koziej sierści.

Kozoowca ze zdjęcia ma dwa lata. Urodziła się w 1982 r. w laboratoriach Instytutu Fizjologii Zwierząt Uniwersytetu Cambridge w Anglii. Powstała z zespolenia mikroskopijnego zarodka kozy, z równie mikroskopijnym zarodkiem owcy (oczywiście, słowo „zespolenie" oznacza tutaj bardzo trudną, skomplikowaną technikę embriologiczną). Ów „dwoisty" embrion został następnie wszczepiony zastępczej matce. Tak spreparowanych zarodków było zresztą kilka, wszczepiono je zarówno kozie, jak i owcy, by zobaczyć, co z tego wyjdzie. „Wyszło z tego" sześć małych kozojagniąt (albo owcokoźląt?). Są podobne do obu par rodziców, jedno z nich ma nawet białka krwi, charakterystyczne jednocześnie dla obu gatunków, co jest już niezwykłością zupełną.

Tak więc na Ziemi pojawiło się nowe zwierzę (zapewne zresztą niepłodne, ale jeszcze nie wiadomo), stworzone przez człowieka. Ludzie stworzyli wiele ras zwierząt domowych – niektóre są tak różne, że ktoś, kto nie zna ich pochodzenia nie wiedziałby, iż należą do jednego gatunku. Przypomnijmy sobie choćby jamnika i doga. Ale nikomu dotąd nie udało się stworzyć chimery, która miałaby cechy dwóch różnych gatunków! Smutny paradoks polega może na tym, iż człowiek zniszczył bezpowrotnie o wiele, niesłychanie więcej gatunków, niż ich stworzył.



Tomasz Tomaszewski

Nie wiadomo jeszcze, jakie korzyści gospodarcze przyniesie kozoowca. Na razie jest żywym przykładem możliwości nauki, jest stworem z legend, antyczną Chimerą, tyle że bardzo łagodną i nieszkodliwą.

Embriologowie szkoccy z Edynburga zapowiedzieli, że pracują nad stworzeniem czegoś, co miałoby cechy świni i owcy, byłoby dla hodowców zwierzęciem bezcennym, mało wymagającym i dającym mięso, wełnę i mleko zarazem. Świnię z owczym runem trudno sobie wyobrazić. Zresztą w ogóle trudno sobie wyobrazić, by stwór taki mógł powstać, świnia i owca należą przecież nie tylko do odrębnych gatunków, ale do różnych rodzin (choć do jednego rzędu parzystokopytnych).

Gdyby ktoś parę lat temu zapowiedział, że urodzi się kozoowca, biologowie wyśmialiby go. Tymczasem kozoowca żyje i ma się dobrze. Więc może kiedyś pojawią się koniopsy albo kotoszczury i nikt się już nawet nie będzie dziwił, jeśli naprawdę spotka Minotaura, człowieka z głową byka? ■

1959 (dokończenie)

Horror (W):

320. DUMAS [Alexandre], ojciec: *Biesiada widm.* Tłum. [z franc.] Tadeusz Jakubowicz. [Łódź] Wyd. Łódzkie. 16° ss200, nlb.3. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Aleksander.
321. HAWTHORNE Nathaniel: *Dom o siedmiu szczytach.* Tłum. [z ang.] Bronisława Bałutowa. Warszawa. Czytelnik. 8° ss314, nlb.2. 15 000 egz.
322. JAMES Henry: *W kleszczach lęku.* Tłum. z ang. Witold Pośpieszała. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss.194, nlb. 2. 15 000 egz.
LEKSZYCKI Adam: *Szkarłatna iglica.* W: *TAJEMNICA...* – zob. ASF
323. *OPOWIEŚCI z dreszczykiem.* Aut.: Alěksandr Puškin [i in.]. Red. Wojciech Żukrowski i Tadeusz Adrian Malanowski. Warszawa. Iskry. 8° ss. 461, nlb. 3. 20 000 egz. – Dodruk do poz. 232/57.

Krytyka, biografia, film (R):

***324.** HUTNIKIEWICZ Artur: *Twórczość literacka Stanisława Grabińskiego.* 1887–1936. Toruń. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 481 nlb. 2, portr. 700 egz.
325. MAUROIS André: *Magicy i logicy. Szkice o pisarzach angielskich.* Tłum. z franc. Eligia Bąkowska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 326, nlb. 1. 10 000 egz. – M.in. o H.G. Wellsie, G.K. Chestertonie, A. Huxleyu.
THOR J.: *Podróże...* – zob. F.

Futurologia (F):

***326.** BOROWIECKI Stanisław, DOMAGALIK Janusz: *Astroekspedycja.* Warszawa. Wyd. Harcerskie. 16° ss. 170, nlb. 4. 12 500 egz.
327. THOR Janusz: *Podróże poza Ziemię. Opowieści z dawnych czasów. Osiągnięcia dnia dzisiejszego. Plany na przyszłość.* Warszawa. Państwowe Wydawnictwo Techniczne. 8° ss.151. 5 000 egz. – F/R.

1960

SF dla dorosłych (ASF):

328. ASIMOV Isaac: *Pozytronowy detektyw.* Tłum. [z ang.] Julian Stawiński. Warszawa. Iskry. 16° ss346, nlb. 2. 30 000 egz. – Klub Srebrnego Kluczyka.
329. [BĚLÁĚV Alěksandr]: *Wyspa zaginionych okrętów.* [oraz *Koniec świata.*] Tłum. [z ros.] Adam Galis. Warszawa. Iskry. 16° ss248, nlb. 2. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Bielajew.
330. BORUŃ Krzysztof: *Antyświat i inne opowiadania fantastyczno-naukowe.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 209, nlb. 1. 10 000 egz.
331. BRADBURY Ray: *451° Fahrenheita.* [Tłum. z ang. Adam Kaska.] Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 180, nlb. 4. 20 000 egz.
332. ČAPEK [Karel]: *Krakatit.* Tłum. [z czesk.] Emilia Witwicka. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 360, nlb. 3. 10 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Karol.
CHRUSZCZEWSKI C.:*Bardzo...* – zob. AF.
333. GAMOW George: *Mister Tompkins w krainie czarów* [oraz *Mister Tompkins poznaje atom.*] Tłum. z ang. Barbara Wójtowicz-Natanson, Ludwik Natanson i Maria Nowakowska-Hurwic. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 248, nlb. 7. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów. – Książka popularno-naukowa z elementami fantast.
334. HOLLANEK Adam: *Zbrodnia Wielkiego Człowieka.* Opowieść kryminalno-fantastyczna. Katowice. Wyd. Śląsk. 16° ss. 91, nlb. 1. 77 000 egz. – Złota Podkowa. – Wyd. skrócone, pełne w czasopismach: „Panorama" (ok. 1958) i pt. *„Zbrodnia w Niebieskim Mieście"* – „Dziennik Toruński" (1975).
PAL'MAN V.: *Więźniowie...* – zob. CJSF.
SPRAWA... – zob. AF.
335. [VOLKOV Konstantin]: *Wenus, gwiazda zaranna.* Tłum. [z ros.] Tadeusz Twarogowski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss.465, nlb.3. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód. – Na k. tyt. aut.: K. Wołkow. – ASF/CJSF.
336. ZEGALSKI Witold: *Krater czarnego snu.* Powieść fantastyczna. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 229, nlb. 3. 10 000 egz. – Przygoda – Awantura – Sensacja.
337. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Stara Ziemia.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 335, nlb. 4. 5 000 egz.
338. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Zwycięzca.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 391, nlb. 4. 5 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

339. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 324, nlb. 4. 10 000 egz. – CJSF/F.
340. BRZECHWA Jan: *Pan Soczewka na dnie oceanu.* [wierszem]. Warszawa. Wyd. Artystyczne i Filmowe. 8° knlb. 16. 50 000 egz.
***341.** BRZECHWA Jan: *Wyprawa na Ariadnie.* [wierszem]. Gdynia. Wyd. Morskie. 4° knlb. 20. 45 000 egz.
NĚKRASOV A.: *Przygody...* – zob. Utopia.
342. [PAL'MAN Váčěslav]: *Więźniowie krateru.* Tłum. [z ros.] Maria Okołów-Podhorska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 256, nlb. 6. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: W. Palman – CJSF/ASF.
343. VERNE [Jules]: *Napowietrzna wioska.* Tłum. [z franc.] Olga Nowakowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 253, nlb. 3. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
344. VERNE [Jules]: *Pięć tygodni w balonie.* Tłum. z franc. Marta Zajączkowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 343, nlb. 1. 10 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz – Książka realistyczna z elementami fantast.
VOLKOV K.: *Wenus...* – zob. ASF.

Utopia (U):

***345.** ANDRES Stefan: *O świętym książulku Domenico.* Tłum. [z niem.] Zygmunt Lichniak. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 111, nlb. 5.
346. (?) BORCHERT Wolfgang: *Pod drzwiami.* Tłum. [z niem.] Edwin Herbert i Egon Naganowski. Wstęp Andrzej Wirth. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 468, nlb. 4. 3 000 egz. – Nike. – Elementy fantast.
347. (?) CHESTERTON Gilbert Keith: *Poeta i wariaci.* Tłum. [z ang.] Zofia Ernstowa. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 222, nlb. 2, tabl. 8. 10 000 egz. – Elementy fantast.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Nowe kluby

Ostatnio powiększyła się rodzina zorganizowanych miłośników fantastyki. Powstał Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki w Olsztynie oraz klub PSMF w Ostrołęce. A oto adresy:

- Oddział Warmiński PSMF „Stalker", OLSZTYN, ul. Pana Tadeusza 6,
- Wojewódzki Ośrodek Kultury, 07-401 OSTROŁĘKA 3, ul. I Armii Wojska Polskiego 22, DIPS p. 15.

Pięciolecie

Już pięć lat istnieje i działa we Wrocławiu Klub Miłośników Fantastyki. Z okazji tej rocznicy tamtejsi działacze zorganizowali w dniach 7–9 XII 1984 r. imprezę, w programie której przewidziano filmy oraz uroczysty bankiet. Ta druga część imprezy wypadła o wiele bardziej okazale od pierwszej, która robiła wrażenie dość miałkiej merytorycznie i słabo przygotowanej.

Video

Kolejny przegląd filmów video odbył się w Łagowie (okolice Zielonej Góry) w dniach 14–16 XII 1984 r.

Jego organizator – Zielonogórski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, nie chcąc powtarzać po raz kolejny „Blade Runnera" czy „Powrotu Jedi" zdecydował się na zaprezentowanie filmów o mniejszych ambicjach artystycznych, czasem obrazów wręcz nieudanych, ale takich, które warto na pewno obejrzeć, choćby dla wyrobienia sobie zdania o tendencjach i poziomie mniej znanych przedstawicieli filmu światowego. Można było więc w Łagowie obejrzeć takie filmy jak „Wojna gwiazd" (japońska parodia „Gwiezdnych wojen"), „Flash Gordon" czy „Galactica". Całość imprezy, przede wszystkim dzięki staraniom Macieja Półnieckiego – prezesa oddziału w Zielonej Górze, przebiegała bardzo sprawnie. Jedynym błędem był brak szczegółowego programu, który układano dopiero w czasie przeglądu, co powodowało niepotrzebny bałagan i szereg nieporozumień.

Bal na Orbicie

Ostatnią imprezą w roku 1984 był kostiumowy Bal Sylwestrowy zorganizowany przez poznański oddział PSMF „Orbita".

Ładnie zaprojektowane zaproszenia zapowiadające atrakcyjny program, kostiumy w konwencji fantastycznej, aura pewnej sensacji towarzysząca przygotowaniom, znana solidność organizacyjna tamtejszego klubu – pozwalały spodziewać się imprezy jakiej jeszcze nie było. I rzeczywiście! Bal przypominał smętne wesele z udziałem obcych sobie osób, gdzie jedyną rozrywką są stół i trunki. Organizatorzy nawet nie spróbowali zrealizować programu. Nie odbyły się więc wybory królewskiej pary, konkurs na najlepszy kostium, taniec przyszłości itd. Dyskoteka prowadzona przez (według zapewnień organizatorów) najlepszego prezentera, przypominała bardziej potańcówkę. Prowadzący puszczał po prostu muzykę i znikał w sobie tylko wiadomych celach.

Nikt nie przedstawił sobie uczestników balu, nie próbował ich zintegrować, nie czuwał nad przebiegiem całości imprezy (nawet nadejście Nowego Roku każdy musiał obserwować na swoim zegarku). Wydaje się więc, że zabrakło tu organizatorów z prawdziwego zdarzenia, którzy potrafiliby zadbać o realizację wymyślonego przez siebie programu.

Myślę, że z nieudanego „Balu na Orbicie" koledzy z Poznania wyciągną odpowiednie wnioski. Jest to szczególnie ważne, gdyż w tym roku mają być oni organizatorami najpoważniejszej fanowskiej imprezy – „POLCONU 85"

(MAK)

INDIANA JONES

I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY

THE HERO IS BACK – tak zapowiadano wejście na ekrany kin w USA nowych przygód archeologa-awanturnika w filmie Stevena Spielberga „Indiana Jones i Świątynia Zagłady" (pierwszy film z tym bohaterem – „Poszukiwacze zaginionej arki" – był wyświetlany niedawno na naszych ekranach).

Indiana Jones, przez przyjaciół zwany Indy, ma oczywiście u swego boku piękną kobietę, jest nią Willie Scott – piosenkarka z nocnego klubu w Szanghaju. Tym razem towarzyszy mu również lojalny i bardzo oddany mały pomocnik – Short Round. Ten dwunastoletni chłopiec, odkryty przez Spilberga podczas Międzynarodowych Poszukiwań Talentów w Los Angeles, swą wspaniałą grą raz jeszcze potwierdził umiejętności reżysera w kierowaniu dziećmi.

Trójka bohaterów ucieka z Szanghaju i uniknąwszy śmierci w rozbitym samolocie trafia do Indii, gdzie w biednej wiosce Indy ślubuje odnaleźć należący do jej mieszkańców święty kamień. Taki jest początek filmu.

Niewątpliwie bardzo ważna dla atrakcyjności filmu jest postać i osobowość Indiany Jonesa. Indy zyskuje sobie sympatię nie tylko dlatego, że zawsze wygrywa, ale również dzięki temu, że ma i pokazuje swoje słabe punkty. Na przykład bardzo boi się węży. Nie jest niepokonany, jego przeciwnicy bywają równie silni lub nawet silniejsi od niego (przypomnijmy sobie scenę walki na lotnisku w „Poszukiwaczach zaginionej arki"). Ostatecznie jest górą, ale osiąga to dzięki połączeniu odwagi, determinacji, siły, inteligencji i szczęścia.





Głównym walorem filmu jest brawurowo poprowadzona akcja. Celem było zaszokowanie i oszołomienie widza. Realizatorzy starali się konsekwentnie stosować zasadę potęgowania w każdej scenie wrażenia niebezpieczeństwa. Nie zawsze jednak trzymali się realiów. Bardzo dobrze ilustruje to scena rozbicia się samolotu. Z wcześniejszego epizodu wynika, że wypuszczono z jego baku całą benzynę, w czasie wypadku powinien więc po prostu rozbić się o skały. Po nakręceniu tych scen okazało się, że nie są one niestety odpowiednio efektowne. Realizatorzy doszli do wniosku, że samoloty rozbijające się w filmach zawsze wybuchają, nakręcili więc scenę wybuchu i tak można ją oglądać w kinie. Szkoda tylko, że zniszczył się przy tym samolot. Był to, co prawda, tylko jednometrowy model, ale wyglądał jak prawdziwy, zwłaszcza na tle cudownie ośnieżonych gór, które niestety były także makietą z blachy aluminiowej.

Innym przykładem odejścia od rzeczywistości jest ujęcie z murem chińskim, obok którego rozciągają się pola ryżowe. Naprawdę najbliższe pola są położone o kilkaset kilometrów od muru. Spielbergowi chodziło jednak o to, by widz nie miał wątpliwości, gdzie rozgrywa się akcja.

Ogromne wrażenie robią sceny w Świątyni Zagłady, gdzie przestrzeń między kapłanem a wiernymi przecina szczelina w ziemi z kłębiącą się w niej lawą. Otrzymanie takiego efektu nie było wcale proste i kosztowało ekipę od efektów specjalnych wiele prób, zanim osiągnięto stan satysfakcjonujący Spielberga. Lawa to woda zmieszana z gliceryną w wielkim pojemniku z pleksiglasu w kształcie muszli klozetowej. Ogromny układ dysz i pomp wprowadzał tę mieszaninę w ruch okrężny. Środek wiru powstającego w chwili gwałtownego zatrzymania tego układu był oświetlany najjaśniej. Postacie spuszczane w głąb dołu jako ofiary straszliwej bogini to oczywiście lalki sterowane za pomocą radia. Były one zresztą w czasie realizacji filmu używane parokrotnie. W scenach w starej kopalni zastosowano je wszędzie tam, gdzie dekoracja przekroczyłaby dziesięć metrów długości. Najpierw kręcono te sceny w technice video, co spowodowało między innymi konieczność bardzo starannego składania segmentów makiety, ponieważ szalenie trudno było ukryć aparaturę filmującą.

Bardzo widowiskowe są obrazy przedstawiające zalewanie kopalni wodą. I tu zastosowano makietę tunelu długości 10 m z kamerą na jednym końcu, a rurą doprowadzającą wodę ze zbiornika położonego dużo wyżej – na drugim. Wpadającą ruchem spiralnym wodę oświetlało naturalne światło przez okienka rozmieszczone co metr wzdłuż sufitu tunelu, co dało delikatną, błękitną poświatę. Żeby woda miała wygląd odpowiadający skali dekoracji wykorzystano dmuchawy powietrza, dzielące ją na bardzo małe kropelki. Dla wzmocnienia efektu, sceny te kręcono w tempie przyspieszonym, około 80 klatek/s, gdy woda zbliżała się do kamery, i około 120 klatek/s, gdy postacie uciekały przed nią.

Są to oczywiście tylko niektóre przykłady zastosowania technik trikowych w czasie pracy nad „Indianą Jonesem i Świątynią Zagłady". Mam nadzieję, że ich ujawnienie nie zepsuje Państwu przyjemności obejrzenia filmu (gdy pojawi się on w Polsce), a raczej pozwoli docenić wielką pracę włożoną w jego przygotowanie.

Opracowała
Dorota Malinowska

INDIANA JONES I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY (Indiana Jones and the Temple of Doom). Reżyseria: Steven Spielberg. Zdjęcia: Douglas Slocombe. Obsada: Harrison Ford, Kate Capshaw, De Huy Quan i inni. Produkcja: A Lucasfilm Ltd (USA)

